

Danielle Steel

Dary losu

Dla moich ukochanych dzieci  
Beatrix, Trevora, Todda, Nicka, Sama,  
Victorii, Vanessy, Maxxa i Zary.  
Wszystkich Was opromienia światło łaski,  
wszystkich Was podziwiam bezgranicznie,  
z wszystkich Was jestem bardzo, bardzo dumna  
i wszystkich Was kocham z całego serca.  
Z wyrazami miłości

Mama

W każdej stracie jest zysk.  
I w każdym zysku jest strata.  
A z każdym końcem przychodzi nowy początek.  
Shao Lin  
Jeśli staniesz się całością, zyskasz wszystko.  
Tao Te Ching

## Rozdział 1

Gdy Sara Sloane weszła do sali balowej hotelu Ritz - Carlton w San Francisco, przywitał ją fantastyczny widok. Stoły zasłane obrusami z kremowego adamaszku, połyskujące srebrne lichtarze, nakrycia i kryształowe kieliszki. Zastawa, nieodpłatnie wypożyczona na ten wieczór od niezależnej firmy, była bardziej gustowna niż hotelowa. Talerze ze złożonym brzegiem, przy każdym nakryciu opakowany w srebrny papier upominek, menu wykaligrafowane na czerpanym kremowym papierze i wpięte w srebrne stojaczki oraz program, katalog aukcji i tabliczka z numerem - całość robiła wrażenie. Wizytówki z nazwiskami, ozdobione złotym aniołkiem, zostały rozmieszczone według starannie przemyślanego planu Sary: w przedniej części sali złote stoły dla sponsorów, aż trzy rzędy, za nimi stoły srebrne i brązowe. Każdego szczegółu dopilnowała osobiście. Teraz, podziwiając bukiety herbacianych róż, przewiązane srebrnymi i złotymi wstążkami, pomyślała sobie, że wszystko to wygląda raczej na przyjęcie weselne, a nie na aukcję charytatywną.

Sara prowadziła już wcześniej podobne imprezy w Nowym Jorku i w organizację tego balu włożyła tyle samo zapału i staranności, ile we wszystkie swoje przedsięwzięcia. Kwiaty dostarczyła najlepsza pracownia florystyczna w mieście za jedną trzecią zwykłej ceny. Saks urządzał pokaz mody, a Tiffany biżuterii, którą prezentowały przechadzające się po sali modelki. Wszystko to wymagało wielkiego wkładu pracy i nie lada zdolności organizacyjnych, ale Sara była w tym dobra.

W katalogu aukcyjnym widniały wyłącznie drogie pozycje - biżuteria, egzotyczne podróże, karnety sportowe, zaproszenia na imprezy z udziałem sław i czarny range rover z ogromną złotą kokardą na dachu, zaparkowany przed hotelem. Ktoś będzie bardzo szczęśliwy, odjeżdżając nim dziś wieczór do

domu. A oddział położniczy w szpitalu, który skorzysta na aukcji, będzie jeszcze szczęśliwszy. Był to już drugi bal Małych Aniołków organizowany przez Sarę dla fundacji. Podczas pierwszego opłaty za miejsca, aukcja i datki przyniosły ponad dwa miliony dolarów. Dziś wieczór Sara pragnęła zebrać trzy miliony.

Zapewnienie gościom jak najlepszej zabawy miało pomóc osiągnąć cel. Sara wynajęła znakomitą orkiestrę taneczną, a ojciec jednej z członkiń komitetu - znany hollywoodzki producent muzyczny - namówił Melanie Free, by zaśpiewała na dzisiejszym balu. Dzięki temu zaproszenia, a szczególnie miejscówki przy złotych stołach, mimo że drogie, rozeszły się błyskawicznie. Melanie przed trzema miesiącami zdobyła Grammy i za solowe koncerty życzyła sobie zwykle pięć i pół miliona. Tym razem występowała charytatywnie; fundacja Małe Aniołki musiała pokryć tylko koszty, które i tak okazały się niemałe. Podróż, zakwaterowanie, wyżywienie dla niej, jej ekipy i zespołu oceniono wstępnie na jakieś trzysta tysięcy dolarów. Mimo wszystko opłacało się zainwestować w gwiazdę, której występ przyciągnie ludzi.

Gest Melanie Free zasługiwał na wdzięczność i uznanie. Oszłamiająco piękna dziewiętnastolatka w ciągu ostatnich dwóch lat poszybowała na szczyty list, wydając przebój za przebojem. Grammy była dla niej tylko lukrem na torcie. Sara najbardziej się obawiała, że artystka odwoła występ; często się zdarzało, że gwiazdy rezygnowały z tego typu imprez w ostatniej chwili, ale agent Melanie przysięgał, że koncert odbędzie się na pewno. Zapowiadał się naprawdę ekscytujący wieczór; dziennikarze walili drzwiami i oknami. Komitet organizacyjny zdołał nawet ściągnąć kilka gwiazd filmowych z Los Angeles, a bilety wykupiła cała miejscowa śmietanka towarzyska. Jak dotąd bal Małych Aniołków był nie tylko najważniejszą i najbardziej pożyteczną imprezą charytatywną

w San Francisco, ale też - zdaniem wielu - po prostu najfajniejszą.

Do urządzenia balu skłoniły Sarę własne doświadczenia na oddziale położniczym, gdzie trzy lata temu uratowano jej córeczkę. Molly, pierwsze dziecko Sary, urodziła się trzy miesiące przed czasem. Nic nie wskazywało, że ciąża może być zagrożona. Sara, wówczas trzydziestodwulatka, wyglądała i czuła się wspaniale, do chwili gdy pewnej deszczowej nocy zaczęła nagle rodzić. Molly przyszła na świat następnego dnia i spędziła dwa miesiące w inkubatorze. Sara siedziała w szpitalu dzień i noc, a jej mąż, Seth, nie odstępował ich na krok. Córeczkę utrzymano przy życiu, a dzięki troskliwej opiece przedwczesny poród nie pozostawił żadnych powikłań. Teraz Molly była radosną, pełną życia trzylatką, a jesienią miała pójść do przedszkola. Drugie dziecko Sary, Ollie - pyzaty, gaworzący, dziewięciomiesięczny bobas - urodził się zeszłego lata, a ciąża i poród przebiegły bez komplikacji. Dzieci były całym światem Sary, która opiekowała się nimi jako pełnoetatowa mama; jej jedynym poważnym zajęciem poza nimi stało się organizowanie balu.

Sara i Seth poznali się przed sześcioma laty w szkole biznesu w Stanford, do której oboje przyjechali z Nowego Jorku. Pobrali się zaraz po obronie dyplomów i zostali w San Francisco. On dostał pracę w Dolinie Krzemowej, a gdy urodziła się Molly, założył własny fundusz inwestycyjny. Sara uznała, że nie musi dorzucać się do rodzinnego budżetu. Zaszła w ciążę w noc poślubną i wolała zostać w domu z dziećmi. Przed studiami w Stanford pracowała pięć lat jako analityk na Wall Street, i teraz chciała zrobić sobie kilka lat przerwy, by cieszyć się macierzyństwem. Mąż tak dobrze zarabiał na funduszu, że nie musiała wracać do pracy.

Seth mimo młodego wieku szybko zdobył wysoką pozycję w finansowym światku San Francisco i Nowego Jorku, co

pozwoili mu rwnie szybko si wzbogaci. W dynamicznym San Francisco oboje czuli si doskonale i nie tsknili za Nowym Jorkiem, z ktym waciwie nic ich nie wiazało, odkąd rodzice Sary wyprowadzili si na Bermudy. Rodzice Seta nie zyli ju od wielu lat. Gdy zarobil pierwsze wieksze pieniadze, kupili okazały dom na Pacific Heights z widokiem na zatokę i wypełnili go wspóczesną sztuką: dziełami Kaldera, Kelly'ego, de Kooninga, Pollocka i kilku obiecujcych nieznanym artystów. Oboje doskonale wkomponowali si w biznesow i towarzysk scenę, nie ukrywajc, że zamierzaj na stałe osiść w San Francisco. Konkurencyjny fundusz inwestycyjny zaproponował nawet Sarze pracę, lecz ona wolala spędzać czas z dziećmi - i Setem, kiedy był wolny. Niestety, w domu bywał rzadko; wlaśnie kupił mały odrzutowiec, interesy bowiem wymagały częstych podróży do Los Angeles, Chicago, Bostonu czy Nowego Jorku. Cóż, dzięki temu mogli sobie na wiele pozwolić i z roku na rok powodziło im si coraz lepiej. Przedtem oczywiście nie klepali biedy, ale też żadne z nich nie żyło dotąd w tak ekstrawaganckim luksusie. Sarę dręczyło czasem lekkie poczucie winy, że wydają za duzo pieniadzy - mieli dom w mieście, śliczny letni dom w Tahoe, prywatny samolot, Seth natomiast uważał, że nie ma si czym przejmować; pieniadze są po to, by si nimi cieszyć. I on si nimi cieszył, bez dwóch zdań.

Seth jeździł ferrari, a Sara mercedesem kombi, idealnym dla niej i dwójki dzieci, spoglądała jednak łakomie na range rovera, który miał być dziś licytowany. Powiedziała ju Sethowi, że jej zdaniem to bardzo zgrabny samochodzik, a pieniadze pójdą na szczytny cel, który im obojgu leży na sercu. W gorzej wyposazonym, mniej wyspecjalizowanym szpitalu ich córeczka nie miałyby szans na przeżycie. Sara czuła, że ma do spłacenia dług wdzięczności i stąd wziął si

pomysł zbiórki pieniędzy. W zeszłym roku fundacja po pokryciu kosztów imprezy przekazała szpitalowi ogromną kwotę. W tym roku miało być jeszcze lepiej.

Seth zrobił dobry początek, ofiarowując dwieście tysięcy dolarów w imieniu ich obojga. Sara, choć nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do pieniędzy, czuła się dumna i podziwiała ambitnego męża, który ciężką pracą potrafił zapewnić rodzinie tak luksusowe warunki. Byli małżeństwem już cztery lata i wciąż kochali się do szaleństwa. Zastanawiali się nawet, czy nie powiększyć rodziny. W sierpniu wybierali się w rejs po greckich wyspach wynajętym jachtem, pomyślała więc, że to może być idealny moment, by postarać się o trzecie dziecko.

Obchodziła powoli każdy stół w sali balowej, sprawdzając nazwiska na wizytówkach z przygotowaną wcześniej listą. Bal Małych Aniołków był imprezą na najwyższym poziomie i zawdzięczał swój sukces przede wszystkim doskonałej organizacji. Gdy od złotych stołów przeszła do srebrnych, znalazła dwie pomyłki i przestawiła wizytówki. Skończyła właśnie kontrolę stołów i zamierzała sprawdzić, jak przebiega napełnianie torebek z prezentami, kiedy podeszła do niej zaaferowana asystentka Angela. Piękna, dwudziestodziewięcioletnia eks-modelka była żoną dyrektora naczelnego dużej korporacji. Bardzo chciała pracować z Sarą w Komitecie organizacyjnym ze względu na prestiż imprezy, poza tym świetnie się bawiła, pomagając dopiąć wszystko na ostatni guzik.

- Już jest! - szepnęła z szerokim uśmiechem.

- Kto? - Sara oparła podkładkę do pisania o biodro.

- No Melanie, oczywiście, i cała reszta! Właśnie przyjechali. Zaprowadziłam ich do apartamentu.

Sara odetchnęła z ulgą; a więc zjawili się na czas. Przylecieli z Los Angeles prywatnym samolotem

wyczarterowanym przez komitet specjalnie dla Melanie i jej świty. Zespół i ekipa techniczna od dwóch godzin byli już w pokojach; przylecieli wcześniej. Melanie, jej przyjaciółka, menedżerka, asystentka, fryzjerka, chłopak i matka mieli cały samolot dla siebie.

- I co, jest zadowolona? - Sara poczuła lekki niepokój. Komitet z wyprzedzeniem dostał listę wymagań; na dwudziestu sześciu stronach zawarto wszystkie osobiste życzenia gwiazdy. Musiała mieć, między innymi, butelkowaną wodę Calistoga, odtłuszczony jogurt, najróżniejsze naturalne potrawy, skrzynkę szampana Cristal; należało uwzględnić ulubione dania matki, a nawet piwo, które preferował chłopak Melanie. Do tego doszło czterdzieści stron wymagań zespołu, dotyczących sprzętu elektrycznego i nagłośnieniowego. Fortepian, którego Melanie zażyczyła sobie na występ, przywieziono o północy. Próba miała się odbyć dziś, o drugiej po południu. Do tej pory wszyscy musieli opuścić salę balową, i dlatego Sara kończyła swój obchód o pierwszej.

- Wszystko w porządku. Jej chłopak wydaje się trochę dziwny, matka wręcz przerażająca, ale przyjaciółka nawet fajna. A sama Melanie jest naprawdę piękna i bardzo miła.

Sara też odniosła takie wrażenie, gdy jeden jedyny raz rozmawiała z nią przez telefon. Kontaktowała się wyłącznie z menedżerką, ale postawiła sobie za punkt honoru, by zadzwonić i osobiście podziękować Melanie za jej gest. I oto nadszedł wielki dzień. Artystka nie odwołała przyjazdu, samolot się nie rozbił, wszyscy dotarli na czas. Nawet pogoda dopisała. Był słoneczny dzień w połowie maja, wręcz gorący i parny, co rzadko się zdarzało w San Francisco; przypominał raczej nowojorskie lato. Sara wiedziała, że pogoda niedługo się załamie, ale takie ciepłe noce w mieście zawsze sprzyjały dobrej zabawie. Co prawda miejscowi żartowali sobie, że w San Francisco taką aurę nazywa się „trzęsącą pogodą”, ale tym



się nie przejmowała. Trzęsienia ziemi były jedyną rzeczą, która niepokoiła ją od czasu, kiedy tu się osiedlili, choć wiedziała, że zdarzają się naprawdę rzadko, i to niewielkie. Mieszkała nad Zatoką sześć lat i jeszcze żadnego nie doświadczyła, więc i dziś nie miała zamiaru niepokoić się „trzęsącą pogodą”. W tej chwili miała inne sprawy na głowie.

- Myślisz, że powinnam do niej pójść? - zapytała Angelę. Nie chciała być nachalna, ani tym bardziej sprawiać wrażenia nieuprzejmej, zanedbując gości. - Pomyślałam sobie, że przywitam się z nią tutaj, kiedy zejdzie o drugiej na próbę.

- Możesz po prostu zajrzeć do pokoju i powiedzieć cześć.

Melanie wraz z osobami najbliższymi zajmowała dwa duże apartamenty i pięć dodatkowych pokoi na piętrze klubowym - wszystko na koszt hotelu. Zarząd był zachwycony, że bał się odbędzie tutaj, i oddał do dyspozycji fundacji pięć wolnych apartamentów dla VIP - ów, a do tego piętnaście pokoi i mniejszych apartamentów. Zespół i ekipa techniczna mieszkali na niższym piętrze, w nieco skromniejszych pokojach, za które komitet miał zapłacić z własnego budżetu, czyli z zysku z imprezy.

Sara zajrzała jeszcze do kobiet pakujących torby z kosztownymi prezentami ofiarowanymi przez markowe sklepy, i po chwili jechała już na górę. Użyła własnego klucza do windy - był to jedyny sposób, by dostać się na piętro klubowe. Ona i Seth też wynajęli tu pokój; uznali, że prościej będzie przebrać się w hotelu niż pędzić do domu i z powrotem. Niania zgodziła się zostać z dziećmi na noc, więc mieli miłą okazję pobyć tylko we dwoje. Sara nie mogła się już doczekać jutra, kiedy będą mogli wylegiwać się w łóżku, zamówić śniadanie i porozmawiać o imprezie. Ale teraz myślała tylko o tym, czy wszystko się uda.

Wysiadła z windy na piętrze klubowym. W wielkim holu znajdował się bufet z ciastami, kanapkami, owocami i winami,

a także niewielki bar. Można było posiedzieć w wygodnych fotelach, skorzystać z telefonu, poczytać gazety, pooglądać telewizję na ogromnym, panoramicznym ekranie. Za biurkiem siedziały dwie recepcjonistki, mające pomagać gościom we wszystkim - rezerwować stoliki w restauracjach, odpowiadać na pytania dotyczące miasta, umawiać na wizyty w salonie kosmetycznym - mówiąc krótko, spełniać wszelkie zachcianki. Sara zapytała, jak trafić do pokoju Melanie, i ruszyła korytarzem. By uniknąć kłopotów z dodatkową ochroną i wścibskimi fanami, Melanie zameldowała się pod panińskim nazwiskiem matki, Hastings. Posługiwała się nim we wszystkich hotelach, tak zresztą robi wiele gwiazd.

Sara delikatnie zapukała w drzwi apartamentu. Słyszała dobiegającą z wnętrza muzykę. Po chwili otworzyła drzwi niska, korpulentna kobieta w dżinsach i wiązanej na szyi bluzce. We włosy miała wetknięty długopis, w jednej ręce trzymała żółtą podkładkę do pisania, a na przedramieniu drugiej wieczorową suknię. Sara domyśliła się, że to asystentka Melanie, z którą też rozmawiała już kiedyś przez telefon.

- Pam? - Kobieta kiwnęła z uśmiechem głową. - Jestem Sara Sloane. Wpadłam tylko, żeby się przywitać.

- Wejdz, wejdz - rzuciła wesoło Pam i poprowadziła Sarę do salonu. Panował tam nieprawdopodobny bałagan. Na środku leżało z pół tuzina otwartych walizek, których zawartość rozpełzła się po podłodze. Zaścielały ją seksowne sukienki wieczorowe, buty, dżinsy, torebki, koszulki, bluzy, był też kaszmirowy koc i pluszowy miś. Wyglądało to, jakby cały żeński chórek wywalił swoje rzeczy na dywan. Wśród tego wszystkiego siedziała drobna, wiotka blondynka. Zerknęła tylko na Sarę, grzebiąc niezmordowanie w jednej z waliz, najwyraźniej w poszukiwaniu jakiejś konkretnej rzeczy. Z pewnością nie było to łatwe zadanie.

Sara, trochę zmieszana, rozejrzała się po pokoju i w końcu dostrzegła Melanie Free, wyciągniętą na kanapie. Miała na sobie strój do ćwiczeń i opierała głowę o ramię przystojnego młodzieńca, który zawzięcie przerzucał pilotem kanały, w drugiej ręce trzymając kieliszek szampana. Poznała w nim aktora, grającego do niedawna w popularnym serialu telewizyjnym. Mówiono, że pił i ćpał, dlatego zerwano z nim współpracę.

Słyszała też, że przeszedł kurację w ośrodku zajmującym się terapią uzależnień. Wyglądał na trzeźwego, mimo butelki szampana stojącej obok niego na podłodze. Na imię miał Jake. Uśmiechnął się przelotnie do Sary i z powrotem wlepił oczy w telewizor.

Melanie wstała, by się przywitać. Wydawała się jeszcze młodsza niż była naprawdę; bez makijażu, z rozpuszczonymi złotymi włosami wyglądała najwyżej na szesnaście lat. Zanim jednak zdążyła się odezwać, jakby znikąd pojawiła się jej matka i mocno, aż boleśnie ucisnęła dłoń Sary.

- Cześć, jestem Janet, mama Melanie. Strasznie nam się tu podoba. Dzięki, że załatwiłaś nam wszystko z naszej listy. - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - Moja córcia lubi mieć do dyspozycji swoje ulubione rzeczy, wiesz, jak to jest. - Była przystojną kobietą po czterdziestce, kiedyś może nawet piękną, ale najlepsze dni już minęły. Włosy miała ufarbowane na jaskraworudy kolor, wyjątkowo agresywny, szczególnie w zestawieniu z bladozłotymi włosami Melanie. Z wiekiem mocno zaokrągliła się w biodrach. „Córcia” wciąż milczała. Nie miała szans przebić się przez trajkot matki.

- Cześć - odezwała się w końcu cichym głosem, podając dłoń. Nie wyglądała na gwiazdę, była po prostu ładną nastolatką. Matka gadała bez przerwy, nie dając nikomu dojść do słowa. W pewnej chwili chłopak Melanie wstał z kanapy i oznajmił, że idzie na siłownię. Do apartamentu weszła

hotelowa pokojówka, by zabrać do wyprasowania kostium artystki - skąpy fatalaszek, składający się głównie z cekinów i siatki. Ogólne zamieszanie trochę peszyło Sarę.

- Nie chcę wam przeszkadzać. Rozgośćcie się spokojnie - powiedziała, zwracając się do Melanie. - Czy próba o drugiej jest aktualna?

Piosenkarka spojrzała na swoją asystentkę.

- Chłopaki z zespołu mówią, że będą gotowi piętnaście po drugiej. Melanie może zacząć od trzeciej. Wystarczy nam godzina, trzeba tylko sprawdzić ustawienie dźwięku.

- Świetnie - odparła Sara. - Będę na was czekać w sali balowej. Dopilnuję, żebyście mieli wszystko, czego wam potrzeba. - Ona sama była umówiona na czwartą u fryzjera i manikiurzystki. Do hotelu musiała wrócić najpóźniej na szóstą, by zdążyć się przebrać, skontrolować wszystko jeszcze raz, i o siódmej zacząć witać gości w sali balowej. - Fortepian już od wczoraj jest na miejscu, a dziś rano był stroiciel - dodała. Przyjaciółka artystki siedząca na podłodze wśród walizek pisnęła radośnie. Sara słyszała, że ktoś nazwał dziewczynę Ashley; wyglądała równie dziecinnie jak Melanie.

- Znalazłam! Mogę to dzisiaj włożyć? - Pokazała seksowną sukienkę w lamparcie cętki. Melanie kiwnęła głową. Ashley znów zachichotała, wygrzebując z walizy pasujące do sukienki dodatki; buty na platformie miały chyba ze dwadzieścia centymetrów. Czmychnęła z pokoju, by przymierzyć kreację, a Melanie uśmiechnęła się nieco zażenowana.

- Ashley i ja chodziłyśmy razem do szkoły od piątego roku życia - wyjaśniła. - Jest moją najlepszą przyjaciółką. Jeździ ze mną wszędzie. - Najwidoczniej Ashley stała się częścią ekipy. Sara pomyślała, nie bez zdziwienia, że ci wszyscy ludzie żyli niemal jak trupa cyrkowa, w pokojach hotelowych i za kulisami scen. Dwie nastolatki w ciągu kilku

minut nadały eleganckiemu apartamentowi atmosferę studenckiego akademika.

Gdy Jake wyszedł, w pokoju zostały same kobiety. Fryzjerka przymierzyła do jasnych włosów Melanie gęstą, długą treskę. Pasowała idealnie.

- Dzięki, że dla nas wystąpisz - powiedziała Sara z uśmiechem. - Widziałam cię na rozdaniu Grammy, byłaś wspaniała. Zaśpiewasz dziś Nie opuszczaj mnie!

- Owszem, zaśpiewa - pośpieszyła z odpowiedzią matka, podając córce butelkę wody Calistoga, i stanęła między nimi. Jakby piękna, jasnowłosa gwiazda w ogóle nie istniała. Melanie, wycofując się z rozmowy, usiadła na kanapie, wzięła pilota, napiła się wody z butelki i włączyła MTV. - Uwielbiamy tę piosenkę - dodała Janet z szerokim uśmiechem.

- Ja też - przyznała Sara, zdumiona zachowaniem Janet. Zaborcza kobieta wydawała się przekonana, że ma taki sam udział w sukcesie córki, jak ona sama. Na Melanie nie robiło to żadnego wrażenia, najwyraźniej przywykła.

Kilka minut później do pokoju weszła Ashley, stąpając niepewnie na wysokich, cętkowanych platformach, wystrojona w pożyczoną, odrobinę za dużą sukienkę. Klapnęła na kanapę obok przyjaciółki i obie gapiły się w ekran.

Nie sposób było stwierdzić, jaka właściwie jest Melanie. Zupełnie jakby nie miała własnej osobowości, własnego głosu - z wyjątkiem chwil, kiedy śpiewała.

Matka tokowała nieprzerwanie i Sara nie bez trudu wyrwała się z apartamentu, mogąc wreszcie swobodnie odetchnąć. Gdy wychodziła, Melanie i Ashley nawet nie oderwały oczu od telewizora.

- Zobaczymy się na dole. Pójdę sprawdzić, czy wszystko gotowe do waszej próby - powiedziała do Janet. Szybko obliczyła, że jeśli zostanie z nimi na próbie dwadzieścia minut, zdąży do fryzjera.

- Więc do zobaczenia - odparła Janet z promiennym uśmiechem.

Gdy Sara dotarła do swojego pokoju, usiadła na kilka minut, by odsłuchać wiadomości z poczty głosowej. Jej telefon zawibrował dwa razy, gdy była w apartamencie Melanie, ale nie odbierała przez grzeczność. Pierwsza wiadomość pochodziła od florystki; bukiety do wielkich wazonów przed salą balową zostaną dostarczone około czwartej; druga od kierownika orkiestry tanecznej, z potwierdzeniem, że będą gotowi o ósmej. Sara zadzwoniła jeszcze do domu, by sprawdzić, co u dzieci. Niania, Parmani, uspokoiła ją, że wszystko w porządku. Była uroczą Nepalką, która pracowała u nich od narodzin Molly. Sara nie chciała zatrudnić opiekunki na stałe, bo sama uwielbiała się zajmować dziećmi, więc Parmani była nianią dochodzącą i zostawała na wieczór, gdy Sara i Seth wychodzili. Rzadko się zdarzało, żeby u nich nocowała, ale dziś zgodziła się z radością. Cieszyła się, że może pomóc. Wiedziała, jak ważny dla Sary jest ten bal, i jak ciężko pracowała przy jego organizacji. Nim się rozłączyły, życzyła jej szczęścia. Sara chętnie porozmawiałaby z Molly, ale mała nie obudziła się jeszcze z popołudniowej drzemki.

Po rozmowie z nianią Sara ledwie zdążyła zerknąć w notatki i uczesać włosy, które wyglądały koszmarnie, a już musiała pędzić do sali balowej. Wcześniej została uprzedzona, że piosenkarka nie życzy sobie żadnej publiczności przy próbie. Nie wiadomo, czy tak zdecydowała gwiazda, czy raczej Janet. Melanie zachowywała się, jakby nic jej nie obchodziło. Zdawała się nie zauważać, co się dzieje dookoła, kto wchodzi, kto wychodzi, co robi. Może podczas występu reagowała inaczej. Aż trudno uwierzyć, że to potulne dziecko jest obdarzone tak nieprawdopodobnym głosem. Jak wszyscy,

którzy kupili bilety, Sara nie mogła się doczekać wieczornego występu.

Gdy weszła do sali, zespół był już na miejscu. Muzycy rozmawiali, śmiejąc się, podczas gdy ekipa techniczna ustawiała sprzęt. Zespół składał się aż z ośmiu osób - przecież ta ładna blondyneczka, która oglądała MTV w apartamencie na górze, należała do grona największych gwiazd światowej sceny muzycznej. Sara wciąż musiała sobie o tym przypominać. Dziewczyna nie miała w sobie ani krzty pretensjonalności czy arogancji. Jej pozycję zdradzała tylko liczba osób tworzących ekipę. Nie była rozkapryszona w przeciwieństwie do większości gwiazd. Piosenkarka, którą zaprosili na bal Małych Aniołków w zeszłym roku, urządziła gigantyczną awanturę z powodu drobnego problemu z nagłośnieniem, rzuciła butelką wody w swojego menedżera i zagroziła, że nie zaśpiewa. Sprawa została załatwiona, ale Sarę ogarnęła panika na myśl, że gwiazda odwoła występ w ostatniej chwili. Nieuciążliwy sposób bycia Melanie okazał się miłą niespodzianką, mimo wszelkich wymagań stawianych przez matkę w jej imieniu.

Sara odczekała jeszcze dziesięć minut, aż technicy skończą ustawiać sprzęt. Nie miała odwagi zapytać, kiedy przyjdzie Melanie. Dyskretnie wybadła członków zespołu, czy wszystko jest w porządku, a gdy zapewnili ją, że tak, usiadła przy stole, by zejść im z drogi. Melanie chyba zaraz dołączy. Dziewczyna zjawiała się dopiero za dziesięć czwarta; Sara wiedziała już, że się spóźni do fryzjera, a potem będzie wracać pędem, by zdążyć się przebrać. Przecież nie mogła pójść na bal uczesana w koński ogon, bez makijażu, w bluzie, dżinsach i klapkach. Ale najpierw musiała dopełnić obowiązków, między innymi zmiatać pyłki spod nóg gwiazdy i być do jej dyspozycji.

Melanie miała na sobie japonki, kusą koszulkę i obcięte džinsy, włosy spięła klamerką w kształcie banana. Obok niej szła Ashley; przodem maszerowała matka, a menedżerka i asystentka zamykały niewielki pochód, którego strzegło dwóch groźnie wyglądających ochroniarzy. Jake pewnie nie wrócił jeszcze z siłowni. Melanie była najbardziej niepozorną osobą w całym tym towarzystwie, niemal niewidoczną. Perkusista podał jej colę. Otworzyła butelkę, wypła łyk, wskoczyła na scenę i rozejrzała się po sali. W porównaniu z ogromnymi scenami i halami, do których przywykła, pomieszczenie mogło się wydawać maleńkie. W przytulnej sali balowej panowała miła atmosfera, którą dodatkowo podkreślała aranżacja Sary. Teraz jasno oświetlona wyglądała pięknie, ale wieczorem, z przygaszonymi światłami i świecami, miała wyglądać czarodziejsko. Melanie rozglądała się przez chwilę, mrużąc oczy, aż w końcu krzyknęła do techników:

- Zgasić światła!

Ożywała. Stawała się inną osobą.

- Czy wszystko jest w porządku? - zapytała Sara, podchodząc pod scenę. Znow miała wrażenie, że rozmawia z dzieckiem. Ale przecież Melanie to wciąż nastolatka, która zrobiła oszałamiającą karierę.

- Sala wygląda wspaniale. Naprawdę nieźle ci to wyszło - powiedziała ciepło, a Sara poczuła się wzruszona.

Muzycy zaczęli stroić instrumenty. Melanie odwróciła się do nich, natychmiast zapominając o swojej rozmówczyni. Najszczęśliwsza czuła się na scenie, w sali wypełnionej do ostatniego miejsca. To był jej świat.

- Jak tam, chłopaki? - zawołała pewnym głosem. Gdy odpowiedzieli, że wszystko okej i że mogą zaczynać, powiedziała, co chciałyby przećwiczyć najpierw. Porządek



piosenek na koncercie został ustalony już wcześniej; znalazł się też wśród nich aktualny największy hit.

Sara uznała, że nie jest tu już potrzebna i może wyjść. Było pięć po czwartej. Wiedziała, że spóźni się pół godziny do fryzjera i że będzie miała szczęście, jeśli uda jej się zrobić manikiur. Ledwie wyszła za drzwi, dopadła ją jedna z członkiń komitetu, której towarzyszył kierownik cateringu. Mieli problem, bo nie dostarczono ostryg, a te z zapasu nie były dość świeże, Sara musiała więc zdecydować, co w zamian. Powiedziała kobiecie, by sama coś wybrała, byle tylko nie jakieś frykasy, które zrujną im budżet, po czym popędziła do windy, przebiegła przez foyer i poprosiła parkingowego o podstawienie samochodu. Na szczęście auto zaparkowane było niedaleko; sowity napiwek, jaki wręczyła rano chłopakowi, okazał się dobrą inwestycją. Wyjechała z piskiem opon na California Street, skręciła w lewo i ruszyła w stronę Nob Hill. Piętnaście minut później wpadła zadyszana do salonu fryzjerskiego, przepaszając za spóźnienie. Musi stąd wyjść najpóźniej o szóstej. Umawiając się miała nadzieję, że za piętnaście szóstka będzie już jechać z powrotem, ale teraz to mało możliwe. Dziewczyny w salonie wiedziały, że Sara prowadzi dziś wieczór wielki bal, więc natychmiast się nią zajęły. Podano jej wodę, a po chwili także herbatę.

- To jaka jest naprawdę ta Melanie Free? - zagadnęła fryzjerka w nadziei na jakieś pikantne plotki, susząc jej włosy.  
- Jaka jest z nią?

- Nic się nie zmieniło - odparła dyskretnie Sara. - A Melanie to naprawdę urocza dziewczyna. Wieczorem na pewno będzie wspaniała. - Zamknęła oczy, starając się odprężyć. Czekał ją bardzo długi, i, jak miała nadzieję, bardzo udany wieczór.

Sara siedziała w salonie, patrząc, jak fryzjerka układa jej włosy w elegancki francuski kok i wpina w nie kryształowe

gwiazdki, gdy Everett Carson meldował się w hotelu. Pochodził z Montany i wciąż bardzo przypominał kowboja, którym był w młodości. Dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna - ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu - miał odrobinę za długie, potargane włosy. Nosił dzinsy, białą koszulkę i buty, które nazywał swoimi szczęśliwymi kowbojkami: stare, zdarte, wygodne, uszyte z czarnej krokodylej skóry. Cenił je sobie ponad wszystko i zamierzał nawet włożyć te buty do smokingu wypożyczonego na dzisiejszy wieczór.

Gdy pokazał w holu swoją legitymację prasową, recepcjonistka powiedziała z uśmiechem, że się go spodziewali. Ritz - Carlton przewyższał standardem hotele, w których zwykle pomieszkiwał Everett. Dziś przyjechał tu, by zrelacjonować bal dla pisma „Scoop”, hollywoodzkiego brukowca. Właśnie rozpoczął w nim pracę. Do tej pory przez wiele lat jeździł do miejsc ogarniętych wojną jako korespondent Associated Press. Po rozstaniu z agencją i rocznym urlopie potrzebował roboty, więc wziął, co się nadarzyło. Przez pierwsze trzy tygodnie zdążył obskoczyć trzy koncerty rockowe, jedno hollywoodzkie wesele i jeden bal charytatywny. Ten był drugi. I coraz lepiej rozumiał, że to nie jego bajka. W smokingu czuł się jak kelner. Naprawdę tęsknił za spartańskimi warunkami, do jakich przywykł podczas swoich dwudziestu dziewięciu lat pracy dla Associated Press. Niedawno obchodził czterdzieste ósme urodziny.

Powinien być wdzięczny za ten mały, ładnie urządzone pokój. Rzucił na podłogę sfatygowaną torbę - zjeździł z nią cały świat. Może gdyby zamknął oczy, mógłby udawać, że znów jest w Sajgonie, Islamabadzie czy New Delhi... W Afganistanie, Libanie albo Bośni targanej wojną. Wciąż zadawał sobie pytanie, dlaczego taki facet jak on zajmuje się

relacjonowaniem imprez dobroczynnych i ślubów gwiazd. Los go pokarał wyjątkowo okrutnie.

Podziękował recepcjonistce, która odprowadziła go do pokoju. Na biurku leżała broszurka o oddziale noworodkowym i identyfikator prasowy, dający mu wstęp na bal Małych Aniołków. I szpital, i bal obchodziły go tyle co zeszłoroczny śnieg. Ale zamierzał wykonać swoją pracę rzetelnie. Miał zrobić zdjęcia sławnym osobom i zdać relację z koncertu Melanie Free. Naczelnny powiedział, że to dla nich duża sprawa, więc niech im będzie.

Z lodówki w minibarku wyjął butelkę lemoniady, otworzył ją i pociągnął łyk. Pokój miał widok na budynek po drugiej stronie ulicy, wewnątrz było nieskazitelnie czyste i tak cholernie eleganckie. Everett tęsknił za odgłosami i zapachami zapluskwionych hotelików, w których sypiał przez trzydzieści lat, za smrodem biedy w bocznych uliczkach New Delhi, za wszystkimi tymi egzotycznymi miejscami, po których kiedyś się tułał.

- Wyluzuj, Ev - powiedział głośno do siebie. Włączył CNN, usiadł w nogach łóżka i wyjął z kieszeni kartkę. Wydrukował ją z Internetu, zanim wyszedł z biura w Los Angeles. Miał dziś szczęście. Jeden z mityngów odbywał się ledwie przecnicę dalej, w kościele Świętej Marii przy California Street. Zaczynał się o szóstej i trwał godzinę. A więc będzie musiał pójść tam w smokingu, chcąc zdążyć na rozpoczęcie balu o siódmej. Wolał się nie narażać naczelnemu. Było za wcześnie na takie olewactwo. Co prawda zawsze to robił, i jakoś mu się udawało, ale wtedy pił. Teraz zaczynał życie na nowo. Zgrywał grzecznego chłopca, sumiennego i uczciwego. Czuł się, jakby wrócił do przedszkola. Po zdjęciach umierających żołnierzy w okopach, po kulach gwizdzących koło uszu, taki bal charytatywny w San Francisco to nuda, choć niejeden reporter pewnie byłby

zachwycony. Niestety, nie Everett. Z westchnieniem dopił lemoniadę, cisnął butelkę do kosza, zrzucił ciuchy i poszedł pod prysznic.

Woda przyjemnie chłodziła skórę. W Los Angeles było gorąco, tu też dość ciepło, a na dodatek parno. Na szczęście w pokoju działała klimatyzacja. Po prysznicu poczuł się lepiej, i ubierając się powiedział sobie, że dość już narzekania. Postanowił jak najlepiej wykorzystać sytuację, więc się poczęstował czekoladkami zostawionymi na nocnej szafce, zjadł też ciastko z minibarku. Spoglądając w lustro przypiął muszkę i włożył marynarkę wypożyczonego smokingu.

Boże święty, wyglądam jak dyrygent... albo dżentelmen. - Roześmiał się. Nie przesadzajmy, jak kelner.

Był cholernie dobrym fotografikiem, który kiedyś dostał Pulitzera. Kilka jego zdjęć trafiło na okładki „Time'a”. Miał nazwisko w branży i omal nie spałał tego wszystkiego przez picie, ale przynajmniej to się zmieniło. Spędził sześć miesięcy na odwyku, potem kolejne pięć w ashramie, próbując wymyślić inny sposób na życie. I chyba wymyślił. Pożegnał się z wodą na zawsze. Nie widział innego wyjścia. Nim sięgnął dna, omal się nie przekręcił w jakimś zawszonym hotelu w Bangkoku. Dziwka, z którą był tego wieczoru, uratowała mu życie, pogotowie przyjechało szybko. Kiedy wrócił do Stanów, wylali go z Associated Press - nie dawał znaku życia przez prawie trzy tygodnie i zawałił wszystkie terminy, chyba po raz setny tego roku. W przebłysku rozsądku zgłosił się na odwyk wbrew samemu sobie. Zgodził się tylko na trzydzieści dni. Dopiero tam zrozumiał, jak fatalnie wyglądały jego sprawy. Miał do wyboru: wytrzeźwieć albo zdychać. Został więc sześć miesięcy i postanowił jednak wytrzeźwieć, zamiast zdechnąć następnym razem, gdy wpadnie w ciąg.

Od tamtej pory przytył, nabrał zdrowego wyglądu i codziennie chodził na mityngi - czasem nawet aż trzy w ciągu dnia. Teraz już nie były tak niezbędne jak na początku, ale uważał, że nawet jeśli spotkania nie zawsze mu pomagały, to jego obecność na nich służyła dobrze komuś innemu. Miał sponsora, sam był czyimś sponsorem, i nie pił od ponad roku. Teraz wetknął do kieszeni smokingu metalowy znaczek roku w trzeźwości, włożył swoje szczęśliwe kowbojki, ale zapomniał uczesać włosy. Wyszedł z pokoju trzy minuty po szóstej, z torbą, w której miał aparat, przewieszoną przez ramię i z uśmiechem na twarzy. Czuł się już dużo lepiej. Codzienne życie wciąż nie było proste, jednak, mimo wszystko, o niebo lepsze niż przed rokiem. Jak to powiedział ktoś z AA? „Wciąż mam złe dni, ale przedtem miewałem złe lata”. Gdy opuścił hotel, skręcił w prawo na California Street i ruszył w stronę kościoła Świętej Marii. Cieszył się na ten mityng. Miał dobry nastrój. Dotknął w kieszeni okrągłego znaczka i od razu przypomniał sobie, jak wiele osiągnął przez te dwanaście miesięcy.

- Tak trzymaj... - szepnął do siebie. Wszedł na dziedziniec parafialny, rozglądając się za grupą. Było dokładnie osiem po szóstej. A on wiedział - zawsze czuł to wcześniej - że podzieli się dziś swoją radością z innymi.

Gdy Everett wchodził do kościoła Świętej Marii, Sara właśnie wyskoczyła z samochodu i wbiegała do hotelu. Miała trzy kwadransy na ubranie się i pięć minut na zejście do sali balowej. Uszkodziła sobie dwa tipsy, sięgając do torebki po napiwek, gdy lakier jeszcze nie wysechł, ale wyglądały dobrze. Fryzura też nie budziła zastrzeżeń. Kiedy biegła przez foyer, odzwrotny uśmiechnął się do niej i krzyknął:

- Powodzenia!

- Dzięki! - odkrzyknęła i pomachała. W windzie wcisnęła guzik piętra klubowego i trzy minuty później szykowała już

sobie kąpiel. Wyjęła suknię z plastikowego, zasuwanego worka. Srebrnobiała, połyskująca kreacja doskonale podkreślała jej figurę. Do kompletu Sara kupiła srebrne sandały na obcasach od Manolo Blahnika; wiedziała, że chodzenie w nich będzie torturą, ale razem z sukienką wyglądały bajecznie.

Wykąpała się w pięć minut, usiadła przed lustrem, by zrobić makijaż, i przypinała właśnie brylantowe klipsy, gdy, za dwadzieścia siódma, do pokoju wszedł Seth. Dziś był czwartek. Mąż błagał ją, by urządziła bal w weekend, żeby następnego dnia nie musiał wstawać o świcie i pędzić do pracy, ale tylko taki termin odpowiadał dyrektorowi hotelu i Melanie, więc zmiana nie wchodziła w grę.

Seth wyglądał na zestresowanego - jak zawsze, kiedy wracał z biura. Za swój sukces płacił ciężką, wyczerpującą psychicznie pracą. Ale Sara zauważyła, że dziś jest wyjątkowo zgnębiony. Usiadł na brzegu wanny, przeczesał włosy palcami i pochylił się, by pocałować żonę.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego - powiedziała ze współczuciem. Zawsze wyczuwała jego nastroje. Dobrali się idealnie. Znaleźli porozumienie od pierwszego dnia, gdy się poznali. Cieszyli się szczęściem rodzinnym i mieli bzika na punkcie dzieci. Seth zadbał o to, by życie Sary było usłane różami. A ona uwielbiała każdą chwilę spędzoną z nim, a przede wszystkim uwielbiała jego.

- Jestem skonany - przyznał. - Jak tam bal? Wszystko idzie dobrze? - Lubił słuchać o wszystkim, co robiła i kibicował jej poczynaniom. Mawiał czasem, że siedząc w domu Sara marnuje wspaniały biznesowy umysł i dyplom magisterski, ale był wdzięczny, że jest tak oddana rodzinie.

- Fantastycznie! - Sara uśmiechnęła się promiennie i włożyła maleńkie koronkowe stringi; specjalnie wybrała przezroczyste, żeby nie odznaczały się pod sukienką. Miała

odpowiednią figurę do takiej bielizny i wyglądała bardzo seksownie. Seth nie mógł się oprzeć. Wyciągnął rękę i pogłaskał żonę po udzie.

- Nie zaczynaj, skarbie - ostrzegła go - bo się przez ciebie spóźnię. Ty możesz trochę odpocząć. Wystarczy, jeśli zejdiesz na kolację. Wpół do ósmej. Dasz radę? - Seth spojrzął na zegarek i kiwnął głową. Była za dziesięć siódma. Sarze zostało pięć minut na ubranie się.

- Będę na dole za pół godziny. Mam jeszcze do załatwienia parę telefonów. - Jak zwykle. Prowadząc fundusz inwestycyjny był zajęty dzień i noc, co wcale Sary nie dziwiło. Przypominało jej to dni wprowadzania do obrotu akcji nowej spółki, w czasach, kiedy sama pracowała na Wall Street. Życie Seta cały czas tak wyglądało, ale miał szczęście w interesach i odnosił sukcesy, dzięki czemu pławili się w luksusie. Młodzi i bajecznie bogaci; tak majątne pary były zwykle dwa razy starsze. Sara nie zapominała, że te pieniądze nie spadły z nieba.

Odwróciła się, by mąż zapiął jej sukienkę. Seth patrzył na nią z podziwem. Wyglądała wspaniale.

- Rany! Zwalasz mnie z nóg, mała!

- Dziękuję. - Pocałowali się czule. Schowała kilka drobiazgów do maleńkiej, srebrnej torebki, włożyła eleganckie nowe buty. Seth rozmawiał już przez telefon, wydając dyspozycje na jutro. Nie chciało jej się nawet słuchać, o czym mówi. Postawiła obok niego buteleczkę szkockiej i szklankę z lodem. Gdy wychodząc z pokoju pomachała mu od drzwi, nalewał sobie whisky, dziękując żonie uśmiechem.

Sara wsiadła do windy i zjechała do sali balowej, trzy poziomy poniżej głównego holu. Wszystko wyglądało perfekcyjnie. W foyer sali ładne hostessy w szmaragdowych, rubinowych i bursztynowych sukienkach siedziały przy długich stołach, czekając na gości; sprawdzały zaproszenia i

wręczały karty z numerami stołów i miejsc. Modelki, które krążyły po sali, miały długie czarne suknie i drogocenną biżuterię od Tiffany'ego. Nieliczni goście zjawili się przed czasem. Sara rozejrzała się jeszcze raz, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. W tej samej chwili do foyer wszedł wysoki mężczyzna z rozczochranymi, piaskowosiwymi włosami i z torbą przewieszoną przez ramię. Uśmiechnął się, z podziwem obrzucając wzrokiem jej figurę. Kiedy powiedział, że jest z magazynu „Scoop”, Sara ucieszyła się. Im więcej dziennikarzy zjawi się dzisiaj, tym większe będzie zainteresowanie balem w przyszłym roku - a zainteresowanie przekładało się na pieniądze. Media były ogromnie ważne.

- Jestem Everett Carson - przedstawił się mężczyzna i przypiął dziennikarski identyfikator do kieszeni smokingu. Wyglądał na zrelaksowanego i wyluzowanego.

- Sara Sloane, przewodnicząca komitetu organizacyjnego. Życzy pan sobie drinka? - zaproponowała, ale on pokręcił głową. Odkąd nie pił, uderzało go, że ludzie zawsze tak mówili witając się z kimś. Propozycja drinka padała czasem wręcz w tym samym zdaniu, co „dzień dobry”.

- Nie, dziękuję. Czy mam mieć oko na kogoś szczególnego? Miejscowe sławy, osoby z towarzystwa?

Sara powiedziała mu, że na balu będą Gettysowie, Sean i Robin Wright Penn, Robin i Marsha Williamsowie. Wymieniła też kilka nazwisk, które nic mu nie mówiły, ale obiecała, że wskaże właściwe osoby.

Wróciła do długich stołów, by witać gości wysiadających z wind, a Everett Carson zaczął fotografować modelki. Dwie z nich wyglądały zjawiskowo; miały jędrne, krągłe piersi, zapewne sztuczne, i interesujące dekolty, na których pyszniły się brylantowe naszyjniki. Pozostałe były za chude jak na jego gust. Po chwili wrócił i zrobił zdjęcie Sarze. Podobała mu się ta młoda kobieta o niebanalnej urodzie; ciemnokasztanowe



włosy miała upięte do góry i ozdobione migotliwymi gwiazdkami, a w jej wielkich zielonych oczach błyszczały wesołe iskiereki.

- Dziękuję - powiedziała uprzejmie, a on się uśmiechnął ciepło. Sara się zastanawiała, dlaczego nie uczesał włosów. Roztargnienie, czy może taki styl? Zauważyła zniszczone kowbojki z czarnej krokodylej skóry. Ciekawy człowiek, z pewnością miałby niejedno do opowiedzenia. Żałowała, że nie będzie miała okazji poznać bliżej dziennikarza, który przyjechał z Los Angeles na jeden wieczór.

- Powodzenia - rzucił Everett i poszedł sobie, w chwili, kiedy z wind wysypało się chyba ze trzydzieści osób naraz. Dla Sary bal Małych Aniołków zaczął się na dobre.

## Rozdział 2

Wejście do sali i odszukanie miejsc przy stolikach zajęło gościom więcej czasu, niż przewidziała Sara. Konferansjer, znany hollywoodzki aktor, który wiele lat prowadził nocny talk - show w telewizji i niedawno przeszedł na emeryturę, był wspaniały. Zapraszał do zajmowania miejsc, przedstawiał w miarę jak się pojawiały znane osobistości, które przyjechały z Los Angeles na dzisiejszy wieczór, nie zapominając oczywiście o burmistrzu i lokalnych personach. Poza drobnym poślizgiem w czasie wszystko szło zgodnie z planem.

Sara ograniczyła przemówienia i podziękowania do minimum. Po krótkim wystąpieniu ordynatora oddziału położniczego, wyświetlono film o „cudach”, jakich tam dokonano. Po projekcji opowiedziała o własnych doświadczeniach z Molly, a potem od razu zaczęła się aukcja. Licytacja była ostra. Brylantowy naszyjnik od Tiffany'ego poszedł za sto tysięcy dolarów. Zaproszenia na imprezy z gwiazdami sprzedawały się za nieprawdopodobne kwoty. Miniaturowy yorkshire terier, uroczy szczeniak, kosztował nowego właściciela dziesięć tysięcy. A range rover sto dziesięć. Seth zaliczył za nisko i w końcu opuścił numerki, poddając się. Sara szepnęła mu, że nic nie szkodzi, bo wystarcza jej samochód, którym jeździ. Uśmiechnął się do niej smutnie. Był rozkojarzony, ciągle jeszcze nie mógł się odprężyć po ciężkim dniu w pracy.

Kilka razy mignął jej w tłumie Everett Carson. Podała mu numery stolików ważniejszych osób z towarzystwa. Nie tylko jemu zresztą; zjawili się fotoreporterzy z „W”, „Town and Country”, „Entertainment Weekly” i „Entertainment Tonight”. Operatorzy kamer telewizyjnych czekali na występ Melanie. Choć bal się nie skończył, już okazał się wielkim sukcesem. Dzięki jednemu z akcjonariuszy, który licytował wyjątkowo agresywnie, aukcja przyniosła ponad czterysta tysięcy.

Sprzedano wszystko, nawet dwa kosmicznie drogie obrazy z miejscowej galerii sztuki, a także atrakcyjne rejsy i wycieczki. Łącznie z zyskami ze sprzedaży miejscówek zebrana kwota przeszła wszelkie oczekiwania, a przecież po zeszłorocznym balu jeszcze przez wiele dni napływały czeki z darowiznami.

Sara, krążąc między stołami, dziękowała gościom za przybycie, witała się ze znajomymi. Kilka stolików z tyłu sali przeznaczono dla organizacji dobroczynnych - lokalnego oddziału Czerwonego Krzyża i fundacji na rzecz zapobiegania samobójstwom - a jeden ze stołów, wykupiony przez Stowarzyszenie Katolickich Organizacji Charytatywnych współpracujące z oddziałem położniczy, obsiedli duchowni i zakonnice. Dostrzegła księży w koloratkach i kilka kobiet w prostych, czarnych lub granatowych kostiumach. Tylko jedna z sióstr nosiła habit - drobniutka kobieta przypominająca skrzata o rudych włosach i świetlistych, niebieskich oczach. Sara rozpoznała ją natychmiast. Siostra Mary Magdalen Kent, miejscowa wersja Matki Teresy. Zajmowała się bezdomnymi i pozostawała w sporze z władzami miasta, które, według niej, za mało robiły dla najbiedniejszych. Sara bardzo chciała z nią porozmawiać, ale nie miała na to czasu. Przemknęła obok stołu, posyłając uśmiech księżom i siostram. Ci zaś gawędzili swobodnie, śmiali się, pili wino - Sara nie kryła radości, widząc, że tak dobrze się bawią.

- Nie sądziłem, że cię tu zobaczę, Maggie - powiedział z uśmiechem ksiądz prowadzący darmową jadłodajnię dla najuboższych. Znał ją doskonale. Siostra Mary Magdalen była prawdziwą lwicą, kiedy przychodziło jej bronić podopiecznych, ale skromną myszką, jeśli chodziło o kontakty towarzyskie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej widział ją na imprezie charytatywnej. Inne siostry zakonne siedzące przy stole - w tym dyrektorka szkoły pielęgniarskiej przy Uniwersytecie San Francisco, ubrana w szykowny, granatowy

kostium, ze złotym krzyżykiem w klapie i z krótko ostrzyżonymi włosami - prezentowały modny styl klasycznej elegancji. Czuły się całkiem swobodnie. Siostra Mary Magdalen, czy też Maggie, jak nazwał ją przyjaciel, wyglądała na speszoną, niemal zawstydzoną faktem, że tu się znalazła. W kornecie, który przekrzywił się trochę na jej krótkich, ogniecie rudych włosach, przypominała elfa przebranego za zakonnice.

- Niewiele brakowało, a nie zobaczyłbyś mnie - odpowiedziała półgłosem ojcu O'Caseyowi. - Kuratorka, z którą współpracuję, dała mi zaproszenie. Nie pytaj, czemu akurat mnie. Musiała dziś iść na różaniec. Wolałabym, żeby oddała bilet komuś innemu, ale zgodziłam się, bo nie chciałam wyjść na niewdzięczną. - Tłumaczyła się zażenowana, jakby przepraszając, że w ogóle tu jest, a nie z bezdomnymi na ulicy. Tego rodzaju imprezy z pewnością nie były w jej stylu.

- Dajże sobie spokój, Maggie. Wiem, że pracujesz ciężko i ofiarnie - odparł wielkodusznie ojciec O'Casey. Znał siostrę Mary Magdalen od lat i podziwiał ją za radykalne przekonania i bezkompromisową postawę. - Ale przyznaję, że zaskoczyłaś mnie tyra habitem. - Pokręcił głową i nalał siostrze kieliszek wina, którego nie tknęła. Nawet zanim wstąpiła do zakonu mając dwadzieścia jeden lat, nigdy nie paliła ani nie piła.

Roześmiała się na jego uwagę dotyczącą ubrania.

- Habit to moja jedyna sukienka. Na co dzień chodzę w dżinsach i bluzach. Do tego, co robię, nie potrzebuję eleganckich strojów. - Spojrzała na swoje towarzyszki, które wyglądem przypominały bardziej zadbane gospodynie domowe czy nauczycielki niż zakonnice, jeśli nie liczyć złotych krzyżyków w klapach.

- Dobrze ci zrobi takie wyjście raz na jakiś czas - stwierdził ojciec O'Casey. Zaczęli rozmawiać o polityce kościoła, o kontrowersyjnym stanowisku biskupa w sprawie

wyświęcania młodych księży i o ostatnim oświadczeniu Watykanu. Maggie szczególnie interesował projekt nowego prawa miejskiego, oceniany aktualnie przez ekspertów, którego zapisy w znacznym stopniu dotyczyły jej podopiecznych. Uważała, że proponowane zmiany są krzywdzące dla bezdomnych. Była błyskotliwą dyskusantką i po kilku minutach dwóch księży i jedna z zakonnice przyłączyli się do rozmowy. Ciekawiło ich, co Maggie ma do powiedzenia, bo o tej ustawie wiedziała więcej, niż oni.

- Maggie, jesteś zbyt surowa - powiedziała siostra Dominica, dyrektorka szkoły pielęgniarskiej. - Nie da się rozwiązać problemów wszystkich ludzi jednocześnie.

- Ja staram się je rozwiązywać jeden po drugim - odparła skromnie Mary Magdalen. Miała wiele wspólnego ze swoją przedmówczynią; przed wstąpieniem do zakonu zrobiła dyplom pielęgniarski. Zdobyte umiejętności okazały się bardzo użyteczne w jej pracy.

Kiedy nagle zgasły światła, przerwano ożywioną dyskusję. Aukcja się skończyła, podano deser i Melanie miała lada moment wyjść na scenę. Konferansjer właśnie ją zapowiedział; gwar rozmów ucichł, goście niecierpliwie czekali na występ.

- Kto to jest ta Melanie? - zapytała siostra Mary Magdalen.

- Najbardziej uwielbiana młoda piosenkarka na świecie. Właśnie dostała Grammy - szepnął ojciec Joe. Siostra Maggie pokiwała głową. Impreza na tak wysokim poziomie nie przypadła jej do gustu. Była zmęczona, wolałaby mieć ten wieczór już za sobą. Zespół zaczął grać sztandarowy przebój, i nagle, w eksplozji dźwięku, światła i koloru, ukazała się na scenie Melanie. Wyglądała jak prześliznięte dziecko. Zaczęła śpiewać.

Siostra Mary Magdalen wbiła w nią wzrok, zafascynowana, tak jak cała reszta gości. Wszyscy byli oczarowani jej urodą i zdumiewającą siłą głosu, który wypełnił całą salę.

- Rany! - szepnął Seth, ściskając dłoń żony. Jeszcze przed chwilą był zgnębiony i rozkojarzony, ale teraz patrzył na żonę z miłością i uwagą. - Jasna cholera! Ona jest fantastyczna!

Sara zauważyła, że Everett Carson kucnął tuż obok sceny i pstrykał zdjęcia Melanie. Oszalamiająco piękna dziewczyna miała na sobie sukienkę, która była raczej iluzją, wyglądała jak połyskliwy brokat na jej skórze. Przed występem Sara zajrzała za kulisy. Matka Melanie zarządzała wszystkim, by gwiazda nie musiała się o nic martwić, a Jake zdażył się upić prawie do nieprzytomności, wlewając w siebie nierozcieńczony gin.

Piosenki Melanie hipnotyzowały publiczność. Przy ostatniej dziewczyna usiadła na brzegu sceny, wyciągając dłoń do słuchaczy, śpiewała wprost do nich, rozdierając im serca. W tej chwili każdy mężczyzna na sali już się w niej zakochał, każda kobieta chciała być nią. Melanie była o niebo piękniejsza niż to ciche dziecko, które Sara widziała w apartamencie. Miała elektryzującą osobowość sceniczną i głos, który na zawsze zapadał w pamięć. Sprawiała, że ten wieczór stał się wyjątkowy dla wszystkich. Sara rozsiadła się wygodniej na krześle, z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Impreza udała się doskonale. Wyśmienite jedzenie, przepiękna sala, tabuny dziennikarzy zapewniały reklamę, aukcja przyniosła fortunę, a koncert Melanie był prawdziwym hitem. A skoro tegoroczny bal odniósł taki sukces, bilety w przyszłym roku rozejdą się jeszcze szybciej, może nawet po wyższej cenie. Sara wiedziała, że spisała się doskonale. Seth powiedział, że jest z niej dumny. Mogła sobie pogratulować.

Dostrzegła, że Everett Carson jeszcze bardziej zbliża się do Melanie i pstryka jak w transie. Z podniecenia i radości zakręciło jej się w głowie, a przynajmniej tak sądziła przez ułamek sekundy. Sala zakołysała się łagodnie. Odruchowo spojrzała w górę i zobaczyła huśtające się żyrandole. Zdziwiła się, ale w tej samej chwili usłyszała niski pomruk, niczym przerażający basowy jęk przenikający powietrze. Wszyscy zamarli na mgnienie - światła przygasły, sala zakołysała się mocniej. Ktoś zerwał się z krzesła i krzyknął:

- Trzęsienie ziemi!

Muzyka umilkła, stoły się przewracały, porcelanowa zastawa z trzaskiem rozbijała się o podłogę, ludzie zaczęli wrzeszczeć. W sali zapanowała kompletna ciemność, basowy, podziemny pomruk przybrał na sile, zagłuszając krzyki, a kołysanie się podłogi przeszło we wstrząsy.

Sara i Seth padli na ziemię. Zdążył wciągnąć ją pod stół, nim wszystko zaczęło się przewracać.

- Boże, Boże! - Ścisnęła męża z całych sił, wtulając się w jego ramiona. Teraz myślała tylko o dzieciach, które zostały w domu z Parmani. Płakała, przerażona na myśl, co się z nimi dzieje; rozpaczliwie pragnęła wrócić do nich, jeśli tylko ona i Seth przeżyją to piekło. Zawrotny taniec podłogi i trzask rozbijanych sprzętów zdawały się nie mieć końca. Upłynęło kilka długich minut, nim wszystko ustało. Rozległo się jeszcze kilka trzasków, zagłuszonych krzykiem ludzi. Ci, którym udało się jakoś pozbierać, przepychali się do drzwi, nad którymi rozświeciły się tabliczki wyjść awaryjnych, gdy rezerwowy generator prądu hotelu częściowo przywrócił zasilanie. Panował kompletny chaos.

- Nie ruszaj się jeszcze przez kilka minut - powiedział Seth. Czują go, ale nie widziała w ciemności. - Stratują cię.

- A jeśli budynek się na nas zawali? - Sara dygotała i wciąż nie przestawała płakać.

- To będziemy mieli przesrane - uciał.

I oni, i wszyscy w sali, doskonale zdawali sobie sprawę, że znajdują się trzy poziomy pod ziemią. Nie mieli pojęcia, jak się wydostać - w jaki sposób, jaką drogą. Nagle pod tabliczkami wyjść awaryjnych pojawili się pracownicy hotelu z wielkimi latarkami. Ktoś nawoływał przez megafon, by zachować spokój, nie wpadać w panikę i ostrożnie przesuwając się w kierunku wyjść. W foyer za drzwiami pojawiło się słabe światło, choć sala balowa wciąż tonęła w ciemności. Było to najbardziej przerażające doświadczenie w życiu Sary. Seth złapał ją za ramię i podciągnął z podłogi. Pięćset sześćdziesiąt osób zaczęło szturmować wyjścia. Ludzie płakali, jęczyli z bólu, wzywano pomocy dla rannych.

Siostra Maggie, która natychmiast wstała z podłogi, zaczęła się przepychać w głąb sali zamiast do wyjścia.

- Co ty robisz? - krzyknął do niej ojciec Joe, myśląc, że straciła orientację. Teraz widział już cokolwiek w słabej poświacie, wpadającej z holu. Ogromne wazony z różami leżały poprzewracane, a zrujnowana sala balowa przedstawiała opłakany widok.

- Spotkamy się na zewnątrz! - odkrzyknęła Maggie i zniknęła w tłumie. Kilka minut później klęczała już obok mężczyzny, który był bliski zawału. Na szczęście miał w kieszeni nitroglicerynę. Sięgnęła bezceremonialnie i odnalazła buteleczkę, wyjęła jedną pigułkę i wetknęła mu do ust. Powiedziała, żeby leżał spokojnie. Była pewna, że pomoc dla rannych już jest w drodze.

Zostawiła go z przerażoną żoną i ruszyła dalej. Żałowała, że nie ma na sobie codziennych, roboczych trzewików zamiast płtych czółenek, które włożyła na tę okazję. Podłoga sali balowej stała się torem z przeszkodami, drogę tarasowały poprzewracane stoły, z których pospadało jedzenie, zastawa, wszędzie wały się potłuczone skorupy, szklane i



porcelanowe odłamki. Wśród tych szczątków leżeli ludzie. Siostra Maggie usiłowała do nich dojść, razem z kilkoma lekarzami. Na balu było ich wielu, ale mało kto został, by pomóc rannym. Zapłakana kobieta ze zranioną ręką krzyczała histerycznie, że zaczyna rodzić. Maggie potraktowała ją ostro, mówiąc, że musi poczekać, dopóki nie wydostanie się z hotelu; to poskutkowało - ciężarna uśmiechnęła się, gdy Maggie pomogła jej wstać, i ruszyła w stronę wyjścia, uwieszona na ramieniu męża. Wszyscy panicznie bali się wstrząsów wtórnych, które mogły się okazać silniejsze niż pierwszy wstrząs. Nikt nie miał wątpliwości, że to trzęsienie ziemi miało przynajmniej siódmy, może nawet ósmy stopień w skali Richtera. Ziemia, osiadająca po wstrząsie, wciąż wydawała groźne pomruki, które bynajmniej nie działały uspokajająco.

Gdy rozpętało się piekło, Everett Carson znajdował się z przodu sali, tuż przy Melanie. Kiedy podłoga zatańczyła jak pijana, dziewczyna zsunęła się ze sceny prosto w jego ramiona. Oboje padli na podłogę. Gdy wstrząsy ustały, Everett pomógł jej wstać.

- Nic ci nie jest? A tak przy okazji, świetny koncert - rzucił lekkim tonem. Gdy personel otworzył drzwi i z holu wpadło trochę światła, zauważył, że kostium Melanie rozdarł się, odsłaniając jedną pierś. Zarzucił jej na ramiona swoją marynarkę od smokingu, by mogła się okryć.

- Dziękuję. - Była oszołomiona. - Co się stało?

- Trzęsienie ziemi, jakieś siedem, osiem stopni, o ile się orientuję.

- Cholera, i co teraz zrobimy? - Głos jej lekko drżał, ale nie panikowała.

- To, co nam każą. Przede wszystkim musimy się stąd wynieść i nie dać się zdeptać. - Przez lata spędzone w południowo - wschodniej Azji Everett widywał już trzęsienia

ziemi, tsunami i różne inne katastrofy, ale nie miał wątpliwości, że te wstrząsy miały dużą siłę. Minęło dokładnie sto lat od ostatniego tak wielkiego trzęsienia ziemi w San Francisco, w 1906.

- Muszę znaleźć mamę - powiedziała Melanie, rozglądając się. Nigdzie nie widziała Janet ani Jake'a, a zresztą w tej ciemności trudno było kogokolwiek rozpoznać. Wszyscy krzyczeli, panował tak potworny zgiełk, że Melanie i Everett ledwie się słyszeli.

- Lepiej poszukaj jej na zewnątrz - radził Everett, gdy szła w stronę rumowiska, które jeszcze przed chwilą było sceną. Jeden bok podwyższenia całkiem się zapadł, sprzęt zespołu zsunął się na jedną stronę. Fortepian wisiał pod nieprawdopodobnym kątem, ale na szczęście nikogo nie przygniótł. - Dobrze się czujesz? - Dziewczyna wciąż nie wyszła z szoku.

- Tak... chyba tak... - Mówiła przytomnie, więc skierował ją do wyjścia i powiedział, że sam zostanie tu jeszcze chwilę. Chciał jakoś pomóc rannym w sali.

Po kilku minutach niemal potknął się o kobietę klęczącą przy człowieku, który twierdził, że ma zawał. Kobieta odeszła do innych potrzebujących, a Everett pomógł wydostać zawałowca na zewnątrz. Razem z jakimś mężczyzną podającym się za lekarza posadzili go na krześle i dźwignęli. Musieli pokonać trzy piętra po schodach. Przed hotelem roilo się od wozów strażackich, karettek i sanitariuszy, którzy opatrywali drobne rany ludziom wychodzącym z budynku. Na wieść o ciężiej rannych, którzy pozostali w środku, ratownicy ruszyli biegiem do hotelu. Wokół nie było widać pożarów, ale linie energetyczne zostały zerwane, ze zwisających kabli strzelały fontanny iskier; strażacy krzyczeli przez megafony, nakazując tłumowi trzymać się jak najdalej od przewodów, ustawiali barierki. Miasto tonęło w ciemnościach. Bardziej

instynktownie niż świadomie Everett sięgnął po aparat zawieszony na szyi i zaczął fotografować to pandemonium, starając się w miarę możliwości nie naruszać prywatności ciężko rannych osób. Wszyscy wokół sprawiali wrażenie półprzytomnych. Zawałowiec odjeżdżał już karetką do szpitala, razem z poszkodowanym, który złamał nogę. Ranni leżeli na ulicy - w większości goście hotelowi, ale obrażeń doznali także przypadkowi przechodnie. Światła na skrzyżowaniach nie działały, powstał gigantyczny korek. Na rogu ulicy tramwaj wyskoczył z szyn, raniąc co najmniej czterdzieści osób; teraz i przy nich uwijali się sanitariusze i strażacy. Jedna kobieta nie żyła; jej ciało przykryto kocem. Sceneria była makabryczna.

Dopiero na dworze Everett zauważył, że ma krew na koszuli i skaleczony policzek. Nie pamiętał, jak to się stało. Rana wyglądała na powierzchowną, więc nie przejął się zbyt. Wziął ręcznik podany przez kogoś z personelu hotelowego i otarł twarz. Przed budynkiem stały dziesiątki pracowników hotelu, którzy rozdawali zszokowanym gościom ręczniki, koce i butelki z wodą. Na ulicy tłoczyło się kilka tysięcy osób. Nikt nie miał pojęcia, co dalej. Ludzie stali bezradnie, gapiąc się na siebie i rozmawiając o tym, co się stało.

Mniej więcej po półgodzinie jeden ze strażaków ogłosił, że ewakuowano już wszystkich z sali balowej. Dopiero w tej chwili Everett zauważył, że Sara Sloane stoi obok niego, uczepiona ramienia męża. Sukienkę miała podartą, poplamioną winem i resztkami deseru.

- Jesteście cali? - zapytał ich. To pytanie w najróżniejszych wariacjach padało raz po raz ze wszystkich ust. Sara nie mogła powstrzymać łez, jej mąż był roztrzęsiony. Jak wszyscy. Ludzie płakali ze strachu i z ulgi, inni zamartwiali się o rodziny pozostawione w domach. Sara

gorączkowo usiłowała połączyć się przez komórkę, ale telefon nie działał. Seth spróbował swojego aparatu. Bez skutku.

- Martwię się o dzieci. - Głos jej się łamał. - Zostały w domu z nianią. Nie wiem nawet, jak się tam dostaniemy. Pewnie będziemy musieli iść pieszo.

Ktoś powiedział, że podziemny parking, na którym stały wszystkie samochody, zawalił się, i że w środku są uwięzieni ludzie. Nie było sposobu, by wydostać auta i wszyscy, którzy je tam zostawili, mieli teraz problem. O taksówce nikt nawet nie mógł marzyć. W ciągu kilku minut San Francisco ogarnął całkowity paraliż. Było już po północy, od trzęsienia ziemi minęła godzina. Pracownicy hotelu Ritz - Carlton zachowali się wspaniale - krążyli między ludźmi, pytając, jak mogliby pomóc. Tyle że, prawdę mówiąc, nikt nie mógł wiele zdziałać, może z wyjątkiem ratowników opatrujących rannych.

Po chwili strażacy ogłosili, że dwie przecznice dalej jest schron na wypadek klęsk żywiołowych, i wyjaśnili, jak do niego dotrzeć. Przypominali, żeby omijać zwisające nad chodnikami i jezdniami pozrywane kable pod napięciem. Schron wydawał się lepszym rozwiązaniem niż sterczenie na ulicy czy próby dostania się do domów. Wszyscy wciąż się bali wstrząsów wtórnych.

Gdy strażacy kierowali tłum w stronę schronu, Everett nie przestawał fotografować. Uwielbiał taką pracę. Nie zerował na ludzkim nieszczęściu, starał się być dyskretny, wiedział jednak, że musi uwiecznić te niepowtarzalne sceny, które - nie miał wątpliwości - przejdą do historii.

Tłum ludzi płynął w dół ulicy do punktu zbornego. Wciąż rozmawiali o tym, co się stało - co pomyśleli sobie w pierwszej chwili, gdzie się znajdowali w tamtym momencie. Jeden z hotelowych gości brał akurat kąpiel i sądził, że to jakiś rodzaj masażu wibracyjnego w wannie. Miał na sobie frotowy szlafrok i nic poza tym, był boso. Skaleczył sobie stopę

szkłem leżącym na ulicy, ale nikt nie mógł nic na to poradzić. Jakaś kobieta myślała, iż połamała łóżko, gdy nagle zjechała z niego, ale wtedy cały pokój zakołysał się jak beczka śmiechu w wesołym miasteczku. Ale to nie była zabawa. Miasto dotknęła największa od stu lat katastrofa.

Everett wziął butelkę wody od boya hotelowego. Otworzył ją, pociągnął długi łyk i dopiero w tej chwili poczuł, jak bardzo zaschło mu w ustach. Z hotelu wydobywały się tumany kurzu, który roznosił się w powietrzu.

Ciał nie wynoszono na zewnątrz. Strażacy układali je w holu i przykrywali plandekami. Na razie odnaleziono około dwudziestu, a przypuszczano, że wewnątrz wciąż są uwięzieni ludzie, co powodowało jeszcze większą panikę. Słysząc było płacz, bo wiele osób nie mogło odnaleźć swoich przyjaciół i krewnych, z którymi mieszkali w hotelu, lub razem się bawili na balu. Tych ostatnich dało się łatwo rozpoznać po zabrudzonych i podartych wieczorowych strojach. Wyglądali jak ocaleni pasażerowie Titanica. Po raz pierwszy tego wieczoru Everettowi przyszło do głowy, że powinien mieć ochotę na drinka. I z przyjemnością stwierdził, że nie czuje takiej potrzeby. Zdumiewające. W sytuacji mocno stresującej nie miał ochoty się urządzić. Nawet go to rozbawiło, choć okoliczności wcale nie były zabawne. Nagle dostrzegł Melanie i jej matkę, zanoszącą się histerycznym szlochem. Dziewczyna wydawała się spokojna. Wciąż miała na sobie jego marynarkę.

- Jesteście całe? - zadał typowe pytanie. Kiwnęła głową z uśmiechem.

- Tak. Tylko mama jest nieźle przestraszona. Myśli, że za chwilę będzie jeszcze większy wstrząs. Chcesz swoją marynarkę? Mogę się okryć kocem. - Zostałaby prawie naga, gdyby mu ją oddała, więc pokręcił głową.

- Zatrzymaj ją. Całkiem nieźle na tobie wygląda. Odnaleźli się wszyscy z twojej ekipy? - Wiedział, że przyjechała ze sporą grupą ludzi, a była z nią tylko matka.

- Moja przyjaciółka, Ashley, zraniła sobie kostkę, sanitariusze się nią zajmują. Narzeczony się schlał i chłopaki z zespołu musieli go wynieść. Teraz rzyga gdzieś tam - machnęła ręką w nieokreślonym kierunku. - Na szczęście wszyscy ocaleli. - Poza sceną, znów wyglądała jak zwykła nastolatka, ale Everett pamiętał jej niesamowity występ. Pewnie nikt go nie zapomni, zwłaszcza po tym, co się dziś stało.

- Powinnyście pójść do schronu. Tam jest bezpieczniej. - Janet Hastings już ciągnęła córkę we wskazanym kierunku. Zgadzała się z Everettem i chciała opuścić ulicę, zanim nastąpi kolejne trzęsienie ziemi.

- Ja tu chyba zostanę jeszcze chwilę - odezwała się cicho Melanie wywołując kolejną falę łez i krzyków Janet. Gdy powiedziała matce, że chce zostać i pomóc ludziom, Everett spojrział na nią z podziwem. Nie wdając się w żadne dyskusje zniknęła w tłumie. Janet wpadła w histerię.

- Nic się nie stanie Melanie - zapewnił ją Everett. - Na pewno spotkam pani córkę, a wtedy odeślę ją do schronu. Proszę iść z innymi.

Janet zrobiła niepewną minę, ale tłumne ruszenie ludzi w kierunku schronu i jej nieodparte pragnienie, by się tam znaleźć, przełamały opór. Everett uważał, że czy znajdzie Melanie, czy nie, dziewczyna sobie poradzi. Była młoda, zaradna, członków zespołu miała pod ręką, a skoro chciała pomagać rannym - tym lepiej. Nie brakowało ludzi, którzy potrzebowali pomocy, a sanitariusze nie mogli zająć się wszystkimi.

Znów chwycił aparat. Pstrykając zdjęcia natknął się na drobną, rudowłosą kobietę, którą widział już wcześniej;

pomogła mężczyźnie z zawałem. Tym razem pocieszała zapłakane dziecko. Zrobił jej kilka zdjęć. Potem odprowadziła dziewczynkę do strażaka, prosząc, by pomógł małej znaleźć matkę.

- Pani jest lekarką? - spytał zaciekawiony, gdy przechodziła obok niego. Sposób, w jaki się zajęła zawałowcem, wydał mu się bardzo profesjonalny.

- Nie, pielęgniarką - odparła. Spojrzenie świetlistych, niebieskich oczu utkwiło na moment w jego źrenicach. Uśmiechnęła się. Było w niej coś zabawnego i wzruszającego, a te oczy... W życiu nie widział tak hipnotyzującego, przenikliwego spojrzenia.

- Użyteczny zawód, szczególnie dziś. - Oprócz ciężko rannych, wokół znajdowało się mnóstwo ludzi z drobnymi kontuzjami, pokaleczyli się, wielu nie mogło wyjść z szoku. Każda fachowa pomoc była na wagę złota.

Na pewno widział tę kobietę na balu, choć jej prosta, czarna sukienka i płaskie buty wydawały się trochę niestosowne na taką okazję. Jej kornet zginął gdzieś w zamieszaniu i Everettowi nawet nie zaświtało w głowie, kogo naprawdę ma przed sobą. Tym bardziej, że przedstawiła się jako pielęgniarka. Jej twarz zdawała się w ogóle nie mieć wieku. Strzelił w ciemno, dając jej około czterdziestki, i nie pomylił się wiele - jak się dowiedział później, miała czterdzieści dwa lata. Ona też przyjrzała się uważnie jego zakrwawionej koszuli i ranie na policzku. Uznała widocznie, że nie potrzebuje opatrunku, bo uśmiechnęła się jeszcze raz i poszła swoją drogą.

Zaintrygowany podążył za nią. Zatrzymała się, by z kimś porozmawiać, a potem napiła się wody. Kurz buchający z hotelu wszystkim dawał się we znaki.

- Idzie pani do schronu? Tam pewnie też przydałaby się pielęgniarka - zagadnął. Kobieta pokręciła głową.

- Wrócę do siebie, kiedy tu już nie będzie nic do roboty. Ludzie w mojej dzielnicy też pewnie potrzebują pomocy.

- Gdzie pani mieszka? - Zadał takie pytanie, choć nie znał dobrze miasta. Ale ta kobieta miała w sobie coś, co go intrygowało. Może jej historia była materiałem na reportaż - nigdy nic nie wiadomo. Dziennikarski instynkt popychał go ku niej od pierwszej chwili.

Uśmiechnęła się.

- W Tenderloin, całkiem niedaleko. - Może geograficznie, pomyślał Everett. W tej części miasta kilka przecznic oddzielało dwa zupełnie różne światy.

- To zdaje się dość niebezpieczna dzielnica? - Był coraz bardziej zaciekawiony. Słyszał o Tenderloin, królestwie narkomanów, prostytutek i wyrzutków.

- Owszem.

- I naprawdę tam pani mieszka?

- Tak. - Jej elektryzujące, niebieskie oczy śmiały się psotnie w umazanej twarzy, włosy płonęły jak ogień. - Mnie się to miejsce podoba.

Był już pewien tematu na reportaż, a intuicja podpowiadała mu, że ta drobna kobieta znajdzie się wśród bohaterów dzisiejszej nocy. Chciał być z nią, kiedy wróci do Tenderloin.

- Mam na imię Everett. Czy mogę iść z panią? - zapytał wprost. Zawahała się, ale skinęła głową.

- Droga może być niebezpieczna, wszędzie pełno kabli i różnych szczątków. Wiem, że nikt nie ruszy na pomoc ludziom w tamtej dzielnicy. Ekipy ratownicze będą tutaj i w innych częściach miasta. Możesz się przydać. A tak przy okazji, mów mi Maggie.

Minęła jeszcze godzina, zanim wyruszyli spod Ritza. Była już prawie trzecia nad ranem. Większość gości hotelu albo poszła do schronu, albo zdecydowała się na wyprawę do



domu. Everett nie natknął się już na Melanie, ale nie martwił się o nią. Karetki pozabierały najciężej rannych i wyglądało na to, że strażacy mają sytuację pod kontrolą. W oddali słychać było syreny; domyślał się, że w mieście wybuchły pożary i że walka z ogniem nie będzie łatwa, jeśli rury wodociągowe popękały. Towarzyszył Maggie w drodze do domu. Pokonali California Street i zeszli z Nob Hill, kierując się na południe. Przecinając Union Square, zobaczyli, że niemal wszystkie witryny sklepowe wyskoczyły z futryn i roztrzaskały się o chodniki. Otoczenie hoteli St. Francis i Ritza niczym się nie różniło. Tutejszy hotel został już opróżniony, a goście skierowani do schronów. W końcu skręcili w prawo, na wschód, w O'Farrel Street. Dotarcie na ulicę Maggie zajęło im pół godziny.

Tu ludzie też stali na ulicy, ale wyglądali zupełnie inaczej niż w eleganckich dzielnicach. Byli marnie ubrani, niektórzy wyraźnie na narkotykowym haju, inni mocno przerażeni. I tu witryny sklepów były roztrzaskane. Everett dostrzegł po drodze kilku pijanych, leżących na chodniku, i grupkę przestraszonych prostytutek, chowających się w bramie. Zauważył nie bez zdziwienia, że niemal wszyscy ci ludzie wydają się znać jego towarzyszkę. Maggie zatrzymywała się, by z nimi porozmawiać, wypytywała jak sobie radzą czy nikt nie jest ranny, czy dotarła tutaj pomoc i czy dzielnica bardzo ucierpiała. Wszyscy odpowiadali jej z ożywieniem, wyraźnie ucieszeni na jej widok. Wreszcie usiedli we dwójkę na schodkach kamienicy. Dochodziła piąta nad ranem, a po Maggie nie było widać ani śladu zmęczenia.

- Kim ty jesteś? - odezwał się Everett. - Czuję się jak w jakimś dziwnym filmie o aniele, który zstąpił na ziemię, i którego nie widzi nikt oprócz mnie.

Roześmiała się na te słowa, i przypomniała mu, że wszyscy inni też ją widzieli. Była z krwi i kości, namacalna i

całkowicie widzialna, jak każda z prostytutek, które mijali na ulicy.

- Naprawdę się nie domyślasz? - Rozbawił Maggie tym pytaniem. Cały czas żałowała, że nie może pozbyć się habitu, tęskniła za dzinsami. Wyglądało na to, że jej dom, choć też ucierpiał od wstrząsów, nie został poważnie uszkodzony, i nie mogła się powstrzymać przed pójściem do mieszkania. Tu policja i straż pożarna nie ewakuowała ludzi do schronów.

- Czego mam się domyślać? - Everett sam już nie wiedział, co o tym sądzić. Zmęczenie dawało o sobie znać. Dla nich obojga to była długa noc, ale Maggie wydawała się świeża jak poranek i o wiele bardziej ożywiona niż na balu.

- Jestem zakonnicą - odparła z prostotą. - To są ludzie, z którymi pracuję i o których się troszczę. Przeważnie pracuję na ulicach. A właściwie cały czas. Mieszkam tu już prawie dziesięć lat.

- Jesteś zakonnicą? - powtórzył osłupiały. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. Rozmowa z nim przychodziła jej z łatwością, szczególnie tu, na ulicy, gdzie czuła się o wiele swobodniej niż w sali balowej. - Nie zastanawiałam się nad tym. Nie widzę różnicy.

- Do licha, tak... to znaczy, nie - poprawił się, i myślał chwilę. - Znaczy, tak... oczywiście że jest różnica. To bardzo istotna informacja o tobie, szczególnie, że tu mieszkasz. Ale czy zakonnice nie mieszkają w klasztorach?

- Nie wszystkie. Mój został rozwiązany wiele lat temu. Było za mało sióstr z mojego zgromadzenia, by utrzymać klasztor. Urządzono w nim szkołę. Diecezja zapewnia nam tylko utrzymanie. Niektóre siostry mieszkają po dwie lub trzy, w wynajętym lokalu, ale żadna nie chciała tu się przeprowadzić. - Uśmiechnęła się. - Wolały lepsze dzielnice. Ja muszę żyć wśród biednych ludzi. To moja misja.

Teraz wreszcie pojął, że prosta czarna sukienka to habit. To dlatego nie miała na sobie wieczorowego stroju, jak inne kobiety na balu.

- Jak masz naprawdę na imię? Chodzi mi o to zakonne.

- Siostra Mary Magdalen.

- Zwaliaś mnie z nóg - powiedział, wyjmując z kieszeni papierosa. Zapalił pierwszy raz tej nocy, a Maggie nie miała nic przeciwko temu. Choć była zakonnica, bez najmniejszego problemu poruszała się w rzeczywistym świecie. Była też pierwszą siostrą zakonną, z jaką Everett rozmawiał od lat, i pierwszą, z którą rozmawiało mu się tak swobodnie. Po tym, co przeszli oboje, stali się niemal towarzyszami broni.

- Fajnie jest być zakonnica?

Kiwnęła głową, zastanawiając się chwilę nad jego słowami.

- Wspaniale. Wstąpienie do zakonu było najlepszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu. Zawsze, już od dziecka, wiedziałam, że właśnie to chcę robić. Tak jak niektórzy wiedzą, że chcą być lekarzami, prawnikami czy baletnicami. To się nazywa wczesne powołanie. Zawsze je czułam.

- Zdarzyło ci się kiedykolwiek tego żałować?

- Nie. - Uśmiechnęła się promiennie. - Nigdy. Jestem stworzona do takiego życia. Wstąpiłam do zakonu zaraz po ukończeniu szkoły pielęgniarskiej. Wychowałam się w Chicago, byłam najstarsza z siódemki dzieci. I zawsze wiedziałam, że to dla mnie właściwa droga.

- Miałaś kiedyś chłopaka? - Jej opowieść budziła w nim coraz większą ciekawość.

- Jednego - przyznała bez najmniejszego zażenowania. Nie myślała o nim od lat. - Kiedy się uczyłam w szkole pielęgniarskiej.

- I co się stało? - Pomyślał, że jakaś romantyczna tragedia zagnała dziewczynę do klasztoru. Nie potrafił sobie

wyobrazić, że można by to zrobić z jakiegoś innego powodu. Sama idea była mu kompletnie obca. Wychował się w rodzinie luterańskiej i zakonnice zobaczył po raz pierwszy dopiero, kiedy opuścił dom. Uważał, że celibat nie ma sensu. Ale oto siedziała przed nim szczęśliwa, zadowolona kobietka, która mówiła o życiu wśród najgorszych mętów z takim spokojem i radością. Nie mieściło mu się to w głowie.

- Zginął w wypadku samochodowym, kiedy byłam na drugim roku. Ale nawet gdyby żył, nic by się nie zmieniło. Zapowiedziałam mu na samym początku, że chcę zostać zakonnice, chociaż nie wiem, czy mi uwierzył. Potem, gdy miałam już stuprocentową pewność, nie chodziłam z żadnym chłopakiem. Z nim pewnie też przestałabym się spotykać. Ale całe to nasze chodzenie było bardzo niewinne. W każdym razie według dzisiejszych standardów. - Innymi słowy, jak się domyślił Everett, była dziewicą. Niepojęte, żeby tak się marnowała naprawdę ładna babka, pełna życia, temperamentu.

- Niesamowite.

- Wcale nie. Dla niektórych normalne. - Ona akceptowała to i uważała za zwyczajną sprawę, choć on nie widział w tym nic normalnego. - A ty? Żonaty? Rozwodnik? Dzieci? - Wyczuwała, że jego historia też nie jest zwyczajna. Nawet miał ochotę się nią podzielić. Z Maggie tak łatwo się rozmawiało, jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność.

- Strzeliłem dziewczynie dziecko, kiedy miałem osiemnaście lat, i ożeniłem się z nią, bo jej ojciec groził, że mnie zabije. Rozlecieliśmy się po roku. Ona w końcu wystąpiła o rozwód i pewnie wyszła za mąż. Po rozwodzie widziałem mojego synka tylko raz, kiedy miał jakieś trzy lata. Po prostu wtedy nie byłem gotów być ani ojcem, ani mężem. Czuję się fatalnie, że taka ze mnie łajza. Czuję się tym wszystkim przytłoczony. Więc wyjechałem. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Większość młodzieńczego i

dorosłego życia spędziłem szlajając się po świecie; fotografowałem wojny i katastrofy dla Associated Press. To było zwariowane życie, ale mnie pasowało. Uwielbiałem je. A teraz, kiedy wreszcie dorosłem, mój syn też dorósł. Już mnie nie potrzebuje - dodał cicho, czując na sobie wzrok Maggie.

- Może wcale tak nie jest. Człowiek zawsze potrzebuje rodziców. - Oboje milczeli przez chwilę; Everett myślał o tym, co powiedziała.

- W agencji będą pewnie zadowoleni z tych zdjęć, które dzisiaj zrobiłeś - powiedziała zachęcająco. Everett uśmiechnął się. Pewnie by się spodobały. Nie był jakimś marnym reporterzyną, dostał przecież Pulitzera. Ale nie wspomniał o tym. Nie miał zwyczaju się chwalić.

- Już dla nich nie pracuję - wyjaśnił. - Po drodze nabrałem paru złych nawyków. Wymknęły mi się spod kontroli jakiś rok temu, kiedy o mało nie umarłem wskutek zatrucia alkoholowego w Bangkoku. Uratowała mnie dziwka, wzywając pogotowie. W końcu wróciłem do kraju i wytrzeźwiałem. Kiedy agencja mnie zwolniła, słusznie zresztą, zgłosiłem się na odwyk. Jestem trzeźwy już od roku. I przyznam, że to miłe uczucie. Właśnie zacząłem pracę, robiłem zdjęcia dla magazynu. To nie jest pismo w moim guście. Plotki ze świata sław. Wolałbym wystawiać się na kule w jakimś niecywilizowanym miejscu niż paradować w smokingu po sali balowej.

- Ja też - odparła Maggie ze śmiechem. - To zupełnie nie w moim stylu. - Dowiedział się, że siedziała przy stoliku przeznaczonym dla organizacji dobroczynnych, a zaproszenie dostała od znajomej i poszła tylko dlatego, że nie chciała go zmarnować. - Naprawdę wolałam pozostać na ulicy z moimi podopiecznymi, niż spędzać wieczór w ten sposób, ale nie mogłam odmówić. Ale co z twoim synem? Myślisz o nim czasem? Chciałbyś go zobaczyć? Ile ma teraz lat? - Wróciła

do tematu, bo wierzyła, że rodzina jest ogromnie ważna w życiu każdego człowieka. Poza tym, Everett ją zaciekał. Rzadko miała okazję porozmawiać z kimś tak interesującym. Równie rzadko, jak on miał okazję rozmawiać z zakonnica.

- Za kilka tygodni skończy trzydzieści lat. Czasem o nim myślę, ale teraz to już na wiele rzeczy za późno. O wiele za późno. Nie można tak po prostu wejść w życie trzydziestoletniego człowieka i zapytać, jak się miewa. Pewnie mnie nienawidzi, przecież go zostawiłem.

- A ty siebie za to nienawidzisz? - zapytała rzeczowo.

- Czasami. Zastanawiałem się nad tym wszystkim, kiedy byłem na odwyku. Ale nie mogę tak wyskoczyć jak diabeł z pudełka i zawracać głowy dorosłemu człowiekowi.

- A może jednak - mówiła cicho - on chciałby, żebyś się odezwał. Wiesz, gdzie teraz jest?

- Kiedyś wiedziałem. Pewnie mógłbym się i teraz dowiedzieć. Ale nie wiem, czy powinienem. Co miałbym mu powiedzieć?

- Zapewne są rzeczy, o które on chciałby zapytać ciebie. Nie sądzisz, iż dobrze byłoby powiedzieć mu, że twoje odejście nie miało nic wspólnego z nim? - Była mądrą kobietą. Everett pokiwał głową.

Pochodzili jeszcze chwilę po dzielnicy. O dziwo, wydawało się, że szybko wraca normalne życie. Niektórzy mieszkańcy udali się do schronów. Kilka rannych osób zostało zabranych do szpitali. Reszta miała się zupełnie dobrze, choć rozmawiano nieustannie o trzęsieniu ziemi. Było naprawdę potężne.

Okolo wpół do siódmej rano Maggie stwierdziła, że spróbuje się przespać i za parę godzin wróci na ulicę, by sprawdzić, czy jej podopieczni sobie radzą. Everett planował poszukać jakiegoś autobusu, pociągu czy samolotu, albo, jeśli to możliwe, wynająć samochód, by jak najszybciej dostać się

do Los Angeles. Dla własnej satysfakcji zamierzał jeszcze trochę pokrażyć po mieście w poszukiwaniu tematów do zdjęć. Nie chciał przegapić czegoś ciekawego, choć zrobił już mnóstwo fotek i miał naprawdę świetny materiał. Prawdę mówiąc kusiło go, by zostać tu jeszcze parę dni, ale nie wiedział, jak zareagowałby na to naczelny. Teraz z San Francisco, i zapewne z całej okolicy, nie można było się nigdzie dodzwonić, więc nie miał jak zapytać go o zdanie.

- Zrobiłem ci dzisiaj parę ładnych zdjęć - powiedział, gdy znaleźli się przed domem Maggie. Mieszkała w starej kamienicy, na oko mocno podejrzaną, ale najwyraźniej zupełnie jej to nie przeszkadzało. Everett zapisał adres i obiecał przysłać odbitki. Poprosił też o numer telefonu, na wypadek, gdyby jeszcze kiedyś przyjechał do miasta. - Jeśli się tu jeszcze zjawię, zaproszę cię na kolację - przyrzekł. - Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało.

- Mnie też - przyznała szczerze. - Ale pewnie nieprędko wrócisz. Odgruzowanie miasta zajmie mnóstwo czasu. Nie wiadomo ilu ludzi zginęło. - Zrobiła zatroskaną minę. Nie było sposobu, by czegokolwiek się dowiedzieć. Telefony nie działały. Dziwne uczucie, być tak odcięty od świata.

Słońce wschodziło, gdy Everett żegnał się z Maggie, zastanawiając się, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy. Wydawało mu się to zupełnie nieprawdopodobne. To była szczególna i niezapomniana noc dla nich obojga.

- Do widzenia, Maggie - powiedział, gdy otworzyła drzwi kamienicy. Hol paskudnie śmierdział, na podłodze walały się kawałki potrzaskanego tynku, ale Maggie stwierdziła ze śmiechem, że w sumie nie wygląda to dużo gorzej niż zwykle. - Uważaj na siebie.

- Ty też. - Pomachała mu i zamknęła drzwi. Everett nie pojmował, jak mogła tu mieszkać. Rzeczywiście święta kobieta. Uśmiechnął się nieco rozbawiony - noc trzęsienia

ziemi w San Francisco spędził w towarzystwie zakonnic. Ale naprawdę uważał Maggie za bohaterkę. Nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy jej zdjęcia. I nagle, gdy tak wędrował przez Tenderloin, przyłapał się na myśli o synu - o tym, jak Chad wyglądał, kiedy miał trzy lata - i po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat zatęsknił za nim. Może jednak odwiedzi go kiedyś, jeżeli zdarzy mu się być w Montanie, oczywiście jeśli Chad jeszcze tam mieszka. Musiał to przetrwać. Maggie zabiła mu ćwieka, ale teraz wołał nie zaprzętać sobie tym głowy. Nie chciał się czuć winny z powodu syna. Wiedział, że za późno na wyrzuty sumienia, i że żadnemu z nich nic z tego nie przyjdzie. Szedł rażno w swoich szczęśliwych kowbojkach, mijając pijaków i dziwki. Słońce stało już wyżej, gdy zagłębiał się w serce miasta, ciekaw, co opowie mu ono o trzęsieniu ziemi. Tematów do zdjęć było bez liku. Kto wie, może któreś znów przyniesie mu Pulitzera. Mimo wstrząsających przeżyć ostatniego wieczoru od lat nie czuł się tak dobrze. Znów siedział w siodle jako dziennikarz i trzymał swoje życie w garści tak pewnie, jak nigdy dotąd.



### Rozdział 3

Seth i Sara wyruszyli spod Ritza w długą drogę do domu. Sandały na szpilce w ogóle nie nadawały się do chodzenia, ale na ulicach leżało tyle stłuczonego szkła, że Sara nie odważyła się iść boso. Z każdym krokiem przybywało na stopach pęcherzy. Linie energetyczne były pozrywane, musieli ostrożnie omijać plujące iskrami kable pod napięciem. W końcu, około trzeciej nad ranem, gdy zostało do przejścia jakieś dwanaście kwartałów, udało im się złapać okazję. Zabrał ich do samochodu lekarz wracający ze szpitala Świętej Marii, który zaraz po trzęsieniu ziemi pojechał do swoich pacjentów. Powiedział, że sytuacja w szpitalu jest pod kontrolą. Generatory awaryjne pracowały, a zniszczenia dotknęły tylko niewielką część radiologii na parterze. Poza tym wszystko w porządku, tyle tylko, że pacjenci i personel są zestresowani.

Szpital nie miał komunikacji telefonicznej, ale działały radia i telewizory na baterie, więc mogli wysłuchać wiadomości i dowiedzieć się, które części miasta ucierpiały najmocniej. Lekarz powiedział im, że dzielnica Marina znów uległa ogromnym zniszczeniom, tak jak podczas słabszego trzęsienia ziemi w osiemdziesiątym dziewiątym. Nie był to właściwie stały ląd, a dawne, zneutralizowane wysypisko śmieci, tam wstrząsy miały większą siłę; szalejące pożary wymknęły się spod kontroli. Donoszono też o grabieżach w centrum miasta. Russian Hill i Nob Hill, gdzie znajdował się Ritz - Carlton, zniosły wstrząsy o sile 7,9 punktów stosunkowo dobrze. Jednak niektóre zachodnie dzielnice bardzo ucierpiały, podobnie jak Noe Valley, Castro i Mission. Na Pacific Heights też nieźle zatrzęsło. Straż pożarna starała się ratować ludzi uwięzionych w pomieszczeniach i windach budynków, ale na szczęście pozostało dość ekip do walki z pożarami, które wybuchały w całym mieście - co nie należało

do łatwych zadań, biorąc pod uwagę, że potrzaskały niemal wszystkie nitki wodociągów. Zewsząd dochodziło wycie syren wozów strażackich i karettek.

Oba główne mosty San Francisco - Bay i Golden Gate - zamknięto niemal natychmiast po kataklizmie. Golden Gate rozhuśtał się jak szalony, było wielu rannych. Dwie sekcje górnej jezdni mostu Bay zawałyły się na dolną, miażdżąc samochody i więżąc ludzi. Trwała akcja ratownicza. Doniesienia o kierowcach i pasażerach uwieżionych w autach, którzy krzyczeli rozpaczliwie i nie doczekawszy się pomocy umierali, budziły grożę. W tej chwili nie sposób było ocenić liczby ofiar śmiertelnych w całym mieście, wiadomo jednak, że będzie ich wiele, i tysiące rannych. Sara, Seth i ich dobroczyńca z przerażeniem słuchali radia samochodowego, ostrożnie przedzierając się ulicami.

Sara podała doktorowi adres i milczała przez całą drogę do domu, modląc się, by dzieciom nic się nie stało. Nie mieli żadnego kontaktu z domem. Zrujnowane miasto zdawało się całkowicie odcięte od świata zewnętrznego. Ale ona chciała tylko wiedzieć, co z Oliverem i Molly. Seth gapił się jak zakłęty w okno, wciąż usiłując połączyć się z komórki. W końcu lekarz dowióżł ich pod dom stojący u zbiegu Divisadero i Broadway, na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na zatokę. Wyglądał na nienaruszony. Podziękowali doktorowi i życzyli mu szczęścia. Sara pognała do frontowego wejścia, Seth ruszył za nią. Był wykończony.

Nim ją dogonił, zdążyła już otworzyć drzwi. Zrzuciła koszarne buty i pobiegła korytarzem. W domu panowały egipskie ciemności, tym głębsze, że uliczne latarnie też nie działały. Kiedy znalazła się w salonie i kierowała się w stronę schodów, nagle ich zobaczyła - niania spała na kanapie, trzymając w objęciach uśpionego Olivera. Obok niej chrapała

cichutko Molly. Parmani spała jak zabita, ale ocknęła się, gdy Sara podeszła do niej.

- Cześć... och... Ależ potężne trzęsienie ziemi! - powiedziała szeptem, by nie przeszkadzać dzieciom. Gdy do salonu wszedł Seth i trójka dorosłych zaczęła rozmawiać, dzieci zaczęły się kręcić. Rozglądając się wokoło Sara dostrzegła poprzekrzywiane obrazy, dwie rzeźby rozbite na podłodze, powywracane krzesła i zabytkowy stolik karciany leżący do góry nogami. W pokoju panował nieprawdopodobny bałagan - książki powysypywały się z biblioteczki, podłoga zasłana była drobiazgami, które pospadały z półek. Ale dzieciom nic się nie stało i tylko to się liczyło. Gdy jej oczy przywykły do ciemności, zauważyła, że Parmani ma guza na głowie. Niania wyjaśniła, że regał w pokoju Olivera przewrócił się na nią, gdy biegła by wyjąć malca z łóżeczka, kiedy poczuła wstrząsy. Sara podziękowała Bogu, że Parmani nie straciła przytomności i synek ocalał. W osiemdziesiątym dziewiątym w Marina dziecko zginęło, gdy jakiś ciężki przedmiot ześlizgnął się z półki i trafił je w łóżeczku. Nie chciała nawet o tym myśleć.

Oliver, leżący wygodnie na niani, poruszył się, uniósł główkę i zobaczył mamę. Sara wzięła go na ręce. Molly wciąż mocno spała, zwinięta w kłębek u boku Parmani. Wyglądała jak laleczka. Rodzice patrzyli na nią z uśmiechem, wdzięczni losowi, że jest bezpieczna.

- Cześć, kochanie, wyspałeś się? - Sara przytuliła Olivera. Malec wydawał się zdziwiony ich widokiem. Zmarszczył buzię, jego dolna warga zadrżała i w końcu rozplakał się. Dla Sary był to najśłodszy dźwięk na świecie, równie wspaniały jak jego pierwszy krzyk po narodzinach. Przez całą noc, od pierwszej chwili gdy ziemia się zatrzęsła, bała się o dzieci. Marzyła tylko o tym, by popędzić do domu i wziąć je w

ramiona. Pochyliła się i delikatnie dotknęła nogi Molly, jakby chciała się upewnić, że i ona jest żywa, z krwi i kości.

- Musiałaś się nieźle wystraszyć - powiedziała ze współczuciem do Parmani.

Seth przeszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę telefonu. W drodze do domu sprawdzał komórkę chyba z tysiąc razy.

- Niewiarygodne - warknął, wracając do salonu. - Co oni sobie wyobrażają? Żeby chociaż komórki działały. I co teraz? Siedzieć tak bez łączności ze światem przez najbliższy tydzień? Mam nadzieję, że do jutra coś z tym zrobią. - Oboje wiedzieli jednak, że to mało realne.

Parmani przezornie zakręciła gaz, więc w domu wiało chłodem. Na szczęście noc była wyjątkowo ciepła. Przy typowej dla San Francisco wietrznej pogodzie zmarzliby porządnie.

- Po prostu przez jakiś czas pobawimy się w dzikusów - odparła wesoło Sara. Teraz, mając synka w ramionach i widząc córeczkę śpiącą na kanapie, czuła się szczęśliwa i spokojna.

- Może jutro pojedę do Stanford albo do San Jose - powiedział Seth, zamyślony. - Muszę załatwić parę telefonów.

- Doktor mówił, że drogi są zamknięte. A więc jesteśmy uziemieni.

- To niemożliwe - odparł Seth ze spanikowaną miną. Spojrzał na świecącą tarczę zegarka. - Może powinienem jechać teraz. W Nowym Jorku już prawie siódma. Zanim gdziekolwiek dotrę, na Wschodnim Wybrzeżu wszyscy będą już siedzieć w biurach. Zamykam dzisiaj transakcję.

- Nie możesz sobie zrobić wolnego przez jeden dzień? - zasugerowała Sara, ale on już pobiegł na górę. Wrócił po pięciu minutach w dżinsach, swetrze i sportowych butach, z aktówką w dłoni i z głębokim skupieniem na twarzy.

Oba ich samochody były uwięzione i być może bezpowrotnie zniszczone na parkingu w mieście. Nie liczyli na wydostanie któregokolwiek z nich - jeśli w ogóle się odnajdą - i na pewno nie w najbliższym czasie, jako że większa część parkingu zawaliła się. Seth uśmiechnął się do Parmani w rzednącej ciemności salonu.

- Parmani, mogę pożyczyć twój samochód na parę godzin? Spróbuję pojechać na południe, może stamtąd uda mi się zadzwonić. Może nawet moja komórka zadziała za miastem.

- Jasne, że możesz - odparła niania, zdumiona. Sarze również jego prośba wydała się dziwaczna. Dziwaczna pora na wycieczki do San Jose. Ta obsesja na punkcie interesów w takiej chwili wydała jej się mocno nie na miejscu, tym bardziej, że zamierzał zostawić ich samych.

- Nie możesz sobie odpuścić? Dziś na pewno nikt się nie spodziewa telefonów z San Francisco. To jakaś bzdura, Seth. A jeśli będzie kolejne trzęsienie, albo wstrząsy wtórne? Zostajemy sami, a ty możesz gdzieś utknąć. - Albo co gorsza zginąć w drodze, zmiażdżony pod jakąś estakadą. Nie chciała, żeby gdziekolwiek jechał, ale on, zdeterminowany, ruszył do drzwi. Parmani powiedziała, że kluczyki są w stacyjce, a samochód stoi w garażu. Była to stara, poobijana honda accord, ale Nepalce wystarczała na dojazdy do pracy i po zakupy. Samochód nie miał nowoczesnych zabezpieczeń. Sara nie pozwoliłaby niani wozić tym autem dzieci i nie była zachwycona, że mąż wybiera się nim w tak niebezpieczną drogę.

- Nie martwcie się, dziewczyny, na pewno wrócę - rzucił Seth z uśmiechem i wybiegł.

Sarę niepokoiła ta podróż. Dróg nie oświetlały latarnie, nie działała sygnalizacja, na jezdni mogły się znaleźć najróżniejsze przeszkody. Ale widziała, że nic by go nie

zatrzymało. Parmani poszła po dodatkową latarkę, na stoliku migotały świece. Sara próbowała analizować postępowanie Seta. Pracoholizm pracoholizmem, ale żeby wypuszczać się na półwysep kilka godzin po potężnym trzęsieniu ziemi, zostawiając żonę i dzieci bez pomocy? Takie zachowanie mogło jedynie dowodzić obsesji.

Siedziały z Parmani, rozmawiając cicho aż do świtu. Sara miała ochotę pójść na piętro, do swojej sypialni, i wziąć dzieci do swojego łóżka, ale na dole czuła się bezpieczniejsza; w razie kolejnego wstrząsu, łatwiej będzie uciec z domu. Zresztą Parmani powiedziała, że na górze panuje potworny bałagan. Ze ściany spadło wielkie lustro, a część szyb w tylnej części domu wyskoczyła z futryn i roztrzaskała się. Podłogę kuchni zaścielały szczątki porcelany, kryształów i produkty spożywcze, które dosłownie wyfrunęły z półek. Niania mówiła, że nie ocalały słoiki z przetworami i rozłukło się kilka butelek wina. Sara z niechęcią myślała o sprzątaniu tego bałaganu. Parmani przeprosiła, że nie zabrała się do tego wcześniej, ale nie chciała zostawiać dzieci samych. Trzeba będzie jakoś się z tym uporać. Ułożywszy śpiącego mocno Olivera na kanapie poszła do kuchni, by ocenić sytuację. Przeraził ją widok, który tam zastała. Kuchnia zmieniła się w pobojuwisko. Na pierwszy rzut oka sprzątanina było na parę dni.

Gdy weszło słońce, Parmani poszła zaparzyć kawę, ale przypomniała sobie, że nie mają przecież prądu ani gazu. Ostrożnie klucząc między szczątkami i odłamkami szkła podeszła do zlewu, nalała do filiżanki ciepłej wody z kranu i wrzuciła do niej torebkę herbaty. Zniosła filiżankę Sarze. Wyszła z tego letnia lura, ale i tak przyjemnie było napić się tej „herbaty”. Dla siebie Parmani obrała banana. Sara stwierdziła, że nic nie przełknie - wciąż była zbyt roztrzęsiona i zmartwiona.

Ledwie dopiła herbatę, do domu wszedł Seth z ponurą miną.

- Szybko poszło - rzuciła Sara.

- Drogi są zamknięte - odparł takim tonem, jakby nie mieściło mu się to w głowie. - Dosłownie wszystkie. Przy wjeździe na 101 zawałła się cała rampa. - Nie powiedział jej o jatce pod gruzami. Pełno policji i karettek. Policjantom blokującym przejazd próbował wmówić, że mieszka w Palo Alto, ale funkcjonariusz oświadczył, że będzie musiał zostać w mieście, dopóki drogi nie zostaną odblokowane. Na pytanie, jak długo to potrwa odpowiedział, że co najmniej parę dni, może nawet tydzień, biorąc pod uwagę ogrom zniszczeń. - Próbowałem pojechać Dziewiętnastą Aleją i dalej na autostradę 280. To samo. Na drogę do Pacifica w paru miejscach osunęła się ziemia. Wszystko zablokowane. Mosty odpuściłem, bo słyszeliśmy w radiu, że są zamknięte. Do diabła, Sara - rzucił gniewnie - jesteśmy w pułapce!

- Przez jakiś czas. Nie rozumiem, dlaczego się tak gorączkujesz. Zresztą, mamy tu mnóstwo sprzątanania. Nikt w Nowym Jorku nie będzie czekać na twój telefon. Oni wiedzą o tym, co się tu dzieje, więcej niż my. Seth, nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, że nie dzwonisz.

- Nic nie rozumiesz - mruknął ponuro, po czym popędził na górę i z hukiem zatrzasnął drzwi sypialni. Sara zostawiła dzieci pod opieką Parmani, która z zaciekawieniem obserwowała tę scenkę, i poszła za mężem na piętro. Seth chodził niespokojnie po sypialni, jak lew w klatce. Bardzo zły lew, który miał ochotę kogoś pożreć, i wyglądało na to, że z braku innych ofiar zaraz rzuci się na Sarę.

- Przykro mi, kochanie - zaczęła łagodnie. - Wiem, że jesteś w trakcie transakcji. Ale katastrofy to siła wyższa. Nic nie możemy na to poradzić. Transakcja poczeka parę dni.

- Nie poczeka. - Kipiał z wściekłości. - Niektóre transakcje nie czekają. I to jest jedna z nich. Potrzebny mi tylko pieprzony telefon! - Wyczarowałyby mu telefon, gdyby potrafiła, ale nie potrafiła. Jej do szczęścia wystarczył fakt, że dzieci są całe i zdrowe. Jego obsesja na punkcie interesów w takich okolicznościach wydawała jej się czymś nienormalnym, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że właśnie dzięki tej obsesji odniósł tak ogromny sukces. Nigdy nie odpoczywał. Wisiał na telefonie w dzień i w nocy. Bez niego czuł się kompletnie bezradny, uwięziony, jakby ktoś podciął mu struny głosowe i związał ręce. Skazany na życie w martwym mieście. Widziała, że dla niego była to katastrofa, i żałowała, że nie potrafi go uspokoić.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Seth? - Usiadła na łóżku, klepiąc miejsce obok siebie. Miała na myśli masaż, kąpiel, środek uspokajający czy po prostu poprzytulanie się.

- Co możesz dla mnie zrobić? To miał być żart? - Niemal krzyczał na nią w ich pięknie urządzonej sypialni. Słońce już wzeszło i łagodne zółcienie i błękity wyglądały bajkowo w porannym świetle. Ale Seth nie dostrzegał niczego wokół, patrzył gniewnie na żonę.

- Mówię poważnie - odparła spokojnie. - Zrobię co w mojej mocy. - Patrzył na nią, jakby straciła rozum.

- Sara, ty nie masz pojęcia, co się dzieje. Żadnego. Najbliższego.

- Więc spróbuj mi wytłumaczyć. Znam się na biznesie. Nie jestem idiotką.

- Nie, to ja jestem idiotą - rzucił, siadając na łóżku i przeczesując włosy palcami. Nie mógł spojrzeć jej w oczy. - Dzisiaj do południa muszę przelać sześćdziesiąt milionów z kont naszego funduszu - powiedział głuchym głosem. Sara była pod wrażeniem.



- Aż tyle? Inwestujesz w rynek towarowy? Taka inwestycja to chyba ryzykowna sprawa. - Owszem, inwestycje w rynek towarowy są ogromnie ryzykowne, ale i ogromnie dochodowe, jeśli robi się to właściwie. On był geniuszem w tej dziedzinie.

- Ja nie inwestuję, Saro - odparł, spoglądając na nią i znów odwrócił wzrok. - Ja ratuję własny tyłek. Tak to wygląda. A jeśli mi się nie uda, jestem skończony... oboje jesteśmy skończeni... cały nasz majątek przepadnie... mogę nawet pójść do więzienia. - Wbił spojrzenie w podłogę.

- O czym ty mówisz? - Poczowała strach. Dobrze знаła Seta i wiedziała, że mąż nie żartuje.

- W tym tygodniu mieliśmy w firmie rewidentów. To był audyt inwestorski naszego nowego funduszu. Sprawdzali, czy mamy na kontach tyle, ile deklarujemy. I w końcu będziemy mieć, co jest oczywiste. Robiłem to już wcześniej. Sully Markham krył mnie już przy takich okazjach. Kiedy inwestycje przynoszą zysk, na kontach wszystko się zgadza. Ale czasami, na początku, gdy nie mamy jeszcze dość pieniędzy, Sully pomaga mi lekko upiększyć sytuację, jeśli inwestorzy zapowiadają audyt.

Sara gapiła się na niego, osłupiała.

- Lekko? Sześćdziesiąt milionów dolarów nazywasz „lekkim upiększeniem sytuacji?” Jezu, Seth, coś ty sobie myślał? Mogli cię przyłapać, albo mogłeś nie zarobić tych pieniędzy. - I nagle zdała sobie sprawę, że właśnie to się dzieje.

- Muszę przelać pieniądze, bo inaczej Sully zostanie nakryty w Nowym Jorku. Musi mieć je dzisiaj na kontach. Ale banki są zamknięte, ja nie mogę skorzystać z telefonu, nie mogę nawet zawiadomić Sully'ego, żeby postarał się to jakoś zatuszować.

- Chyba sam się zorientuje. Musi wiedzieć, że nie możesz tego zrobić, skoro całe miasto jest zrujnowane. - Sara zbladła jak ściana. Nawet nie przemknęło jej przez myśl, że Seth może być nieuczciwy. A sześćdziesiąt milionów to nie była drobna wpadka. Raczej oszustwo na największą skalę. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że chciwość może popchnąć męża do czegoś takiego. Ten czyn stawał pod znakiem zapytania wszystko, co było między nimi, ich całe życie, a przede wszystkim samą osobę Seta.

- Miałem to zrobić wczoraj - wyznał ponuro. - Obiecałem Sully'emu, że przeleję pieniądze przed zamknięciem banków. Ale audytorzy siedzieli prawie do szóstej. Dlatego tak późno dotarłem do hotelu. Wiedziałem, że on ma czas dzisiaj do drugiej, więc pomyślałem, że spokojnie załatwię sprawę rano. Martwiłem się, ale nie panikowałem. Teraz panikuję. Jesteśmy skończeni, obaj, dokumentnie. Sully ma audyt w poniedziałek. Do tej pory nie otworzą tutejszych banków. A ja nie mogę nawet go ostrzec, do cholery. - Miał taką minę, jakby zbierało mu się na płacz. Sara patrzyła na niego z przerażeniem, z niedowierzaniem.

- Na pewno już sprawdził i zorientował się, że nie zrobiłeś przelewu. - Kręciło jej się w głowie. Czowała się tak, jakby siedziała na górskim wyciągu bez pasa bezpieczeństwa, ledwie trzymając się siedzenia. Nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, co czuje Seth. Groziło mu więzienie. A jeśli tak, co stanie się z ich małżeństwem?

- No więc zorientował się. I co z tego? Przez to cholerne trzęsienie ziemi nie mogę mu oddać pieniędzy. W poniedziałek rano, kiedy zjawią się audytorzy, będzie miał sześćdziesięciomilionowe manko, a ja nie mogę nic na to poradzić. - I on, i Sully Markham, byli winni najgorszego rodzaju oszustwa i kradzieży, i to nie w jednym stanie. Sara wiedziała, równie dobrze jak Seth, że to przestępstwo

federalne, w dodatku jedno z najpoważniejszych. Nie mieściło jej się to w głowie. Patrzyła na męża, a cały pokój wirował.

- I co teraz, Seth? - wyszeptała. Zdawała sobie sprawę z konsekwencji jego poczynań. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego tak postępował i kiedy stał się przestępcą. Jak do tego doszło?

- Nie wiem. - Spojrzał jej w oczy. Był przerażony. - Tym razem mogę pójść na dno, Saro. Robiłem coś takiego już wcześniej. I pomagałem robić to Sully'emu. Jesteśmy przyjaciółmi. Po prostu nigdy dotąd nas nie przyłapano i zawsze dotrzymywałem terminów. Ale tym razem siedzę po uszy w bagnie.

- Boże święty - powiedziała cicho Sara. - Co będzie, jeśli postawią cię przed sądem?

- Nie wiem. Mało prawdopodobne, żeby udało się z tego wyłgać. Nie sądzę też, żeby Sully mógł przesunąć audyt. O terminie decydują inwestorzy, a oni raczej nie dają nikomu czasu na tuszowanie wpadek czy poprawianie ksiąg. Myśmy je poprawiali, i to ostro. Nie wiem, czy w ogóle próbował przesunąć termin, kiedy się dowiedział, że mieliśmy trzęsienie ziemi i że nie przesłałem mu pieniędzy. Braku sześćdziesięciu milionów nie można łatwo zamaskować. To dziura, którą zauważą. Nie ma co ukrywać, ślad prowadzi prosto do moich drzwi. Jesteśmy skończeni, chyba że Sully do poniedziałku dokona cudu. Jeśli audytorzy to wykryją, Komisja Papierów Wartościowych i Giełd siądzie mi na kark w ciągu pięciu minut. A ja sterczę tutaj, jak kaczka na środku jeziora, czekająca na odstrzał. Teraz już tego nie odkręcę. Trudno, stało się. Będziemy musieli wynająć świetnego adwokata i trzymać kciuki, żeby udało się dogadać z prokuratorem generalnym. Bo jeśli nie, powinienem chyba uciec do Brazylii, a tego ci nie zrobię. Więc chyba nie mamy wyjścia, musimy siedzieć tutaj i czekać, aż sprawa się rypnie, kiedy opadnie

kurz po trzęsieniu ziemi. Przed chwilą sprawdzałem moją BlackBerry, ale nici z tego. Musimy po prostu czekać, jak to się rozwinie... Przykro mi, Saro - dodał. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Patrzyła na męża, płacząc. Nigdy, przenigdy nie podejrzewała go o nieuczciwość, i teraz czuła się, jakby przejechał ją pociąg.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego? - Łzy płynęły jej po policzkach. Nie poruszyła się; wpatrywała się w niego, niezdolna uwierzyć w to, co jej przed chwilą powiedział. Ale to była prawda. Bajkowe życie nagle zmieniło się w horror.

- Sądziłem, że nigdy nas nie złapią. - Wzruszył ramionami. Jemu też wydawało się to nieprawdopodobne, ale z zupełnie innych powodów niż Sarze. Nic nie rozumiał. Nie miał pojęcia, jak bardzo czuła się zdradzona, zraniona jego wyznaniem.

- Nawet gdyby cię nie złapali, jak mogłeś postąpić tak nieuczciwie? Złamałeś wszystkie możliwe prawa, wprowadzając inwestorów w błąd co do swoich aktywów. A jeśli byś stracił wszystkie ich pieniądze?

- Sądziłem, że uda mi się wyrównać różnicę. Zawsze mi się udawało. Właściwie o co ty masz do mnie pretensje? Sama widziałaś, jak szybko się wybiłem. A niby skąd to się wzięło?

- Wskazał szerokim gestem piękną sypialnię, i Sara zrozumiała nagle, że w ogóle go nie znała. Myślała, że go zna, ale to nie była prawda. Zupełnie jakby Seth, za którego wyszła za mąż, zniknął, a na jego miejsce pojawił się ten przestępca.

- Co się stanie z tym wszystkim, jeśli pójdziesz do więzienia? - Wychodząc za niego nie spodziewała się, że mąż osiągnie aż taki sukces; rzeczywiście teraz żyli na bardzo wysokiej stopie. Jeden dom w mieście, drugi w Tahoe, samolot, samochody, akcje, biżuteria. Zbudował pałac z kart, który lada moment miał się zawalić. Sara wiedziała, że może

być źle, nie miała tylko pojęcia, jak bardzo. Seth patrzył na nią, zdenerwowany i zawstydzony. I słusznie.

- Cóż, pewnie wszystko przepadnie - odparł bez owijania w bawełnę. - Nawet jeśli nie pójde do więzienia. Będę musiał zapłacić grzywny i odsetki od pieniędzy, które pożyczyłem.

- Nie pożyczyłeś, tylko przywłaszczyłeś. A Sully nie miał prawa ci ich dawać. To pieniądze inwestorów, a nie jego czy twoje. Zawarłeś układ ze swoim kolegą, by móc okłamywać ludzi. To jeden wielki szwindel, Seth. - Oczywiście dla dobra własnego i dzieci nie chciała, by został przyłapany, ale wiedziała, że byłaby to sprawiedliwa kara.

- Dzięki za wykład z etyki - rzucił gorzko. - Tak czy inaczej, odpowiadając na twoje pytanie: wszystko zapewne trafi szlag, i to szybko. Prawdopodobnie zajmą większość naszego majątku, albo nawet wszystko. Domy, samochody, samolot i całą resztę. Jeżeli nawet nie zabiorą wszystkiego, resztę trzeba będzie sprzedać. - Mówił to niemal rzeczowym tonem, jakby planował kolejny interes. Gdy tylko ziemia zatrzęsa się poprzedniej nocy, wiedział, że to koniec.

- A z czego będziemy żyli?

- Pewnie przyjdzie się zapożyczać u przyjaciół. Nie wiem, Saro. Coś wymyślimy. Dzisiaj nic nam nie grozi. Nikt nie wywlecze mnie bez ostrzeżenia z tego zrujnowanego miasta. Musimy po prostu poczekać, nie wiadomo co przyniesie przyszły tydzień.

Sara czuła się tak, jakby cały ich świat miał się lada chwila rozpaść. Nie dało się tego uniknąć po wszystkich machlojkach, których się dopuścił. Jego działania zagroziły bytowi rodziny w najgorszy możliwy sposób.

- Myślisz, że zabiorą dom? - W nagłym przypływie paniki rozejrzała się po pokoju. To było gniazdo, które stworzyła. Nie zależało jej na luksusach, ale tutaj mieszkali, tu przyszły na świat ich dzieci. Perspektywa utraty domu przerażała Sarę

najbardziej. Jeśli Sethem zajmie się wymiar sprawiedliwości, w jednej chwili staną się nędzarzami. Przez głowę przebiegały jej gorączkowe myśli. Będzie musiała znaleźć pracę, jakieś mieszkanie. A gdzie będzie Seth? W więzieniu? Jeszcze kilka godzin temu pragnęła tylko, by jej dzieci nie ucierpiały od trzęsienia ziemi, by dom nie zawalił im się na głowy. Nagle, po rewelacjach Seta, zawaliło się wszystko, a dzieci mogły się okazać jedynym dobrem, jakie im pozostało. Nie wiedziała już nawet, kim jest jej mąż. Od czterech lat żyła z mężczyzną, którego nie знаła. A przecież był ojcem jej dzieci. Ufała mu, kochała go.

Wybuchnęła płaczem. Seth podszedł, by ją objąć, ale nie pozwoliła mu na to. Teraz nie wiedziała już, czy jest sojusznikiem czy wrogiem. Naraził rodzinę na takie ryzyko. Była wściekła i załamana jego postawą.

- Kocham cię, maleńka - szepnął Seth. Spojrzała na niego z osłupieniem.

- Jak możesz tak mówić? Popatrz, co nam zrobiłeś. Nie tylko sobie i mnie, ale i dzieciom. Możemy się znaleźć na ulicy. A ty skończysz w więzieniu. - To ostatnie było niemal pewne.

- Może nie będzie tak źle - próbował ją pocieszyć, ale ona zbyt wiele wiedziała o sposobach działania Komisji Papierów Wartościowych. Groziła mu surowa kara. Jeśli Seth wyląduje za kratkami, ich życie już nigdy nie będzie takie samo.

- I co my teraz zrobimy? - zapytała żałośnie, wydmuchując nos w chusteczkę. Nie przypominała już olśniewającej urodą damy z poprzedniego wieczoru. Teraz była tylko śmiertelnie przerażoną, zgnębianą kobietą. Siedziała na łóżku, zapłakana, bosa, w swetrze zarzuconym na wieczorową suknię. Wyglądała jak nastolatka, której zawalił się świat. Bo też naprawdę się zawalił, i zawdzięczała to własnemu mężowi.

Wyjęła spinkę z francuskiego koka, rozpuszczając ciemne włosy na ramiona. Wydawała się o połowę młodsza niż w rzeczywistości, gdy tak siedziała bezradnie, wbijając w męża spojrzenie pełne wściekłości i rozpacz. Czuła się zdradzona jak jeszcze nigdy w życiu. I nie chodziło o styl życia czy pieniądze, które mogli stracić, choć i to się liczyło. Seth obrabował ich ze szczęścia, które budowała z takim wysiłkiem, z poczucia bezpieczeństwa - najważniejszej rzeczy dla niej i dla dzieci. Pożyczając pieniądze od Sully'ego Markhama, postawił na szali to wszystko. I wraz ze swoim życiem wysadził w powietrze także jej życie.

- Cóż, możemy tylko czekać - bąknął Seth. Podszedł do okna. Poniżej, w mieście, szalały pożary, a w świetle porannego słońca wyraźniej się widziało ogrom zniszczeń. Powalone drzewa, oberwane balkony, kominy pozwalane z dachów. Wokół budynków chodzili oszołomieni ludzie. Ale nikt nie był tak ogłuszony jak Sara, płacząca w sypialni. Kończyło się bajkowe życie - teraz była to tylko kwestia czasu - a być może także ich małżeństwo.

## Rozdział 4

Tej nocy Melanie jeszcze długo została przed Ritzem, pomagając ludziom. Odszukała matkę dwu zagubionych dziewczynek. Wiele osób skierowała do sanitariuszy. Niewiele mogła zrobić. Nie była wyszkoloną pielęgniarką jak siostra Mary Magdalen, ale starała się pocieszać, uspokajać. Jeden z członków zespołu przez jakiś czas krążył z nią potem jednak poszedł do schronu. Wiedział, że Melanie jest dużą dziewczynką i potrafi się o siebie zatroszczyć. Nie został z nią nikt z ekipy. Wciąż miała na sobie kostium sceniczny i marynarkę Everetta Carsona, ubrudzoną już kurzem i krwią. Ale dobrze się czuła, będąc tutaj. Po raz pierwszy od długiego czasu, mimo pyłu unoszącego się w powietrzu, oddychała pełną piersią.

Gdy się zmęczyła, usiadła z tyłu wozu strażackiego, by zjeść pączka z kawą i porozmawiać ze strażakami o tym, co stało się dzisiejszej nocy. A oni, choć zachwyceni, wprost nie mogli uwierzyć, że piją kawę z Melanie Free.

- No więc, jak to jest być tobą? - zapytał jeden z młodszych strażaków. Urodził się w San Francisco, wychował w Mission. Ojciec i dwóch braci byli policjantami, a dwaj pozostali bracia też pracowali w straży. Siostry wyszły za mąż zaraz po szkole. Życie Melanie nie mogło chyba bardziej różnić się od życia, jakie znał, choć gdy siedziała tak, popijała kawę, jadła pączka i gawędziła swobodnie, wyglądała jak każda inna dziewiętnastolatka.

- Czasami jest zabawnie - przyznała. - Ale czasami do bani. Mnóstwo pracy, wielki stres, szczególnie kiedy gramy koncerty. Dziennikarze to wrzód na tyłku. - Wszyscy roześmiali się na tę uwagę, a Melanie sięgnęła po kolejnego pączka. Strażak, który zadał jej pytanie, miał dwadzieścia dwa lata i trójkę dzieci, i choć kochał swoją rodzinę, uważał, że życie gwiazdy jest o wiele ciekawsze niż jego egzystencja.



- A ty? - zapytała go Melanie. - Lubisz swoją pracę?

- Właściwie tak. Szczególnie w takich momentach, jak ten. Człowiek naprawdę ma poczucie, że robi coś pożytecznego, coś dobrego. To o wiele lepsze niż gaszenie jakiegoś marnego pożaru w Bay View, kiedy miejscowi sami podkładają ogień, żeby móc rzucać w ciebie butelkami od piwa czy postrzelać sobie do celu. Ale na szczęście nie zawsze tak jest.

- Strażacy to niezłe przystojniaki - stwierdziła Melanie, chichocząc. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio zjadła dwa pączki naraz. Mama by ją zabiła. W przeciwieństwie do Janet, ona bez przerwy była na diecie. To jedno z wielu wyrzeczeń, jakie ponosiła dla sławy.

- Z ciebie też jest niezły cukiereczek - powiedział starszy strażak, mijając ją. Właśnie spędził cztery godziny wyciągając ludzi uwieczonych w windzie. Jedna z kobiet zemdląła, ale inni trzymali się dzielnie i nikt nie ucierpiał. To była długa noc dla wszystkich. Melanie pomachała, kiedy dwie dziewczynki, którym pomogła odnaleźć mamę, przeszły obok niej w drodze do schronu. Ich matka po prostu osłupiała, kiedy się zorientowała, kim jest Melanie. Nawet z potarganymi włosami i usmoloną twarzą ludzie z łatwością rozpoznawali w niej gwiazdę.

- Męczy cię czasem, że wszyscy cię rozpoznają? - zapytał któryś ze strażaków.

- Och, jeszcze jak. Mój chłopak tego nie cierpi. Raz rozkwasił nos jednemu fotografowi i wylądował w areszcie. Strasznie mu to działa na nerwy, kiedy ktoś jest namolny.

- Na to wygląda - odparł strażak i wrócił do swoich zajęć. Wszyscy namawiali ją, żeby jednak poszła do schronu, będzie tam bezpieczniejsza. Przez całą noc pomagała gościom hotelowym i przypadkowym osobom, ale Centrala Służb Ratunkowych zalecała mieszkańcom, by udawali się jednak

do wyznaczonych punktów zbornych. Wszędzie walały się odpadki, potraskane szkło, żelastwo i wielkie kawały gruzu z uszkodzonych budynków. Ulica rzeczywiście stanowiła zagrożenie.

Najmłodszy ze strażaków zaoferował się, że odprowadzi ją do schronu. Zgodziła się, choć niechętnie. Była siódma rano, Melanie wiedziała, że matka na pewno jest już chora ze zmartwienia i pewnie histeryzuje, nie wiedząc, gdzie ona się podziewa. W drodze gawędziła bez skrępowania ze strażakiem, aż dotarli do kościoła, gdzie kierowano ludzi. Budynek pękał w szwach. Wolontariusze z Czerwonego Krzyża i z parafii serwowali śniadanie. Melanie wątpiła, czy znajdzie matkę w takim tłumie. Zostawiła strażaka przy drzwiach, podziękowała mu za eskortę i zaczęła kluczyć między ludźmi, szukając kogoś znajomego. Setki osób siedziały na podłodze, rozmawiając, śmiejąc się i rozpaczając.

W końcu odnalazła Janet, Ashley i Pam. Bardzo się martwiły o Melanie. Matka pisnęła głośno na jej widok. Omal nie zgmiotła córki w objęciach, po czym zbesztła ją głośno za to, że zniknęła na całą noc.

- Na litość boską, Mel, myślałam, że nie żyjesz. Że poraził cię prąd albo że jakiś kawałek betonu trafił cię w głowę.

- Nie, ja pomagałam ludziom - odparła cicho Melanie. Jej głos zawsze stawał się niemal niesłyszalny, gdy w pobliżu była matka. Zauważyła, że Ashley jest strasznie blada. Biedaczka przeraziła się śmiertelnie podczas trzęsienia i jeszcze nie wyszła z szoku. Przez całą noc siedziała skulona obok Jake'a, choć większą pociechę miałyby pewnie z kłody drewna - chłopak Melanie odsypiał w najlepsze to wszystko, co wypił i wypalił przed katastrofą.

Kiedy usłyszał pisk Janet, otworzył jedno oko i spojrzał na Melanie. Miał kaca giganta. Nie pamiętał jej występu, może

go nawet nie widział, choć z całą pewnością zapamiętał dziki taniec podłogi pod stopami.

- Fajna marynara - stwierdził, przyglądając się spod zmrużonych powiek jej strojowi. - Gdzie się podziewałaś? - Wydawał się raczej zaciekawiony niż zaniepokojony.

- Byłam zajęta. - Nie schyliła się, by dać mu całusa. Wyglądał fatalnie. Całą noc przespał na podłodze, z kurtką zwiniętą pod głową zamiast poduszki. Większość ekipy technicznej i chłopaków z zespołu spała obok niego.

- Nie bałaś się zostać na dworze? - zapytała Ashley z przerażoną miną. Melanie pokręciła głową.

- Nie. Masa ludzi potrzebowała pomocy. Zgubione dzieci, ranni. Mnóstwo osób pokaleczyło się szkłem. Robiłam, co się dało.

- Na litość boską, nie jesteś pielęgniarzką - napadła na nią matka. - Jesteś gwiazdą. Gwiazdy nie biegają po ulicy żeby wycierać ludziom nosy. - Spojrzała na nią gniewnie. Nie podobał jej się taki wizerunek córki.

- Dlaczego nie, mamó? Co jest złego w pomaganiu ludziom? Tam było tylu przerażonych biedaków, którzy potrzebowali, by ktoś udzielił im choćby drobnej pomocy.

- Niech inni zajmują się takimi rzeczami - skomentowała Janet, kładąc się obok Jake'a. - Chryste, ciekawe, jak długo będziemy tu tkwić. Mówili, że lotnisko jest nieczynne z powodu uszkodzeń wieży kontrolnej. Ale mam nadzieję, że odeślą nas stąd jak najszybciej jakimś prywatnym samolotem. - Takie sprawy były dla niej ogromnie ważne. Zawsze starała się maksymalnie wykorzystać wszelkie przywileje, jakie im oferowano. Zależało jej na tym o wiele bardziej niż córce. Melanie byłaby równie szczęśliwa w autokarze Greyhounda.

- Kogo to obchodzi, mamó? Może wynajmiemy samochód i pojedziemy do domu. Nie spieszy nam się aż tak bardzo. Sesję nagraniową mam dopiero za dwa tygodnie.

- Ale ja nie mam zamiaru leżeć przez dwa tygodnie na podłodze kościoła. Plecy mi pękają z bólu. Muszą nas umieścić w jakimś przyzwoitszym miejscu.

- Wszystkie hotele są zamknięte, mamó. Nie ma prądu, nie działają lodówki. - Melanie wiedziała to od strażaków. - Tu przynajmniej jesteśmy bezpieczni.

- Ja chcę wracać do Los Angeles - narzekała matka. Asystentka obiecała się dowiedzieć, kiedy lotnisko zostanie otwarte. Pam podziwiała Melanie, że całą noc pomagała ludziom. Ona spędziła te godziny przynosząc Janet koce, papierosy i kawę, którą przygotowywano na gazowych kuchenkach w refektarzu. Ashley nie przydała się na wiele; ze zdenerwowania dwa razy zwymiotowała, a Jake spił się do nieprzytomności. To dla wszystkich była ciężka noc, ale przynajmniej przetrwali ją bez szwanku.

Fryzjerka i menedżerka Melanie w przedniej części nawy rozdawały kanapki, ciastka i butelki z wodą. Jedzenie szybko się skończyło, choć ogromna kuchnia parafialna pracowała pełną parą, dokarmiając bezdomnych. Gdy zabrakło kanapek, rozdawano puszkowanego indyka, szynkę i suszoną wołowinę, ale było oczywiste, że niedługo zapasy się skończą. Melanie nie przejmowała się tym. Nie była głodna.

W południe zapowiedziano wszystkim, że zostaną przeniesieni do obozu w parku Presidio. Mieli turami opuszczać kościół i jechać na miejsce podstawianymi autobusami. Rozdano im koce, śpiwory i środki higieniczne. Nie było tego wiele, ale liczył się każdy drobiazg, jako że ogromna większość uciekinierów przyszła do kościoła bez żadnych rzeczy osobistych.

Ekipa Melanie dostała się do autobusu dopiero o trzeciej po południu. Jej udało się przespać kilka godzin i czuła się całkiem nieźle, gdy pomagała matce zwinąć koce i obudzić Jake'a.

- Chodź, Jakey, jedziemy. - Zastanawiała się, co właściwie łyknął poprzedniego wieczoru. Przez cały dzień spał jak zabity, i teraz wciąż jeszcze wyglądał na skacowanego. Był przystojnym chłopakiem, ale kiedy wstał i toczył wokół nieprzytomnym wzrokiem, wyglądał okropnie.

- Jezu, co za koszmarny film. To wygląda jak plan któregoś z tych katastroficznych gniotów, a ja czuję się jak statysta. Ani się obejrzeć, jak ktoś pomaluje mi twarz krwią i owinie łeb bandażem.

- Wyglądałbyś świetnie nawet zakrwawiony i w bandażach - zapewniła go Melanie, zaplatając włosy w warkocz.

Matka przez całą drogę do autobusu narzekała na złe traktowanie. Czy nikt nie wiedział, kim są? Melanie próbowała jej tłumaczyć, że tak naprawdę nikogo to nie obchodzi. Byli po prostu grupką ludzi, którzy przeżyli trzęsienie ziemi i niczym nie różnili się od całej reszty.

- Zamknij buzię, młoda damo - zbeształa ją Janet. - Gwiazda nie powinna mówić takich rzeczy.

- Tutaj nie jestem gwiazdą, mamó. Ludzie mają w nosie, czy umiem śpiewać. Są zmęczeni, głodni i przerażeni, wszyscy chcą wrócić do domów, tak samo jak my. Nie jesteśmy tu wyjątkowi.

- Święta racja, Melanie - poparł ją któryś z muzyków. Gdy wsiadali do autobusu, jakieś dwie nastolatki rozpoznały piosenkarkę i zaczęły piszczeć. Dała im autografy, choć wydawało jej się to idiotyczne w tej sytuacji. Półnaga, brudna, w sfatygowanej marynarce od smokingu i podartej sukience wcale nie czuła się gwiazdą.

Do Presidio dojechali po dwudziestu minutach i zostali skierowani do starych wojskowych hangarów, w których wolontariusze z Czerwonego Krzyża porozstawiali polowe łóżka i urządzili mesę. W jednym z hangarów założono

szpital polowy, obsadzony przez ochotniczy personel medyczny, sanitariuszy z Gwardii Narodowej i wszelkiej maści ochotników.

- Może wywiozą nas stąd helikopterem - powiedziała Janet, siadając na pryczy, przerażona warunkami. Jake i Ashley poszli coś zjeść. Pam zaoferowała się, że przyniesie posiłek Janet, która stwierdziła, że jest zbyt zmęczona i zestresowana, by ruszyć się z łóżka. Była o wiele za młoda na to, żeby dać się obsługiwać, ale po prostu nie widziała powodu, by stać godzinami w kolejce po obrzydliwy obiad. Muzycy i technicy wyszli na dwór zapalić. Gdy wszyscy się rozeszli, Melanie cicho przemknęła się między ludźmi do biurka stojącego przy wejściu do hangaru. Cichym głosem zaczęła rozmawiać z kobietą w panterce i wojskowych butach, która zarządzała kwaterą - sierżantem rezerwy Gwardii Narodowej. Kobieta spojrzała zaskoczona na Melanie.

- Co pani tutaj robi? - zapytała z ciepłym uśmiechem. Nie użyła nazwiska Melanie. Nie musiała. Natychmiast rozpoznała gwiazdę.

- Wczoraj grałam koncert charytatywny - odparła cicho Melanie. - I utknęłam tu, jak wszyscy inni.

- Co mogę dla pani zrobić? - Kobieta była zachwycona, że rozmawia ze sławną artystką.

- Chciałam zapytać, jak mogłabym pomóc. - Melanie uznała, że lepiej robić coś pożytecznego, niż siedzieć na łóżku polowym i wysłuchiwać marudzenia matki. - Potrzebujecie wolontariuszy?

- O ile się orientuję, w mesie już skompletowano sporą grupę, która gotuje i wydaje posiłki. Niedaleko jest szpital polowy, ale nie wiem, czy potrzebują ochotników. Mogę panią posadzić za biurkiem, jeśli pani chce. Ale ludzie nie dadzą pani spokoju, kiedy panią rozpoznają. - Melanie pokiwała głową. Sama o tym pomyślała.

- Najpierw spróbuję w szpitalu.  
- Świetnie. Proszę do mnie zajrzeć później, jeśli tam nie pani nie znajdzie. Mamy tu istne zoo, od kiedy zaczęły przyjeżdżać autobusy. Do wieczora spodziewamy się w Presidio kolejnych pięćdziesięciu tysięcy osób. Zwożą tu ludzi z całego miasta.

- Dzięki. - Melanie wróciła, by zajrzeć do matki. Janet leżała na pryczy i jadła loda na patyku, którego przyniosła jej Pam. W drugiej ręce trzymała torbę ciastek.

- Gdzie byłaś? - Spoglądała podejrzliwie na córkę.

- Poszłam się rozejrzeć - odparła wymijająco Melanie. - I jeszcze chcę coś sprawdzić. Wrócę niedługo. - Gdy ruszyła do wyjścia, Pam poszła za nią. Melanie wyjaśniła asystentce, że idzie do szpitala, by się zorientować, czy nie potrzebują wolontariuszy.

- Jesteś pewna? - zapytała Pam z niepokojem.

- Jestem. Nie chcę tu siedzieć bezczynnie i słuchać marudzenia mamy. Może się na coś przydam.

- Słyszałam, że obóz jest świetnie obsadzony personelem z Gwardii Narodowej i Czerwonego Krzyża.

- Może. Ale pomyślałam sobie, że w szpitalu mogą potrzebować więcej rąk do pracy. Tu nie ma wiele więcej do roboty, poza wydawaniem wody i jedzenia. Wrócę niedługo, a jeśli nie, znajdziesz mnie w szpitalu. To niedaleko. - Pam skinęła głową i wróciła do Janet, która oznajmiła, że boli ją głowa i zażyczyła sobie aspiryny, którą rozdawano w mesie. Mnóstwo ludzi skarżyło się na bóle głowy z powodu kurzu, stresu i traumatycznych przeżyć. Pam też miała migrenę, nie tylko po ciężkiej nocy, ale i od nieustannych żądań Janet.

Melanie wyszła z budynku po cichu, niezauważona, ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach marynarki. Zdziwiła się, gdy w jednej z kieszeni znalazła monetę. Nie zauważyła jej wcześniej. Wyjęła ją i obejrzała. Na awersie widniała

rzymska cyfra I i litery AA, a na rewersie Modlitwa o Spokój. Domyśliła się, że znaczek należy do Everetta Carzona, fotografa, właściciela marynarki, więc schowała go z powrotem. Chętnie by ją zwróciła, ale nie miała jak.

Idąc brukowanym chodnikiem pożałowała, że nie ma wygodniejszych butów. Chodzenie po wybojach w butach na platformie było prawdziwym wyzwaniem.

Do szpitala polowego dotarła w niecałe pięć minut. W hangarze wrzało jak w ulu. Generator oświetlał halę, zdumiewająco dobrze wyposażoną w sprzęt wyciągnięty z magazynów bazy wojskowej i przysłany z okolicznych szpitali. Wszystko było doskonale zorganizowane i wyglądało bardzo profesjonalnie, wszędzie kręcili się ludzie w białych kitlach, mundurach Gwardii Narodowej i z opaskami Czerwonego Krzyża. Czego ona tu szukała? Poczula się głupio, że zachciało jej się bawić w wolontariuszkę.

Przy wejściu urządzono recepcję, podobnie jak w hangarze, w którym wyznaczono jej miejsce do spania. Zapytała żołnierza przy biurku, czy nie potrzebują pomocy.

- Jasne, że tak. - Uśmiechnął się szeroko. Miał akcent z głębokiego Południa i zęby jak klawisze fortepianu, wyszczerzone w uśmiechu. Melanie odetchnęła z ulgą, że jej nie rozpoznał. Poszedł zapytać kogoś, gdzie potrzeba ochotników. Wrócił po minucie.

- Masz ochotę popracować z bezdomnymi? Przywożą ich tu od rana. - Z czasem okazało się, że najwięcej ran odnieśli ludzie ulicy.

- Może być. - Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Mnóstwo bezdomnych odniosło obrażenia, bo spali w bramach. Zszywamy ich od wielu godzin. Zresztą nie tylko zszywamy. - Bezdomni pacjenci stanowili niemałe wyzwanie. Wielu z nich było w kiepskim stanie jeszcze przed trzęsieniem ziemi, nie brakowało osób upośledzonych umysłowo, które



wymagały szczególnej opieki. Ale Melanie nie dała się zniechęcić. Żołnierz nie powiedział jej o człowieku, który stracił nogę - spadająca szyba odcięła ją jak nożem, ale tego pacjenta przewieziono gdzieś karetką. Szpital polowy zajmował się głównie drobnymi ranami, a poszkodowanych nie dało się zliczyć.

Dwie wolontariuszki z Czerwonego Krzyża prowadziły rejestrację. Pracownicy socjalni starali się udzielać nie tylko doraźnej pomocy. Prowadzili zapisy do miejskich programów do walki z bezdomnością, proponowali miejsca w stałych schroniskach, ale nawet jeśli ktoś się kwalifikował, wiele osób zwyczajnie nie było tym zainteresowanych. Znaleźli się w Presidio, bo nie mieli dokąd pójść, tak jak wszyscy inni. Poza tym tutaj każdy dostawał łóżko i darmowe jedzenie, każdy mógł się umyć - cały jeden hangar przeznaczono na prysznice.

- Może damy ci coś innego do ubrania? - zapytała jedna z ochotniczek. - To musiała być niezła kiecka. Ale kiedy ta marynarka się rozchyli, ktoś może dostać zawału. - Parsknęła śmiechem. Melanie jej zawtórowała, spoglądając na swoje bujne piersi. Zupełnie zapomniała, że sukienkę ma w strzępach.

- Świetnie. Przydałyby się też jakieś buty, jeśli cokolwiek macie. W tych niewygodnie się chodzi.

- Nie dziwię się - mruknęła ochotniczka. - Z tyłu hangaru jest chyba z tona japonek. Ktoś podarował je nam dla tych, którzy uciekli z domów na bosaka. Cały dzień wyjmujemy ludziom szkło ze stóp. - Melanie z wdzięcznością przyjęła tę propozycję. Ktoś dał jej spodnie w panterkę i T-shirt. Na koszulce widniał napis „U Harveya - Dyskont Spożywczy”; spodnie okazały się za duże, przewiązała je więc znalezionym kawałkiem sznurka. Włożyła japonki, po czym wyrzuciła swoje buty, sukienkę, i marynarkę. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy Everetta, poza tym marynarka i tak nie

nadawała się już do użytku. W ostatniej chwili przypomniała sobie o znaczku AA i schowała go do kieszeni spodni. Ten metalowy krążek traktowała teraz jak szczęśliwy talizman; pomyślała, że jeśli jeszcze kiedykolwiek spotka Everetta, odda mu go zamiast marynarki.

Pięć minut później miała już w ręce podkładkę do pisania i rejestrowała pacjentów. Rozmawiała z mężczyznami, którzy od lat mieszkali na ulicy i cuchnęli alkoholem, z bezzębnymi kobietami uzależnionymi od heroiny, ale też z rannymi dziećmi, które przyprowadzili rodzice mieszkający w Marina i Pacific Heights. Przychodzili tu młodzi, starzy, bogaci i biedni. Ludzie różnych ras, narodowości. Był to przekrój miasta, prawdziwe życie w całej okazałości. Niektórzy wciąż krążyli jak błędni, w szoku, opowiadając o zawałonych domach; inni, ze zwichniętymi czy złamanymi nogami, kuśtykali, podpierając się, czym się dało. Wiele osób miało zagipsowane ręce.

Melanie pracowała wiele godzin, nie robiąc sobie nawet przerwy, by coś zjeść i odpocząć. Nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa, choć nigdy nie harowała tak ciężko. Była już prawie północ, kiedy zapanował względny spokój. A ona była na nogach od ośmiu godzin bez przerwy, i nie miała nic przeciwko temu.

- Hej, blondasko! - krzyknął na nią jakiś starszy człowiek. Zatrzymała się przy jego łóżku, by podać mu laskę. Uśmiechnęła się do niego. - Co tu robi taka ładna dziewczuszka? Zaciągnęłaś się do wojska?

- Nie, tylko pożyczyłam spodnie. Co mogę dla pana zrobić?

- Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi dojść do kibelka. Znajdziesz mi jakiegoś chłopaka?

- Jasne. - Złapała jednego z rezerwistów Gwardii Narodowej i przyprowadziła go do staruszka. Mężczyźni

wyruszyli w stronę przenośnych latryn ustawionych na tyłach. Chwilę później usiadła po raz pierwszy tego wieczoru i z ulgą przyjęła butelkę wody od jednego z wolontariuszy.

- Dzięki. - Umierała z pragnienia, ale od wielu godzin nie miała czasu się napić. Ostatni posiłek jadła w południe, lecz nie czuła głodu. Była zbyt zmęczona.

Gdy odpoczywała przed powrotem do pracy, popijając wodę, przemknęła obok niej drobna, rudowłosa kobieta w dżinsach, różowych trampkach i jaskraworóżowej bluzie z napisem „Jezus nadchodzi. Udawaj zajętego”. Kobieta spojrzała na Melanie świątlistymi niebieskimi oczami i jej twarz się rozpromieniła.

- Podobał mi się twój koncert wczoraj wieczorem - szepnęła.

- Naprawdę? Byłaś tam? - Widocznie tak, skoro to powiedziała. Melanie była wzruszona. Wydawało jej się, że od występu i trzęsienia ziemi minęły już całe wieki. - Dziękuję. Mielśmy rozrywkowy wieczór, co? Nic ci się nie stało? - Rudowłosa kobieta nie wyglądała na ranną. Niosła tacę z bandażami, plastrem i parą nożyczek chirurgicznych. - Jesteś z Czerwonego Krzyża?

- Nie, jestem pielęgniarką. - Wyglądała raczej jak dzieciak na obozie w tych swoich różowych trampkach. Miała też krzyżyk na szyi. Melanie uśmiechnęła się, czytając napis na bluzie. Nieznajoma z pewnością wyglądała na zajętą.

- A ty jesteś wolontariuszką? - zapytała. Przydałaby jej się pomoc. Od wielu godzin zszywała drobne skaleczenia i odsyłała ludzi do pozostałych budynków, by znaleźli sobie miejsce do spania. Personel starał się jak najszybciej wypychać tłumy przychodzące do szpitala, by nie zginąć w bałaganie. Najcięższe przypadki wywożone były do szpitali dysponujących sprzętem do intensywnej terapii, a ludzi z mniej groźnymi obrażeniami odsyłano do dormitoriów, żeby

nie blokowali łóżek potrzebnych dla poważnie rannych. Jak na razie system się sprawdzał.

- Nie, po prostu wylądowałam tutaj, jak wszyscy, więc pomyślałam, że się na coś przydam - wyjaśniła Melanie.

- Dzielna dziewczyna. A dasz radę patrzeć, jak zszywam ludzi? Mdlejesz na widok krwi?

- Na razie mi się nie zdarzyło. - Od wczorajszego wieczoru widziała mnóstwo krwi i jakoś nie czuła żadnych sensacji, choć i Ashley, i Jake'a, i jej matkę mdliło na sam widok.

- Świetnie. Więc możesz mi pomóc. - Poprowadziła Melanie w głąb hangaru, gdzie urządziła sobie niewielkie stanowisko z zaimprovizowanym stołem zabiegowym i sterylnym sprzętem. Ludzie stali w kolejce, czekając na zszywanie. Po paru minutach Melanie, z rękami wyszorowanymi mydłem przeciwbakteryjnym, podawała już środki opatrunkowe, a jej nowa znajoma zakładała pacjentom szwy. Rany były w większości powierzchowne, z kilkoma wyjątkami. Rudowłosa pielęgniarka nie odpoczywała ani chwili. Około drugiej nad ranem sytuacja trochę się uspokoiła, więc usiadły, by napić się wody i porozmawiać chwilę.

- Ja znam twoje imię - powiedziała kobieta. - Ale sama zapomniałam się przedstawić. Jestem Maggie. Siostra Maggie - dodała.

- Siostra? Zakonna? - Melanie patrzyła na nią, osłupiała. Nawet jej do głowy nie przyszło, że ten zjawiskowy skrzat w różowych ciuchach, z płomienistymi włosami, może być zakonnica. Nic tego nie sugerowało, może z wyjątkiem krzyżyka na szyi, ale krzyżyk mógł nosić każdy. - Nie wyglądasz na zakonnice. - Maggie roześmiała się. W dzieciństwie Melanie chodziła do katolickiej szkoły i uważała, że niektóre siostry bywają całkiem fajne, przynajmniej te młode. Wszyscy się zgadzali, że stare są wredne, ale nie

powiedziała tego Maggie. W niej nie było nic wrednego, jakby cała składała się z blasku słońca, uśmiechów i radości, i ciężkiej, ciężkiej pracy. Melanie uważała, że jej podejście do ludzi jest naprawdę urocze.

- Wyglądam. W tych czasach zakonnice mają taki właśnie wizerunek.

- Na pewno nie w mojej szkole. Masz świetną bluzę.

- Jakieś dzieciaki mi ją dały. Nie wiem, czy biskup by ją pochwalił, ale przynajmniej rozśmiesza ludzi. Pomyślałam sobie, że dzisiaj warto ją włożyć. Miasto jest bardzo zniszczone, wielu ludzi straciło domy. Przyda im się trochę pogody ducha. A ty gdzie mieszkasz, Melanie? - Dopily wodę i zaczęły się zbierać.

- W Los Angeles. Z mamą.

- To miło - pochwaliła Maggie. - Nie sądziłam, że taka gwiazda może chcieć mieszkać z mamą. Dobrze, że nie pakujesz się w kłopoty, jak to się czasem słyszy. Masz chłopaka? - Melanie kiwnęła głową z uśmiechem.

- On też tu jest. Pewnie śpi w hangarze, do którego nas przydzielili. Mama też ze mną przyjechała, i moja przyjaciółka. No i oczywiście chłopaki z zespołu, i parę innych osób, które dla mnie pracują.

- Niezła ekipa. A ten twój chłopak jest fajny? - Siostra Maggie spojrzała na nią badawczo. Melanie zawahała się chwilę.

- Bywa. Ma swoje problemy. I czasem mi to przeszkadza.

- Maggie wyczytała między wierszami, że pewnie pił za dużo albo zażywał narkotyki. Ale o wiele bardziej zaskakiwało ją, że Melanie tego nie robiła. I że została wolontariuszką w szpitalu, że chciała się przydać i naprawdę się przydawała. Ciekawe, co siedzi w tej dziewczynie. Wydawała się taka miła, bystra, rozsądna, odpowiedzialna, i nikt nie domyśliłby się, że to gwiazda estrady. Sławne artystki raczej nie grzeszą

bezpretensjonalnością czy pokorą. Ona zachowywała się jak zwykła nastolatka, nie jak najpopularniejsza piosenkarka. Maggie zachwyciła jej osobowość.

- Przykra sprawa - stwierdziła, po czym powiedziała Melanie, że dość się już napracowały. Dziewczyna była na nogach niemal jedenaście godzin, a przecież ostatniej nocy też prawie nie spała. Kazała jej wracać do hangaru i odpocząć, żeby następnego dnia mogła dobrze funkcjonować. Sama zamierzała się przespać na pryczy w części szpitala wydzielonej dla wolontariuszy i personelu medycznego. Planowano przeznaczyć dla nich osobny budynek, ale nie został jeszcze urządzony.

- Mam przyjść jutro? - zapytała z nadzieją Melanie. Praca tu bardzo jej odpowiadała, czuła się naprawdę użyteczna, perspektywa czekania w obozie na możliwość powrotu do domu nie była już tak przygnębiająca.

- Przyjdź, kiedy tylko się obudzisz. Zjedz śniadanie w mesie. Ja będę tutaj. Możesz dołączyć w każdej chwili.

- Dziękuję. - Melanie wciąż nie mogła uwierzyć, że rozmawia z zakonnicą. - Do jutra, siostrze.

- Dobranoc, moja droga. - Maggie uśmiechnęła się ciepło. - Dziękuję za pomoc. - Melanie pomachała, wychodząc ze szpitala.

Maggie zamyśliła się. Czuła, że ta śliczna dziewczyna szuka czegoś, że w jej życiu brakuje jakiegoś ważnego elementu. Aż trudno było dać temu wiarę w wypadku kogoś obdarzonego takim głosem i urodą, kogoś, kto w bardzo młodym wieku odniósł wielki sukces. Ale czegokolwiek szukała, Maggie miała nadzieję, że to znajdzie. Poszła odmeldować się w recepcji i poszukać sobie jakiegoś miejsca do spania.

Melanie wracała do swojej ekipy w dobrym nastroju. Praca z siostrą Maggie sprawiła jej ogromną przyjemność.

Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że ta pełna życia kobieta może być zakonnicą. Chciałaby mieć taką matkę - pełną współczucia, ciepła i mądrości. Janet wiecznie czegoś wymagała; cudzymi rękami realizowała własne niespełnione sny. Melanie doskonale wiedziała, że jej matka chciała być gwiazdą i uważała się za nią skoro córka osiągnęła sukces. Dla Melanie stanowiło to ciężkie brzemię. Wcielała w życie cudze marzenia, zamiast własnych. Sama nie była nawet pewna, o czym marzy. Wiedziała tylko, że przez tych kilka ostatnich godzin, mocniej niż kiedykolwiek na scenie, czuła, że dogoniła swoje marzenia w zrujnowanym San Francisco.

## Rozdział 5

Następnego ranka Melanie przyszła do szpitala polowego o dziewiątej. Przyszłaby wcześniej, ale zatrzymała się, by wysłuchać komunikatu nadawanego przez system megafonów na głównym placu. Ludzie chcieli się dowiedzieć o stanie miasta. Liczba ofiar śmiertelnych sięgnęła już tysiąca; ogłoszono też, że minie przynajmniej tydzień, zanim uda się przywrócić zasilanie, i minimum dziesięć dni, zanim zaczną działać komórki. Wymieniono obszary dotknięte największymi zniszczeniami. Niezbędne zaopatrzenie docierało drogą powietrzną z całego kraju, a poprzedniego dnia prezydent odwiedził zniszczone miasto. Obiecał pomoc z rezerw federalnych i pochwalił mieszkańców za odwagę i solidarność w obliczu nieszczęścia. Tymczasowych rezydentów Presidio zawiadomiono również, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami prowadzi specjalne schronisko, do którego zwożone są zagubione zwierzęta, by właściciele mogli je odnaleźć. Osoby niemówiące po angielsku mogły liczyć na pomoc tłumaczy z hiszpańskiego i mandaryńskiego. Na koniec spiker podziękował wszystkim za współpracę i stosowanie się do zasad tymczasowego obozu. Ogłosił, że w Presidio mieszka już ponad osiemdziesiąt tysięcy ludzi i że tego dnia zostaną otwarte dwie kolejne mesy. Zapowiedział również, że mieszkańcy będą na bieżąco informowani o wszystkim, co się dzieje w mieście i obozie, a na koniec życzył wszystkim miłego dnia.

Maggie w szpitalu też słyszała komunikat. Irytowało ją, że prezydent oglądał miasto ze śmigłowca i nawet nie raczył odwiedzić polowego szpitala. Tylko burmistrz zajrzał na chwilę, a dziś po południu Presidio miał obejrzeć gubernator. Zjechało mnóstwo dziennikarzy. Presidio stawało się modelowym „miastem w mieście”. Biorąc pod uwagę ogrom zniszczeń po wstrząsach sprzed dwóch dni, cały kraj był pod



wrażeniem, jak doskonale mieszkańcy potrafili się zorganizować i z jakim poświęceniem wspierali się nawzajem. Atmosfera dobroci i współczucia udzielała się wszystkim w obozie, ludzie mieli poczucie prawdziwego braterstwa, jak żołnierze na linii frontu.

- Ranny ptaszek z ciebie - zauważyła Maggie, kiedy Melanie zjawiła się w szpitalu. Dziewczyna wyglądała pięknie i świeżo, choć ciuchów nie zmieniła. Nie miała nic innego do ubrania, ale wstała o siódmej, by ustawić się w długiej kolejce do umywalni. Cudownie było umyć włosy i wziąć gorący prysznic. Potem w mesie zjadła owsiankę i suchego tosta.

Na szczęście generatory utrzymywały żywność w niskiej temperaturze. Personel medyczny obawiał się zatruc pokarmowych i dyzenterii, gdyby chłodnie przestały działać. Ale jak na razie najpoważniejszym problemem pozostawały rany, nie choroby, choć z czasem i one mogły się pojawić.

- Dobrze spałeś? - zapytała Maggie. Stres pourazowy objawiał się często bezsennością i wiele osób uskarżało się na brak snu. W oddzielnej sali z poszkodowanymi pracował cały sztab psychologów - ochotników.

Maggie wysłała do nich wiele osób, szczególnie starszych albo bardzo młodych, u których trzęsienie ziemi wywołało poważny szok.

Dziś Melanie miała rejestrować pacjentów - spisywać dane, objawy i dodatkowe informacje. Personel szpitala nie pobierał żadnych opłat, nie wystawiał rachunków - całą administracyjną robotę wykonywali wolontariusze. Melanie cieszyła się, że tu jest. Po raz pierwszy w życiu czuła, że robi coś ważnego, zamiast sterczeć za kulisami sal koncertowych czy w studiach nagrań. Tutaj przynajmniej ludzie mieli jakiś pożytek z tego, co robiła. A siostra Maggie nawet ją pochwaliła.

W Presidio pracowało wiele innych sióstr zakonnych i księży, z różnych zgromadzeń i kościołów z całej okolicy. Duchowni krążyli po obozie, rozmawiali z ludźmi, urządzali sobie prowizoryczne „biura”, gdzie potrzebujący mogli przychodzić po radę. Przedstawiciele wszelkich wyznań odwiedzali rannych. Niewielu z nich można było rozpoznać po koloratkach, habitach czy jakichkolwiek innych atrybutach. Po prostu przedstawiali się i rozmawiali z każdym, kto miał na to ochotę. Kilkoro z nich wydawało posiłki w mesie. Maggie знаła bardzo wiele z tych osób. W ogóle wydawało się, że zna wszystkich i że ją wszyscy znają. Melanie powiedziała jej to, kiedy zrobiły sobie przerwę. Maggie roześmiała się.

- Już dość długo kręcę się po mieście.

- Fajnie jest być zakonnicą? - Melanie zaintrygowała ta kobieta. Uważała ją za najbardziej interesującą osobę, jaką spotkała w życiu. Nigdy nie poznała nikogo tak pełnego dobroci, mądrości i współczucia. Maggie swoje przekonania wyrażała w czynach, zamiast tylko o nich gadać. A jej łagodność, jej podejście do ludzi nie pozostawiało nikogo obojętnym. Jedna z wolontariuszek w szpitalu powiedziała o niej, że ma w sobie światło łaski, i Melanie w pełni się z tym zgadzała. Właściwie dopiero teraz, patrząc na Maggie, zrozumiała, co to znaczy.

- Bardzo fajnie - zapewniła Maggie. - Nigdy nie żałowałam swojego wyboru. Takie życie najbardziej mi odpowiada. Wspaniale jest być poślubioną Bogu, oblubienicą Chrystusa - dodała. Jej słowa zrobiły na Melanie ogromne wrażenie. Dziewczyna dopiero w tej chwili zauważyła wąziutką złotą obrączkę - Maggie dostała ją dziesięć lat temu, gdy złożyła śluby zakonne. Mówiła, że długo na nią czekała, i że obrączka symbolizuje życie i pracę, którą tak bardzo kocha, z której jest taka dumna.

- Takie życie na pewno nie jest łatwe - powiedziała Melanie z głębokim szacunkiem.

- Niczyje życie nie jest łatwe - odparła rozsądnie Maggie.  
- To, co ty robisz, też nie jest łatwe.

- Ależ jest - zaprzeczyła Melanie. - Przynajmniej dla mnie. Śpiewanie jest łatwe i uwielbiam to robić. Dlatego zostałam piosenkarką. Ale trasy koncertowe czasem dają w kość. Wiecznie jest się w podróży, pracuje się codziennie. Kiedyś jeździliśmy w trasy autokarem. Cały dzień w drodze; potem, zaraz po przyjeździe, próba, przed całonocnym koncertem. Teraz, kiedy latamy, jest o wiele łatwiej. - Wraz z ogromnym sukcesem przyszły w końcu lepsze czasy.

- Twoja mama zawsze z tobą jeździ? - zapytała Maggie. Melanie mówiła, że matka i wiele innych osób jest z nią w San Francisco. Przy tego rodzaju pracy podróżowanie z ekipą jest zupełnie normalne, ale matka wydawała się dość niezwykłym dodatkiem do tej świty. Owszem, córka była młoda, ale miała przecież prawie dwadzieścia lat.

- Tak, zawsze. Zarządza moim życiem - dodała z westchnieniem. - Mama w młodości chciała śpiewać, ale w końcu została tancerką w Vegas. Więc teraz jest dumna, że mnie się udało. Czasem nawet za bardzo. - Melanie uśmiechnęła się. - Zawsze wymagała ode mnie wszystkiego, na co mnie było stać.

- Nie ma w tym nic złego - skomentowała Maggie. - Pod warunkiem, że nie naciska się zbyt mocno. A jak jest u ciebie?

- Czasem myślę, że wymaga za wiele - przyznała szczerze Melanie. - A poza tym chciałabym sama decydować o sobie. Mamie zawsze wydaje się, że wie najlepiej.

- A wie?

- Nie wiem. Myślę, że podejmuje decyzje, jakie podjęłaby dla siebie. Nie zawsze jestem pewna czy ja też tego chcę. O

mało nie pękła z dumy, kiedy zdobyłam Grammy. - W oczach Maggie zatańczyły wesołe iskierki.

- To musiała być wielka chwila, zwieńczenie całej twojej ciężkiej pracy. Wspaniale wyróżnienie. - Ledwie знаła tę dziewczynę, ale i tak była z niej dumna.

- Oddałam statuetkę mamie - powiedziała cicho Melanie.  
- Czułam, że to ona ją zdobyła. Ja nie dałabym rady bez niej. - Ale coś w jej tonie kazało się Maggie zastanawiać, czy dziewczyna sama pragnęła tego ogromnego sukcesu, czy chciała tylko sprawić przyjemność matce.

- Potrzeba wiele mądrości i odwagi, by rozpoznać, czy ścieżka, którą idziemy, jest właściwa. Czy wybraliśmy ją dla siebie, czy tylko po to, żeby zadowolić innych.

Melanie zamyśliła się nad tymi słowami.

- A twoja rodzina chciała, żebyś poszła do klasztoru? Nie złościli się?

- Wpadli w zachwyty. Dla mojej rodziny to była wielka sprawa. Rodzice woleli, żeby ich dzieci zostały księżmi albo zakonnicami, niż żeby pozakładały rodziny. Dzisiaj to się wydaje trochę nienormalne. Ale dwadzieścia lat temu w katolickich rodzinach rodzice wręcz przechwalali się takimi dziećmi. Jeden z moich braci był księdzem.

- Był? - zdziwiła się Melanie. Maggie uśmiechnęła się.

- Po dziesięciu latach odszedł od Kościoła i ożenił się. Mama o mało nie umarła. Gdyby ojciec nie umarł wcześniej, pewnie by go to zabiło. Uważali, że nie porzuca się stanu duchownego, kiedy złoży się śluby. Prawdę mówiąc mnie też trochę rozczarował. Ale to wspaniały człowiek i chyba nigdy nie żałował swojej decyzji. Mają z żoną szóstkę dzieci i są bardzo szczęśliwi. Więc pewnie to jest jego prawdziwe powołanie, a nie kapłaństwo.

- A ty nie chciałabyś mieć dzieci? - zapytała Melanie. Egzystencja Maggie wydawała jej się strasznie smutna, z dala

od rodziny, bez męża, w biedzie przez całe życie Ale wydawało się, że Maggie to odpowiada. Mówiły to jej oczy. Była szczęśliwą, spełnioną kobietą, najwyraźniej zadowoloną ze swojego losu.

- Wszyscy ludzie, których spotykam, są moimi dziećmi. Poznają ich na ulicach, odwiedzam rok po roku, pomagam wydostać się z ulicy. I są też wyjątkowi ludzie, jak ty, Melanie - zjawiają się w moim życiu i poruszają moje serce. Ogromnie się cieszę, że cię poznałam. - Uściskała ją, a Melanie też odwzajemniła się serdecznością.

- Ja też się cieszę, że cię poznałam. Kiedy wydorosłeję, chcę być taka jak ty - zachichotała.

- Chcesz być zakonnica? Och, nie sądzę, żeby twojej mamie pomysł się spodobał. W klasztorach nie ma gwiazd! To ma być życie pełne pokory i radosnej rezygnacji.

- Nie, chodzi mi o pomaganie ludziom. Chciałabym robić coś takiego.

- Możesz to robić, jeśli chcesz. Nie trzeba być w zakonie. Wystarczy zakasać rękawy i zabrać się do pracy. Wszędzie są potrzebujący, nawet wśród bogaczy. Pieniądze i sukces nie zawsze dają szczęście. - To było posłanie dla Melanie i dziewczyna odczytała je właściwie. Szkoda, że jej matka tego nie rozumiała.

- Nie mam czasu na wolontariat - pożałowała się Melanie. - A moja mama nie chce, żebym zadawała się z chorymi. Mówi, że jeśli się zarażę, pozawałam terminy koncertów i tras.

- Może kiedyś znajdziesz czas na jedno i drugie. Może kiedy będziesz starsza. - I kiedy matka wypuści z żelaznej ręki ster kariery córki, jeśli to kiedykolwiek nastąpi. Melanie jest więźniem swojej matki; w głębi duszy, nawet jeśli nieświadomie, walczy, by wyrwać się na wolność.

W końcu przyszła pora, żeby wracać do pracy. Zajął się pacjentami. Przez cały dzień napływali niekończącym się

strumieniem. W większości były to drobne obrażenia, które mogła opatrzyć pielęgniarka. Poważniejsze przypadki, dzięki systemowi selekcji wprowadzonemu w polowym szpitalu, trafiały do lekarzy. Melanie doskonale sobie radziła jako asystentka i Maggie często ją chwaliła.

Późnym popołudniem zrobiły sobie przerwę na lunch. Usiadły na dworze, w słońcu, i jadły zadziwiająco smaczne kanapki z indykiem. Do pracy w kuchni zgłosiło się na ochotnika kilku bardzo przyzwoitych kucharzy, a produkty żywnościowe pojawiały się jakby za sprawą czarów, ofiarowywane przez inne miasta czy nawet stany i dostarczane helikopterami prosto na teren Presidio. Przywożono też zaopatrzenie medyczne, ubrania i posłania dla tysięcy ludzi. Przypominało to trochę życie na froncie, ze śmigłowcami warczącymi nad głową w dzień i w nocy, niemal bez przerwy. Wiele starszych osób skarżyło się, że hałas przeszkadza im spać. Młodszy mieli to w nosie i szybko przywykli. Warkot śmigłowców stał się nieodłączną częścią tej zdumiewającej, strasznej przygody.

Melanie i Maggie skończyły właśnie jeść kanapki, kiedy dziewczyna zauważyła Everetta przechodzącego nieopodal. Był ubrany w czarne spodnie od smokingu i białą, elegancką koszulę, w te same rzeczy, które miał na sobie, gdy ziemia się zatrzęsa. Minął je, nie zauważając, z aparatem zawieszonym na szyi i torbą na ramieniu. Gdy Melanie zawołała go, odwrócił się, zaskoczony. Uśmiechnął się szeroko. Podeszedł szybko i usiadł na zwałonym pniu drzewa, obok nich.

- Co wy tu robicie? I to razem? Jak to się stało?

- Pracuję w szpitalu polowym - wyjaśniła Maggie.

- A ja jestem asystentką. Zgłosiłam się do pracy, kiedy przenieśli nas tu z kościoła. Szkolę się na pielęgniarkę - oznajmiła dumnie Melanie.

- I to całkiem niezłą - dodała Maggie. - A ty skąd się wzięłeś, Everett? Robisz tylko zdjęcia, czy też tu utknąłeś? - Nie widziała go od tamtego poranka po trzęsieniu ziemi, kiedy odszedł, by rozejrzeć się po mieście. Ona nie była potem w domu, ale wątpiła, by jej tam szukał.

- Mieszkałem w schronisku w centrum, ale je zamknęli. Budynek obok zaczął się niebezpiecznie przechylać, więc wygonili nas wszystkich i skierowali tutaj. Myślałem, że szybko opuszczę to miejsce, ale nie można wydostać się z miasta. Nic nie lata ani nie jeździ, więc musimy tutaj siedzieć.

- Spojrzał z uśmiechem na kobiety. - Ale widzę, że mogłem trafić gorzej. Natrzaskałem trochę świetnych zdjęć. - Mówiąc to wskazał palcem aparat i zrobił zdjęcie Melanie i Maggie, uśmiechającym się w słońcu. Obie wyglądały na szczęśliwe i spokojne, mimo okoliczności, w jakich się znalazły. Widać to było w ich twarzach i oczach. - Nikt nie uwierzy w taki wizerunek Melanie Free. Supergwiazda sławna na cały świat siedzi sobie na pniu drzewa, w japonkach i wojskowych spodniach, przed szpitalem polowym, w którym pracuje jako pomoc medyczna. To będzie historyczne zdjęcie. - Miał też kilka świetnych zdjęć Maggie z pierwszej nocy. Nie mógł się już doczekać powrotu do Los Angeles, by móc je obejrzeć. Nie wątpił, że naczelny będzie zachwycony fotoreportażem z trzęsienia ziemi i zrujnowanego miasta. A czego nie wykorzystają w „Scoop”, sprzeda gdzie indziej. Może nawet zdobędzie kolejną nagrodę. Wyczuwał instynktownie, że zebrany materiał jest dobry. Zdjęcia mają wartość historyczną. To była wyjątkowa sytuacja, jaka ostatnio się zdarzyła sto lat temu, i zapewne nie miała się powtórzyć przez kolejne sto. Przynajmniej taką żywił nadzieję. Ale mimo ogromnej siły wstrząsów i miasto, i jego mieszkańcy znieśli kataklizm zdumiewająco dobrze.

- Co macie teraz w planach? - zapytał. - Wracacie do pracy, czy robicie sobie przerwę?

- Wracamy do pracy - odpowiedziała Maggie za obydwie. Siedziały na dworze już pół godziny i zamierzały zabrać się do roboty. - A ty?

- Pójdę po przydział łóżka. Potem pewnie jeszcze do was zajrzę. Może pstryknę wam parę fotek przy pracy, jeśli pacjenci nie będą mieli nic przeciwko temu.

- Będziesz musiał ich zapytać - odparła Maggie. Melanie nagle przypomniała sobie o marynarce Everetta.

- Strasznie mi przykro, ale wyrzuciłam twoją marynarkę. Była kompletnie zniszczona, a poza tym nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś spotkam.

Everett roześmiał się, widząc jej skruszoną minę.

- Nie przejmuj się, pochodziła z wypożyczalni. Powiem im, że została zdarta z moich pleców w czasie trzęsienia ziemi. Powinni mi darować. Zresztą nie sądzę, żeby chcieli ją z powrotem, nawet gdybym mógł zwrócić. Naprawdę, Melanie, to żadna strata. Nie martw się. - Ale dziewczyna nagle przypomniała sobie o znaczku. Wsunęła dłoń do kieszeni, wyjęła metalowy krążek i podała Everettowi. Naprawdę ucieszył się na jego widok.

- O, to jest coś, co chciałem odzyskać. Mój talizman! - Pogłaskał go, jakby znaczek miał w sobie czarodziejską moc. Bo dla niego miał. Przez ostatnie dwa dni Everett nie chodził na mityngi i znaczek teraz stał się jedynym ogniwem łączącym go z tym wszystkim, co ocaliło mu życie przed rokiem. Ucałował krążek i wsunął do kieszeni spodni. - Dziękuję, że się nim zaopiekowałaś. - Brakowało mu mityngów AA, które pomogłyby mu uporać się ze stresem, ale nie miał ochoty się napić. Po prostu czuł się zmęczony. To były bardzo długie i trudne dwa dni.



W końcu Maggie i Melanie wróciły do szpitala, a Everett poszedł po przydział łóżka na tę noc, obiecując, że jeszcze do nich zajrzy. W Presidio znajdowało się tyle budynków, że nikt nie musiał się martwić o miejsce. Była to stara baza wojskowa, wyłączona z użytku dwa lata wcześniej, ale wciąż w dobrym stanie. W szpitalu na terenie bazy George Lucas zbudował nawet swoje legendarne studio filmowe.

Późnym popołudniem, w krótkiej chwili zastoju, zjawiała się Sara Sloane z dwójką swoich dzieci i nepalską nianią. Chłopczyk miał gorączkę, kaszlał i trzymał się za ucho. Sara zabrała również córeczkę, bo nie chciała zostawiać jej samej w domu. Po dramatycznych doświadczeniach czwartkowej nocy nie rozstawała się z dziećmi ani na chwilę. Gdyby przyszło kolejne trzęsienie ziemi, którego obawiali się wszyscy, będzie z nimi. Seth został w domu, wciąż zrozpaczony i zdesperowany - ten stan trwał od czwartkowej nocy, i pogłębił się jeszcze, gdy przepadła nadzieja na szybkie otwarcie banków i przywrócenie łączności ze światem. Nie miał możliwości zatuszowania tego, co zrobił. Jego kariera się skończyła, nieuchronnie pikował w dół, ku katastrofie. Sara razem z nim. Ale póki co martwiła się o synka. To nie był dobry moment na chorobę. Najpierw pojechała na izbę przyjęć do najbliższego szpitala, ale tam przyjmowano wyłącznie poważnie rannych. Skierowano ją do szpitala polowego w Presidio, przyjechała więc samochodem Parmani. Melanie zauważyła ją, siedząc przy biurku w recepcji, i powiedziała Maggie, kto to taki. Podeszły do niej, i po niecałej minucie malec gaworzył już i śmiał się w ramionach siostry, choć wciąż trzymał się za ucho. Wyglądało też na to, że ma temperaturę. Sara wytłumaczyła Maggie, w czym problem.

- Poszukam ci lekarza - obiecała Maggie i zniknęła w głębi sali. Po kilku minutach zawołała Sarę, która rozmawiała

z Melanie o balu, o wspaniałym koncercie i szoku, jaki przeżyli wszyscy, kiedy ziemia się zatrzęsała.

Melanie, Sara, jej córeczka i niania ruszyły za Maggie. Za parawanem czekał na nich lekarz. Oliver miał zapalenie ucha. Doktor zwrócił też uwagę, że chłopczyk ma zaczerwienione gardło. Wypisał antybiotyk, który, jak mówiła Sara, synek brał już wcześniej, a Molly dał lizaka i pogłaskał ją po głowie. Był bardzo miły dla dwójki dzieciaków, choć od czwartkowej nocy prawie nie spał. Wszyscy pracowali bez wytchnienia, niewiarygodnie ciężko. A najciężej chyba Maggie.

Wychodząc zza parawanu Sara zauważyła Everetta stojącego w drzwiach szpitala. Wyglądał, jakby kogoś szukał. Melanie i Maggie pomachały do niego. Podszedł do nich w tych swoich czarnych kowbojkach, które tak dobrze zapamiętała.

- A to co? Zlot uczestników balu? - zażartował, widząc Sarę. - Urządziła pani niezłe przyjętko. Co prawda pod koniec zrobiło się trochę niebezpiecznie, ale mimo wszystko, jak na mój gust, to była świetna robota. - Sara uśmiechnęła się, podziękowała za komplement i zaczęła gawędzić z reporterem, trzymając Olliego w ramionach.

Maggie nie dała się zwieść. Od pierwszej chwili zauważyła, że Sara jest przygnębiona. Myślała, że po prostu martwi się chorobą, ale teraz, gdy zniknęły powody do obaw, przyszło jej do głowy, że może chodzi o coś innego. Zawsze była bystrą obserwatorką i trafnie odczytywała ludzkie uczucia.

Zaproponowała, by niania wzięła małego i popilnowała Molly, a Sarę poprosiła o chwilę rozmowy. Gdy Melanie i Everett rozmawiali, a Parmani zajęła się dziećmi, Maggie odprowadziła Sarę na bok, dość daleko, by inni nie słyszeli ich rozmowy.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Wyglądasz na przygnębioną. Mogę ci jakoś pomóc? - Łzy wzbierające w oczach Sary upewniły ją, że miała rację.

- Nie... ja... naprawdę... wszystko jest dobrze. Chociaż... właściwie... rzeczywiście mam problem, ale ty nic nie możesz poradzić. - Zaczęła się otwierać, lecz szybko uświadomiła sobie, że nie powinna. To mogło pogorszyć sytuację Setha. Wciąż się modliła, by nikt się nie dowiedział, co zrobił jej mąż. Ale sześćdziesiąt milionów, które bezprawnie znalazło się w jego rękach, musiało zostać zauważone. Nie mogła więc żyć złudną nadzieją na cud. Mdlilo ją za każdym razem, kiedy o tym pomyślała, a jej zły nastrój się uzewnętrzniał. - Chodzi o mojego męża... ale nie mogę teraz o tym mówić. - Otarła oczy i spojrzała z wdzięcznością na Maggie. - Dzięki, że spytałaś.

- No dobrze, wiesz gdzie mnie szukać, przynajmniej przez jakiś czas. - Maggie wyjęła z kieszeni kartkę i zapisała numer swojej komórki. - Kiedy telefony zaczną działać, możesz do mnie dzwonić pod ten numer. A póki co, siedzę tutaj. Czasami pomaga, kiedy się z kimś pogada, tak po prostu, po przyjacielsku. Nie chcę się narzucać, więc ty zadzwoń, jeśli uznasz, że będę mogła ci jakoś pomóc.

- Dziękuję. - Sara pamiętała Maggie z balu i wiedziała, że jest siostrą zakonną. Ale tak jak Melanie i Everett, uważała, że z wyglądu zupełnie nie przypomina zakonnicy, szczególnie w dżinsach i różowych trampkach. Wyglądała naprawdę uroczo i zaskakująco młodo. Ale miała oczy kogoś, kto widział w życiu wiele. W tych oczach nie było młodzieńczej beztroski. - Zadzwoń - obiecała Sara, ocierając oczy.

Everett też zauważył jej przygnębienie, ale nie wspomniał o tym. Rzucił jeszcze jeden komplement na temat balu i wyraził podziw, że udało się zebrać aż tyle pieniędzy. Jego zdaniem była to naprawdę impreza z klasą, także dzięki

Melanie. Każdemu miał do powiedzenia coś miłego. Sara widziała w nim sympatycznego faceta, którego trudno nie lubić.

- Szkoda, że nie mogę się tu zgłosić do pracy - powiedziała. Wielkie wrażenie zrobiła na niej świetna organizacja szpitala i całego obozu.

- Ty musisz być w domu, z dziećmi - odparła Maggie. - Przede wszystkim one cię potrzebują. - Wyczuwała też, że Sara potrzebuje ich. Jakkolwiek wyglądał ten problem z mężem, nie ulegało wątpliwości, że jest wytracona z równowagi.

- Chyba już nigdy ich nie zostawię. - Głos jej drżał. - Myślałam, że oszaleję, dopóki nie dotarłam do domu. Na szczęście nic się nie stało. - Nawet guz na głowie Parmani zaczął już znikać. Niania mieszkała teraz z nimi; nie mogła wrócić do domu. Cała jej dzielnica legła w gruzach i została odcięta przez policję. Pojechały tam, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja, ale policjanci nie wpuścili ich do kamienicy Parmani, gdzie zapadła się część dachu.

Firmy i punkty usługowe w mieście nie wznowiły działalności. Dzielnica finansowa była zablokowana przez policję, żeby nie dochodziło do kradzieży. Bez prądu, sklepów, gazu, bez czynnych telefonów nie dało się pracować.

Po kilku minutach Sara wyruszyła z powrotem do domu. Zapakowała dzieciaki oraz nianię do starego samochodu Parmani i odjechała, dziękując Maggie za pomoc. Zostawiła siostrze swój numer telefonu domowego, komórki, i adres, zastanawiając się z ciężkim sercem, jak długo jeszcze będą pod nim mieszkać. Czy naprawdę stracą dom? Miała nadzieję, że pomieszkają jeszcze jakiś czas. Może Sethowi uda się pójść na ugodę.

Żegnając się z Melanie i Everettem wątpiła, czy zobaczy jeszcze któreś z nich. Oboje mieszkali w Los Angeles i

wydawało się mało prawdopodobne, by jeszcze kiedyś się z nimi spotkała. Szkoda. Sara bardzo polubiła Melanie, a występ dziewczyny był wspaniały, jak powiedział Everett. I wszyscy zapewne przyznaliby mu rację, mimo przerażającego finału.

Gdy Sara odjechała, Maggie posłała Melanie po środki opatrunkowe, a sama została, by porozmawiać z Everettem. Główny magazyn medyczny znajdował się dość daleko, wiedziała więc, że mają chwilę czasu na rozmowę. Nie szukała pretekstu, naprawdę musiała uzupełnić zapasy; brakowało przede wszystkim nici chirurgicznych.

- Miła kobieta - powiedział Everett o Sarze. - I naprawdę uważam, że to była wyjątkowo udana impreza. Zabawne, jak krzyżują się ludzkie drogi, nie sądzisz? Przeznaczenie to wspaniała sprawa. Wpadłem na ciebie pod Ritzem i łąziłem za tobą całą noc, a teraz znów wpadam na ciebie. Tamtej nocy spotkałem też Melanie i dałem jej marynarkę. Potem ty i ona spotykacie się tutaj, a ja nagle znajduję was obie; w tej samej chwili organizatorka balu, na którym byliśmy wszyscy, wchodzi do szpitala polowego, bo synek zachorował. I zaczynamy gawędzić jak starzy znajomi. W tak wielkim mieście to cholerny cud, by dwie osoby dwa razy trafiły na siebie przypadkiem, a nam od paru dni ciągle się coś takiego przydarza. Ale to miłe, zobaczyć znajome twarze. W każdym razie dla mnie. - Uśmiechnął się do Maggie.

- Dla mnie też. - Maggie spotykała w życiu tylu obcych ludzi, że spotkanie przyjaciela szczególnie ją cieszyło.

Rozmawiali jeszcze chwilę, aż wróciła Melanie. Była bardzo dumna z siebie. Chciała pomagać na wszelkie możliwe sposoby i cieszyła się, że odniosła małe zwycięstwo: oficer zaopatrzeniowy miał wszystkie rzeczy z długiej listy Maggie. Dał jej wszystkie leki, o które prosiła, bandaże we właściwych rozmiarach, elastyczne i zwykłe, opatrunkowe, a z własnej inicjatywy dorzucił jeszcze całe pudełko plastrów.

- Chyba jednak jesteś bardziej pielęgniarką niż zakonnica - stwierdził Everett. - Przynajmniej tutaj zajmujesz się bardziej ciałami niż duszami. - Maggie skinęła głową, ale nie do końca się z nim zgodziła.

- Staram się nie zapominać i o duszach - powiedziała cicho. - Widzisz we mnie pielęgniarkę, bo to pewnie wydaje ci się bardziej normalne. Ale tak naprawdę jestem przede wszystkim zakonnica. Niech cię nie zmylą różowe trampki. Noszę je dla żartu. Ale bycie zakonnica to poważna sprawa i najważniejsza rzecz w moim życiu. Uważam, że „dyskrecja jest królową cnót”, zawsze lubiłam ten cytat. Nie wiem, kto to powiedział, ale miał rację. Nie afiszuję się, bo pacjenci czuliby się przy mnie nieswojo, gdybym rozgłaszała, że jestem siostrą zakonną.

- A to dlaczego?

- Myślę, że ludzie boją się zakonnice. Świetnie, że nie musimy już nosić habitów. One zawsze peszą ludzi.

- Mnie się tam podobały. Kiedy byłem młodszy, zakonnice zawsze robiły na mnie wielkie wrażenie. Kobiety o niepospolitej urodzie, przynajmniej niektóre. Teraz już się nie widuje takich młodych siostrzyczek. I może to dobrze.

- Chyba masz rację. Obecnie nie składa się ślubów tak wcześnie. Do mojego zakonu w zeszłym roku przyjęto dwie kobiety po czterdziestce, i zdaje się, że jeszcze jakąś pięćdziesięcioletnią wdowę. Czasy się zmieniły, ale starsze kobiety przynajmniej wiedzą, co robią. Wiele osób popełniało błąd, idąc do klasztoru, choć się do tego nie nadawały. Życie w zgromadzeniu to prawdziwe wyzwanie. Nie jest łatwo. I zawsze ogromna zmiana, niezależnie od tego, kim było się wcześniej. Muszę przyznać, że niekiedy mi tego brakuje. Mieszkam sama i bywa, że chciałabym z kimś porozmawiać, ale u siebie spędzam czas tylko kiedy śpię. - Everett wiedział, że wynajmowała kawalerkę w Tenderloin, ale kiedy

odprowadzał Maggie po trzęsieniu ziemi, widział tylko budynek z zewnątrz.

Ich rozmowę przerwała nowa fala pacjentów z drobnymi urazami. Maggie i Melanie musiały wracać do pracy. Everett umówił się z nimi wieczorem w mesie, jeśli zdołają się wyrwać. Poprzedniego wieczoru żadna z nich nie jadła kolacji. I jak się okazało, przegapiły ją także dziś. Zjawił się nagły przypadek i Maggie potrzebowała pomocy asystentki przy zszywaniu ran poturbowanej kobiety. Melanie uczyła się błyskawicznie i wciąż rozmyślała o swoim nowym zajęciu, gdy wieczorem wracała do hangaru, w którym mieszkała reszta ekipy. Wszyscy siedzieli na łózkach, śmiertelnie znudzeni, nie mając nic do roboty. Melanie kilka razy sugerowała Jake'owi i Ashley, że też powinni zgłosić się gdzieś do pomocy, skoro, jak wynikało z porannego komunikatu, mogą tu tkwić jeszcze przynajmniej tydzień. Wieża lotniska zawaliła się kompletnie, o lotach nie było mowy. Port lotniczy został zamknięty, podobnie jak drogi.

- Dlaczego spędzasz całe dni w tym szpitalu? - narzekała Janet. - Skończy się na tym, że złapiesz jakieś choróbsko.

Melanie pokręciła głową i spojrzała matce w oczy.

- Mamo, ja chyba chcę zostać pielęgniarką. - Powiedziała to z uśmiechem, na wpół żartobliwym tonem. Chciała trochę podroczyć się z matką. Ale naprawdę czuła się szczęśliwa, pomagając w szpitalu. Uwielbiała pracować z Maggie i uczyła się tylu nowych rzeczy.

- Czyś ty zwariowała? - wykrzyknęła matka z oburzeniem w głosie i w oczach. - Pielęgniarką? Po tym, co zrobiłam dla twojej kariery? Jak śmiesz wygadywać takie rzeczy? Myślisz, że harowałam, robiąc z ciebie gwiazdę, po to, żebyś teraz mogła rzucić wszystko i opróżnić nocniki? - Janet poraziła samą myśl, że córka mogłaby wybrać inne zajęcie, kiedy jako gwiazda miała świat u stóp.

- Jakoś jeszcze nie opróżniłam żadnego nocnika.

- Uwierz mi, to też robią pielęgniarki. Nie waż się więcej mówić takich rzeczy.

Melanie nie odpowiedziała. Zaczęła rozmawiać z resztą grupy, pożartowała trochę z Jake'em i Ashley, w końcu położyła się na pryczy i usnęła, nie rozbierając się nawet ze spodni i koszulki, kompletnie wykończona. Przyśniło jej się, że uciekła i zaciągnęła się do wojska, i że sierżant, który musztrował ją od rana do nocy, to matka. Rano sama już nie wiedziała, czy to tylko był sen, czy jej prawdziwe życie.



## Rozdział 6

W niedzielę mieszkańcy Presidio dowiedzieli się z porannego komunikatu, że w mieście uratowano wiele osób uwięzionych w windach, zrujnowanych domach i pod gruzami. Przepisy budowlane od osiemdziesiątego dziewiątego roku zostały zastrzone, więc zniszczenia były mniejsze, niż się spodziewano, ale mimo wszystko zawaliło się wiele budynków; liczba potwierdzonych zgonów przekroczyła już cztery tysiące. Wciąż jeszcze przeszukiwano wiele terenów. Od wstrząsów minęło dopiero sześćdziesiąt godzin i wciąż istniała nadzieja na uratowanie ludzi, którzy mogli się znaleźć pod gruzami.

Więści były jednocześnie pocieszające i przerażające; słuchacze opuszczali z ponurymi minami plac, na którym codziennie odczytywano komunikaty. Większość osób udała się do mesy na śniadanie. Powiedziano im, że minie prawdopodobnie kilka tygodni, nim wrócą do domów. Mosty, autostrady, lotniska i liczne dzielnice miasta pozostały zamknięte. Nie wiadomo, kiedy zostanie włączony prąd, a tym bardziej, kiedy życie zacznie wracać do normy.

Everett rozmawiał cicho z siostrą Maggie, kiedy do szpitala weszła Melanie, już po śniadaniu, które zjadła w towarzystwie matki, Pam, Ashley, Jake'a i kilku członków ekipy. Wszyscy nie mogli się już doczekać powrotu do Los Angeles, na który jednak szybko się nie zanosilo. Musieli więc sterczeć tutaj i czekać na rozwój wypadków. Po obozie rozeszła się już wieść, że jest tu Melanie Free. Zauważono ją, gdy siedziała w mesie z przyjaciółmi, a poza tym rozpowiadała o niej matka. Jak na razie nikt w szpitalu nie zwrócił na dziewczynę szczególnej uwagi. Nawet jeśli ktoś ją rozpoznawał, uśmiechał się tylko i szedł swoją drogą. Nietrudno było zauważyć, że ciężko pracuje jako wolontariuszka. Oprócz niej tylko Pam zgłosiła się do pomocy

- pracowała w recepcji, meldując nowoprzybyłych, bo w miarę jak w mieście kończyło się pożywienie, w obozie szukało schronienia coraz więcej osób.

- Cześć, mała - przywitał ją bezceremonialnie Everett, a ona uśmiechnęła się miło. Wygrzebała sobie nową koszulkę ze sterty podarowanej odzieży, i wielki, męski, dziurawy sweter, w którym wyglądała jak siódme dziecko stróża. Ale wciąż miała swoje wojskowe spodnie i japonki. Maggie też się przebrała; zabrała ze sobą parę rzeczy z domu. Jej dzisiejsza koszulka miała napis „Jezus to mój ziomal”. Everett parsknął śmiechem na jej widok.

- To ma być współczesna wersja habitu? - Oprócz koszulki Maggie miała na sobie ulubione różowe trampki i dzinsy; wciąż wyglądała jak instruktorka na letnim obozie. Niski wzrost dodatkowo potęgował wrażenie, że jest o wiele młodsza. Spokojnie mogła udawać trzydziestkę. Tak naprawdę była ledwie sześć lat młodsza od Everetta, choć on z wyglądu mógłby uchodzić za jej ojca. Dopiero rozmawiając z Maggie wyczuwało się w niej mądrość i doświadczenie, które się nabywa tylko z wiekiem.

Everett zamierzał tego dnia obfotografować Presidio, a potem wybrać się na wycieczkę do Marina i Pacific Heights, by zobaczyć, czy dzieje się tam coś ciekawego. Do Dzielnicy Finansowej nikogo nie wpuszczano; służby porządkowe apelowały do mieszkańców, by omijali centrum, gdzie budynki były wyższe i bardziej niebezpieczne, a zniszczeń więcej niż gdzie indziej. Miasto bezustannie patrolowały śmigłowce, zwykle latające tak nisko, że można było rozpoznać twarze pilotów. Od czasu do czasu śmigłowce lądowały na Crissy Field w Presidio, a piloci rozmawiali z ludźmi, którzy podchodzili, by się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w mieście i okolicach. Wiele osób przebywających w Presidio mieszkało w East Bay, na Półwyspie czy w

Hrabstwie Marin, i nie mogło się póki co dostać do domów z powodu zamkniętych autostrad i mostów. Nie wszystkie informacje okazywały się wiarygodne, szalały za to plotki o śmierci, zniszczeniach i istnym piekle w poszczególnych rejonach. Właściwie tylko piloci śmigłowców dostarczali rzetelnych informacji.

Melanie spędziła dzień tak jak poprzednie dwa - pomagając Maggie. Wciąż przychodziło sporo rannych, a szpitalne izby przyjęć odsyłały lekkie przypadki do nich. Po południu przysłano drogą powietrzną duży transport leków i produktów spożywczych. Jedzenia nie brakowało, wszystkich dziwiła też obfitość zaskakująco smacznych, wręcz wyszukanych potraw. Okazało się, że w którymś z hangarów mieszka z rodziną właściciel i szef kuchni jednej z najlepszych restauracji w mieście, i właśnie on, ku zadowoleniu mieszkańców, objął dowodzenie w głównej mesie. Przygotowano naprawdę smaczne posiłki, ale ani Melanie, ani Maggie nie miały czasu na jedzenie. Zamiast zrobić sobie przerwę na lunch, obie poszły razem z lekarzami nosić przysłane zapasy do magazynu.

Melanie szamotała się z wielką paczką, kiedy jakiś młody człowiek w podartych dżinsach i zszarganym swetrze podbiegł, by jej pomóc. Gdy wyjął jej pakunek z rąk, odetchnęła z ulgą, wdzięczna, że zapobiegł katastrofie. Paczka zawierała ampułki z insuliną i strzykawki dla diabetyków, których w obozie było bardzo wielu. Wszyscy zarejestrowali się w szpitalu zaraz po przybyciu i jedna z klinik w stanie Waszyngton zrealizowała zapotrzebowanie.

- Dzięki - wysapała Melanie. - Nie mogłam udźwignąć takiego ciężaru.

- To pudło jest większe od ciebie. - Jej wybawca uśmiechnął się. - Widziałem cię w obozie - rzucił, idąc z nią w stronę szpitala. - Wyglądasz mi jakoś znajomo. Spotkaliśmy

się już kiedyś? Jestem na ostatnim roku w Berkeley, na inżynierii. Specjalizacja: kraje słabo rozwinięte. Ty też studiujesz w Berkeley? - Najwyraźniej nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna. Ale Melanie tylko się uśmiechnęła.

- Nie, jestem z Los Angeles - odparła wymijająco. Chłopak był wysoki, niebieskooki i miał jasne włosy, jak ona. Wyglądał na przyzwoitego faceta. - Przyjechałam tu tylko na jeden wieczór. - Patrzył w nią jak w obrazek, oczarowany jej urodą, mimo rozczochranych włosów, braku makijażu i niezbyt czystych ciuchów. Wszyscy wyglądali tutaj jak rozbitkowie na bezludnej wyspie. On sam nosił cudze adidasy; nocował w centrum u przyjaciela i kiedy zatrzęsło, wybiegł na ulicę boso, w samych bokserkach, chwilę przed zawaleniem domu. Na szczęście wszyscy mieszkańcy przeżyli.

- Ja jestem z Pasadeny - powiedział. - Chodziłem na UCLA, ale w zeszłym roku przeniosłem się. Tu mi się bardziej podoba. Przynajmniej podobało, do teraz. - Wyszczerył zęby w uśmiechu. - Ale w końcu w Los Angeles też mamy trzęsienia ziemi. - Pomógł jej wnieść pudło do szpitala, a siostra Maggie wskazała, gdzie ma postawić. Chłopaka zaintrygowała Melanie. Niczego się o niej nie dowiedział, więc wciąż zachodził w głowę, skąd ją zna. - Nazywam się Tom Jenkins.

- Melanie. - Nie dodała nazwiska. Maggie zerknęła na nich i poszła do swoich zajęć. To oczywiste, że chłopak nie wie, kim jest Melanie. I bardzo dobrze - choć raz ktoś rozmawiał z nią jak z normalną dziewczyną, nie tylko dlatego, że była gwiazdą.

- Ja pracuję w mesie. Ale wy tu macie niezły kocioł.

- Zgadza się. - Melanie pokiwała głową, otwierając z jego pomocą pudło.

- Pewnie pobędziesz tu jeszcze jakiś czas. Jak my wszyscy zresztą. Słyszałem, że wieża na lotnisku przewróciła się jak domek z kart.

- Tak, zdaje się, że na razie nigdzie się nie wybierzemy.

- Na uniwerku zostało nam tylko dwa tygodnie zajęć. Chyba już nie zostaną wznowione. Rozdania dyplomów też pewnie nie będzie. Prześlę każdemu pocztą. Lato chciałem spędzić tutaj. Dostałem pracę w mieście, ale to raczej nie wchodzi w grę, chociaż będą potrzebować inżynierów. Więc chyba pojedę do Los Angeles, kiedy tylko stanie się to możliwe.

- Ja też. - Zaczęli wypakowywać zawartość pudła. Tomowi nie bardzo się spieszyło do mesy. Dobrze mu się rozmawiało z tą dziewczyną. Była sympatyczna, nieśmiała i chyba naprawdę fajna.

- Masz jakieś przeszkolenie medyczne? - spytał.

- Uczę się tutaj, z pierwszej ręki.

- Jest wspaniałą asystentką medyczną - odezwała się Maggie, która wróciła, by sprawdzić zawartość pudła. Odetchnęła, bo znalazła w nim wszystko, czego potrzebowali. Podstawowy zapas insuliny, otrzymany od miejscowych szpitali i od wojska, szybko się kończył. - I byłaby doskonałą pielęgniarką - dodała z uśmiechem, po czym zabrała pudło do magazynu.

- Mój brat jest w szkole medycznej, w Syracuse. - Tom wyraźnie ociągał się z odejściem. Melanie posłała mu długi uśmiech.

- Bardzo chciałabym pójść do szkoły pielęgniarskiej - przyznała się - ale mama by mnie zabiła. Ma wobec mnie inne plany.

- Jakie? - Tom wciąż nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna jej twarz. Właściwie wyglądała jak tak zwana dziewczyna

z sąsiedztwa, tyle że ładniejsza. A on sam nigdy nie mieszkał po sąsiedzku z taką ślicznotką.

- Długo by wyjaśniać. Mama snuje marzenia, które ja mam spełniać dla niej. Jak to zwykle w rodzinie. Jestem jedynaczką, więc cała lista życzeń jest na mojej głowie. - Wyżaliła się trochę przed nim, choć zupełnie go nie znała. Był sympatyczny i naprawdę jej słuchał. Choć raz miała wrażenie, że kogoś naprawdę obchodzi, co ona myśli.

- Mój tata chciał, żebym studiował prawo. Ciągłe mnie namawiał. Uważa, że inżynier to nudny zawód i wiecznie mi wypomina, że pracując w krajach trzeciego świata nigdy się nie dorobię. Ma trochę racji, ale kiedy już będę miał dyplom, zawsze mogę zmienić specjalizację. A studia prawnicze to byłby dla mnie koszmar. Ojciec chciał mieć w rodzinie lekarza i prawnika. Moja siostra ma doktorat z fizyki, wykłada na MIT. W ogóle oboje rodzice mają świra na punkcie wykształcenia. Ale stopnie naukowe nie czynią z ciebie przyzwoitego człowieka. Ja chcę być kimś więcej, niż tylko wykształconym człowiekiem. Chcę zrobić coś dobrego dla świata. Według mojej rodziny wykształcenie służy tylko do zarabiania pieniędzy. - Było oczywiste, że wszyscy w jego rodzinie mają wyższe wykształcenie. Melanie w żaden sposób nie potrafiłaby mu wytłumaczyć, że jej mama wymaga od niej tylko bycia gwiazdą. Wciąż jeszcze marzyła, że kiedyś uda jej się pójść do college'u, ale przy napiętym terminarzu nagrań i tras koncertowych nie miała na to czasu, i nie zapowiadało się, że kiedykolwiek będzie go miała. Mnóstwo czytała, by choć trochę to nadrobić, i dobrze się orientowała, co się dzieje na świecie. Showbusiness jakoś nigdy nie wystarczał jej do szczęścia.

- Muszę wracać do mesy. — W chłopaku wreszcie się odezwało poczucie obowiązku. - Miałem pomagać przy gotowaniu zupy marchewkowej. Marny ze mnie kucharz, ale

jak na razie nikt nie zauważył. - Roześmiał się swobodnie, mówiąc że ma nadzieję spotkać jeszcze Melanie w obozie. Powiedziała mu, by się zgłosił koniecznie, jeśli coś mu będzie dolegać, chociaż lepiej, żeby nic mu nie dolegało. Tom wyszedł, machając na pożegnanie.

- Przystojniak - skomentowała Maggie, puszczając oko. Melanie zachichotała jak całkiem zwykła nastolatka.

- No, i na dodatek miły. Właśnie zrobił w Berkeley dyplom inżyniera. Jest z Pasadeny. - Był zupełnie inny niż Jake z jego wymuskany wyglądem, karierą aktorską i częstymi wizytami na odwyku. Oczywiście kochała go, kiedyś bardziej, ale ostatnio żaliła się Ashley, że straszny z niego egoista. Nie miała pewności, czy jest jej wierny. A Tom wyglądał na przyzwoitego, poważnego, miłego faceta. I rzeczywiście był z niego przystojniak. Prawdziwe ciacho. Z mózgiem. I niesamowitym uśmiechem.

- Może spotkasz go jeszcze w Los Angeles — powiedziała Maggie z nadzieją. Uwielbiała patrzeć, jak tacy młodzi, mili ludzie zakochują się w sobie. Obecny chłopak Melanie jak na razie nie zrobił na niej najlepszego wrażenia. Kiedyś zajrzał do szpitala, stwierdził, że strasznie tu śmierdzi i wrócił do hangaru obijać się dalej. Nie zgłosił się do pomocy przy żadnej z prac, które inni wykonywali dla niego, i uważał za idiotyczne, że ktoś taki jak Melanie bawi się w pielęgniarkę. Wyznawał takie same poglądy jak jej matka, którą irytowało zajęcie Melanie i bez przerwy marudziła.

Maggie i Melanie zajęły się swoją pracą, a Tom wrócił do mesy i zaczął rozmawiać z kolegą, u którego nocował w noc trzęsienia ziemi.

- Widziałem, z kim gadałeś - zaczął kolega z przebiegłym uśmiechem. - Niezły z ciebie cwaniak, że ją sobie wyhaczyłeś.

- Tak - odparł Tom, czerwieniąc się. - Całkiem ładna. I miła. Jest z Los Angeles.

- Co ty powiesz. - Kolega roześmiał się. Zaczęli we dwóch stawiać kadzie z zupą marchewkową na ogromnej kuchni polowej, dostarczonej przez Gwardię Narodową. - A myślałeś, że skąd, z Marsa? - Tom nie miał pojęcia, czym tak kolegę ubawił.

- Co to niby miało znaczyć? Przecież mogła być stąd.

- Do diabła, czy ty nie czytujesz hollywoodzkich plotek? Oczywiście, że mieszka w Los Angeles. Z taką karierą? Człowieku, przecież dopiero co dostała Grammy.

- Co? - Tom gapił się na niego osłupiały. - Ma na imię Melanie... - I nagle uświadomił sobie wreszcie, z kim rozmawiał. - Jezu Chryste, musiała mnie wziąć za kompletnego idiotę... Nie rozpoznałem jej. Boże święty... myślałem, że to po prostu ładna laseczka, która zaraz upuści pudło. Ale tyłeczek ma ładny. - Roześmiał się, puszczając oko do kolegi. Przede wszystkim wydawała się miłą dziewczyną, bezpretensjonalną i zwyczajną. Jej komentarze o ambicjach matki powinny być dać mu do myślenia. - Mówiła, że chciałaby pójść do szkoły pielęgniarstwa, ale mama nie pozwala.

- I słusznie. Przy takiej forsie, jaką zarabia na śpiewaniu? Do diabła, gdybym ja był jej matką, też bym jej nie puścił do szkoły pielęgniarstwa. Musi zarabiać miliony na sprzedaży płyt.

Zirytował Toma takim gadaniem.

- A jeśli nie cierpi tego, co robi? W życiu nie chodzi tylko o forszę.

- Owszem, chodzi, kiedy się jest taką gwiazdą. - Kolega podchodził do sprawy praktycznie. - Mogłaby odłożyć okrągłą sumkę i potem robić, co jej się podoba. Nie wyobrażam jej sobie jako pielęgniarki.



- Dlaczego? Lubi to, czym się zajmuje, a pielęgniarka, której pomaga, bardzo ją chwaliła. To pewnie miłe dla niej, być tutaj, gdzie nikt jej nie rozpoznaje. - Nagle znów zrobił zawstydzoną minę. - Czy może ja jestem jedynym człowiekiem na planecie, który nie wiedział, z kim ma do czynienia?

- Chyba muszę przyznać ci rację. Słyszałem, że Melanie jest w obozie, ale zobaczyłem ją dopiero dzisiaj rano, kiedy rozmawialiście. I co tu dużo gadać, jest niezła. Masz oko, stary. - Kolega pogratulował mu dobrego gustu.

- Rzeczywiście. Pewnie ma mnie za największego głąba w obozie. I w dodatku jedyne, który nie wie, kim ona jest.

- Na pewno wydało jej się to urocze - pocieszał go przyjaciel.

- Powiedziałem, że wygląda jakoś znajomo i spytałem, czy już się nie spotkaliśmy - wyjęczał Tom. - Myślałem, że może studiuje w Berkeley.

- No nieźle. Pójdiesz do niej jeszcze? - Miał nadzieję. Też chciał ją poznać. Tak tylko, żeby móc się potem chwalić.

- Może. Jeśli przestanę się czuć jak idiota.

- Przełam się. Jest tego warta. A poza tym nie trafi ci się druga taka szansa poznania gwiazdy.

- Ona się nie zachowuje jak gwiazda. Jest zupełnie zwyczajna. - To była jedna z rzeczy, które mu się w niej spodobały. Nie przeszkadzało mu też, że jest bystra i miła. I że nie boi się ciężkiej pracy.

- Więc przestań jęczeć, że ci głupio. Idź do niej.

- Tak. Może pójdę - rzucił Tom bez przekonania i zajął się mieszaniem zupy. Ciekawe, czy Melanie przyjdzie do mesy na lunch.

Późnym popołudniem Everett wrócił ze spaceru po Pacific Heights. Sfotografował kobietę, którą wyciągnięto spod gruzów jej domu. Straciła nogę, ale przeżyła. Była to bardzo

wzruszająca scena i nawet on się popłakał. Te ostatnie dni obfitowały w emocje i mimo swoich doświadczeń na frontach całego świata nawet teraz w obozie widział wiele podobnych scen, które chwytały za serce. Opowiedział o tym Maggie, gdy siedzieli na dworze, podczas jej krótkiej przerwy. Melanie została w szpitalu - rozdawała insulinę i strzykawki chorym, którzy się zgłosili po komunikacie nadanym przez głośniki.

- Wiesz co? - powiedział Everett, uśmiechając się do Maggie. - Będzie mi żal wracać do Los Angeles. Podoba mi się tutaj.

- Mnie się zawsze podobało - mówiła cicho. - Zakochałam się w tym mieście od pierwszej chwili, kiedy tylko przyjechałam z Chicago. Chciałam wstąpić do zakonu karmelitanek, ale w końcu wylądowałam w innym zgromadzeniu. I dobrze. Kocham pracę na ulicach.

- Nasza prywatna Matka Teresa - zażartował, nie wiedząc, że Maggie już nieraz była porównywana do świętej zakonnicy. Miała w sobie tę samą pokorę, energię i niezmiernie pokłady współczucia, które wyrastały z jej wiary i dobrego serca. Zupełnie jakby rozświetlał ją wewnętrzny blask.

- Myślę, że karmelitanki byłyby dla mnie zbyt nudne. Za dużo modlitw, za mało roboty. Lepiej się odnajduję w moim zakonie. - Popijali wodę, bo znów trafił się ciepły dzień, nietypowy dla tej pory roku. Ostatnio taka temperatura panowała przed trzęsieniem ziemi. W San Francisco właściwie nigdy nie narzekano, że jest za gorąco, ale dziś pogoda wyjątkowo dopisała. Przyjemnie było czuć na twarzy popołudniowe słońce.

- Nigdy nie miałaś dość? Nie wątpiłaś w swoje powołanie? - Czuł, że może pytać o wszystko. Zostali przyjaciółmi.

- Niby dlaczego miałabym to robić? - Zdumiało ją to pytanie.

- Bo większość z nas przeżywa takie chwile. Człowiek zastanawia się, co uczynił ze swoim życiem, czy wybrał właściwą drogę. Mnie się to często zdarzało - przyznał. Maggie skinęła głową.

- Miałeś trudniejsze wybory - powiedziała łagodnie. - Ożeniłeś się w wieku osiemnastu lat, potem rozwiodłeś, zostawiłeś syna, wyjechałeś z Montany, wybrałeś sobie pracę, która też jest raczej powołaniem niż zawodem. Oznacza rezygnację z jakiegokolwiek życia prywatnego. A potem porzuciłeś tę pracę, przestałeś pić. To wszystko wymagało poważnych decyzji, które na pewno niełatwo się podejmuje. Mnie nigdy nie było tak ciężko. Idę tam, gdzie mnie pošlą, robię, co mi każą. Ślub posłuszeństwa. To mi bardzo upraszcza życie. - Mówiła pewnie, ze stoickim spokojem.

- Czy to naprawdę takie proste? Zawsze zgadzasz się ze zwierzchnikami? Nigdy nie chcesz zrobić czegoś po swojemu?

- Moim zwierzchnikiem jest Bóg. W ostatecznym rozrachunku pracuję dla niego. Ale rzeczywiście - dodała ostrożnie - czasami uważam, że to, czego chce matka przełożona, albo to, co mówi biskup, jest niemądre, krótkowzroczne czy zbyt staroświeckie. Większość moich przełożonych sądzi, że jestem zbyt radykalna, ale zwykle pozwalają mi robić, co chcę. Wiedzą, że nie narobię im wstydu i że się postaram nie wyrażać zbyt głośno swoich poglądów na lokalną politykę. To denerwuje wszystkich, szczególnie kiedy mam rację. - Uśmiechnęła się.

- Nie przeszkadza ci, że nie masz własnego życia? - Everett nie potrafił sobie tego wyobrazić. Był zbyt niezależny, by pogodzić się z ideą posłuszeństwa, szczególnie wobec Kościoła i ludzi, którzy nim kierowali. A to stanowiło podstawę jej życia.

- Ależ to jest moje własne życie. I uwielbiam je. Nieważne, czy robię swoje tutaj, w Presidio, czy w Tenderloin, wśród prostytutek i narkomanów. Jestem po to, by pomagać ludziom, służąc Bogu. Trochę jak żołnierz wierny swojemu krajowi. Po prostu wypełniam rozkazy. Nie muszę sama ustalać zasad. - Everett zawsze miał problem z zasadami i autorytetami; między innymi dlatego zaczął pić. To był jego sposób na łamanie zasad i na ucieczkę od miażdżącej presji, kiedy inni mówili mu, co ma robić. Maggie godziła się z tym o wiele łatwiej. Nawet teraz, kiedy nie pił, cudze zwierzchnictwo czasem go uwierało, choć znosił je już o wiele lepiej. Był starszy, dojrzały, a odwyk bardzo mu pomógł w radzeniu sobie ze stresem.

- Mówisz o tym tak prosto. - Odetchnął głęboko. Dopił wodę, przyglądając się Maggie z uwagą. Piękna kobieta, a jednak potrafi w jakiś sposób powściągać swoją kobiecość, uważając, by nie nawiązywać z nikim relacji na zbyt osobistej płaszczyźnie. Lubił na nią patrzeć, ale między nimi wznosił się niewidzialny mur, któremu ona nie pozwalała zniknąć. To było o wiele potężniejsze niż habit, którego nie nosiła. Czy ktoś to dostrzegał, czy nie, ona cały czas miała pełną świadomość, że jest zakonnica i chciała nią być.

- Bo to jest proste, Everett. Dostaję wskazówki od Ojca i robię to, co On mi każe, i co wydaje mi się słuszne w danej chwili. Jestem tu, by służyć, nie żeby kimkolwiek kierować, czy mówić innym, jak mają żyć. To nie moje zadanie.

- Moje też nie. Ale mam sprecyzowane poglądy na większość rzeczy. Nie żałujesz czasem, że nie założyłaś rodziny?

Maggie pokręciła głową.

- Właściwie nigdy o tym nie myślałam. Gdybym miała męża i dzieci, troszczyłabym się tylko o nich. A tak mogę się

troszczyć o wielu ludzi. - I wyglądało na to, że czuje się spełniona.

- Ale co z tobą? Czy ty nie chcesz czegoś więcej? Dla siebie?

- Nie - odparła z uśmiechem, całkowicie szczerze. - Moje życie jest doskonałe takie, jakie jest, i kocham je. Właśnie to się nazywa powołanie. Zostałam powołana do robienia tego, co robię, przeznaczona do tego. Wybrana do określonego zadania. To zaszczyt. Wiem, że masz całkiem inny punkt widzenia, ale ja się nie poświęcam. Z niczego nie zrezygnowałam, a dostałam o wiele więcej, niż kiedykolwiek marzyłam czy pragnęłam. Nie mogłabym prosić o więcej.

- Szczęściara z ciebie. - Pokiwał głową. Nie chciała nic dla siebie, nie pozwalała sobie na pragnienia, nic nie wyzwalalo w niej chęci parcia naprzód czy osiągnięcia czegokolwiek. Czuła się absolutnie szczęśliwa i spełniona, oddając życie Bogu. - Ja zawsze pragnąłem rzeczy, których nigdy nie miałem, i wciąż się zastanawiałem, jak by to było je mieć.

Dzielić życie z drugą osobą, dochować się dzieci, patrzeć jak dorastają. Po prostu mieć kogoś, z kim mógłbym się cieszyć życiem. Kiedy osiągnie się pewien wiek, robienie wszystkiego samemu przestaje być zabawne. Człowiek czuje się samolubny i pusty. Jeśli się nie dzieli wszystkiego z ukochaną osobą, to po co w ogóle się męczyć? A potem co, śmierć w samotności? Ale jakoś nigdy nie miałem czasu na to wszystko. Byłem za bardzo zajęty jeżdżeniem po zapadłych dziurach. A może za bardzo się bałem takiego zobowiązania, po tym, jak dałem się wmanewrować w małżeństwo jako żółtodziób. Mniej się bałem zabłąkanych kul niż małżeństwa. - To, co mówił, brzmiało bardzo przygnębiająco. Maggie delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Powinieneś poszukać swojego syna. Myślę, że on cię potrzebuje, Everett. Możesz być wielkim darem dla niego. A on może wypełnić tę pustkę, którą czujesz. - Widziała, że jest samotny i uważała, że zamiast spoglądać z niepokojem w samotną przyszłość, powinien zawrócić, przynajmniej na chwilę, i odnaleźć syna.

- Może i tak. - Milczał przez chwilę zasmucony, zastanawiając się nad jej słowami. Przeraziła go sama myśl, że miałby odszukać tego chłopaka. To zbyt trudne. Minęło tyle lat. Teraz Chad pewnie nienawidził ojca za to, że go porzucił i zerwał kontakt. Wtedy Everett miał ledwie dwadzieścia jeden lat i nie zdołał udźwignąć takiej odpowiedzialności. Więc zwiął, i pił przez następne dwadzieścia sześć lat. Przysyłał pieniądze na utrzymanie syna, dopóki chłopak nie skończył osiemnastu lat, ale i ta namiastka kontaktu urwała się dwanaście lat temu.

- Brakuje mi mityngów - odezwał się, zmieniając temat. - Zawsze czuję się kiepsko, kiedy nie mam kontaktu z AA. Zwykle staram się chodzić dwa razy dziennie. Czasem nawet częściej. - A teraz nie był na mityngu już od trzech dni.

- Myślę, że powinieneś zorganizować mityng tutaj - zachęciła go Maggie. - Możemy tu siedzieć jeszcze tydzień, albo i dłużej. To bardzo długo, i dla ciebie, i dla wszystkich innych, którym też brakuje spotkań. Tu jest tylu ludzi, że na pewno zbierzesz sporą grupę.

- Może i tak. - Uśmiechnął się. Zawsze potrafiła poprawić mu samopoczucie. Niesamowita osoba. - Wiesz co, Maggie? Myślę, że cię kocham, oczywiście w tym niegroźnym znaczeniu - powiedział wprost. - Jesteś jak siostra, której nigdy nie miałem, a zawsze chciałem mieć.

- Dziękuję. - Odpowiedziała ciepłym uśmiechem, wstając. - A ty przypominasz mi trochę jednego z moich braci. Tego, który był księdzem. Naprawdę uważam, że powinieneś zostać

duchownym - zażartowała. - Masz wiele do zaoferowania. I pomyśl o tych wszystkich zbereźnych spowiedziach, których byś wysłuchiwał!

- Nawet to mnie nie skusi! - Przewrócił oczami. Maggie musiała wracać do pracy, zostawił ją więc w szpitalu i poszedł porozmawiać z wolontariuszem odpowiedzialnym za administrację obozu. Kiedy wrócił do swojego hangaru, zrobił tabliczkę z napisem „Przyjaciele Billa W.” Członkowie AA wiedzieli, co to znaczy. Kryptonim, zawierający nazwisko założyciela ruchu i oznaczający mityng. Przy tak ładnej pogodzie spotkanie mogło się odbyć nawet na wolnym powietrzu, gdzieś na uboczu. Spacerując po obozie Everett odkrył w zagajniku niewielką zaciszną polankę - miejsce było idealne. Administrator obiecał, że następnego ranka poinformuje o czasie i miejscu przez głośniki. Trzęsienie ziemi sprowadziło tutaj tych wszystkich ludzi, którzy przynieśli ze sobą swoje problemy, swoje codzienne sprawy. Maggie miała rację. Poczul się lepiej już w chwili, kiedy podjął decyzję o zorganizowaniu mityngu w obozie. Znów pomyślał o Maggie i o jej pozytywnym wpływie na niego. W oczach Everetta nie była tylko kobietą czy siostrą zakonną. Była czystą magią.

## Rozdział 7

Następnego dnia Tom przyszedł jednak do szpitala. Miał głupią minę. Zobaczył Melanie, kiedy szła do szopy, w której stały wielkie gazowe kotły do prania. Niosła olbrzymie naręcze brudnej pościeli i omal się nie potknęła na jego widok. Pomógł jej załadować pralki, przepaszając za swoją głupotę.

- Wybacz, Melanie. Naprawdę nie jestem taki tępy. Po prostu nie skojarzyłem. Pewnie dlatego, że się nie spodziewałem, iż spotkam tutaj gwiazdę.

Uśmiechnęła się do niego, zupełnie nieprzejęta jego wczorajszym zachowaniem. Jednak czuła się lepiej, kiedy nie wiedział, kim ona jest.

- Graliśmy tu koncert charytatywny w czwartek wieczorem.

- Uwielbiam twoją muzykę i twój głos. Wiedziałem, że skądś cię znam - mówił już bez napięcia w głosie, wyraźnie rozluźniony. - Myślałem, że z Berkeley.

- Szkoda, że nie. - Wracali do szpitala. - Podobało mi się, że nie wiesz, kim jestem. Czasami to strasznie męczące. Niektórzy od razu zaczynają się podlizywać - rzuciła buntowniczo.

- Tak, wierzę ci. - Przechodząc przez główny plac wzięli sobie po butelce wody z ciężarówki i usiedli na kłodzie drzewa, żeby porozmawiać chwilę. Było to ładne miejsce, wśród drzew, z widokiem na most Golden Gate i zatokę migoczącą w słońcu. - Lubisz to, co robisz? To znaczy swoją pracę?

- Czasami. Bywa ciężko. Mama strasznie dużo ode mnie wymaga. Wiem, że powinnam być wdzięczna. To dzięki niej zrobiłam karierę, osiągnęłam sukces. Wiecznie mi to powtarza. Ale ona pragnie sławy bardziej niż ja. Ja po prostu lubię śpiewać, kocham muzykę. I niekiedy koncerty czy trasy są nawet fajne. Męczą, kiedy jest ich za dużo. Anie można



grymasić, przebierać. Albo się idzie na całość, albo nie robi się nic. Nie da się tak na pół gwizdka.

- A robisz sobie czasem przerwę? Trochę wolnego? Melanie pokręciła głową.

- Mama mi nie pozwala. - Roześmiała się, zdając sobie sprawę, jak dziecinnie muszą brzmieć jej słowa. - Mówi, że to by było zawodowe samobójstwo. I że w moim wieku nie bierze się urlopów. Chciałam iść do college'u, ale nie ma o tym mowy przy moim trybie życia. Zaczęłam się robić sławna w pierwszej klasie ogólniaka, więc rzuciłam szkołę i zrobiłam maturę dzięki prywatnym nauczycielom. Nie żartowałam, naprawdę strasznie chciałabym pójść do szkoły pielęgniarstwa. Wiedziałam jednak, że mama nie pozwoli. - Nawet dla niej samej brzmiało to jak żale smutnej bogatej dziewczynki, ale Tom był pełen zrozumienia i choć w drobnej części pojmował, pod jaką presją żyła Melanie. Ludzie mogli sobie myśleć, co chcieli; jemu wcale nie wydawało się to fajne. Melanie posmutniała, mówiąc o tym, jakby uświadomiła sobie, że straciła spory kawałek młodości. Bo rzeczywiście straciła. Tom wyczuwał to i było mu jej żal.

- Bardzo bym chciał zobaczyć kiedyś twój koncert - powiedział w zamyśleniu. - Szczególnie teraz, kiedy cię poznałem.

- W czerwcu gram koncert w Los Angeles. A potem ruszam w trasę. Najpierw do Vegas, a potem po całym kraju. Lipiec, sierpień i część września. Może w czerwcu będziesz mógł przyjść. - Spodobał jej się ten pomysł; Tom też się ucieszył, że jeszcze ją zobaczy, choć ledwie się poznali.

Ruszyli powoli w stronę szpitala polowego; Tom zostawił ją przy wejściu, obiecując, że później jeszcze zajrzy. Nie pytał, czy ma chłopaka, a ona jakoś nie wspomniała o Jake'u. Był taki nieprzyjemny, od kiedy tu się znaleźli, i bez przerwy narzekał. Chciał wracać do domu. Podobnie jak osiemdziesiąt

tysięcy innych ludzi, ale oni jakoś to znosili. Poprzedniego wieczoru Melanie wspomniała nawet Ashley, że Jake zachowuje się jak dzieciak. I zaczynał ją męczyć. Był taki niedojrzały, taki samolubny. Ale szybko o nim zapomniała. Zapomniała nawet o Tomie, kiedy wróciła do pracy z Maggie.

Mityng AA zorganizowany przez Everetta w obozie spotkał się z ogromnym odzewem. Ku jego zdumieniu zjawilo się prawie sto osób, zachwyconych, że mogą się spotkać. Tabliczka „Przyjaciele Billa W.” przyciągnęła wtajemniczonych i początkujących, a dzięki komunikatowi nadanemu tego ranka na placu ludzie wiedzieli, gdzie przyjść. I przychodzili przez dwie godziny. Mnóstwo ludzi tego wieczoru podzieliło się publicznie swoimi przeżyciami. Everett czuł się jak nowy człowiek, kiedy o wpół do dziewiątej wszedł do szpitala, by pochwalić się Maggie. Od razu zauważył, że wyglądała na zmęczoną.

- Miałaś rację! Było fantastycznie! - Oczy błyszczały mu podnieceniem, kiedy opowiadał jej, jakim sukcesem okazał się mityng. Maggie podzielała jego radość. Posiedział w szpitalu godzinę, bo akurat nie miała dużo do roboty. Maggie już wcześniej odesłała Melanie do hangaru, więc teraz mogła spokojnie usiąść i porozmawiać z nim.

W końcu odmeldowała się i wyszli razem ze szpitala. Odprowadził ją do budynku, w którym mieszkali wszyscy ochotnicy stanu duchownego. Były tu siostry i bracia zakonni, księża, pastory, kilku rabinów i dwóch mnichów buddyjskich w pomarańczowych szatach. Wchodzili i wychodzili, mijając Everetta i Maggie siedzących na schodku od frontu.

Rozmowa z Everettem sprawiła Maggie ogromną przyjemność. A on po mityngu czuł się jak nowo narodzony. Gdy wstał, by się pożegnać, podziękował jej jeszcze raz.

- Dzięki, Maggie. Jesteś wspaniałą przyjaciółką.

- A ty wspaniałym przyjacielem, Everett. - Uśmiechnęła się. - Cieszy mnie, że się udało. - Wczoraj się martwiła, co to będzie, jeśli nikt nie przyjdzie. Ale grupa umówiła się na codzienne spotkania o tej samej porze i Maggie miała przeczucie, że jeszcze się rozrośnie. Wszyscy żyli tu w wielkim stresie. Nawet ona go odczuwała. Księża z jej budynku odprawiali co rano mszę, dzięki czemu mogła dobrze zacząć dzień i czuła się podniesiona na duchu, tak jak Everett po swoim mityngu. Wieczorem, przed zaśnięciem, modliła się prawie godzinę - a przynajmniej tak długo, jak udawało jej się utrzymać otwarte oczy. Pracowała naprawdę ciężko, wiele godzin, i zasypiała jak zabita.

- Zobaczymy się jutro - obiecał Everett i poszedł sobie. Maggie weszła do budynku. Wspinając się na piętro wciąż o nim myślała.

Pokój dzieliła z sześcioma innymi siostrami, które zgłosiły się do najróżniejszych prac w Presidio, i chyba po raz pierwszy w życiu poczuła, że nie ma z nimi zbyt wiele wspólnego. Jedna z nich od dwóch dni narzekała, że nie może nosić habitu. Zostawiła go w klasztorze, kiedy w budynku wybuchł pożar z powodu wycieku gazu; ona i jej towarzyszki musiały uciekać i przyjechały do Presidio w szlafrokach i kapciach. Siostra żaliła się, że bez habitu czuje się naga. Maggie z upływem lat coraz bardziej nie cierpiała swojego, a na bal charytatywny włożyła go tylko dlatego, że nie miała sukienki. W jej szafie były tylko zwykłe ubrania, które nosiła na ulicy.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się odizolowana od reszty sióstr. Nie bardzo wiedziała, dlaczego, ale nagle wydały jej się małe i ograniczone. Przypomniała sobie swoje rozmowy z Everettem, kiedy tłumaczyła mu, dlaczego tak kocha być zakonnica. I tak było, ale czasami inne siostry, a nawet księża, działali jej na nerwy. Zwykle o tym zapominała.

Czuła się związana z Bogiem i zbłąkanymi duszami. Duchowni często ją irytowali, szczególnie ci o konserwatywnych poglądach, którzy uważali własną drogę życiową za jedynie słuszną.

Miała powód do zmartwień. Everett zapytał ją, czy kiedykolwiek wątpiła w swoje powołanie. Nigdy nie wątpiła, teraz też nie. Ale nagle zatęskniła za ich rozmowami, za ich filozoficznymi dyskusjami, za jego żartami. I to właśnie ją niepokoiło. Nie chciała zbyt przywiązywać się do żadnego człowieka. Zastanawiała się, czy ta druga siostra nie miała przypadkiem racji. Może zakonnice potrzebowały habitów, by przypominać innym, kim są, i zachowywać dystans. Między nią i Everettem ten dystans został zniesiony. W niezwykłych okolicznościach, w jakich się znaleźli, formowały się silne przyjaźnie, nierozzerwalne więzi, a nawet nowe romanse. Maggie chciała być przyjaciółką Everetta, ale z pewnością niczym więcej. Powtarzała sobie to, ochlapując twarz zimną wodą. W końcu położyła się na prycy, modląc się, jak zawsze. Nie pozwoliła, by myśli o Everecie zakłóciły jej modlitwę, ale wciąż wracały, nieproszone, i musiała podejmować świadomy wysiłek, by się od nich odciąć. Przypomniało jej to, po raz pierwszy od wielu lat, że jest oblubienicą Boga, niczyją inną. Należała wyłącznie do Niego. Tak było zawsze i tak miało pozostać. W końcu, dzięki wyjątkowo żarliwej modlitwie, udało jej się wyrzucić obraz Everetta z myśli i wypełnić je wyłącznie Chrystusem. Gdy skończyła modlitwę, westchnęła głęboko, zamknęła oczy i spokojnie usnęła.

Melanie padała ze zmęczenia, gdy wróciła tego wieczoru do swojego hangaru. Trzeci dzień ciężko pracowała w szpitalu i choć z radością oddawała się nowym zajęciom, wracając do siebie musiała przyznać, że wspaniale byłoby wziąć gorącą kąpiel, ułożyć się we własnym wygodnym łóżku i zasnąć przy

włączonym telewizorze. Ale zamiast tego czekała na nią ogromna hala, którą dzieliła z kilkuset osobami. Hangar był hałaśliwy, zatłoczony, śmierdzący, a jej łóżko okropnie twarde. Spędzi tu jeszcze przynajmniej kilka nocy. Nie wiedzieli kiedy, i jak wydostaną się z kompletnie martwego miasta. Póki co wszyscy musieli urządzić się jak najlepiej, co powtarzała Jake'owi, gdy zaczynał narzekać. Rozczarował ją sobą - okazał się marudny, często też wyładowywał złość na niej. A Ashley nie była lepsza. Bez przerwy płakała, powtarzała, że cierpi na stres pourazowy i że chce wracać do domu. Janet też się tu nie podobało, ale ona przynajmniej zawierała przyjaźnie i bez ustanku gadała o córce, by wszyscy wiedzieli, jaka jest ważna i wyjątkowa. Melanie miała to w nosie. Przywykła. Matka zachowywała się tak wszędzie, gdziekolwiek jechali. Chłopaki z zespołu i z ekipy technicznej mieli mnóstwo znajomych; kręcili się po obozie, grali w pokera. Tylko Melanie i Pam pracowały.

Przy wejściu poczęstowała się puszką wiśniowego napoju. Halę słabo oświetlały lampy na baterie, które w nocy rozjaśniały kąty pod ścianami. W ciemnościach nietrudno było potknąć się o kogoś śpiącego w przejściu między pryczami, czy nawet przewrócić się, jeśli się nie uważało. A płacz dzieci nie cichł właściwie przez całą noc. Przypominało to trochę podróż w trzeciej klasie starego transatlantyku. Melanie przebiła się do miejsca, gdzie spała jej ekipa. Mieli do dyspozycji prawie dwadzieścia łóżek polowych, a i tak część techników spała w śpiworach na podłodze. Łóżko Jake'a stało tuż obok jej łóżka. Matka znów gdzieś powędrowała.

Melanie usiadła na brzegu jego pryczy i poklepała nagie ramię, wystające ze śpiwora. Leżał plecami do niej.

- Cześć, kotku - szepnęła w półmroku. Gwar w sali ucichł już trochę. Ludzie kładli się wcześniej. Byli zdenerwowani, wystraszeni, zrozpaczeni z powodu tego, co stracili, a w nocy

nie mieli nic do roboty, więc po prostu szli spać. Jake się nie poruszył. Pomyślała, że pewnie już zasnął, więc przesunęła się, by przenieść się na swoje łóżko. Nagle w śpiworze Jake'a coś zaczęło się szamotać i wyjrzały z niego dwie głowy naraz. Jake i Ashley. Oboje mieli przestraszone, zawstydzone miny.

- Co ty tu robisz? - odezwał się Jake. Był zaskoczony i wściekły.

- Śpię tutaj, zdaje się - odparła Melanie. Z początku nie bardzo mogła pojąć, co właściwie widzi, ale nagle zrozumiała aż za dobrze. - No pięknie. - Spojrzała z pogardą na Ashley, z którą przyjaźniła się prawie przez całe życie. - Po prostu pięknie. Co za cholerne świństwo - mówiła cicho, by inni nie usłyszeli. Ashley i Jake zdążyli już usiąść. Nie mieli na sobie ubrań. Ashley pogimnastykowała się trochę i w końcu wypełzła ze śpiwora w koszulce i stringach. Melanie rozpoznała swoją bieliznę. - Palant - rzuciła do Jake'a i wstała, chcąc odejść. Złapał ją za rękę i wyplątał się ze śpiwora w samych majtkach.

- Na litość boską, kotku. Myśmy się tylko wygłupiali. To nic takiego. - Ludzie zaczynali się już gapić. A co gorsza, wiedzieli, kim jest Melanie. Matka o to zadbała.

- Mnie to nie wygląda na „nic takiego”. - Odwróciła się, mierząc ich gniewnym spojrzeniem. Najpierw zwróciła się do Ashley. - Nie przeszkadza mi, że kradniesz moją bieliznę, Ash, ale kradzież chłopaka to chyba lekkie przegięcie, nie sądzisz?

- Przepraszam, Mel - wyjąkała Ashley, zwieszając głowę. Płakała. - Nie wiem, jak to się stało, tu jest tak strasznie... Jestem taka przerażona... Dzisiaj miałam atak paniki. Jake po prostu próbował mnie uspokoić... i... to nie było... - Zaniósła się płaczem; Melanie poczuła mdłości, patrząc na nią.

- Daruj sobie. Ja bym ci nie zrobiła czegoś takiego. Może gdybyście oboje ruszyli tyłki i zajęli się czymś pożytecznym,

nie musielibyście się pieprzyć dla rozrywki. Rzygać mi się chce. - Głos jej drżał.

- Nie udawaj takiej świętojebliwej! - wypalił Jake, uznając, że atak jest najlepszą obroną. Ale Melanie nie dała się zbić z tropu.

- Pieprz się! - nie pozostała mu dłużna. W tej chwili zjawiała się Janet i ogarnęła całą trójkę zdumionym spojrzeniem. Widziała, że doszło do ostrej kłótni, ale nie miała pojęcia, o co poszło. Grała w karty z grupką nowych znajomych, wśród których było dwóch bardzo przystojnych panów.

- Sama się pieprz, nie jesteś aż takim ostrym towarem, za jaki się uważasz! - ryknął, gdy Melanie odchodziła. Matka pobięła za nią.

- Co się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać - ucięła Melanie, idąc szybko do wyjścia.

- Melanie, gdzie ty idziesz? - zawołała za nią Janet, nie zważając, że budzi śpiących i ściąga ciekawskie spojrzenia.

- Na dwór. Nie martw się. Nie pójdę pieszo do Los Angeles - rzuciła od drzwi i wybiegła na zewnątrz.

Janet wróciła do swoich. Ashley szlochała, Jake w ataku wściekłości rzucał czym popadnie, a ludzie z sąsiednich prycz na razie ostrzegali - jeśli się nie uspokoi, skopią mu tyłek. Nie zyskał sympatii sąsiadów. Niegrzecznie się odnosił do wszystkich i jakoś nikt nie uważał, że jest uroczy, chociaż był telewizyjną gwiazdą. Zaniepokojona Janet zwróciła się do jednego z muzyków, żeby przemówił mu do rozsądku.

- Nie cierpię tego miejsca! - krzyknął Jake i wyszedł na dwór. Ashley pobięła za nim. Zdawała sobie sprawę, że zrobiła straszne głupstwo. Dobrze знаła Melanie i wiedziała, że lojalność i uczciwość są dla niej najważniejsze. Gdy usiedli

na dworze owinięci w koce, zaczęła się rozglądać, ale nigdzie nie widziała przyjaciółki.

- Och, pieprzyć ją - warknął Jake. - Cholera, kiedy nas stąd wreszcie wyciągną? - Rano prosił nawet jednego z pilotów, żeby zabrał ich na pokład i zawiózł do Los Angeles, ale pilot spojrział na niego jak na wariata. Śmigłowce latały służbowo i wynajęcie nie wchodziło w grę.

- Ona mi nigdy nie wybaczy - jęknęła Ashley.

- I co z tego? Czym ty się przejmujesz? - Wciągnął głęboko w płuca chłodne, nocne powietrze. Zabawił się trochę z Ashley, bo nie mieli nic innego do roboty, a Melanie była zajęta odgrywaniem choleryjnej Florence Nightingale. Wmawiał i sobie, i Ashley, że gdyby Mel siedziała na miejscu, nigdy by do tego nie doszło. To jej wina, nie ich. - Zresztą jesteś o wiele bardziej seksowna od niej. - Ashley wzięła to za dobrą monetę i przytuliła się do niego.

- Naprawdę tak myślisz? - Jej poczucie winy jakoś natychmiast osłabło.

- Jasne, mała, jasne. - Po kilku minutach wrócili do środka. Tej nocy Ashley spała w jego śpiworze; przecież Melanie i tak nie było. Janet powstrzymała się od komentarzy, ale doskonale rozumiała, co się stało. Trudno, i tak nie lubiła Jake'a. Nie zdobył takiej popularności, jak córka, a poza tym za bardzo pociągały go narkotyki.

Melanie wróciła do szpitala polowego i położyła się spać na jednym z pustych łóżek, które czekały na nowych pacjentów. Dyżurna pielęgniarka pozwoliła jej zostać, gdy dziewczyna wyjaśniła, że w hangarze mieli jakiś problem z miejscami noclegowymi. Obiecała, że zwolni łóżko, jeśli będzie potrzebne dla pacjenta.

- Nie przejmuj się - powiedziała ciepło pielęgniarka. - Prześpij się. Wyglądasz na skonaną.



- Bo jestem - odparła Melanie. Jednak nie mogła zasnąć przez wiele godzin. Wciąż widziała twarze Ashley i Jake'a, wyłaniające się ze śpiwora. Nie zaskoczyło jej zbytnio, że Jake to zrobił, choć czuła do niego nienawiść i uważała za palanta. Zdrada Ashley bolała najmocniej. Oboje byli słabi i samolubni - dwójka pieczeniarczy, którzy bezwstydnie ją wykorzystywali. Wiedziała, że taka jest specyfika tego środowiska i przeżyła już niejedną zdradę. Ale miała dość rozczarowań, które przyszły wraz ze sławą. Co się stało z miłością, uczciwością, przyzwoitością, lojalnością i prawdziwą przyjaźnią?

Spała mocno na szpitalnym łóżku, gdy rano znalazła ją Maggie i delikatnie przykryła kocem. Nie miała pojęcia, co się wydarzyło, ale czuła instynktownie, że dziewczyny nie mogło tu sprowadzić nic dobrego. Nie obudziła jej. Melanie wyglądała jak śpiące dziecko, gdy Maggie zostawiła ją i zaczęła dzień. Było tyle do zrobienia.

## Rozdział 8

W poniedziałek rano napięcie w domu Setna i Sary na Divisadero stało się wręcz namacalne. Seth, tak jak to robił od chwili trzęsienia ziemi, sprawdzał wszystkie domowe telefony, komórki, aparaty w samochodach i swoją BlackBerry - na próżno. San Francisco wciąż pozostawało odcięte od świata. Śmigłowce bez przerwy warczały, latając niemal nad głowami; piloci oceniali sytuację i zdawali raporty służbom ratunkowym. W całym mieście wciąż było słychać syreny. Mieszkańcy starali się siedzieć w domach - przynajmniej ci, którzy mieli gdzie. Ulice wymarły. Istne miasto duchów. A w domu Sloane'ów gęstniała atmosfera oczekiwania na nieuchronną katastrofę. Sara schodziła Sethowi z drogi i zajmowała się dziećmi. Oboje starali się funkcjonować jak zwykle, ale prawie się do siebie nie odzywali. Sara w milczeniu dochodziła do siebie po wstrząsie, jakim było dla niej wyznanie męża.

Dała dzieciom śniadanie. Niepokoiło ją, że zapasy żywności szybko się kurczą. Potem wyszli do ogrodu. Molly ogromnie bawiło przewrócone drzewo. Kaszel i ból ucha Olivera ustąpiły po antybiotykach. Dzieciaki były pogodne, czego nie dało się powiedzieć o ich rodzicach. Na lunch Sara i Parmani przygotowały im kanapki z masłem orzechowym, galaretką i plasterkami bananów, a po jedzeniu położyły je spać. W domu panowała cisza jak makiem zasiał, kiedy Sara wreszcie zdecydowała się pójść do gabinetu męża. Seth wyglądał koszmarnie; siedział pogrążony w myślach i wpatrywał się pustym wzrokiem w ścianę.

- Dobrze się czujesz? - Nie raczył nawet odpowiedzieć. Odwrócił tylko głowę i spojrzał na żonę znękanym wzrokiem. Wszystko, co dla nich zbudował, lada chwila zawali się z hukiem. A on siedział tak, blady, z wychudłą twarzą. - Chcesz coś zjeść? - Pokręcił głową i westchnął.

- Zdajesz sobie sprawę, co nas czeka, prawda? - odezwał się wreszcie.

- Nie do końca - odparła cicho. - Wiem tylko to, co mi powiedziałeś. Że audytorzy przejrzą księgi Sully'ego, odkryją, że pieniądze inwestorów zniknęły i idąc po śladach znajdą je na twoich kontaktach.

- Kradzież i oszustwo finansowe. Przestępstwa federalne. Nie wspominając już o prywatnych pozwach, które wniosą inwestorzy Sully'ego i moi. To będzie prawdziwe piekło, Saro. I nie skończy się szybko. - Nie myślał o niczym innym od czwartkowej nocy.

- Co to znaczy? Zdefiniuj „piekło”. - Woląla wiedzieć, na co się zanosi. Przecież jej to też dotyczy.

- Postawienie zarzutów. Rozpoznanie zasadności oskarżenia przez wielką ławę przysięgłych. Proces. I pewnie wyrok więzienia dla mnie. - Spojrzał na zegarek. W Nowym Jorku dochodziła czwarta po południu; termin, kiedy miał oddać pieniądze, by zdążyć przed audytem u Sully'ego, minął cztery godziny temu. To był zwyczajny pech, że kontrole w ich firmach przypadły w tak bliskich terminach, a jeszcze większy pech, że trzęsienie ziemi w San Francisco spowodowało zerwanie łączności i zamknięcie wszystkich banków. On i wspólnik tkwili po uszy w bagnie i nie mieli żadnej możliwości zatarcia śladów. - Sully został już złapany na gorącym uczynku. Pewnie jeszcze w tym tygodniu Komisja Papierów Wartościowych zacznie badać jego księgi, i moje, kiedy tylko miasto znów zacznie funkcjonować. Obaj siedzimy na tej samej gałęzi. Inwestorzy zaczną wnosić pozwy cywilne za sprzeniewierzenie ich funduszy, kradzież i oszustwo. - W końcu, jakby chciał jeszcze bardziej ją pogłębić, dodał: - Jestem prawie pewny, że stracimy dom i całą resztę.

- I co potem? - wychrypiała. Przeraziła ją nie tyle perspektywa utraty majątku, ile odkrycie, że Seth jest oszustem i przestępcą. Znała go i kochała od sześciu lat, i nagle się okazało, że wcale go nie zna. Nie byłaby bardziej zszokowana, gdyby na jej oczach zamienił się w wilkołaka. - Co będzie ze mną i z dziećmi?

- Nie wiem, Saro. - Westchnął ciężko. - Niewykluczone, że będziesz musiała znaleźć sobie pracę. - Skinęła głową. To nie było najgorsze, co mogło ją spotkać. Z chęcią podjęłaby pracę, gdyby tylko mogło im to pomóc, ale jeśli Seth zostanie skazany, co się stanie z ich życiem, z ich małżeństwem? Co będzie, jeśli on pójdzie siedzieć? I na jak długo? Nie miała odwagi zapytać, a on siedział tylko, kręcąc głową, ze łzami powoli toczącymi się po policzkach. Przerazało ją też, że w tym wszystkim on zdawał się myśleć wyłącznie o sobie, nie o nich. Co będzie z nią i dziećmi, jeśli on trafi do więzienia?

- Myślisz, że policja się zjawi, kiedy tylko miasto zostanie odblokowane? - Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. W najgorszych koszmarach nie wyśniłaby czegoś takiego.

- Nie wiem. Pewnie najpierw będzie śledztwo Komisji Papierów Wartościowych. Ale to wszystko może pójść bardzo szybko. Gdy tylko bank zostanie otwarty, znajdą pieniądze na moich kontach i będę skończony.

Sara skinęła głową, próbując ogarnąć to wszystko. Przypomniała sobie, co powiedział jej w czwartek.

- Mówiłeś, że robiliście to z Sullym już wcześniej. Ile razy? - Ledwie powstrzymała łzy. To nie była jednorazowa sprawa. Mogli uprawiać taki proceder od lat.

- Kilka. - Głos mu drżał.

- Możesz określić te „kilka”? - Chciała to wiedzieć.

- Czy to ważne? - Dostrzegła, jak napina się mięsień na jego szczęce. - Trzy... może cztery. Sully pomógł mi wszystko ustawić. Pierwszy raz zrobiłem to zaraz kiedy zaczęliśmy

pracę, żeby lepiej wystartować i zainteresować inwestorów funduszem. To trochę jak wystawa w oknie, żeby sklep wyglądał bardziej atrakcyjnie. Udało się... więc powtórzyłem. Ściągnąłem poważnych inwestorów, udając, że mam większe zabezpieczenie niż naprawdę.

Sarze w głowie się to nie mieściło; ale znalazło się przynajmniej wyjaśnienie jego szybkiego, oszałamiającego sukcesu. Genialny chłopiec, o którym wszyscy mówili, okazał się złodziejem i naciągaczem. A jeszcze bardziej przerażające było, że ona za niego wyszła. Ją też nabrał. Nigdy nie chciała tych wszystkich ekstrawaganckich luksusów. Nie potrzebowała ich. Z początku nawet ją martwiły. Ale Seth przekonywał, że zarabia szybciej, niż są w stanie wydawać, i zasługują na te wszystkie zabawki i na taki właśnie styl życia. Domy, biżuteria, wystrzałowe samochody, samolot. I wszystko to zdobył nieuczciwie.

- Czy z urzędem skarbowym też mamy kłopoty? - zapytała w nagłej panice. Rozliczali się wspólnie. Co będzie z dziećmi, jeśli i ona pójdzie do więzienia? Już sama taka myśl budziła przerażenie.

- Nie, nie - zapewnił ją. - Nasze zeznania podatkowe są bez zarzutu. Nie zrobiłbym ci tego.

- Niby dlaczego? - Czują, jak łyzy ściekają powoli po policzkach. Tego po prostu za wiele. Trzęsienie ziemi, które zniszczyło miasto, było drobiazgiem w obliczu katastrofy, jaka dotknęła ich rodzinę. - Zrobiłeś mi wszystko inne. Wystawiłeś się na ryzyko i teraz pociągniesz za sobą na dno nas wszystkich. - Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co powie rodzicom. Będą przerażeni i najedzą się wstydu, kiedy sprawa trafi do mediów. Nie będzie sposobu, by utrzymać to w tajemnicy. Już widziała, jak ich historia staje się gorącym newsem, szczególnie jeśli Seth zostanie skazany i trafi do więzienia. Gazety będą miały używanie. Im wyżej ktoś się

wspiał, tym głośniejszy był huk, kiedy spadał. Łatwe do przewidzenia.

Seth wstał z za biurka i zaczął chodzić po pokoju. Sara stała przy oknie, gapiąc się na dwór. Skrzynki na kwiaty w domu sąsiadów pospadały i wciąż leżały na chodniku, zasypałym ziemią i schnącym zielskiem. Nikt nie posprzątał bałaganu - sąsiedzi wynieśli się do Presidio, bo komin ich domu zawalił się i wybił dziurę w dachu. Całe miasto czekało wielkie sprzątanie. Ale nawet najgorszy bałagan to nic w porównaniu z tym, co ich czeka.

- Potrzebujemy adwokata, Seth. I to naprawdę dobrego.

- Zajmę się tym - pokiwał głową. - Przykro mi, Saro - dodał szeptem.

- Mnie też. - Odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Nie wiem, czy to dla ciebie cokolwiek znaczy, ale ja cię kocham, Seth. Kochałam cię od pierwszej chwili. I wciąż kocham, nawet po tym wszystkim. Po prostu nie wiem, co z nami będzie dalej. Czy w ogóle będzie jakieś „dalej”. - Nie powiedziała mu tego, ale nie wiedziała, czy zdoła mu wybaczyć tę nieuczciwość, ten brak zwykłej przyzwoitości. To straszne dowiedzieć się czegoś takiego o człowieku, którego się kocha. A jeśli on rzeczywiście tak bardzo różnił się od jej wyobrażeń, to kogo właściwie kochała? Teraz patrzyła na niego jak na obcego człowieka.

- Ja też cię kocham. - Głos miał nabrzmiały bólem. - Przepraszam cię. Nie sądziłem, że do tego dojdzie. Nie spodziewałem się, że nas przyłapią. - Powiedział to tak, jakby ukradł jabłko ze straganu albo nie oddał książki do biblioteki. Sara się zastanawiała, czy on w ogóle uświadamia sobie, co jest w tej sprawie najistotniejsze.

- Nie w tym rzecz, że cię przyłapali. Chodzi o to, kim byłeś i co sobie wyobrażałeś, decydując się na taką grę. O ryzyko, jakie podjąłeś. O kłamstwo, w którym żyłeś. O ludzi,

których skrzywdziłeś i okłamałeś, i nie mówię tylko o inwestorach, ale o mnie i dzieciach. One też ucierpią. Jeśli pójdziesz do więzienia, one będą musiały z tym żyć, wiedząc, co zrobiłeś. Co będą myśleć o ojcu, kiedy dorosną? Co im to powie o tobie?

- Powie im, że jestem tylko człowiekiem i że popełniłem błąd - odparł ze smutkiem. - Jeśli mnie kochają, wybaczą mi, i ty też wybaczysz.

- To nie jest takie proste. Nie wiem, jak można wrócić do normalności po tym co się stało. Jak zapomnieć, że ktoś, komu się ufało bezgranicznie, okazał się kłamcą, oszustem i naciągaczem... złodziejem... Jak mogę ci znów zaufać? - Seth nie odezwał się słowem. Siedział tylko, patrząc na nią pustym wzrokiem.

Nie zbliżył się do niej od trzech dni. Nie mógł. Sara oddzieliła się od niego wysokim murem. Nawet w nocy, we wspólnym łóżku, każde z nich kuliło się po swojej stronie, zostawiając szerokie, puste miejsce pośrodku. Nie dotykał jej, a ona nie potrafiła się zdobyć na wyciągnięcie do niego ręki. Czowała się zraniona, obolała, zawiedziona. Chciał, by mu wybaczyła, zrozumiała go i okazała mu wsparcie, ale ona nie miała pojęcia, czy w ogóle coś takiego jest możliwe. To wszystko po prostu ją przerosło.

Była niemal wdzięczna, że miasto jest martwe. Potrzebowała czasu, by to wszystko przetrawić, zanim ich świat się rozpadnie. Ale z drugiej strony, gdyby nie trzęsienie ziemi, to by ich nie spotkało. Seth odesłałby pieniądze Sully'emu, zatarliby ślady. A potem, któregoś dnia, znów zrobiliby to samo, i być może wpadliby wtedy. Prędzej czy później tak by się stało. Niemożliwe, by w nieskończoność ukrywać przestępstwo na taką skalę. To wydawało się tak oczywiste, że aż śmieszne.

- Czy ty mnie zostawisz, Saro? - To by była dla niego kropla przelewająca czarę goryczy. Chciał, by wytrwała przy nim, ale nie bardzo wierzył, że tak będzie. Sara miała wyjątkowo twarde zasady, jeśli chodziło o uczciwość i zaufanie. Przyjęła niezwykle wysokie standardy dla siebie, i wiele wymagała od innych. On pogwałcił je wszystkie. Narazając rodzinę, dopuścił się największej zbrodni. Rodzina to dla Sary świętość. Żyła wartościami, które wyznawała. Będąc kobietą honoru, po nim spodziewała się tego samego.

- Nie wiem - przyznała szczerze. - Nie mam pojęcia, co zrobię. Trudno mi ogarnąć to wszystko. To, co zrobiłeś, chyba jeszcze nie do końca do mnie dotarło. - Nawet straszne sceny, które się rozgrywały podczas trzęsienia ziemi, nie ogłuszyły jej tak jak to.

- Mam nadzieję, że nie odejdziesz. - Z jego głosu przebijała bezradność. - Chcę, żebyś została. - Potrzebował jej. Sam nie potrafiłby stawić temu czoła. Ale zdawał sobie sprawę, że być może będzie musiał, i po części przyznawał, że to jego własna wina.

- Ja też chcę zostać. - Nawet się nie starała powstrzymać łez. Nigdy w życiu nie czuła się tak zdruzgotana, może tylko wtedy, kiedy się bali, że ich dziecko umrze. Dzięki Bogu Molly została odratowana. Ale Sara nie wyobrażała sobie, co mogłoby teraz uratować Seta. Nawet jeśli zatrudniłby świetnego adwokata, nie sądziła, by przy tak mocnych dowodach zdołał uzyskać uniewinnienie. - Po prostu nie wiem — wzruszyła ramionami. - Poczekajmy, co będzie, kiedy odzyskamy łączność. Myślę jednak, że bardzo szybko zrobi się gorąco. - Seth skinął głową. Oboje wiedzieli, że czas odcięcia od świata był dla nich obojga jak odroczenie wyroku. Nie mogli w żaden sposób zadziałać, zareagować. Musieli czekać. To jeszcze potęgowało stres, i tak nie miały po trzęsieniu ziemi - Seth rozpaczliwie potrzebował porozmawiać z Sullym, dowiedzieć



się, co działo się u niego, w Nowym Jorku. Raz po raz sprawdzał swoją BlackBerry, jakby miała nagle ożyć. Ale była równie głucha jak wszystkie pozostałe urządzenia.

Dziś też leżeli w łóżku z dala od siebie. Seth chciał się kochać, szukać w seksie pociechy i potwierdzenia, że Sara wciąż go kocha, ale nie ośmielił się zbliżyć. Leżał bezsennie po swojej stronie łóżka jeszcze długo po tym, jak żona zasnęła. W połowie nocy Oliver obudził się z płaczem; znów łapał się rączką za ucho. Od paru dni ząbkował i Sara nie wiedziała, czy boli go ucho, czy dziąsła. Długo trzymała synka w ramionach, kołysząc się wraz z nim w wielkim bujanym fotelu. Ale nawet gdy usnął, nie zaniósła go do łóżeczka; siedziała, tuląc go, patrzyła na księżyc, w ciszy przerywanej warkotem śmigłowców patrolujących ciemne miasto. Możliwość pomyśleć, że znalazła się na linii frontu, i nagle uświadomiła sobie, że tak właśnie jest. Wiedziała, że nadchodzą dla nich straszne czasy. Nieuchronnie. Nie da się odmienić biegu wydarzeń, ani cofnąć zegara do czasu sprzed katastrofy. Tak jak miasto po trzęsieniu ziemi, ich życie zawaliło się wokół nich. Gruchnęło o ziemię i roztrzaskało się na kawałki.

Resztę nocy spędziła w fotelu, trzymając Olliego w ramionach. Nie potrafiła się zmusić, by wrócić do łóżka i położyć obok Setha. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie tak jak kiedyś. Następnego dnia przeniosła się z sypialni do pokoju gościnnego.

## Rozdział 9

W piątek, ósmego dnia po trzęsieniu ziemi, mieszkańcom obozu w Presidio ogłoszono, że autostrady i lotnisko zostaną otwarte nazajutrz. Wzniesiono tymczasową wieżę kontrolną; odbudowa starej miała potrwać miesiące.

Otwarcie dróg 280 i 101 oznaczało, że będzie można swobodnie przemieszczać się na południe, ale most Golden Gate miał pozostać zamknięty jeszcze przez kilka dni, co wciąż uniemożliwiała bezpośredni dojazd na północ. Naprawy mostu Bay miały potrwać wiele miesięcy. Znaczyło to, że dojeżdżający z East Bay mogli dostać się do centrum tylko przez mosty Richmond i Golden Gate, albo przez most Dumbarton na południu, co zapowiadało gigantyczne korki i długie dojazdy do pracy. A na razie, w sobotę, tylko mieszkańcy półwyspu mogli liczyć na powrót do domów.

Otwarto już dojazd do kilku dzielnic, więc niektórzy mogli sprawdzić, w jakim stanie są ich domy. Innych zatrzymywały policyjne barykady i żółta taśma, jeśli dana okolica została uznana za zbyt niebezpieczną. Dzielnicą finansową ciągle była obszarem klęski, co oznaczało, że wiele firm nie mogło wznowić działalności. Zasilanie miało zostać włączone na razie tylko w niewielkiej części centrum. Krążyły plotki, że w niektórych dzielnicach mieszkańcy pozostaną bez prądu nawet przez miesiąc, albo i dwa, jeśli będą mieć pecha. Miasto nie podźwignęło się jeszcze, ale zaczynało już raczkować. Po kompletnej martwocie ostatnich ośmiu dni dawało lekkie oznaki życia, ale wszyscy wiedzieli, że miną długie miesiące, nim San Francisco naprawdę ożyje. W obozie sporo osób mówiło o wyprowadzce. Od lat żyli z groźbą dużego trzęsienia ziemi i teraz, kiedy przyszło, uderzyło w nich zbyt mocno. Ale byli i tacy, którzy postanowili zostać. Starsi ludzie mówili, że nie pożyją dość długo, by doczekać kolejnego kataklizmu, więc to nie ma dla nich znaczenia.

Młodzi chcieli odbudowywać, zacząć od nowa. Ale wielu mówiło, że mają dość tego miasta. Zbyt dużo stracili, byli zbyt przestraszeni. Wszędzie dało się słyszeć pełne niepokoju rozmowy - w salach noclegowych, w mesie, na ścieżkach, po których spacerowali mieszkańcy, na plażach okalających Crissy Field. W słoneczny dzień ludzie łatwiej zapominali, co ich spotkało. Ale późno w nocy, kiedy wstrząsy wtórne, które zaczęły się dzień po trzęsieniu, stawały się bardziej wyczuwalne, niewiele brakowało do wybuchu paniki. Dla wszystkich w mieście był to koszmaryny czas, i jeszcze się nie skończył.

Po komunikacie o otwarciu lotniska Melanie i Tom poszli na plażę i usiedli, by porozmawiać i popatrzeć na zatokę. Przychodzili tu codziennie. Opowiedziała mu o incydencie z Jake'em i Ashley. Od tamtej pory sypiała w szpitalu. Bardzo chciała wrócić już do domu, by móc się od nich uwolnić, ale z drugiej strony cieszyła się, że może lepiej poznać Toma. Jego obecność dobrze na nią działała, uspokajająco. Miał nieabsorbujący sposób bycia, sprawiał wrażenie solidnego i uczciwego.

Przebywanie w towarzystwie kogoś, kto nie był w żaden sposób związany z branżą rozrywkową, sprawiało przyjemność. Miała dość aktorów, piosenkarzy, muzyków i całej reszty zwariowanych ludzi, z którymi zwykle się stykała. Umawiała się z kilkoma chłopakami z branży i zawsze kończyło się to tak jak z Jake'em, albo i gorzej. Byli narcyzami, narkomanami, wariatami albo po prostu niemiłymi ludźmi, którzy w jakiś sposób chcieli ją wykorzystać. Nieraz się przekonała, że nie mieli skrupułów, zasad moralnych i robili to, co w danej chwili sprawiało im frajdę. Ona chciała dla siebie czegoś lepszego. Mimo młodego wieku miała więcej zdrowego rozsądku niż oni wszyscy razem wzięci. Nigdy nie brała narkotyków, nigdy nikogo nie oszukała, nie

miała obsesji na własnym punkcie - była przyzwoitą uczciwą, normalną osobą. I tego samego chciała od innych.

Przez tych ostatnich kilka dni wiele rozmawiała z Tomem o swojej karierze, o tym, jak zamierzała ją poprowadzić dalej. Przede wszystkim chciała sama nią kierować, ale znając matkę, zdawała sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. Melanie żaliła się Tomowi, że ma dość bycia sterowaną kontrolowaną wykorzystywaną i rozstawianą po kątach przez wszystkich dookoła. Czasem czuła się jak mała dziewczynka prowadzona za rączkę przez mamusię; racjonalny, zdrowy sposób myślenia Toma zrobił na niej wrażenie. Sam doskonale potrafił pokierować własnym życiem.

- Co będziesz teraz robił? - zapytała cicho.

- Muszę wrócić do Berkeley i wyprowadzić się z mojego mieszkania. Ale pewnie minie jeszcze sporo czasu, zanim będę mógł to zrobić. Muszę poczekać przynajmniej na otwarcie Golden Gate i Richmond, żeby móc dostać się do East Bay. A potem pojedę do Pasadeny. Chciałem tu przesiedzieć lato. Od jesieni miałem zacząć pracę, ale teraz to chyba nieaktualne. Wszystko zależy od firmy, jak szybko wznowi działalność. Więc może poszukam czegoś innego w Pasadenie. - Zawsze jasno określał swoje cele. Teraz miał dwadzieścia dwa lata; chciał popracować parę lat, a potem wrócić do szkoły biznesu, może na UCLA. - A ty? Co masz w planach na następnych kilka tygodni? - O tak bliskiej przyszłości jeszcze nie rozmawiali. Tom wiedział, że w lipcu Melanie rusza w trasę koncertową zaczynając od Las Vegas. Żaliła się, jak bardzo tego nie cierpi, ale ta trasa była ważna dla jej kariery. Potem, we wrześniu, miała wrócić do Los Angeles. Ale nie wiedział, co zamierzała robić przez cały czerwiec.

- W przyszłym tygodniu mam sesję nagraniową do nowej płyty. Nagrywamy część materiału, który będę śpiewać w

trasie. Przyda mi się taka rozgrzewka. Poza tym jestem w zasadzie wolna, aż do czerwcowego koncertu w Los Angeles. A zaraz potem wyjeżdżam. Myślisz, że zdążysz do tej pory wrócić do Pasadeny? - Spojrzała na niego z nadzieją, a on uśmiechnął się. Wspaniale, że poznał Melanie, ale móc ją jeszcze zobaczyć, to było jak spełniony sen. Prześladowała go myśl, że zapomni o nim, kiedy tylko wróci do domu. - Bardzo bym chciała, żebyś przyszedł na koncert jako mój gość. Za kulisami jest istny dom wariatów, ale może dla ciebie to będzie zabawne. Zobacysz, jak pracuję. Zabierz paru znajomych, jeśli chcesz.

- Moja siostra oszalałaby ze szczęścia. Ona też w czerwcu będzie już w domu.

- No to koniecznie ją przywieź - powiedziała Melanie. Nagle ściszyła głos do szeptu: - Mam nadzieję, że do mnie zadzwonisz, kiedy wrócisz do domu.

- A odbierzesz mój telefon? - Czuł lekki niepokój. Gwiazda opuści Presidio i wróci do wielkiego świata. Na co mógł liczyć? Przecież był tylko świeżo upieczonym inżynierem, w jej świecie po prostu nikim. Ale chyba lubiła jego towarzystwo, tak samo, jak on lubił być z nią.

- Oczywiście, że odbiorę - zapewniła go. - Tylko zadzwoń. - Zapisała mu numer swojej komórki. Teraz komórki wciąż były głuche i miało tak być jeszcze przez jakiś czas. Łączność komputerowa i naziemne linie telefoniczne też nie zostały jeszcze naprawione, ale krążyły wieści, że w przyszłym tygodniu wszystko będzie już działać.

- Pewnie na razie nie pójdziesz do szkoły pielęgniarstwa, skoro jedziesz w trasę - zażartował Tom, kiedy wracali do szpitala.

- Taak, może w następnym wcieleniu.

Poprzedniego dnia Melanie przedstawiła Toma swojej matce. Janet raczej nie wpadła w zachwyty. W jej oczach był

po prostu zwykłym dzieciakiem, a dyplom inżyniera nic dla niej nie znaczył. Chciała, żeby Melanie umawiała się z producentami, reżyserami, znanymi piosenkarzami i aktorami - z kimkolwiek, kto przyciągał uwagę dziennikarzy i w jakikolwiek sposób mógł jej pomóc w karierze. Mimo wszystkich swoich wad Jake mieścił się w tej kategorii i stanowił świetną przynętę dla mediów. Tom nie mógł się z nim równać. A jego nudna, porządna, wykształcona rodzina z Pasadeny zupełnie jej nie interesowała. Janet sądziła, że córka zapomni o chłopaku natychmiast po wyjeździe z San Francisco i nigdy więcej go nie zobaczy. Nie miała pojęcia, że umówili się na spotkanie w Los Angeles.

Melanie pracowała z Maggie cały dzień, aż do późna. Wieczorem zjadły pizzę, którą Tom przyniósł im z mesy. Jedzenie wciąż było zaskakująco smaczne dzięki nieprzerwanym dostawom świeżych mięs, owoców i warzyw dowożonych śmigłowcami, i dzięki kreatywności kucharzy. Everett przyłączył się do dziewczyn i Toma po swoim ostatnim mityngu AA; dziś przekazał prowadzenie spotkań nowemu sekretarzowi - kobiecie, której dom w Marina został zniszczony i zamierzała zostać w Presidio przez kilka miesięcy. Mityng rozrósł się znacznie przez tych kilka dni i był dla Everetta źródłem ogromnego wsparcia. Za każdym razem dziękował Maggie, dzisiaj też, że go zainspirowała, a ona, nie chcąc przypisywać sobie zasługi, mówiła że pewnie i tak by to zrobił. Potem siedzieli i rozmawiali jeszcze długo, gdy młoda parka wybrała się na ostatni wspólny spacer przed wyjazdem.

- Wcale się nie cieszę, że wracam jutro do Los Angeles - wyznał Everett, gdy Tom i Melanie wyszli, obiecując, że wrócą jeszcze, by się pożegnać. Grupa z Los Angeles miała wyjechać nazajutrz wczesnym rankiem. - Poradzisz sobie tutaj? - Spojrzał z troską na Maggie. Była pełna ognia,

tryskała energią, ale miała też w sobie jakąś delikatność, bezbronność, którą zdążył pokochać.

- Oczywiście że tak. Nie mów głupstw. Bywałam już w o wiele gorszych miejscach. Choćby w mojej własnej dzielnicy.

- Roześmiała się.

- Fakt. Ale miło było być tu z tobą, Maggie.

- Siostrze Maggie, jak dla ciebie - przypomniała mu ze śmiechem. W ich wzajemne stosunki wkradło się coś, co budziło jej niepokój. Everett zaczął traktować ją jak kobietę, nie jak zakonnicę, stał się opiekuńczy. Chciała przypomnieć mu, że zakonnice nie są zwyczajnymi kobietami, że są pod opieką Boga. - Pan jest moim oblubieńcem - powiedziała, cytując Biblię. - Dobrze się mną opiekuje. Będzie mi tu dobrze. A ty zadbaj, żeby i tobie było dobrze w Los Angeles. - Wciąż miała nadzieję, że Everett któregoś dnia pojedzie do Montany i odzuka swojego syna, choć wiedziała, że teraz nie jest jeszcze gotowy. Ale rozmawiali o tym kilka razy i zachęcała go, by sprawę przemyślał.

- Będę zajęty obrabianiem zdjęć, które tu zrobiłem. Naczelnicy oszaleje, gdy je zobaczy. - Sam nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy zdjęcia Maggie zrobione w noc trzęsienia ziemi i później. - Przyślę ci odbitki.

- Koniecznie. - Uśmiechnęła się. To był pamiętny czas dla nich wszystkich; niektórym pozostawił tragiczne wspomnienia, innym odmienił życie w dobrym znaczeniu. Choćby takiej Melanie. Maggie miała nadzieję, że dziewczyna znajdzie kiedyś czas, by zaangażować się w wolontariat. Świetnie się nadawała, pocieszyła tylu ludzi z tak wielką delikatnością, no i nie brakowało jej wdzięku. Powiedziała o tym Everettowi.

- Wspaniały materiał na zakonnicę - zażartowała. Everett roześmiał się na całe gardło.

- Skończ z tą rekrutacją. Melanie na pewno nie skaptujesz. Matka by ją zabiła. - Zdążył już poznać Janet i zniechęcił ją od pierwszego spojrzenia. Miał o niej bardzo złe zdanie: krzykliwa, apodyktyczna, arogancka, pretensjonalna i niegrzeczna. Traktowała Melanie jak pięciolatkę, co nie przeszkadzało jej bez żenady wykorzystywać sukcesu córki.

- Zaproponowałam Melanie, żeby poszukała jakiejś katolickiej misji w Los Angeles. Mogłaby wiele zrobić dla bezdomnych. Mówiła mi, że kiedyś chciałaby na pół roku rzucić wszystko i wyjechać, by pracować z biednymi gdzieś za granicą. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. To mogłoby jej dobrze zrobić. Obraca się w zupełnie zwariowanym środowisku i któregoś dnia może potrzebować przerwy.

- Masz rację, ale nie sądzę, by to się udało, kiedy matka trzyma rękę na pulsie. Przynajmniej dopóki sprzedaje platynowe płyty i zdobywa Grammy. Może minąć trochę czasu, zanim będzie mogła zrobić coś takiego. Jeśli w ogóle.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparła Maggie. Podała nawet Melanie nazwisko pewnego księdza z Los Angeles, który od wielu lat wspierał bezdomnych i co roku na kilka miesięcy wyjeżdżał do Meksyku, by pomagać tamtejszej biedocie.

- A ty? - zapytał Everett. - Co ty będziesz teraz porabiać? Wrócisz do Tenderloin? - Nie cierpiał jej dzielnicy. Była zbyt niebezpieczna dla niej, choć sama Maggie zdawała się tego nie dostrzegać.

- Myślę, że jeszcze przez jakiś czas posiedzę tutaj. Reszta sióstr też zostaje, i kilku księży. Wielu ludzi, którzy tu teraz mieszkają, nie ma się gdzie podziać. Obóz w Presidio będzie działał jeszcze przynajmniej przez pół roku. Będę pracować w szpitalu polowym i od czasu do czasu zajrzę do domu, żeby sprawdzić, jak się mają sprawy. Ale tu chyba będę miała więcej do roboty. Tu mogę wykorzystać moje przeszkolenie pielęgniarskie.



- Kiedy cię znów zobaczę, Maggie? - Zrobił zgnębioną minę. Cudownie było widywać ją codziennie, a czuł, że teraz zaczyna znikać z jego życia, być może na zawsze.

- Nie wiem. - I ona posmutniała, ale zaraz się rozpogodziła, wracając myślą do czegoś, o czym chciała mu powiedzieć od dawna. - Wiesz co, Everett? Kiedy cię poznałam, przypomniał mi się pewien film, który widziałam w dzieciństwie, z Robertem Mitchumem i Deborah Kerr. To już wtedy był stary film. Zakonnica i żołnierz lądują razem na bezludnej wyspie. Omal się w sobie nie zakochują, ale nie do końca. A przynajmniej mają dość rozsądku, żeby do tego nie dopuścić, i zostają przyjaciółmi. On z początku zachowuje się fatalnie, ona jest oburzona. On strasznie pije, i ona chyba chowa mu alkohol, o ile dobrze pamiętam. Trochę go reformuje, a on wspaniale się nią opiekuje. A ona nim. To się dzieje w czasie drugiej wojny, muszą ukrywać się przed Japończykami. Ale w końcu zostają uratowani. On wraca do piechoty morskiej, a ona do klasztoru. To się nazywało „Bóg jeden wie, panie Allison”, i to był naprawdę uroczy film. Strasznie mi się podobał. Deborah Kerr była świetną zakonnica.

- Ty też jesteś. - Everett posmutniał. - Będę za tobą tęsknił, Maggie. Przywykliśmy do naszych codziennych rozmów.

- Możesz do mnie dzwonić, kiedy komórki zaczną działać, choć to pewnie nie nastąpi prędko. Będę się za ciebie modlić, Everett. - Popatrzyła mu w oczy.

- Może i ja się pomodlę za ciebie. Ale wracając do tej części filmu, kiedy oni prawie się w sobie zakochują, ale zostają przyjaciółmi. Czy to się przydarzyło i nam?

Maggie milczała długą chwilę.

- Myślę, że oboje jesteśmy na to zbyt rozsądni - odpowiedziała w końcu. - Zakonnice się nie zakochują.

- A jeśli tak? - nalegał. Chciał usłyszeć coś innego.  
- Nie zakochują się. Nie mogą. Są poślubione Bogu.  
- Nie zasłaniaj mi się tu Bogiem. Niektóre zakonnice odchodzą z klasztorów. Nawet wychodzą za mąż. Twój brat porzucił stan duchowny. Maggie...

Uciszyła go gestem, nim zdążył powiedzieć coś, czego oboje by żalowali. Nie mogła się z nim przyjaźnić, jeśli nie chciał uszanować jej zasad i zamierzał przekroczyć granicę.

- Everett, nie rób tego. Jestem twoją przyjaciółką. I vice versa, jak myślę. Bądźmy za to wdzięczni.

- A jeśli ja chcę czegoś więcej?

- Nie chcesz. - W jej przenikliwych, niebieskich oczach błysnął uśmiech. - Po prostu kusi cię zakazany owoc. Albo tak ci się zdaje. Na świecie jest całe mnóstwo kobiet dla ciebie.

- Ale nie takich jak ty. Nigdy nie znałem kogoś takiego. Roześmiała się.

- Może to dobrze. Kiedyś będziesz za to wdzięczny.

- Jestem wdzięczny za to, że cię spotkałem - odparł poważnie.

- Ja też. To dla mnie zaszczyt, że mogłam poznać tak wspaniałego człowieka. Założę się, że dostaniesz kolejnego Pulitzera za zdjęcia, które tu zrobiłeś. - Everett z pewnym zażenowaniem w końcu przyznał się do nagrody podczas jednej z ich długich rozmów o jego życiu i pracy. - A na pewno jakieś wyróżnienie! Nie mogę się doczekać ich publikacji. - Łagodnie kierowała go na bezpieczniejsze wody i Everett rozumiał to doskonale. Nie zamierzała otwierać przed nim kolejnych drzwi, ani nawet pozwolić mu o tym myśleć.

Dochodziła dziesiąta, kiedy Melanie i Tom wrócili, by się pożegnać. Wyglądali na szczęśliwych - byli młodzi i upojeni swoją kiełkującą miłością. Everett zazdrościł im. Dla nich życie właśnie się zaczynało. On czuł, że jego życie dobiegało końca, przynajmniej jego najlepsza część, mimo iż ruch AA

odmienił je na zawsze i ogromnie poprawił jego jakość. Jednak zwyczajnie nudziła go praca, tęsknił za niebezpieczeństwem. San Francisco i trzęsienie ziemi na nowo roznieciły w nim iskrę, która prawie już zgasła, i miał nadzieję, że zdjęcia będą świetne. Ale wiedział też, że teraz musi wracać do pracy, w której próżno było szukać wyzwania; nie dawała możliwości wykorzystania w pełni umiejętności i doświadczenia. Pijaństwo, nim uwolnił się od niego, zdegradowało go do pozycji podrzędnego reporterzyny.

Melanie ucałowała Maggie i młodzi wyszli ze szpitala. Everett miał wyjechać jutro rano razem z dziewczyną i jej siostrą. Byli jednymi z pierwszych osób, które wracały do Los Angeles - ich autobus, załatwiony przez Czerwony Krzyż, planowano podstawić o ósmej. Mieszkańcy Presidio udający się do innych miast wyruszali później. Wszystkich uprzedzono już, że na lotnisko może trzeba będzie jechać bocznymi ulicami, na autostradach bowiem wciąż jeszcze pozostawały zamknięte odcinki, dlatego dojazd potrwa nawet dwie godziny, a nawet dłużej.

Everett z żalem pożegnał się z Maggie. Uściskał ją mocno i wsunął jej coś w dłoń. Nie spojrzała, co to takiego, dopóki nie odszedł. Gdy w końcu otworzyła dłoń, ujrzała na niej jego znaczek roku w trzeźwości. Nazwał go swoim talizmanem. Uśmiechnęła się, patrząc na metalowy krążek, i z oczami pełnymi łez schowała go do kieszeni.

Tom odprowadził Melanie do hangaru, bo ostatnią noc postanowiła spędzić we własnym łóżku. Wracała tam po raz pierwszy od czasu incydentu z Jake'em i Ashley. Widywała ich na głównym placu, starała się spotkań unikać. Ashley kilka razy przychodziła do szpitala, by z nią porozmawiać, ale Melanie udawała, że jest zbyt zajęta, albo wymykała się tylnymi drzwiami, prosząc Maggie, by ją spławiła. Nie chciała wysłuchiwać jej kłamstw, jej usprawiedliwień. Jeśli chodziło o

nią, Ashley i Jake byli sobie warci. A ona wolała teraz spędzać czas z Tomem. Był wyjątkowym człowiekiem, myślącym i pełnym dobroci, tak jak ona.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko komórki zaczną działać - obiecał. Teraz wiedział już, że będzie niecierpliwie czekać na jego telefony i nie posiadał się z radości. Czuł się, jakby wygrał na loterii, i wciąż nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie dlatego, że była gwiazdą - uważał ją po prostu za najfajniejszą dziewczynę, jaką znał. A ona też bardzo go polubiła.

- Będę tęskniła - powiedziała cicho.

- Ja też. Udanej sesji nagraniowej. Wzruszyła ramionami.

- Nic trudnego, czasem nawet jest zabawnie. Jeśli wszystko idzie dobrze. Po powrocie będziemy musieli sporo poćwiczyć. Czuję, że mi gardło zardzewiało.

- Trudno to sobie wyobrazić: Ja bym się nie martwił.

- Będę o tobie myślała. - Roześmiała się. - Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że zatęsknię za obozem dla poszkodowanych w San Francisco. - Tom też się roześmiał, i nagle, tak, po prostu, pochylił się, wziął ją w ramiona i pocałował. Gdy uniósł głowę, Melanie brakowało tchu. Uśmiechnęła się do niego. To było zupełnie niespodziewane, ale bardzo przyjemne. Nie całował jej jeszcze nigdy, ani na spacerze, ani podczas długich rozmów; do tej pory łączyła ich przyjaźń i miała nadzieję, że nic się nie zmieni, nawet jeśli dodadzą do tego coś więcej.

- Dbaj o siebie, Melanie. Słodkich snów. Zobaczymy się rano. - Wolontariusze w mesie mieli zapakować lunch dla wyjeżdżających. Nie było wiadomo, jak długo trzeba będzie czekać na lotnisku i czy znajdzie się tam coś do zjedzenia. Wydawało się to mało prawdopodobne, więc kuchnia zaopatrywała ich w posiłki, by nie głodowali do chwili odlotu.

Melanie weszła do hangaru z rozmarzonym uśmiechem na twarzy i odnalazła swoją ekipę w stałym miejscu. Zauważyła, że Ashley nie śpi tej nocy z Jake'em, ale już jej to nie obchodziło. Matka spała mocno, kompletnie ubrana, chrapiąc w najlepsze. To miała być ich ostatnia noc w obozie. Jutro, kiedy wrócą do wygodnego życia w Los Angeles, to wszystko będzie się wydawać snem. Ale Melanie wiedziała, że zapamięta ten tydzień na zawsze.

Widziała, że Ashley nie śpi, ale zignorowała ją. Jake leżał plecami do niej i nie poruszył się, kiedy przyszła. Przyjęła to z ulgą. Nie miała najmniejszej ochoty z nim rozmawiać i pomyślała z niechęcią o jutrzejszej wspólnej podróży. Ale nie miała wyboru. Wszyscy lecieli tym samym samolotem, razem z mniej więcej pięćdziesięcioma innymi osobami z obozu.

Gdy Melanie wsunęła się pod koc, usłyszała szept Ashley:

- Mel... Mel... przepraszam.

- Daj spokój, Ash... nie przejmuj się tym. - Myślała w tej chwili o Tomie. Odwróciła się plecami do przyjaciółki z dzieciństwa - zdrajczyni, i pięć minut później spała już snem sprawiedliwego. Ashley przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Wiedziała, że na zawsze straciła najlepszą przyjaciółkę. I zdążyła się już przekonać, że Jake nie był tego wart.

## Rozdział 10

Następnego ranka Tom i Maggie przyszli się pożegnać. Wyjeżdżający mieli dotrzeć na lotnisko dwoma szkolnymi autobusami i wiedzieli, że czeka ich długa podróż. Tom wraz z pozostałymi pracownikami kuchni skończyli przygotowywać prowiant już o szóstej rano, potem zapakowali do autokarów.

Nikt chyba nie mógł przewidzieć, że poleje się tyle łez. Wracający do domów myśleli, że będą zachwyceni perspektywą wyjazdu, ale nagle okazało się, że trudno się rozstać z nowymi przyjaciółmi. Padały obietnice utrzymania kontaktu, wizyt. Mieszkańcy Presidio przeżyli razem tyle bólu i strachu, że więzi, które ich połączyły, miały przetrwać lata.

Tom rozmawiał cicho z Melanie, gdy Jake, Ashley i reszta pakowali się do autobusu. Janet ponaglała córkę. Nie raczyła nawet pożegnać się z Tomem. Pomachała dwóm kobietom, które przysły ją odprowadzić. Pozostający też chcieliby już wracać do domów, ale wielu z nich nie miało dokąd - stracili domy. Ci z Los Angeles byli szczęściarzami - mogli stąd wyjechać i wrócić do normalności. Na normalność w San Francisco przyjdzie jeszcze długo poczekać.

- Uważaj na siebie, Melanie. Zadzwoń, kiedy tylko dotrę do Pasadeny - szepnął Tom. Objął ją i delikatnie pocałował. Melanie nie wiedziała, czy Jake na to patrzy, ale on już jej nie obchodził. Między nimi wszystko było skończone, i powinno być już dużo wcześniej. Na pewno Jake znów zacznie ćpać, kiedy tylko wróci do Los Angeles. Tu, w obozie, przynajmniej nie miał dostępu do narkotyków - chyba że jakimś cudem znalazł do nich dojście. Ale teraz to tylko jego problem.

- Ty też na siebie uważaj - odszepnęła, dała mu ostatniego całusa i wskoczyła za innymi do autobusu. Gdy mijała Jake'a, posłał jej złe spojrzenie.

Everett wsiadał tuż za nią. Gdy zegnał się z Maggie, pokazała mu, że ma w kieszeni jego znaczek.

- Nie zgub tego, Maggie - powiedział. - Przyniesie ci szczęście.

- Zawsze miałam szczęście - odparła z uśmiechem. - A szczególnie kiedy cię poznałam.

- Ja miałem większe. Uważaj na siebie. Będziemy w kontakcie - obiecał. Cmoknął ją w policzek, po raz ostatni spojrzął w te bezdenne, błękitne oczy i wsiadł do autobusu.

Otworzył okno koło swojego siedzenia i pomachał jej, gdy odjeżdżali. Maggie i Tom długo stali i patrzyli za autobusem. W końcu poszli do swoich zajęć. Maggie wracała do szpitala smutna, milcząca. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Everetta, ale wiedziała, że jeśli nie, będzie to wola boża. Czowała, że w tej chwili nie ma prawa prosić o więcej. Nawet jeśli mieli się więcej nie spotkać, spędziła z nim wspaniałą tydzień. Dotknęła znaczka AA w kieszeni i zabrała się do pracy. Rzuciła się z zapalem w wir zajęć, by nie mieć czasu na myślenie o nim. Wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. On wracał do swojego życia, a ona do swojego.

Dojazd do lotniska trwał dłużej, niż przewidywano. Na drodze co rusz pojawiały się przeszkody, miejscami nawierzchnia była w bardzo złym stanie. Z okien autobusu widzieli zawałone estakady, zrujnowane budynki, a kierowcy musieli kluczyć długimi objazdami, by w ogóle dostać się na lotnisko. Zbliżało się południe, gdy dojechali na miejsce. Powitał ich widok uszkodzonych terminali. Nowiutka wieża kontrolna przestała istnieć. Na lotnisku była tylko garstka podróżnych i raptem kilka maszyn, ale ich samolot już czekał. Mieli odlecieć o pierwszej. Przy odprawie wyglądali jak banda włóczęgów. Tylko kilka osób miało pieniądze, większość straciła portfele i karty kredytowe, ale Czerwony Krzyż opłacił podróż potrzebującym. Pam miała przy sobie kartę

kredytową Melanie, więc bez problemu kupiła bilety całej ekipie. Janet uparła się, że ona i Melanie powinny siedzieć w pierwszej klasie.

- Nie potrzebujemy tego, mamó - próbowała oponować Melanie. - Ja bym wolała siedzieć z innymi.

- Po tym wszystkim, co przeszliśmy? Powinni nam dać cały samolot. - Janet najwyraźniej zapomniała, że wszyscy inni przeszli taką samą gehennę. Everett, który stał niedaleko i płacił właśnie za bilet służbową kartą kredytową, zerknął na Melanie. Uśmiechnęła się i przewróciła oczami. W tej chwili podeszli Ashley i Jake. Ashley wciąż czerwieniła się ze wstydu, ilekroć zbliżyła się do przyjaciółki. Jake miał taką minę, jakby miał wszystkiego serdecznie dość.

- Chryste, nie mogę się już doczekać, kiedy będę w Los Angeles - burczał. Everett spojrzał na niego kpiąco.

- Co ty powiesz, my wszyscy strasznie chcielibyśmy zostać tutaj. - Melanie roześmiała się głośno, choć w wypadku jej i Everetta była to akurat prawda. Oboje zostawili w obozie kogoś, na kim im zależało.

Personel linii lotniczych okazywał im wiele serdeczności, zdając sobie sprawę, przez co przeszli ci wyjątkowi pasażerowie. Wszyscy zostali potraktowani jak VIP - y, nie tylko Melanie i jej świta. Bilety powrotne zespołu i ekipy technicznej teoretycznie nie straciły ważności, ale dokumenty zostały w hotelu. Pam zamierzała później załatwić tę sprawę z komitetem organizacyjnym balu. Póki co wszyscy chcieli jak najszybciej dostać się do domu. Od trzęsienia ziemi nie kontaktowali się z bliskimi, nie mogli zawiadomić ich, że są cali i zdrowi. Rodziny uzyskiwały tylko ogólne informacje przez Czerwony Krzyż. Ale ich niepewność miała się wkrótce skończyć.

Pasażerowie zajęli miejsca i gdy tylko samolot wystartował, kapitan powitał wszystkich na pokładzie,



wyrażając nadzieję, że traumatyczne przeżycia, których doświadczyli, nie pozostawiły głębokich śladów. Ledwie to powiedział, kilka osób wybuchło płaczem. Ulga powrotu do normalności była dla nich ponad siły.

Everett zrobił jeszcze kilka zdjęć Melanie i towarzyszącym jej osobom - bo też wyglądali dość ciekawie, zupełnie inaczej, niż kiedy lecieli do San Francisco na koncert. Melanie wystroiła się w kolejną parę wojskowych spodni przewiązanych sznurkiem i męską koszulkę - kiedyś musiał ją nosić jakiś osiłek z dziesięć razy większy od niej. Janet miała większość własnych ciuchów, w których uciekła z hotelu. Poliestrowe legginsy dobrze jej służyły, ale i ona, jak wszyscy inni, wybrała sobie kilka koszulek ze stołów z podarowaną odzieżą. Za ciasna o kilka rozmiarów koszulka wyglądała na niej nieszczególnie w zestawieniu z opiętymi spodniami i szpilkami, których Janet za żadne skarby nie chciała zamienić na japonki, choć wszyscy dawno się już złamali i paradowali w plastikowych klapkach. Pam ubrana była w kompletny mundur, podarowany jej przez Gwardię Narodową. A technicy i chłopaki z zespołu w pomarańczowych kombinezonach, podarowanych przez jakąś firmę budowlaną, wyglądali jak banda skazańców. Everett uznał, że warto to udokumentować. Był pewien, że „Scoop” wykorzysta zdjęcie Melanie, może nawet da je na okładkę, dla kontrastu z fotkami z koncertu, gdy występowała wystrojona w cekiny, siatkę i buty na platformie. Jak stwierdziła sama Melanie, miała teraz stopy jak farmerka, a jej fikuśny pedikiur odszedł w niebyt w kurzu i żwirze obozu, po którym biegała w japonkach. Everett był prawdziwym szczęściarzem - miał swoje czarne kowbojki.

Ku uciesze pasażerów stewardessy zaczęły roznosić szampana, orzeszki i precle; gdy po niecałej godzinie samolot wylądował na LAX, na pokładzie rozległy się wiwaty i wojenne okrzyki, radosne wycia i szloch ulgi. Wszyscy

przeżyli dziewięć strasznych dni. Nawet ci, dla których ten czas był łaskawszy, widzieli piekło i przywozili ze sobą opowieści o ucieczce i przetrwaniu, o ranach i strachu. W samolocie nie brakowało ludzi z zagipsowanymi nogami i rękami, a Melanie rozpoznała wśród pasażerów kilka osób, którym Maggie zakładała szwy. Zresztą przez pierwsze dwa dni miała wrażenie, że wesółła siostra pozszywała pół obozu. Na tę myśl zateęskniła za Maggie, choć pożegnała się z nią ledwie kilka godzin wcześniej. Zamierzała do niej zadzwonić, kiedy tylko będzie to możliwe.

Samolot wykołował pod terminal. Kiedy zaczęli wysiadać, otoczył ich mur dziennikarzy. Byli pierwszymi uciekinierami, jacy dotarli do Los Angeles ze zrujnowanego miasta. Kiedy lekko oszołomiona Melanie przeszła przez bramkę, całe stado kamerzystów natychmiast wycelowało w nią obiektywy. Matka jeszcze w samolocie kazała jej uczesać włosy, tak na wszelki wypadek, ale ona miała to gdzieś. Czuła się szczęśliwa, że wreszcie jest w domu, choć w obozie nie myślała o tym wiele. Tam była zbyt zajęta.

Reporterzy rozpoznali też Jake'a i zaczęli pstrykać mu zdjęcia, ale on minął Melanie bez słowa i ruszył do wyjścia. Komuś stojącemu obok powiedział, że gdyby jej więcej nie zobaczył, wcale by się nie zmartwił. Na szczęście nie słyszał tego żaden z dziennikarzy.

- Melanie!... Melanie!... Tutaj... tutaj... Jak było?... Bałaś się?... Jakies obrażenia?... No, uśmiechnij się... Wyglądasz świetnie!

A kto nie wygląda świetnie, mając dziewiętnaście lat? - pomyślał kwaśno Everett, trochę zniesmaczony tym zamieszaniem.

Ashley nikt nie zauważył w tłumie. Dziewczyna odsunęła się na bok i czekała z Janet i Pam, jak setki razy wcześniej. Technicy i muzycy rozjechali się do domów na własną rękę,

pożegnawszy się z Melanie i resztą. Chłopaki z zespołu obiecali się stawić na próbę w przyszłym tygodniu; Pam miała jeszcze do nich dzwonić, żeby ustalić dokładny termin. Do sesji nagraniowej został niecały tydzień.

Przebiecie się przez tłum reporterów i fotografów zajęło im dobre pół godziny. Everett pomagał im torować drogę i odprowadził je na postój taksówek. Po raz pierwszy od lat pod drzwiami nie czekała limuzyna. Ale Melanie zależało tylko na tym, by uciec od ścigających ją dziennikarzy. Everett zatrzasnął za nią i za Pam drzwi taksówki i pomachał na pożegnanie, patrząc, jak odjeżdża. Drugą taksówką pojechały Janet i Ashley. Jake odjechał już dawno, sam. Dziennikarze zwinęli się w ciągu kilku minut, gdy zdobycz zniknęła im z oczu.

Everett rozejrzał się dokoła. Mimo wszystko cieszył się, że wrócił do Los Angeles. Aż trudno uwierzyć, że w San Francisco świat omal się nie skończył, a tu życie toczyło się normalnie. Wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres swojego ulubionego mityngu AA. Najpierw chciał pojechać właśnie tam - mieszkanie mogło poczekać.

Mityng był wspaniały. Everett opowiedział o trzęsieniu ziemi, o grupie AA, którą zebrał w Presidio, a w końcu, zanim zdążył ugryźć się w język, wypalił, że zakochał się w zakonnicy. Podczas formalnych mityngów nie komentowali niczyich zwierzeń, obowiązywała taka zasada, więc nikt nie odezwał się słowem. Dopiero potem, gdy Everett zbierał się już do wyjścia i uczestnicy podchodzili, wypytujac go o trzęsienie ziemi, jeden ze znajomych poruszył temat osobisty.

- Nie ma to, jak utrudniać sobie życie, stary. Niby co chcesz z tym zrobić?

- Nic. - Everett wzruszył ramionami.

- Ona odejdzie dla ciebie z zakonu?

- Nie. Nie odejdzie. Uwielbia być zakonnica.

- To co z tobą będzie? Everett zastanowił się chwilę.

- Będę żył dalej. Będę przychodził na mityngi. I będę ją kochał do końca życia.

- I to ci wystarczy? - Znajomy patrzył na niego zatroskany.

- Będzie musiało - odparł Everett. Wyszedł z sali, zatrzymał taksówkę i pojechał do domu.

## Rozdział 11

Melanie zamierzała spędzić spokojny weekend w swoim domu z basenem na Hollywood Hills. Cieszyła się nim jak nigdy przedtem. To było świetne antidotum na dziewięciodniowy stres i traumę. A wiedziała przecież, że jej przeżycia nie mogły się równać z tym, co przeszli inni - ludzie, którzy zostali ranni, stracili bliskich i domy. Ona wyszła bez szwanku i czuła się użyteczna, przez cały ten czas pracując w szpitalu polowym. No i poznała Toma.

Zgodnie z przewidywaniami - i ku wielkiej uldze Melanie - Jake nie odezwał się po powrocie. Ashley dzwoniła kilka razy i rozmawiała z Janet, ale Melanie nie odbierała jej telefonów. Powiedziała matce, że to koniec ich przyjaźni.

- Nie sądzisz, że jesteś dla niej zbyt surowa? - zapytała Janet w sobotnie popołudnie, gdy Melanie siedziała przy basenie z manikiurzystką. Był śliczny dzień. Pam zamówiła jej także masaż. Ale teraz Melanie dręczyły wyrzuty sumienia, że tak leniuchuje; wolałaby być z Maggie w szpitalu. I spotykać się z Tomem. Miała nadzieję, że wkrótce go zobaczy. Za tym kryło się coś, na co warto było czekać. Tęskniła za nimi obojgiem.

- Ona przespała się z moim chłopakiem, mamó - przypomniała matce.

- Nie wydaje ci się, że to była bardziej jego wina, niż jej? - Janet lubiła Ashley; obiecała jej, że porozmawia z Melanie po powrocie do Los Angeles i że wszystko będzie dobrze. Jeśli chodziło o Melanie, wcale nie było dobrze.

- Przecież jej nie zgwałcił. Jest dorosłą, świadomą osobą. Jeśli zależało jej na mnie i na naszej przyjaźni, nie powinna była tego robić. Ale miała to gdzieś. A teraz ja mam to gdzieś.

- Nie bądź dziecinna. Przyjaźniłyście się od piątego roku życia.

- Właśnie o tym mówię - odparła zimno Melanie. - Moim zdaniem to było warte odrobiny lojalności. Ale widocznie ona tak nie uważała. Może go sobie mieć. Ale ja się z tego wypisuję. Zrobiła mi straszne świństwo. Widocznie dla niej przyjaźń nie znaczy tyle, ile dla mnie. I dobrze, że się o tym przekonałam. - Nie ustępowała ani na milimetr.

- Powiedziałam jej, że z tobą porozmawiam i jakoś cię udobrucham. Chyba nie chcesz, żebym wyszła na głupią? Albo na kłamczuchę?

Te podchody matki i jej mieszanie się w nie swoje sprawy tylko utwierdzały postanowienie Melanie. Uczciwość i lojalność ceniła nade wszystko. Szczególnie w takim środowisku, gdzie próbowano ją wykorzystać przy każdej nadarzającej się okazji. Taką cenę płacono się za sukces, za bycie gwiazdą. Mniej dziwiło ją takie zachowanie u ludzi z zewnątrz, a nawet Jake'a, który okazał się zwykłą szują ale nie spodziewała się tego po najbliższej przyjaciółce. I nie miała zamiaru przejść nad tym do porządku dziennego.

- Mówiłam ci, mamó, z Ashley koniec. I nic tego nie zmieni. Będę uprzejma, kiedy ją zobaczę, ale na nic więcej nie może liczyć.

- To będzie dla niej bardzo trudne - powiedziała Janet ze współczuciem. Ale na próżno się wysilała. Melanie się wściekła na matkę, że przyjęła rolę mediatora.

- Powinna była o tym pomyśleć, zanim weszła Jake'owi do sypialni. I zakładam, że robiła to przez cały tydzień.

Janet nie skomentowała tego. Po chwili spróbowała jeszcze raz.

- Myślę, że powinnaś to jeszcze przemyśleć.

- Przemyślałam. Porozmawiajmy o czymś innym.

Matka zrobiła cierpienniczą minę i w końcu poszła sobie. Obiecała Ashley, że do niej oddzwoni, a teraz nie wiedziała, co ma jej powiedzieć. Nie chciała mówić dziewczynie, że

Melanie całkiem ją skreśliła, ale tak to wyglądało. Ich przyjaźń przestała istnieć. Czternaście lat przyjaźni i taki koniec. Ale Janet dobrze wiedziała, że kiedy Melanie czuje się zdradzona i mówi, że to koniec - nic jej nie przekona. Widziała ją w akcji już wcześniej, w innych sprawach. Miała chłopaka, który zdradził ją, przed Jake'em, i pracowała z menedżerem, który ją okradał. Znosiła wszystko spokojnie do czasu, ale były pewne nieprzekraczalne granice. Tego popołudnia Janet zadzwoniła do Ashley i powiedziała, że Melanie trzeba dać jeszcze trochę czasu na ochłonięcie. Dziewczyna odpowiedziała, że rozumie, i wybuchnęła płaczem. Janet obiecała, że jeszcze do niej zadzwoni. Traktowała ją jak drugą córkę, ale z pewnością nie zachowała ona siostrzanej lojalności wobec Melanie, idąc do łóżka z Jake'em. Ashley знаła Melanie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie może liczyć na przebaczenie.

Kiedy manikiurzystka zadbała już o jej paznokcie, Melanie wskoczyła do basenu i przepłynęła kilka długości. O szóstej przyszła masażystka. Po zabiegu Janet zamówiła sobie chińszczyznę; Melanie zjadła tylko jajko na miękko. Nie miała apetytu, a poza tym musiała zgubić trochę ciała. Jedzenie w obozie było zbyt dobre i zbyt tuczące. Pora wziąć się na poważnie za siebie - do koncertu zostało ledwie kilka tygodni. Uśmiechnęła się na myśl, że na jej występ przyjedzie Tom z siostrą. Matce na razie nic nie mówiła. Woląca z tym poczekać. Tom miał jeszcze jakiś czas posiedzieć w San Francisco, nie wiadomo, kiedy będzie mógł przyjechać do Los Angeles. Ale matka, jakby czytając w jej myślach, zapytała ją o Toma, gdy siedziały w kuchni. Pochłaniała chińszczyznę, twierdząc, że głodowała przez ostatnich dziewięć dni - oczywiście mijała się z prawdą. Ilekroć Melanie widziała ją w obozie, mama wcinała pączka, lody albo chipsy. I wyglądała, jakby przybyło jej przez ten czas ładnych parę kilo.

- Chyba nie będziesz snuła fantazji na temat tego chłopaka, którego poznałaś w obozie, co? Mówię o tym inżynierze z Berkeley. - Melanie się zdziwiła, że matka pamięta Toma, choć traktowała go tak lekceważąco. Jednak Janet dokładnie go sobie zapamiętała, nawet jego wykształcenie.

- Nie przejmuj się tym, mamó - odparła wymijająco. Uważała, że to nie jest sprawa Janet. Za dwa tygodnie kończy dwadzieścia lat i jest dość dorosła, by sama wybierać sobie chłopaków. Wiele się nauczyła na błędach popełnionych wcześniej, do których należał również Jake. Tom był zupełnie innym człowiekiem i bardzo pragnęła być częścią jego życia, o wiele uczciwszego i zdrowszego niż egzystencja Jake'a.

- Co to niby znaczy? - Matka nie traciła czujności.

- To znaczy, że Tom jest miłym chłopakiem, ja jestem dużą dziewczynką, i owszem, być może jeszcze się z nim spotkam. Mam taką nadzieję. Jeśli zadzwoni.

- Zadzwoni. Jasne, że zwariował na twoim punkcie, a poza tym przecież jesteś Melanie Free.

- A co to za różnica? - prychnęła Melanie, zirytowana.

- Ogromna - stwierdziła Janet. - I oczywista dla wszystkich na tej planecie z wyjątkiem ciebie. Nie sądzisz, że ta twoja skromność jest trochę przesadna? Zrozum, żaden mężczyzna nie będzie potrafił oddzielić twojej prywatnej osobowości od tego, kim jesteś. Tak już są skonstruowani. Jestem pewna, że temu chłopakowi imponujesz tak samo, jak wszystkim innym. Kto by się chciał umawiać z byle kozą, jeśli może być z gwiazdą? Byłabyś prawdziwą perłą w jego kolekcji.

- Nie sądzę, żeby on się bawił w kolekcjonowanie. Jego obchodzą poważne rzeczy, jest inżynierem i dobrym człowiekiem.

- Co za nudziarz. - Matka miała zde gustowaną minę.



- Nie jest nudny. Jest mądry - Melanie obstawała przy swoim. - A ja lubię mądrych facetów.

- W takim razie bardzo dobrze, że się pozbyłaś Jake'a. Przez te dziewięć dni doprowadzał mnie do szału. Nic, tylko jęczał.

- Myślałam, że go lubiałaś. - Melanie była zaskoczona.

- Ja też tak myślałam. - Janet pokiwała głową. - Ale w obozie miałam go po dziurki w nosie. Niektórzy ludzie po prostu nie sprawdzają się w kryzysowych sytuacjach, i on się do nich zalicza. Ciągłe gada tylko o sobie.

- Wychodzi na to, że Ashley też się nie sprawdza w kryzysowych sytuacjach. Sypianie z cudzym chłopakiem to nienajlepsza metoda radzenia sobie ze stresem. Ale teraz może go sobie wziąć. Narcystyczny gnojek.

- Może i masz rację. Ale nie wrzucaj Ashley do tego samego worka. - Melanie nie skomentowała tego. Wyraziła już swoje zdanie na ten temat.

Tego dnia wcześniej poszła do siebie. Jej pokój został urządzony według projektu matki - cały w białej i różowej satynie, z białoróżową, futrzaną narzutą na łóżku. Była to sypialnia girelki z Las Vegas, którą Janet w głębi serca pozostała do dziś. Wytłumaczyła dekoratorowi, jak wyobraża sobie pokój córki, ze wszystkimi szczegółami, aż po różowego, pluszowego misia na łóżku. Prośby Melanie o skromność i prostotę zostały zignorowane. Janet tak właśnie wyobrażała sobie luksus. Ale przynajmniej jest wygodnie, przyznała Melanie, kładąc się na łóżku. Przyjemnie, gdy znów jest się rozpieszczaną. Miała przez to lekkie wyrzuty sumienia, szczególnie na myśl o ludziach, którzy wciąż przebywali w obozie w San Francisco; wielu z nich zostanie tam jeszcze przez wiele miesięcy. A ona wylegiwała się tutaj, na swoim satynowo - puchatym łóżku. Jakoś przestało jej to odpowiadać, nawet jeśli chwilami bywało miłe. Ale nie do

końca. Przede wszystkim to nie jej styl - to była wizja matki. Melanie z dnia na dzień uświadamiała to sobie wyraźniej.

Leżała na łóżku, gapiąc się w telewizor do późnej nocy. Obejrzała stary film, wiadomości, a potem włączyła MTV. Wbrew samej sobie musiała przyznać, że mimo wszystkich interesujących doświadczeń, fajnie być w domu.

W sobotę po południu, gdy Melanie i jej ekipa lecieli do Los Angeles, Seth Sloane siedział w swoim salonie, gapiąc się w przestrzeń. Od trzęsienia ziemi minęło już dziewięć dni, a oni wciąż byli odcięci od reszty świata. Sam już nie wiedział, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo. Co się dzieje w Nowym Jorku? Nie mógł zdobyć żadnych informacji.

Był to chyba najbardziej stresujący weekend jego życia. Zdesperowany próbował nawet zapomnieć o kłopotach i pobawić się z dziećmi. Sara nie odzywała się do niego od paru dni. Prawie jej nie widywał; nawet wieczorami, kiedy tylko położyła dzieci, chowała się w gościnnej sypialni. Nie komentował tego. Bał się.

W poniedziałek rano, jedenaście dni po trzęsieniu ziemi, siedział przy kuchennym stole z filiżanką kawy, gdy leżąca obok spodka BlackBerry nagle ożyła. Wreszcie odzyskali kontakt ze światem. Seth złapał urządzenie i napisał SMS - a do Sully'ego, pytając, co się dzieje.

Odpowiedź przyszła po dwóch minutach. Same konkrety. „KPW dobrała mi się do tyłka. Ty jesteś następny. Już wiedzą. Mają wyciągi bankowe. Powodzenia.”

- Cholera. - Wystukał kolejną wiadomość. „Aresztowali cię?” „Jeszcze nie. Rozpatrzenie wniosku w przyszłym tygodniu. Mają nas, stary. Mamy przewalone”. Było to jasne potwierdzenie wszystkiego, czego Seth się obawiał. Ale mimo że dokładnie tego się spodziewał, czytając te słowa czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. „Mamy przewalone” - mało

powiedziane, szczególnie jeśli Komisja miała już wyciągi z kont Sully'ego. Bank Setha wciąż był zamknięty, ale do czasu.

Otwarto go następnego dnia. Jego radca prawny zakazał mu robić cokolwiek, kiedy Seth, nie mogąc się do niego dodzwonić, poszedł pieszo do jego domu. Jakikolwiek działanie w tej chwili mogło go pogрузić jeszcze bardziej, szczególnie że toczyło się już śledztwo przeciwko Sully'emu.

Adwokat Setha, który stracił część domu w trzęsieniu ziemi, mógł się z nim spotkać dopiero w kolejny piątek. Jak się okazało, ubiegło go FBI. W piątek rano, dwa tygodnie po kataklizmie, pod drzwiami zjawilo się dwóch agentów. Otworzyła im Sara. Zapytali o Setha; wprowadziła ich do salonu i poszła po męża. Siedział w swoim gabinecie na piętrze, gdzie chował się jak przerażone zwierzę przez ostatnie dwa tygodnie. Śledztwo nabierało rozpędu jak kula śnieżna na zboczu i nie dało się przewidzieć, dokąd ich ze sobą porwie.

Agenci FBI siedzieli dwie godziny, wpytując o Sully'ego. Odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania dotyczące jego samego bez obecności prawnika, a o Sullym powiedział tak mało, jak to było możliwe. Coś powiedzieć musiał - agenci zagrozili mu natychmiastowym aresztowaniem za utrudnianie śledztwa, jeśli całkowicie odmówi współpracy. Kiedy wyszli, twarz miał popielatą. Teraz go nie zamknęli, ale zdawał sobie sprawę, że niedługo przyjdzie mu czekać.

- Co powiedzieli? - zapytała Sara nerwowo, gdy wyszli.

- Pytali o Sully'ego. Nie powiedziałem im wiele. Tak mało, jak się dało.

- Ale co mówili o tobie? - Sarę ogarniał coraz większy niepokój.

- Powiedziałem im, że bez adwokata nie będę rozmawiał. A oni odpowiedzieli, że jeszcze wrócą. I możesz być pewna, że dotrzymają słowa.

- To co teraz zrobimy? - Seth poczuł ulgę, słysząc to „my”. Nie wiedział, czy powiedziała tak z nawyku, czy wciąż uważała ich za tandem. Wolał nie pytać. Sara nie rozmawiała z nim od tygodnia i nie chciał, by znów zamilkła.

- Po południu przychodzi Henry Jacobs - odparł. - Zobaczymy, co powie. - Prawda była taka, że sam wciąż nie wiedział, co ma robić.

Telefony już działały, ale bał się z kimkolwiek rozmawiać. Odbył jedną enigmatyczną rozmowę z Sullym, to wszystko. Wiedział, że skoro FBI prowadzi śledztwo, telefony mogą być na podsłuchu, i nie chciał jeszcze bardziej pogarszać sprawy.

Henry Jacobs siedział w gabinecie Seta prawie cztery godziny. Uzgadniali plan działania. Seth powiedział mu o wszystkim, a kiedy skończył, adwokat nie miał zbyt pocieszających wieści. Powiedział, że kiedy tylko FBI zdobędzie jego wyciągi bankowe, zostanie wezwany przed wielką ławę przysięgłych i postawiony w stan oskarżenia. I zapewne aresztowany wkrótce potem. Był niemal pewien, że dojdzie do procesu. Nie wiedział, co jeszcze może się stać, ale wizyta agentów nie wróżyła nic dobrego.

Seth i Sara przeżyli kolejny koszmarne weekend. Dzielnica finansowa wciąż była zamknięta, więc Seth nie miał po co jechać do miasta. Siedział w domu, czekając na rozwój wypadków. W poniedziałek rano szef okręgowej centrali FBI zadzwonił na jego BlackBerry, by umówić się z nim i jego adwokatem na popołudnie następnego dnia; mieli się spotkać w domu Seta, jako że główne biuro Agencji wciąż nie podjęło działalności. Przypomniawszy, by nie opuszczał miasta i powiadomił go oficjalnie o wszczętym przeciw niemu śledztwie na wniosek Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Powiedział też, że Sully w tym tygodniu ma stawić się przed wielką ławą przysięgłych w Nowym Jorku - ale to Seth już wiedział od Sully'ego.

Poszedł do kuchni, gdzie Sara karmiła właśnie Olliego. Chłopiec miał całą buzię umazaną musem jabłkowym i radośnie gaworzył do mamy. Molly siedziała z nimi, oglądając Ulicą Sezamkową, choć większość miasta wciąż nie miała elektryczności, w ich okolicy włączono prąd w weekend. Należeli do nielicznych szczęściarzy, pewnie ze względu na dzielnicę, w której mieszkali. Fakt, że burmistrz mieszkał parę przecznic dalej, też miał znaczenie. Otwarto także kilka sklepów - głównie supermarketów i spożywczych sieciówek - i kilka oddziałów banków.

Sara przeraziła się, gdy Seth powiedział jej o wtorkowym spotkaniu z FBI. Jediną pociechą dla niej było to, że jako jego żona mogła odmówić zeznań. Ale przecież ona i tak o niczym nie wiedziała. Nigdy nie mówił jej o swoich nielegalnych transakcjach. To spadło na nią jak grom z jasnego nieba.

- I co zrobisz? - zapytała zdławionym głosem.

- Spotkam się z nimi. Nie mam wyboru. Jeśli odmówię, tylko pogorszę sytuację. Będą mogli wystąpić o nakaz sądowy, żeby mnie zmusić do zeznań. Henry wpadnie dziś po południu, żeby mnie przygotować. - Zadzwoił do adwokata, gdy tylko rozłączył się z szefem centrali FBI, i poprosił o jak najszybsze spotkanie.

Henry Jacobs zjawił się tego popołudnia z poważną, oficjalną miną. Sara otworzyła mu drzwi i wprowadziła go do gabinetu na górze, gdzie czekał Seth, bazgrząc coś nerwowo, od czasu do czasu spoglądał pustym wzrokiem w okno. Po krótkiej, porannej rozmowie z żoną zamknął się u siebie i pogrążył w ponurych rozmyślaniach. Sara zapukała cicho i wpuściła Henry'ego.

Seth wstał, by się z nim przywitać, wskazał mu fotel i usiadł z westchnieniem.

- Dzięki, że przyszedłeś, Henry. Mam nadzieję, że masz w teczce czarodziejską różdżkę. Bo potrzeba będzie

czarodzieja, żeby mnie z tego wyciągnąć. - Przeczesał włosy dłonią. Jego adwokat z posępną miną usiadł naprzeciw niego.

- Bardzo możliwe - mruknął.

Henry, doświadczony prawnik po pięćdziesiątce, zajmował się już podobnymi sprawami. Seth konsultował się z nim już wcześniej, i to nie raz, chcąc wiedzieć z wyprzedzeniem, jak ma tuszować swoje mętne interesy. Jego radcy nie przyszło nigdy do głowy, że naprawdę zamierzał to zrobić. Rozważali wiele kwestii czysto teoretycznie i Henry zakładał, iż Seth chce się po prostu upewnić, że w żaden sposób nie narusza prawa. Podziwiał go nawet za taką sumienność i ostrożność, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, co się za tym kryło. Nie osądzał tego, ale nie miał wątpliwości, że Seth ma poważne kłopoty, a skutki działań, które podejmował, mogą być katastrofalne.

- Domyślam się, że robiłeś to już wcześniej. - Henry chciał się tylko upewnić w swoich przypuszczeniach. Działania Seta wydawały się zbyt wypraktykowane, zbyt dobrze przemyślane jak na pierwszy raz. Seth kiwnął głową. Henry był przenikliwy i świetny w tym, co robił. - Ile razy?

- Cztery.

- Wspólnicy?

- Za każdym razem ten sam przyjaciel w Nowym Jorku. Znamy się od liceum. Ufam mu całkowicie. Ale zdaje się, że to nie jest w tej chwili najistotniejsze. - Seth uśmiechnął się ponuro i rzucił ołówek na biurko. - Gdyby nie to pieprzone trzęsienie ziemi, wyszlibyśmy z tego gładko. Ale kto mógł przewidzieć? Owszem, było ciasno z czasem, ale to zwykły, pieprzony pech, że jego inwestorzy zapowiedzieli audyt zaraz po moim. Wszystko by się udało, gdyby nie pozamykano banków.

Przez dwa tygodnie Seth siedział na pieniądzech inwestorów Sully'ego. Najwyraźniej nie docierało do niego, że

winowajcą nie jest pech czy trzęsienie ziemi, ale on sam, dokonując tego przelewu. Trudno o bardziej rażące naruszenie prawa - może z wyjątkiem opróżnienia kont i ucieczki z pieniędzmi. Seth i Sully okłamali dwie grupy inwestorów, stworzyli iluzję, iż posiadają gigantyczne zabezpieczenie na swoich kontach, i zostali nakryci. Henry nie był zgorszony - obrona ludzi takich jak Seth to jego praca - ale i nie współczuł klientowi jego kłopotów. Seth widział to w jego oczach.

- Co mnie czeka? - zapytał wprost. Strach wyzierał z jego oczu jak szczur z klatki.

Domyślał się, co może usłyszeć, ale chciał wiedzieć. Zwyczajnie się bał. Jeszcze w tym tygodniu w Nowym Jorku zbierała się wielka ława przysięgłych, by rozpatrzyć zasadność oskarżenia Sully'ego na specjalny wniosek prokuratora generalnego. Po rozmowie z agentami FBI Seth wiedział, że nie będzie musiał długo czekać na to samo.

- Trzeba patrzeć realistycznie, Seth. Wszystko świadczy przeciwko tobie - odparł cicho Henry. Nie dało się tego ubrać w piękne słówka. - A oni mają solidne dowody w postaci wyciągów z twoich kont. - Już przy pierwszej rozmowie Henry ostrzegł Setha, by nie tykał tych pieniędzy. Nie miał zamiaru, bo niby co miał z nimi zrobić? Konta Sully'ego w Nowym Jorku zostały już zamrożone. A nie mógł przecież wypłacić sześćdziesięciu milionów w gotówce i schować ich w walizce pod łóżkiem. Pieniądze były tam, gdzie je zostawił, przynajmniej na razie. - FBI działa w tej sprawie z ramienia Komisji Papierów - ciągnął Henry. - Kiedy tylko po rozmowie z tobą przekażą Komisji wyniki dochodzenia, możemy chyba założyć, że zostanie zwołane posiedzenie wielkiej ławy przysięgłych, tutaj, na miejscu. Jeśli dowody będą wystarczająco mocne, mogą cię nawet nie wzywać. Jeżeli zapadnie decyzja o postawieniu cię w stan oskarżenia, bardzo szybko usłyszysz zarzuty, być może zostaniesz aresztowany, a

prokurator wniesie oskarżenie. Od tej chwili to już będzie moja sprawa. Ale nie spodziewaj się cudów. - Przerwał, zastanawiając się nad czymś. - Niewykluczone - kontynuował po chwili - że nie będzie sensu dążyć do procesu. Jeśli dowody są niepodważalne, chyba lepiej będzie dogadać się z nimi i pójść na ugodę. Przyznasz się do winy, i może zdołasz podać im wystarczająco dużo informacji, by mogli przyszpilić twojego przyjaciela w Nowym Jorku. Jeśli Komisja Papierów spojrzy na to przychylnie i okażesz się użyteczny, prawdopodobnie dostaniesz niższy wyrok. Ale nie chcę ci robić fałszywej nadziei. Jeżeli zdołają ci udowodnić ten przekręt, pójdiesz siedzieć, Seth. Będzie ciężko, bardzo ciężko wyciągnąć cię z tego. Zostawiłeś za sobą ślad szerokości autostrady. I nie mówimy tu o jakichś ochłapach. Chodzi o duże pieniądze. Oszustwo na sześćdziesiąt milionów.

Nie przymkną na to oka. - Nagle coś jeszcze przyszło mu do głowy. - Czy twoje zeznania podatkowe są w porządku? - To byłby ostatni gwóźdź do trumny; Sara też zadała mu to pytanie. Jeśli popełniał również oszustwa podatkowe, czekała go bardzo długa odsiadka.

- Ależ oczywiście - Seth poczuł się urażony. - Nigdy nie oszukiwałem skarbowki. - Tylko inwestorów, swoich i Sully'ego.

Złodziejski honor, pomyślał Henry.

- To dobrze - rzekł sucho. Seth przerwał mu.

- Czego mam się spodziewać, Henry? Ile mogę dostać w najgorszym wypadku, jeśli wszystko pójdzie źle?

- W najgorszym wypadku? - mruknął zadumany Henry, rozważając wszystkie dane, które miał w tej chwili. - Trudno powiedzieć. I kodeks karny, i Komisja Papierów Wartościowych bardzo krzywo patrzą na oszustwa inwestycyjne... No nie wiem. Bez żadnej ugody czy



przyznania się do winy, dwadzieścia pięć lat, może trzydzieści. Ale aż tak źle nie będzie, Seth - zapewnił go. - Na pewno uda się trochę z tego urwać, grając innymi czynnikami. W najgorszym wypadku pięć do dziesięciu lat. Jeśli będziemy mieć szczęście, dwa do pięciu. Mam nadzieję, że uda nam się utargować coś koło tego.

- W więzieniu federalnym? A może zgodziliby się na jakiś elektroniczny areszt w domu? To by było dla mnie o wiele łatwiejsze do przełknięcia niż więzienie - Seth bał się panicznie. - Mam żonę i 'dzieci.

Adwokat nie powiedział mu, że powinien był pomyśleć o tym wcześniej, ale przemknęło mu to przez myśl. Seth przez najzwyczajszą chciwość i słabe morale zniszczył ich życie razem ze swoim. Henry wiedział, że nie będzie różowo, i nie chciał dawać mu fałszywej nadziei, że zdoła go wybronić przed słuszną karą. Seth musiał zapłacić społeczeństwu za swoje czyny. Federalni, którzy byli w to zaangażowani, nie bawili się w sentymenty. Nienawidzili ludzi takich jak Seth, opętanych chciwością i własnym chorym ego, stawiających się ponad prawem. Przepisy dotyczące funduszy i podobnych instytucji stworzono po to, by chronić inwestorów przed takimi jak on. Oczywiście i te przepisy miały luki, jednak nie na tyle duże, by prześlizgnęło się przez nie tak poważne przestępstwo. Ale Henry podjął się obrony Setha, niezależnie od wyniku. W tym wypadku wynik był raczej przewidywalny.

- Nie sądzę, żebyś mógł liczyć na areszt domowy - powiedział szczerze Henry. Nie chciał straszyć Setha niepotrzebnie, ale musiał uczciwie przedstawić mu jego szanse i ocenić je jak najrzetelniej. - Może uda mi się załatwić ci zwolnienie warunkowe. Ale nie od razu. Musisz raczej przyzwycząić się do myśli, że posiedzisz jakiś czas. Miejmy nadzieję, że niezbyt długo. Biorąc pod uwagę kwoty, jakimi obracaliście z Sullym, wyrok będzie wysoki, jeśli nie

znajdziemy czegoś, co skłoni ich do pójścia na ugodę. Ale nawet wtedy nie odejdiesz wolny.

Mniej więcej to samo Seth powiedział Sarze po trzęsieniu ziemi. Gdy tylko wszystko zaczęło się walić i telefony umilkły, wiedział, że jest skończony. Henry po prostu wyłożył kawę na ławę.

Jeszcze raz omówili szczegóły. Seth był całkowicie szczery. Musiał być. Potrzebował pomocy Henry'ego, który obiecał, że będzie z nim jutro po południu podczas rozmowy z FBI. Dokładnie w tym samym czasie miała się zebrać wielka ława przysięgłych w sprawie Sully'ego. Była już szósta, kiedy Henry wyszedł, a Seth wyłonił się ze swojego gabinetu kompletnie wykończony.

Sara na dole dawała dzieciom kolację. Parmani robiła pranie w piwnicy. Gdy wszedł do kuchni, żona spojrzała na niego z niepokojem.

- I co powiedział? - Tak jak i Seth, liczyła na cud. Bo tylko cud mógł go uratować. Usiadł na krześle, spojrzał żałośnie na dzieci, i w końcu na żonę. Molly usiłowała mu coś pokazać, ale nie zwracał na nią uwagi. Miał za dużo na głowie.

- Mniej więcej to, czego się spodziewałem. - Postanowił najpierw przedstawić jej najgorszy scenariusz. - Mówił, że mogę dostać nawet do trzydziestu lat. Jeśli będę miał szczęście i prokurator zgodzi się pójść na ugodę, może dwa do pięciu lat. Tyle że wtedy musiałbym sprzedać Sully'ego, a nie chcę tego robić. - Westchnął ciężko i pokazał Sarze swoje kolejne oblicze. - Ale może będę musiał. Tu chodzi o mój tyłek.

- On też może sypać. - Nigdy nie lubiła Sully'ego. Uważała go za podejrzanego typu, a on zawsze traktował ją protekcjonalnie. I jak się okazało miała rację. Obaj byli siebie warci. Seth, który nie dość, że został przestępcą, teraz chciał

wydać przyjaciela, co w jakiś sposób jeszcze pogarszało sprawę w jej oczach. - A jeśli on cię sprzeda pierwszy? - Seth o tym nie pomyślał. Postępowanie przeciwko Sully'emu już się toczyło. Całkiem możliwe, że nawet w tej chwili Sully śpiewał przed Komisją Papierów i FBI. Seth nie zdziwiłby się. Przecież sam chciał to zrobić. Po rozmowie z adwokatem, był już zdecydowany. Nie miał najmniejszego zamiaru odsiadywać trzydziestu lat i w tej chwili zrobiłby wszystko, byle tylko ocalić własną skórę. Nawet pogrzyść przyjaciela. Sara czuła mdłości na samą myśl - nie dlatego, że chciał wydać Sully'ego, który według niej zasługiwał na to, ale dlatego, że nic nie było dla Seta święte; ani jego inwestorzy, ani partner w przestępstwie, ani nawet własna żona i dzieci. To mówiło jej dobitnie, kim jest ten człowiek.

- A ty? Co o tym wszystkim myślisz? - zapytał Seth z niepokojem, kiedy Parmani zabrała dzieci do kąpieli. Zresztą one i tak nie zrozumiałyby nic z tej rozmowy.

- Nie wiem - odparła Sara w zamyśleniu. Henry powiedział, że byłoby dobrze, gdyby zechciała towarzyszyć mężowi przy przesłuchaniach i na sali sądowej. Każdy drobiazg, który mógł nadać Sethowi pozór człowieka poważnego i godnego szacunku, bardzo się liczył.

- Będę cię potrzebować podczas procesu - usłyszała jego zdławiony głos - a potem pewnie jeszcze bardziej. Może mnie nie być bardzo długo.

Gdy to powiedział, oczy Sary napełniły się łzami. Wstała, by zanieść naczynia po kolacji dzieci do zlewu. Nigdy nie płakała przy dzieciach, i przy nim też nie chciała. Ale Seth poszedł za nią.

- Nie zostawiaj mnie teraz, Sarrie. Kocham cię. Jesteś moją żoną. Nie możesz mnie teraz opuścić - błagał ją.

- Dlaczego nie pomyślałaś o tym wcześniej? - zapytała szeptem, zapłakana, w tej pięknej kuchni, w domu, który tak

kochała. Ale tak naprawdę nie chodziło o ratowanie domu czy utrzymanie stopy życiowej. Przerazało ją, że jest żoną człowieka tak zepsutego i nieuczciwego, człowieka, który wszystko zniszczył i teraz ma czelność mówić, że jej potrzebuje. A co z jej potrzebami? Z potrzebami dzieci? A jeśli on pójdzie do więzienia na trzydzieści lat? Co się z nimi stanie? Jakie życie czeka ją i dzieci?

- Chciałem zbudować coś dla nas - zaczął tłumaczyć się nieporadnie. - Robiłem to dla ciebie, Saro, i dla nich. - Machnął ręką w stronę schodów i piętra. - Pewnie próbowałem to zrobić za szybko, i to się na mnie zemściło. - Zwiesił głowę, zrobił skruszoną minę. Ale Sara widziała, że próbuje nią manipulować. Zdradził ją, tak jak zamierzał zdradzić przyjaciela. To było prawie to samo. Chodziło tylko o niego. Cała reszta świata mogła zginąć.

- Próbowałeś coś osiągnąć nieuczciwie. To wielka różnica - przypomniała mu Sara. - I nie chodziło o budowanie czegoś dla nas. Tu chodziło o ciebie, o twoje ego, o twoje zwycięstwo za wszelką cenę, kosztem wszystkich dookoła, nawet dzieci. Jeśli pójdiesz siedzieć na trzydzieści lat, nawet nie będą cię znać. Będą cię widywać raz na jakiś czas, odwiedzając w więzieniu. Na litość boską, równie dobrze mógłbyś nie żyć - rzuciła, nareszcie poddając się wściekłości, która wyparła smutek i ból.

- Wielkie dzięki - rzucił z nieprzyjemnym błyskiem w oku. - Nie licz na to. Wydam każdego centa na najlepszych adwokatów, jakich zdołam ściągnąć, i będę apelować w nieskończoność, jeśli zajdzie trzeba. - Oboje jednak wiedzieli, że prędzej czy później przyjdzie mu zapłacić za popełnione przestępstwa. - A gdzie się podziało „Na dobre i na złe”?

- Nie sądzę, by w przysiędze małżeńskiej była mowa o oszustwach finansowych i trzydziestoletnim wyroku - odparła Sara drżącym głosem.

- Była w niej mowa o staniu u boku męża, nawet jeśli on siedzi po uszy w bagnie. Próbowałem zbudować dla nas przyszłość, Saro. Dobrą przyszłość. Wspaniałą. I jakoś nie słyszałem twoich narzekań, kiedy kupowałem ten dom i pozwalałem ci go wypełnić dziełami sztuki i antykami, kiedy kupowałem ci tony biżuterii, drogie ciuchy, dom w Tahoe i samolot. Nie słyszałem, żebyś mówiła, że to za dużo.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Od samego słuchania mdliło ją coraz mocniej.

- Mówiłam ci, że to wszystko jest za drogie i niepokoiłam się - przypomniała mu. - To wszystko szło za szybko. - Teraz oboje już wiedzieli, jakim sposobem. Osiągnął sukces w nieuczciwy sposób, oszukując inwestorów, by powierzyli mu więcej pieniędzy na ryzykowne inwestycje. Przy takich kwotach nietrudno było uszczknąć trochę dla siebie. I zapewne to robił; teraz zdawała sobie z tego sprawę.

- Jakoś nie widziałem, żebyś oddała cokolwiek z tych rzeczy albo próbowała mnie powstrzymać - odgryzł się.

- A zdołałabym cię powstrzymać? - Spojrzała mu w oczy. - Nie wydaje mi się, Seth. Myślę, że do tego wszystkiego popchnęła cię twoja pazerność i ambicja, chore pragnienie sukcesu. Przekroczyłeś wszelkie granice i teraz wszyscy musimy zapłacić za ten twój „sukces”.

- To ja będę siedział w więzieniu, nie ty.

- A czego się spodziewałeś, robiąc coś takiego? Nie jesteś bohaterem, Seth. Jesteś zwykłym oszustem! - wykrzyknęła z płaczem.

Wypadł z kuchni, zatraskując za sobą drzwi. Nie tego się spodziewał. Chciał usłyszeć, że ona będzie trwała u jego boku, cokolwiek się stanie. Prosił o bardzo wiele, ale czuł, że na to zasługuje.

Dla obojga była to długa, pełna bólu noc. Sara leżała bezsennie w sypialni dla gości, a Seth do czwartej nad ranem

siedział zamknięty w swoim gabinecie. W końcu poszedł się położyć w małżeńskim łóżku i spał do południa. Obudził się w samą porę, by ubrać się przed spotkaniem, z adwokatem i agentami FBI. Sara już wcześniej zabrała dzieci do parku. Wciąż nie miała samochodu - ich oba auta przepadły pod gruzami - ale do dyspozycji miała starą hondę Parmani, której używały do załatwiania , sprawunków. Sara była zbyt wytrącona z równowagi, by wynająć samochód, a Seth nigdzie się nie wybierał, więc i on o tym nie pomyślał. Siedział w domu, przerażony własną przyszłością.

Gdy wracały z parku, Sara wpadła na pewien pomysł i poprosiła Parmani o pożyczenie auta. Przykazała niani, by zabrała dzieci do domu i położyła na popołudniową drzemkę. Pocziwa Nepalka powiedziała, że z przyjemnością zrobi wszystko, byle tylko pomóc. Widziała, że dzieje się coś złego i obawiała się, że jej pracodawcy mają jakieś poważne kłopoty, ale nie miała pojęcia, w czym rzecz, i nigdy nie śmiałyby spytać. Myślała, że chodzi o problemy małżeńskie - że być może Seth ma romans. Nie pomieściłoby jej się w głowie, gdyby wiedziała, że Seth może pójść do więzienia i że grozi im utrata domu. W jej przekonaniu Sloane'owie byli młodzi, bogaci i szanowani - ale przecież Sara myślała tak samo jeszcze dwa i pół tygodnia temu. Teraz poznała prawdę. Młodzi, owszem - ale bogactwo i szacunek zniknęły jak zdmuchnięte.

Kiedy Parmani pożyczyła jej auto, zjechała ze wzgórza ulicą Divisadero, prosto na północ. Skręciła w Marina Boulevard i dotarła do Presidio, mijając Crissy Field. Próbowwała dodzwonić się do Maggie, ale siostra miała wyłączoną komórkę. Sara nie wiedziała nawet, czy jest ona jeszcze w polowym szpitalu, ale bardzo chciała z kimś porozmawiać i nikt inny nie przyszedł jej do głowy. Rodzicom nie mogła powiedzieć o tym, co zrobił Seth. Jeśli wszystko

potoczy się tak fatalnie, jak się zapowiadało, i tak dowiedzą się wystarczająco szybko. Będzie musiała im powiedzieć, zanim sprawa trafi do gazet, ale jeszcze nie teraz. W tej chwili potrzebowała po prostu przytomnej, rozsądnej osoby, przed którą mogłaby otworzyć serce i wylać swoje żale. I czuła, że siostra Maggie jest odpowiednią osobą.

Sara wysiadła z poobijanej hondy przed szpitalem polowym i weszła do środka. Zamierzała właśnie spytać, czy siostra Mary Magdalen jeszcze tu pracuje, kiedy zobaczyła ją, idącą spiesznie w stronę zaplecza ze stertą chust chirurgicznych i ręczników, niemal wyższą niż ona sama. Gdy Sara podeszła, Maggie spojrzała na nią, zaskoczona.

- Jak miło cię widzieć, Saro. Co cię tu sprowadza? Jesteś chora? - Izby przyjęć we wszystkich miejskich szpitalach działały już normalnie. Szpital w Presidio, choć wciąż czynny, nie był już tak oblegany jak jeszcze kilka dni temu.

- Nie... nic mi nie jest... Przepraszam za to najście, ale... Masz czas porozmawiać? - Maggie dostrzegła wyraz jej oczu i natychmiast odłożyła stertę bielizny na puste łóżko.

- Chodźmy. Posiedzimy sobie na plaży. Dobrze nam to zrobi. Nie wychodziłam stąd od szóstej rano.

- Dziękuję - powiedziała cicho Sara.

Poszły drogą do ścieżki prowadzącej na plażę, rozmawiając o niczym. Maggie spytała, jak tam uszy Olliego; Sara zapewniła ją, że już w porządku. W końcu dotarły na plażę i usiadły na piasku. Gładka tafla zatoki migotała w słońcu. Był kolejny piękny dzień. I najładniejszy maj, jaki Sara pamiętała, choć w tej chwili świat wydawał jej się spowity mrokiem. Szczególnie świat jej i Setha.

- Co się dzieje? - zapytała łagodnie Maggie. Zatrokana twarz młodej kobiety i przepiękne bólem spojrzenie mówiły same za siebie. Maggie podejrzewała problemy małżeńskie. Sara wspomniała coś o kłopotach z mężem, kiedy przywiozła

synka do szpitala. Ale cokolwiek to było, sytuacja musiała się znacznie pogorszyć. Sara wyglądała na zrozpaczoną.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć. - Zanim Sara znalazła właściwe słowa, łzy już ściekały jej po policzkach. Nie próbowała ich otrzeć, a dobra siostra siedziała obok i modliła się w milczeniu. Prosiła Boga, by zdjął ciężar przygniatający serce tej kobiety. - Chodzi o Seta... - zaczęła w końcu. Maggie nie była zaskoczona. - Stało się coś strasznego... nie... to on zrobił coś strasznego... coś bardzo złego... i został przyłapany. - Maggie nie potrafiła sobie wyobrazić, co to mogło być. Czy chodziło o romans, który wyszedł na jaw?

- Sam ci o tym powiedział?

- Tak. Rankiem po trzęsieniu ziemi, kiedy dotarliśmy do domu. - Spojrzała w oczy Maggie, nim opowiedziała jej całą historię, ale czuła instynktownie, że może jej zaufać. Maggie zatrzymywała cudze tajemnice dla siebie i dzieliła się nimi tylko z Bogiem, podczas modlitwy. - Popełnił przestępstwo... przelał pieniądze, które nie należały do niego, na konta swojego funduszu inwestycyjnego. Zamierzał je przelać z powrotem, ale po trzęsieniu ziemi wszystkie banki zamknęły, i pieniądze zostały na jego kontach. A on wiedział, że to się wyda, zanim banki znów zaczną działać. - Maggie milczała, zaskoczona. To był o wiele większy problem, niż podejrzewała.

- I wydało się?

- Tak. - Sara skinęła żałośnie głową. - Wpadł jego wspólnik w Nowym Jorku. W poniedziałek po trzęsieniu ziemi. Sprawę zgłoszono Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. A oni zawiadomili tutejsze FBI, Toczy się śledztwo, niedługo wielka ława przysięgłych rozpatrzy zasadność oskarżenia i prawdopodobnie dojdzie do procesu. - Sara przeszła do sedna. - Jeśli zostanie skazany, może pójść do więzienia na trzydzieści lat. Może na krócej, ale w najgorszym



wypadku właśnie tyle mu grozi. A teraz on chce wydać przyjaciela, który mu w tym pomagał. Tego z Nowego Jorku, przeciw któremu już toczy się śledztwo. - Szlochając, sięgnęła po dłoń siostry i ścisnęła ją mocno. - Maggie... Ja nawet nie wiem, kim on jest. Nie jest człowiekiem, za którego go uważałam. Jest oszustem i naciągaczem. Jak mógł nam to zrobić?

- Podejrzewałaś cokolwiek? - Maggie westchnęła ciężko. Czegoś takiego się nie spodziewała. To rzeczywiście była koszmarna historia.

- Nigdy. Nawet przez chwilę. Myślałam, że jest uczciwy, tylko po prostu ma nieprawdopodobną głowę do interesów. Uważałam, że wydajemy za dużo pieniędzy, a on mi powtarzał, że właśnie po to są. Ale czy to w ogóle były nasze pieniądze? Jeden Bóg wie, co on jeszcze zrobił. Prawdopodobnie stracimy dom... ale najgorsze jest to, że ja straciłam jego. On już jest skazanym człowiekiem. Nigdy nie zdoła się z tego wyplątać. I chce, żebym trwała przy nim, żebym z nim została. Mówi, że to mu przysięgałam, „na dobre i na złe”... ale co się stanie ze mną i z dziećmi, jeśli on pójdzie do więzienia? - Maggie wiedziała, że Sara jest młoda i cokolwiek się stanie, może zacząć życie od nowa. Lecz byłby to fatalny koniec miłości i małżeństwa, jeśli rzeczywiście taki koniec miał nastąpić. Sprawa brzmiała przerażająco nawet dla niej, choć wiedziała tak niewiele.

- A ty chcesz przy nim trwać, Saro?

- Nie wiem. Nie wiem, czego chcę, co myślę. Kocham go, ale teraz nie jestem nawet pewna, kogo kocham, czyją żoną byłam przez te cztery lata, i kogo znałam przez dwa lata przed ślubem. On jest oszustem. A jeśli nie zdołam mu tego wybaczyć?

- To zupełnie inna historia. - Maggie trzeźwo oceniała sytuację. - Możesz mu wybaczyć, ale to nie musi oznaczać, że

z nim zostaniesz. Masz prawo decydować, kto ma być obecny w twoim życiu i ile cierpienia chcesz znosić. Wybaczenie to zupełnie inna kategoria i jestem pewna, że przyjdzie ono z czasem. W tej chwili pewnie jest dla ciebie za wcześnie na jakiegokolwiek poważne decyzje. Musisz to trochę przetrwać i przekonać się, co czujesz. Może zdecydujesz, że jednak chcesz być przy nim i wspierać go, a może nie. Nie musisz podejmować tej decyzji teraz.

- On mówi, że muszę.

- On tu nie ma nic do gadania. To zależy od ciebie. Prosi cię o ogromnie wiele, mimo że cię skrzywdził. Czy był już przesłuchiwany?

- W tej chwili rozmawiają z nim agenci FBI. Nie wiem, co będzie dalej.

- Musisz poczekać. To się okaże.

- Sama nie wiem, co jestem mu winna, co jestem winna swoim dzieciom i sobie. Nie chcę iść z nim na dno albo być żoną człowieka, który odsiaduje dwadzieścia czy trzydzieści lat. A choćby nawet pięć. Nie wiem, czy taki ciężar udźwignę. Mogę go za to znienawidzić, a tego bym nie chciała.

- Mam nadzieję, że tak nie będzie, Saro, jakakolwiek podejmiesz decyzję. Nienawiść zatrułaby tylko ciebie. A Seth ma prawo do twojego współczucia i przebaczenia, ale nie ma prawa rujnować życia tobie i dzieciom.

- Ale czy jestem mu to winna jako żona? - Oczy Sary były jak studnie pełne bólu, zagubienia i poczucia winy. Maggie żałowała właściwie ich obojga. Podejrzewała, że Seth znajdował się w nie lepszym stanie niż jego żona.

- Jesteś mu winna zrozumienie, litość i współczucie, nie swoje życie, Saro. Tego nie możesz mu dać, cokolwiek byś zrobiła. Ale decyzja, czy z nim zostać, należy wyłącznie do ciebie. Nieważne, co on mówi. Jeśli tak będzie lepiej dla ciebie i dla dzieci, masz prawo od niego odejść. W tej chwili

jedyne, czego może od ciebie oczekiwać, to wybaczenie. Cała reszta to twoja sprawa. A wybaczenie przynosi ze sobą błogosławione światło łaski. I prędzej czy później oboje odnajdziecie to błogosławieństwo. - Maggie starała się udzielić jej praktycznej rady, okraszonej własną głęboką wiarą której podstawą były miłosierdzie, wybaczenie i miłość: duch nauki Chrystusa. - Nigdy nie byłam w takiej sytuacji - przyznała szczerze. - Nie chcę ci udzielić złej rady. Mówię ci tylko to, co myślę. Sama zdecydujesz, jak powinnaś postąpić. Ale być może jeszcze za wcześnie na decyzje. Jeśli go kochasz, to już jest bardzo wiele. W jaki sposób twoje uczucie się objawi, w jaki sposób je okażesz, zależy od ciebie. W ostatecznym rozrachunku twoje odejście może się okazać największym aktem miłości. On musi zapłacić za swoje błędy, a nie są błahe. Ty też za nie zapłacisz, i to wysoką cenę, niezależnie od tego, jakiego wyboru dokonasz.

- Już ją płacę. Seth mówi, że prawdopodobnie stracimy dom. Może zostać zajęty, a nawet jeśli nie, trzeba go będzie sprzedać, żeby opłacić adwokatów.

- I dokąd pójdziesz? - Maggie patrzyła na nią zatroskana. Było oczywiste, że Sara czuje się zagubiona i dlatego przyszła się z nią zobaczyć. Masz tu jakąś rodzinę?

Sara pokręciła głową.

- Moi rodzice wyprowadzili się na Bermudy. Nie mogę zamieszkać u nich, to za daleko. Nie chcę rozdzielać dzieci z Sethem. I nie chcę jeszcze nic mówić rodzicom. Myślę, że jeśli stracimy dom, wynajmę po prostu małe mieszkanie. I będę musiała znaleźć pracę. Nie pracowałam odkąd się pobraliśmy, bo chciałam być w domu z dziećmi. Pracę znajdę bez problemu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mam kwalifikacje. Studiowałam w szkole biznesu w Stanford. Tam właśnie poznaliśmy się z Sethem. - Maggie uśmiechnęła się; przemknęło jej przez głowę, że Seth z pewnością źle

wykorzystał swoje biznesowe wykształcenie. Ale przynajmniej Sara miała wszelkie dane, by znaleźć dobrą pracę i zarobić na utrzymanie. Nie w tym tkwił problem. Wielką niewiadomą było ich małżeństwo i przyszłość Setha, jeśli zostanie skazany - a prawdopodobnie tak będzie.

- Myślę, że powinnaś dać sobie trochę czasu, teraz tak naprawdę nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Nie da się zaprzeczyć, że Seth popełnił straszliwy błąd. Tylko ty wiesz, czy zdołasz mu wybaczyć i czy zechcesz z nim zostać. Pomódl się, Saro, i spytaj Boga o radę - mówiła żarliwie. - Odpowiedzi przyjdą w miarę rozwoju wypadków. Wszystko stanie się dla ciebie jasne, może szybciej, niż się spodziewasz. - Może nawet szybciej, niż by chciała. Maggie przypomniała sobie, że często, gdy modliła się o wyjaśnienie sytuacji, odpowiedzi były bardziej bezkompromisowe i oczywiste, niż tego pragnęła, szczególnie kiedy jej się nie podobały. Ale nie przyznała się do tego Sarze.

- Powiedział, że będzie mnie potrzebować w czasie procesu. Więc postaram się go wspierać. Czuję, że jestem mu to winna. Nie wiem, jak żyć w tym koszmarze. Media zrobią z Setha zwykłego przestępcę. - Którym przecież był, i obie to wiedziały. - To takie upokarzające.

- Nie pozwól, by duma podjęła tę decyzję za ciebie, Saro - ostrzegła ją Maggie. - Podejmij ją z miłością. Jeśli tak zrobisz, będzie błogosławieństwem dla wszystkich. Właśnie tego powinnaś pragnąć. Dobrej odpowiedzi, dobrej decyzji, dobrej przyszłości dla siebie i dzieci, czy to z Sethem, czy bez Setha. Cokolwiek się z nim stanie, będzie miał swoje dzieci. Jest ich ojcem. Pytanie tylko, czy będzie miał ciebie. A przede wszystkim, czy ty chcesz mieć jego.

- Nie wiem. Nie wiem, kto to jest „on”. Czuję się tak, jakbym przez sześć lat żyła w świecie iluzji. Był ostatnim człowiekiem, którego podejrzewałabym o oszustwo.

- Życie jest pełne niespodzianek - powiedziała Maggie, zapatrzona w zatokę. - Ludzie robią dziwne rzeczy. Nawet ci, których znamy i kochamy. - Spojrzała Sarze w oczy. - Będę się za ciebie modlić. I ty też się módl, jeśli potrafisz. Oddaj się w boskie ręce. Pozwól, by On pomógł ci jakoś to rozplątać.

Sara z bladym uśmiechem skinęła głową.

- Dziękuję. Wiedziałam, że rozmowa z tobą mi pomoże. Jeszcze nie wiem, co zrobię. Na pewno poczułam się lepiej. A przyjechałam do ciebie półprzytomna.

- Przychodź kiedy chcesz, albo dzwoń. Będę tu jeszcze jakiś czas. - Maggie wciąż miała wiele do zrobienia; mnóstwo osób straciło domy, więc pozostaną w Presidio przez wiele miesięcy. Maggie przynosiła miłość, ukojenie i pociechę wszystkim ludziom, z którymi miała styczność. - Bądź miłosierna - powiedziała na koniec Sarze. - Miłosierdzie jest ogromnie ważne w życiu. To nie znaczy, że masz z mężem zostać. Ale musisz być miłosierna i dla niego, i dla siebie, jakkolwiek podejmiesz decyzję. Miłość nie oznacza konieczności poświęcenia swojego życia, oznacza tylko, że musisz mieć w sobie współczucie. To z nim przychodzi łaska. I rozpoznasz ten moment, kiedy nadejdzie.

- Jeszcze raz dziękuję. - Sara uściskała Maggie, żegnając się z nią przed szpitalem polowym. - Na pewno się odezwę.

- Będę się za ciebie modlić. - Maggie pomachała jej z pełnym miłości uśmiechem, gdy samochód ruszał.

Sara czuła, że właśnie takiej rozmowy potrzebowała. Przejechała z powrotem Marina Boulevard i Divisadero; zaparkowała na podjeździe w chwili, gdy dwaj agenci FBI wychodzili z domu. Cieszyła się, że nie było jej na miejscu. Poczekala, aż odjechali i dopiero wtedy weszła do środka. Henry siedział jeszcze u Seta. Kiedy wyszedł, zapukała do gabinetu męża.

- Gdzie byłaś? - mruknął. Wyglądał na kompletnie wykończonego.

- Musiałam się przewietrzyć. I jak jest?

- Fatalnie - odparł ponuro. - Niczego mi nie oszczędzili. W przyszłym tygodniu złożą wniosek o postawienie mnie w stan oskarżenia. Będzie ciężko, Saro. - Popatrzył na nią z wyrzutem. - Przykro, że nie było cię dzisiaj w domu. - Potrzebował jej tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Widziała to w jego oczach. Przypomniała sobie słowa Maggie i spróbowała wykrzesać z siebie współczucie. Cokolwiek jej zrobił, sam znalazł się w piekielnych opałach. Zrobiło jej się go żal, o wiele bardziej niż przed rozmową z Maggie.

- Agenci chcieli ze mną rozmawiać? - Przeszył ją zimny dreszcz.

- Nie. Nie masz z tym nic wspólnego. Powiedziałem im, że o niczym nie wiedziałaś. Nie pracujesz dla mnie. A zresztą i tak nie mogą cię zmusić, żebyś zeznawała przeciwko mnie, jesteś moją żoną. - Sara uspokoiła się trochę, słysząc to. - Po prostu chciałem, żebyś była przy mnie.

- Jestem, Seth. - Przynajmniej na razie. Na więcej nie było jej stać.

- Dziękuję - powiedział cicho.

Sara poszła na górę, do dzieci. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, ukrył twarz w dłoniach i rozpłakał się.

## Rozdział 12

W ciągu następnych dziesięciu dni życie Setna rozpadało się kawałek po kawałku. Jego sprawa została przedstawiona wielkiej ławie przysięgłych przez prokuratora generalnego. Ława uznała zasadność oskarżenia. Dwa dni później przyszli po niego agenci FBI. Odczytano mu jego prawa, zabrano do gmachu sądu federalnego, sfotografowano, formalnie oskarżono i aresztowano. Noc spędził w areszcie; sędzia miał wyznaczyć kaucję dopiero następnego ranka.

Fundusze, które bezprawnie zdeponował na swoich kontach, na podstawie nakazu sądowego zostały odesłane do Nowego Jorku, by spłacić inwestorów Sully'ego. Tak więc klienci Sully'ego nie ponieśli żadnej straty, ale klienci Seta, którym mydlono oczy zabezpieczeniem zawyżonym o sześćdziesiąt milionów, zainwestowali w jego fundusz odpowiednio wysokie kwoty. Zostali perfidnie oszukani i narażeni na straty.

Sędzia uznał, że w wypadku Seta nie zachodzi niebezpieczeństwo ucieczki i że podsądny może odpowiadać z wolnej stopy, jako że w grę nie wchodziło morderstwo ani przemoc fizyczna. To, co zrobił Seth, było o wiele bardziej subtelne. Ale rodzaj i rozmiar przestępstwa sprawił, że wysokość kaucji ustalono na dziesięć milionów dolarów. By wyjść z aresztu musiał wpłacić sądowemu poręczycielowi milion, czyli całą gotówkę, jaką mieli z Sarą do dyspozycji. Zabezpieczenie reszty kaucji stanowił dom - nie było innego wyjścia. Seth zaraz po wyjściu z aresztu uprzedził Sarę, że będą musieli sprzedać dom. Mogli za niego uzyskać około piętnastu milionów; dziewięć zatrzymałby poręczyciel na poczet kaucji, a pozostałych sześciu potrzebował Seth, by zapłacić adwokatom. Henry uprzedził go już, że honorarium jego oraz współpracowników wyniesie około trzech milionów. Stało się oczywiste, że muszą sprzedać także dom w Tahoe.

Potrzebowali całej gotówki, jaką uda się zdobyć. Na szczęście dom na Divisadero nie był obciążony żadnym kredytem. Dom w Tahoe miał do spłacenia hipotekę, przez co musieli się liczyć ze zmniejszeniem zysku ze sprzedaży, ale różnicę mogli przeznaczyć na obronę Seta i wydatki związane z procesem.

- Sprzedam swoją biżuterię - powiedziała Sara drewnianym głosem. Nie zależało jej na błyskotkach, ale z utratą domu nie mogła się pogodzić. Seth pozbył się już odrzutowca. Nie spłacił jeszcze samolotu, więc sporo na tym stracił. Jego fundusz inwestycyjny został zamknięty. Nie mogli się spodziewać żadnych dochodów, za to czekały ich potężne wydatki. Zapowiadało się, że sześćdziesięciomilionowy przekręt Seta pochłonie wszystko, co posiadali. Niezależnie od wyroku skazującego na więzienie należało się spodziewać także zawrotnych grzywien. A indywidualne pozwy inwestorów miały pożreć całą resztę pieniędzy. W jednej chwili stali się nędzarami.

- Możemy wynająć mieszkanie - stwierdził Seth.

- Ja sama sobie wynajmę mieszkanie - odparła cicho Sara. Podjęła tę decyzję poprzedniej nocy, kiedy on siedział w areszcie. Maggie miała rację. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi, ale stało się dla niej jasne, że nie chce z nim mieszkać. Może później znów się zejdą, ale póki co wolała mieć mieszkanie dla siebie i dzieci. I zamierzała poszukać pracy.

- Wyprowadzasz się? - Seth spojrzał na nią osłupiały. - Co sobie pomyślą przysięgli? - Tylko to go obchodziło.

- Tak się składa, że oboje się wyprowadzamy. A przysięgli pomyślą sobie, że nieźle narozrabiałeś, ja jestem wkurzona i robimy sobie przerwę. - Co było prawdą. Nie występowała o rozwód, pragnęła tylko trochę przestrzeni. Nie chciała być częścią jego życia, które rozłaziło się w szwach tylko dlatego, że wybrał nieuczciwe życie. Nie potrafiła tego znieść. Modliła się żarliwie od czasu rozmowy z Maggie i



czuła, że podjęła dobrą decyzję. Właściwie miała co do tego pewność. Tak jak przewidziała Maggie, odpowiedzi przychodziły po kolei. Jedna po drugiej.

Następnego dnia Sara zadzwoniła do agencji handlu nieruchomościami i kazała wystawić dom na sprzedaż. Zadzwoniła też do poręczyciela sądowego, by wiedział, jak się mają sprawy i nie pomyślał sobie, że dzieje się coś podejrzanego. Zresztą i tak on miał akt własności domu. Urzędnik wyjaśnił, że ma prawo zaakceptować transakcję sprzedaży, zając swoje; dziewięć milionów, a wszystko co zostanie, należy do nich. Podziękował za telefon. Nie powiedział tego Sarze, ale było mu kobiety żal. Uważał, że jej mąż to palant, nadęty i zadufany w sobie. Nawet podczas rozmowy w areszcie nie spuszczał z tonu. Poręczyciel widywał już takich jak on. Zawsze mieli wybujałe ego, a za ich postęпки w ostatecznym rozrachunku płaciły najbliższe osoby. Żegnając się, życzył jej udanej transakcji.

Następne dni Sara spędziła obdzwanając wszystkich znajomych w mieście i Dolinie Krzemowej w poszukiwaniu pracy. Napisała CV, w którym uwzględniła program swoich studiów magisterskich w Stanford i pracę na Wall Street w firmie inwestycyjnej. Była skłonna przyjąć każdą posadę - handlowca, analityka. Podjęłaby się zdobycia licencji maklera, pracy w banku. Miała kwalifikacje i bystry umysł, teraz potrzebowała tylko zatrudnienia. Musiała też przyjmować potencjalnych kupców, którzy plątali się po jej domu, czy to z ciekawości, czy z prawdziwego zainteresowania kupnem.

Seth wynajął sobie penthouse na Broadwayu, na ostatnim piętrze budynku nazywanego Hotelem Złamanych Serc. Był to nowoczesny apartamentowiec pełen małych, luksusowo urządzonych kawalerek, zajmowanych głównie przez mężczyzn, którzy właśnie rozstali się z żonami. Sara znalazła małe, przytulne mieszkanko w wiktoriańskim bliźniaku na

Clay Street. Miało dwie sypialnie - jedną dla niej, drugą dla dzieci - miejsce parkingowe na jeden samochód i mały ogródek. Czynyse poleciały w dół po trzęsieniu ziemi, więc zapłaciła przyzwoitą cenę; klucze miała dostać pierwszego czerwca.

Wybrała się do Presidio, by opowiedzieć Maggie o zmianach w swoim życiu. Siostra szczerze jej współczuła, ale nie kryła podziwu, że Sara idzie naprzód i podejmuje ostrożne, mądre decyzje. Seth kupił sobie nowe porsche, by zastąpić utracone ferrari - jakimś cudem udało mu się załatwić raty bez zaliczki - co rozwścieczyło jego adwokata. Henry powiedział mu wprost, że powinien raczej spokojnie zamiast się popisywać, że skrzywdził wiele osób swoimi machlojkami, i sędzia nie będzie patrzył łaskawym okiem na takie ekstrawagancje. Sara kupiła używane volvo kombi w miejsce zmiażdżonego mercedesa. Bizuterię odesłała do Los Angeles, gdzie miała zostać wystawiona na sprzedaż. Rodzice nadal o niczym nie wiedzieli. Martwiliby się, nie mogąc jej pomóc finansowo, uznała więc, że skoro sprawa Seta i Sully'ego nie trafiła jeszcze do mediów, może z tym poczekać. Wiedziała, że niedługo będzie o tym głośno w całym kraju, ale póki co, mogła spokojnie zająć się swoimi sprawami.

Everett spędził kilka dni na obróbce zdjęć. Te, które najbardziej interesowały „Scoop”, oddał do redakcji - magazyn zamieścił cały dodatek specjalny o trzęsieniu ziemi w San Francisco. I tak jak przewidywał, fotka Melanie w wojskowych spodniach znalazła się na okładce. Wzięli tylko jedno zdjęcie Maggie, podpisując ją jako zakonnicę - wolontariuszkę, pracującą w szpitalu polowym.

Inne zdjęcia sprzedał Associated Press, redakcjom „USA Today”, „New York Timesa”, „Time'a” i „Newsweeka”. Naczelny „Scoop” pozwolił mu na to, jako że i tak nie zdołaliby wykorzystać wszystkich, nie chcąc przesadzać z

katastroficznym materiałem. O wiele bardziej odpowiadał im wątek „gwiazdorski” - poszło sześć stron o Melanie i tylko trzy o całej reszcie. Everett napisał artykuł, nie szczędząc pochwał dla miasta i jego mieszkańców. Zachował egzemplarz pisma, by wysłać go Maggie. Ale przede wszystkim miał dziesiątki niesamowitych zdjęć jej samej. Wyglądała jak świetlisty anioł, gdy opatrywała rannych. Było wśród nich zdjęcie, na którym trzymała w ramionach płaczące dziecko, i inne, gdzie pocieszała starego człowieka z rozciętym czołem... Na wielu fotografiach jej błękitne oczy śmiały się do niego... a na jednej, którą pstryknął, siedząc już w autobusie, w jej oczach malował się taki smutek, że chciało mu się płakać. Poprzypinał zdjęcia w całym mieszkaniu. Maggie patrzyła na niego, gdy jadł rano śniadanie, gdy siedział wieczorem przy biurku, gdy leżał na kanapie i gapił się na nią godzinami. Zrobił odbitki dla niej, lecz nie bardzo wiedział, dokąd je wysłać. Dzwonił kilka razy na jej komórkę, ale nigdy nie odebrała. Dwa razy oddzwoniła do niego, i tym razem ona go nie zastała. Bawili się w kotka i myszkę. Oboje byli zajęci, więc nic dziwnego, że nie mogli się złapać, ale skutek był taki, że Everett nie rozmawiał z nią ani razu od kiedy wyjechał. Tęsknił za nią straszliwie i bardzo chciał, by zobaczyła, jak pięknie wyszła na zdjęciach, i jak udały się wszystkie pozostałe.

W końcu, w sobotni, samotny wieczór, zdecydował, że pojedzie się z nią zobaczyć. Nie miał żadnych zleceń na kilka najbliższych dni. W niedzielę rano wstał o świcie, pojechał taksówką na LAX i wsiadł do samolotu do San Francisco. Nie uprzedził Maggie; miał nadzieję, że zastanie ją w Presidio, jeśli nic się nie zmieniło przez ostatnie tygodnie.

Samolot wylądował w San Francisco o dziesiątej rano. Everett złapał taksówkę i podał kierowcy adres. Pod pachą miał pudło zdjęć, które chciał pokazać Maggie. Była prawie

jedenasta, kiedy dotarł do Presidio; po drodze zauważył, że miasto wciąż patrolują śmigłowce. Wsiadłszy z taksówki stał przez chwilę, gapiąc się na wejście do szpitala polowego. Miał nadzieję, że Maggie jest w środku. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to, co zrobił, jest trochę szalone. Ale musiał ją zobaczyć. Tęsknił za nią od dnia wyjazdu.

Wolontariusz w recepcji powiedział mu, że Maggie ma dziś wolne. Była niedziela; jakaś jej znajoma zasugerowała, że pewnie poszła do kościoła. Podziękował, postanawiając zajrzeć jeszcze do budynku, w którym kwaterowali ochotnicy stanu duchownego. Przed drzwiami stały dwie zakonnice i ksiądz. Gdy Everett zapytał o Maggie, jedna z sióstr zaoferowała się, że pójdzie jej poszukać. Czekał z duszą na ramieniu, zdawałoby się w nieskończoność. I nagle stanęła przed nim, we frotowym szlafroku, z ociekającymi wodą włosami, i spojrzała na niego tymi swoimi błękitnymi oczami uśmiechając się promiennie. Powiedziała, że była pod prysznicem, a on odetchnął z ulgą. Przez chwilę bał się, że jej tu nie znajdzie.

Porwał ją w ramiona i uściskał gorąco, o mało nie upuszczając przy tym pudła ze zdjęciami. Odsunął się o krok, i po prostu na nią patrzył.

- Co ty tu robisz? - zapytała, gdy siostry i ksiądz poszli sobie. Podczas pierwszych dni po trzęsieniu ziemi w obozie zawiązały się głębokie przyjaźnie, nie widzieli więc nic niezwykłego w tej wizycie, ani w objawach radości przy powitaniu Maggie i Everetta, tym bardziej, że jedna z zakonnice pamiętała reportera z obozu. Maggie zapowiedziała, że dołączy do nich później. Siostry i ksiądz byli już w kościele i teraz szli do mesy na lunch. Presidio zaczynało powoli przypominać wieczny obóz letni dla dorosłych. Odbudowa miasta postępowała szybko, ale obóz w Presidio wciąż działał pełną parą.

- Przyjechałeś zrobić reportaż? - zainteresowała się Maggie. - Przepraszam, że ciągle przegapiam twoje telefony. Wyłączam komórkę, kiedy jestem w pracy.

- Wiem... przepraszam... ale tak się cieszę, że cię widzę. - Znów ją uściskał. - Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć. Mam mnóstwo zdjęć, które chciałem ci pokazać, więc postanowiłem przywieźć je osobiście, wszystkie, które tu pstryknąłem.

- Poczekaj, pójde się ubrać - powiedziała, przyglądając dłonią krótkie, mokre włosy.

Wróciła pięć minut później, w swoich różowych trampkach, dzinsach i koszulce z reklamówką Cyrku Barnuma i Baileya z tygrysem na plecach. Z pewnością była bardzo niezwykłą zakonnica. I strasznie chciała zobaczyć zdjęcia. Przeszli kilka metrów do ławki i usiedli, by je obejrzeć. Maggie drżały ręce, kiedy otwierała pudło. Oglądając fotografie kilka razy wzruszyła się do łez, i równie często wybuchała śmiechem, gdy we dwójkę przypominali sobie miejsca i twarze, i rozdzierające serce chwile. Obejrzeni zdjęcia kobiety, którą ratownicy wyciągali przy nim spod gruzów i musieli najpierw amputować nogę, by ją uwolnić, zdjęcia dzieci i mnóstwo fotek Melanie; ale Maggie miała dużo więcej ujęć. Oglądając fotografie, co chwila wykrzykiwała: Och, pamiętam to! ...Mój Boże, pamiętasz tego człowieka? A to biedne dziecko... Ta miła starsza pani... Na zdjęciach uwiecznione zostało zniszczone miasto, i bał, kiedy wszystko się zaczęło. Była to wspaniała kronika przerażającego, ale i głęboko wzruszającego czasu w ich życiu.

- Och, Everett, są takie piękne. Dziękuję, że mi je przywiozłeś. Często o tobie myślałam i miałam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. - Jego sms-y brzmiały

uspokajająco, ale brakowało jej wspólnych rozmów, niemal tak samo jak jemu.

- Tęskniłem za tobą, Maggie - powiedział Everett, gdy skończyli oglądać zdjęcia. - Nie mam z kim rozmawiać, kiedy ciebie nie ma pod ręką. - Nie zdawał sobie sprawy, jak puste było jego życie, dopóki jej nie poznał. A gdy wyjechał, pustka stała się jeszcze bardziej dotkliwa.

- Ja też za tobą tęskniłam - przyznała szczerze Maggie. - Chodziłeś na mityngi? Ten, który zacząłeś tutaj, ciągle ma wielkie powodzenie.

- Tak, dwa razy dziennie. Masz ochotę pójść na lunch? - Na Lombard Street otwarto już kilka barów szybkiej obsługi. Prześliczny dzień zachęcał do spacerów. Everett zaproponował więc, żeby wzięli coś na wynos i przeszli się do parku Marina Green. Tam mogliby posiedzieć i popatrzeć na zatokę, na pływające po niej łódki i statki. Mogli na nie popatrzeć i z plaży w Presidio, ale Everett uznał, że Maggie dobrze zrobi, jeśli się przejdzie, łyknie świeżego powietrza i odpocznie trochę od obozu. Przez cały tydzień siedziała w szpitalu.

- Z przyjemnością - odparła Maggie. Bez samochodu nie mogli się wybrać zbyt daleko, ale Lombard Street była w zasięgu przyjemnego spaceru. Wróciła po sweter, zostawiła w pokoju zdjęcia, które jej podarował, i kilka minut później wyruszyli w drogę.

Przez chwilę szli w przyjaznym milczeniu, a potem zaczęli gawędzić o tym, co oboje porabiali. Maggie opowiadała o postępach w odbudowie miasta i o swojej pracy w szpitalu. Everett mówił o swoich zleceniach. Rozmawiali też o Melanie, o tym, jaka z niej miła dziewczyna, i o specjalnym wydaniu „Scoop” z jego artykułem, które Everett też przywiózł Maggie. W pierwszym napotkanym barze kupili

kanapki, potem ruszyli w stronę zatoki. I w końcu usiedli na rozległej, trawiastej polaci Marina Green.

Maggie nie wspomniała mu o problemach Sloanów, bo Sara zawierzyła jej dyskrecji. Rozmawiały ze sobą przez telefon dość często, wiedziała więc, że sprawy nie wyglądają różowo. Seth został aresztowany i zwolniony za kaucją. Sara mówiła też, że sprzedają dom. Teraz przyszedł dla niej naprawdę trudny czas.

- Co zrobisz, kiedy opuścisz Presidio? - zapytał Everett. Jedli kanap - ki i leżeli na trawie twarzami do siebie, jak parka dzieciaków latem. Maggie zupełnie nie przypominała zakonnicy w tej swojej cyrkowej koszulce i różowych trampkach. Everettowi łatwo było o tym zapomnieć.

- Myślę, że to nie nastąpi szybko. Mogę tam pobyć nawet parę miesięcy. Minie mnóstwo czasu, nim ci wszyscy ludzie znów będą mieli gdzie mieszkać. - Tak wielkie polacie miasta zostały zniszczone. Odbudowa mogła potrwać nawet rok, albo i dłużej. - A potem pewnie wrócę do Tenderloin i będę robić to samo, co przedtem. - Mówiąc to zdała sobie nagle sprawę, jak monotonne wiodła życie. Od lat pracowała na ulicach z bezdomnymi i nigdy nie odczuwała potrzeby jakiegokolwiek zmiany. Nagle uświadomiła sobie, że pragnie czegoś innego, że praca pielęgniarki w szpitalu znów daje jej radość.

- Nie chcesz czegoś więcej, Maggie? Swojego własnego życia?

- To jest moje własne życie - odparła łagodnie, uśmiechając się do niego. - To moja praca.

- Wiem. Ja też robię swoje. Zarabiam na życie pstrykaniem zdjęć dla czasopism. Ale jest jakoś dziwnie, od kiedy wróciłem. Coś mną potrzęsło, kiedy byłem tutaj. Czuję, jakby w moim życiu czegoś brakowało. - Spojrzał na nią, leżącą w słońcu, na trawie, i dodał cicho: - Może ciebie.

Maggie milczała. Patrzyła mu w oczy przez długą chwilę i w końcu spuściła wzrok.

- Uważaj, Everett - szepnęła. - Chyba nie powinniśmy się zapuszczać w tę stronę. - Jej też to przychodziło do głowy.

- Dlaczego nie? - Nie ustępował. - A jeśli któregoś dnia zmienisz zdanie i nie zechcesz już być zakonnica?

- A jeśli nie zmienię? Uwielbiam być zakonnica. Byłam nią, od kiedy skończyłam szkołę. Tego pragnęłam jako dziecko. To moje marzenie, Everett. Jak mogłabym z niego zrezygnować?

- A jeśli zamienisz je na inne? Mogłabyś robić to samo, co robisz, nie będąc w zakonie. Mogłabyś być pracownikiem socjalnym albo pielęgniarką środowiskową bezdomnych. - Przemyślał tę sprawę pod każdym kątem.

- Robię to wszystko i jestem zakonnica. Znasz mój pogląd na ten temat. - Przeraził ją; chciała powstrzymać go, zanim powie za dużo, zanim ona sama poczuje, że nie może się z nim więcej widywać. Nie chciała, by do tego doszło, ale gdyby posunął się za daleko, tak właśnie mogło się stać. Złożyła śluby. Wciąż jest zakonnica, czy mu się to podobało, czy nie.

- W takim razie będę musiał od czasu do czasu przyjeżdżać z wizytą, żeby ci powiercić dziurę w brzuchu. Może być? - Wycofał się odrobinę, mrużąc oczy w blasku słońca.

- Będzie mi bardzo miło, pod warunkiem, że nie zrobimy nic głupiego - przypomniała mu. Ulżyło jej, że przestał napierać.

- A co by to mogło być? Zdefiniuj mi „coś głupiego”. - A jednak naciskał. Trudno. Potrafi się obronić.

- Byłoby głupio, gdybyś zapomniał, że jestem zakonnica. Ale tego nie chcemy. - Głos brzmiał stanowczo. - Zgadza się,



panie Allison? - Roześmiała się, nawiązując do starego filmu z Deborah Kerr i Robertem Mitchumem.

- Tak, tak, wiem - Everett przewrócił oczami. - Na końcu ja wracam do piechoty morskiej, a ty do klasztoru. A nie znasz jakichś filmów, w których zakonnica opuszcza klasztor?

- Takich nie oglądam. Chodzę tylko na te, gdzie zakonnice dotrzymują ślubów.

- A ja nie cierpię nudnych filmów - droczył się z nią.

- Te akurat nie są nudne. Mówię o bardzo godnej postawie.

- A ja bym wolał, żebyś nie była taka godna, Maggie. I taka wierna swoim ślubom. - Nie odważył się powiedzieć więcej, a ona nie skomentowała jego słów. Po chwili milczenia zmieniła temat.

Leżeli w słońcu do późnego popołudnia, obserwując rozpoczynające się prace budowlane i rekonstrukcyjne w kwartałach obok parku. Gdy się ochłodziło, wrócili do Presidio. Maggie zaprosiła Everetta do mesy, żeby coś przekąsił, zanim pójdzie. Tom wrócił już do Berkeley, by wyprowadzić się z wynajętego mieszkania, ale Everett i tak dostrzegł całe mnóstwo znajomych twarzy.

Zjedli zupę i odprowadził Maggie do kwatery. Podziękowała mu za wizytę.

- Spodziewaj się kolejnych - zapowiedział. Zrobił jej tego dnia kilka zdjęć, gdy leżała na trawie w promieniach słońca. Jej oczy miały kolor nieba.

- Trzymaj się - powiedziała. - Będę się za ciebie modlić.

Skinął głową i cmoknął ją w policzek, miękki jak aksamit. Maggie należała do tych kobiet, które czas omijał szerokim łukiem, a w śmiesznej cyrkowej koszulce wyglądała wyjątkowo młodo.

Patrzyła za nim, gdy odchodził, aż zniknął za główną bramą. Szedł tym swoim kołyszącym krokiem, który już

rozpoznawała, w nieodłącznych czarnych kowbojkach z krokodyla. Pomachał jej i skręcił w Lombard Street, by poszukać taksówki, a ona wróciła do swojego pokoju, by jeszcze raz obejrzeć fotografie. Piękne. Podziwiała jego talent. Ale przede wszystkim miał w sobie coś, co ją do niego przyciągało. Broniła się przed tym, bo bardziej niż przyjaciela, zaczynała widzieć w nim mężczyznę. Jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło, przez całe dorosłe życie, od kiedy wstąpiła do zakonu. Dotykał w jej sercu czegoś, czego istnienia nigdy w sobie nie podejrzewała, i czego być może nigdy nie było, dopóki nie spotkała Everetta. I to właśnie budziło jej ogromny niepokój.

Zamknęła pudło ze zdjęciami, odstawiając je na łóżko obok siebie. W końcu położyła się i zamknęła oczy. Nie chciała, by działo się z nią coś takiego. Nie mogła sobie pozwolić na zakochanie się w Everecie. I powiedziała sobie twardo, że do tego nie dopuści.

Długo leżała, pogrążona w modlitwie, zanim reszta sióstr wróciła do wspólnego pokoju. Nigdy w życiu nie modliła się tak żarliwie i wciąż powtarzała jedno zdanie: „Błagam cię, Boże, nie pozwól mi go kochać”. Pozostawała tylko nadzieja, że Bóg jej wysłucha. Wiedziała, że nie może do tego dopuścić i że nie wolno jej zapomnieć, iż należy do niego.

## Rozdział 13

Tom opróżnił mieszkanie w Berkeley w dwa dni, zapakował wszystko do swojego vana, który jakimś cudem ocalał, i ruszył na południe. Do Pasadeny i do swojej rodziny dotarł tydzień po wyjeździe Melanie z San Francisco. Zadzwoił do niej natychmiast. Nie mógł się doczekać, kiedy znów ją zobaczy.

Pierwszy wieczór w domu spędził z rodzicami i siostrą - cała trójka umierała z niepokoju o niego. Chcieli wiedzieć wszystko o trzęsieniu ziemi. Tom zapowiedział siostrze, że niedługo zabierze ją na koncert, a następnego dnia, zaraz po śniadaniu, wyruszył do Hollywood. Wychodząc wspomniał, że może wrócić późno. W każdym razie taką miał nadzieję. Melanie zaprosiła go, by spędził z nią cały dzień, a wieczorem planował zabrać ją na kolację. Po jej wyjeździe z Presidio, gdzie mogli się spotykać bez przeszkód, straszliwie za nią tęsknił i teraz pragnął, by spędzili ze sobą możliwie dużo czasu, zwłaszcza, że w lipcu Melanie wyruszała w trasę. On też musiał sobie znaleźć jakieś zajęcie. Wiedział, że praca w San Francisco nie wypali - trzęsienie ziemi wszędzie spowodowało ogromne opóźnienia - postanowił więc poszukać pracy w Los Angeles.

Melanie czekała na niego. Zobaczyła, że podjechał, i otworzyła mu bramę domofonem. Nim zdążył zaparkować, podbiegła do niego uśmiechnięta. Pam zauważyła go przez okno i też się uśmiechnęła, widząc, jak się całują. Potem zniknęli w domu - Melanie chciała oprowadzić gościa. Miała tu siłownię, stół bilardowy w specjalnej sali w suterenie, salę „kinową” z wielkim telewizorem i wygodnymi fotelami, i ogromny basen. Uprzedziła Toma, żeby zabrał kąpielówki. Ale jego interesowała tylko ona. Otoczył ją ramionami i delikatnie ucałował jej wargi. Czas zatrzymał się dla obojga.

- Tak strasznie za tobą tęskniłem - powiedział Tom. - W obozie zrobiło się okropnie, kiedy wyjechałaś. Ciągłe kręciłem się po szpitalu i zawracałem głowę Maggie. Mówiła, że brakuje jej ciebie.

- Muszę do niej zadzwonić. Ja też za nią tęskniłam... i za tobą - szepnęła Melanie. Zachichotali oboje, gdy nakryły ich sprzątaczkę schodzące z piętra. Melanie zaprowadziła Toma na górę, by pokazać mu swoją sypialnię. Z tym różowo - białym wystrojem wybranym przez Janet, przypominała pokój dziecka. Zdołały go zdjęcia Melanie z aktorkami, aktorami i piosenkarzami o znanych nazwiskach, a także fotka z uroczystości wręczenia Grammy, którą matka kazała oprawić.

Gdy wrócili na dół, wpadli do kuchni, wzięli sobie napoje z lodówki i wyszli na dwór, by posiedzieć przy basenie.

- Jak poszła sesja nagraniowa? - Tom był zafascynowany jej pracą, jej zwykłym, codziennym życiem, a nie faktem, że jest taka sławna. O tym nie myślał w ogóle. Poznał Melanie jako zwyczajną dziewczynę i to mu się podobało. Z ulgą przekonał się, że wcale się nie zmieniła. Pozostała tą samą uroczą dziewczyną, w której się zakochał w San Francisco i którą kochał coraz mocniej. Dziś miała na sobie szorty, koszulkę na ramiączkach i sandały zamiast japonki, ale wyglądała tak samo naturalnie jak tego dnia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Wciąż była sobą, gdy siedziała obok niego na leżaku, czy na brzegu basenu, machając nogami w wodzie. A on wciąż nie mógł uwierzyć, że zdobyła światową sławę. Melanie wyczuwała to w nim, tak jak w San Francisco. Zachowywał się swobodnie, zupełnie nie myśląc o tym, że ma do czynienia z „gwiazdą”.

Siedzieli przy basenie, rozmawiając po cichu. Opowiadała mu właśnie o swojej sesji, kiedy pod dom podjechała Janet i zajrzała na basen, by sprawdzić, co i z kim porabia jej córka.

Obrzuciła Toma niechętnym spojrzeniem, a jej powitanie trudno byłoby nazwać serdecznym.

- Co ty tu robisz? - zapytała go obcesowo, wprawiając Melanie w zażenowanie. Tom wstał, by się przywitać, ale Janet nie wyciągnęła dłoni.

- Wczoraj wróciłem do Pasadeny - wyjaśnił. - Więc wpadłem, żeby się przywitać. - Kiwnęła głową i zerknęła z ukosa na córkę. Miała nadzieję, że chłopak nie zostanie długo. Nieraz dawała do zrozumienia, iż nie uważa go za odpowiedniego partnera dla Melanie. Nie liczyło się dla niej ani wykształcenie, ani to, że pochodzi z przyzwoitej rodziny i prawdopodobnie znajdzie dobrą pracę, kiedy zadomowi się już w Los Angeles. Miała gdzieś, że jest dobrym, pełnym współczucia człowiekiem i że kocha Melanie. Miły chłopak z Pasadeny zupełnie jej nie odpowiadał. Nie pochwaliała jego obecności w tym domu i okazywała to demonstracyjnie na każdym kroku. Dwie minuty po przyjeździe weszła do domu i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi.

- Zdaje się, że nie jestem tu mile widziany - Tom poczuł się głupio. Melanie przeprosiła za zachowanie matki, nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz.

- Wolałaby, żebyś był jakimś nieopierzonym, zaćpanym gwiazdorem, bylebyś tylko pojawiał się na łamach szmatławców przynajmniej dwa razy na tydzień i raczej nie lądował w więzieniu. Chyba że pudło przyniosłoby jeszcze większy rozgłos. - Roześmiała się z własnego opisu upodobań matki, ale Tom podejrzewał, że to nie tylko żarty.

- Nigdy nie siedziałem w więzieniu i nie pisali o mnie w szmatławcach - tłumaczył się przeproszającym tonem. - Musi mnie uważać za kompletną ofiarę.

- Ja tak nie uważam. - Melanie przysunęła się bliżej i popatrzyła mu w oczy. Jak na razie wszystko w nim jej się podobało, a szczególnie to, że nie należał do głupiego,

hollywoodzkiego światka. Nienawidziła problemów, które sprawiał jej Jake. Jego picia, pobytów na odwyku, swoich zdjęć w jego towarzystwie we wszystkich kolorowych pisemkach, jego agresji. Któregoś wieczoru dał pięścią w twarz jakiemuś człowiekowi w barze. Paparazzi zjawili się natychmiast. Kiedy zabierała go policja, ona stała jak idiotka, oślepiąca fleszami błyskającymi jej prosto w twarz. Brzydziła się nim po tym, co zrobił w San Francisco. Po powrocie do Los Angeles nie zamierzała utrzymywać z takim kimś kontaktu. A Tom miał honor, był przyzwoity, uczciwy, umiał się zachować i zależało mu na niej. - Chcesz popływać? - Kiwnął głową. Wszystko jedno, co będą robić, byle razem. Był normalnym, zdrowym dwudziestodwulatkiem, może nawet miłszym, mądrzejszym i przystojniejszym niż przeciętny. I miał przed sobą przyszłość. Melanie wiedziała to na pewno. Nie taką przyszłość, jakiej chciała dla niej matka, ale taką, jakiej pragnęła ona sama. Chciała się stać częścią tej jego przyszłości. Tom mocno stapał po ziemi, był prawdziwy, tak jak i ona. Nic nie udawał, nie przybierał teatralnych póz. Tak bardzo się różnił od hollywoodzkich gwiazdorów, jak tylko mogła sobie wymarzyć.

Pokazała mu przebieralnię na końcu basenu. Wyszedł po minucie, ubrany w hawajskie spodenki kąpielowe, które przywiózł sobie z wielkanocnych ferii, gdy wybrał się posurfować z kolegami. Melanie weszła do kabiny po nim i wyłoniła się ubrana w różowe bikini, odsłaniające w całej okazałości jej wspaniałą figurę. Po powrocie z San Francisco znów zaczęła codzienne ćwiczenia z prywatnym trenerem, które stanowiły nieodzowny element codziennej musztry, podobnie jak obowiązkowe dwie godziny na siłowni. Codziennie chodziła też na próby, żeby przygotować się do czerwcowego koncertu na scenie Hollywood Bowl. Bilety zostały już wyprzedane. Pewnie i tak by się rozeszły, ale po

artykule w „Scoop” poszły nawet szybciej niż zwykle i teraz chętni mogli je kupić u koników, nawet po pięć tysięcy dolarów za sztukę. Melanie zarezerwowała dwa, z wejściówkami za kulisy, dla Toma i jego siostry.

Pływali razem i całowali się w basenie, a potem leżeli obok siebie na wielkiej, nadmuchiwanej tratwie, opalając się. Melanie wtarła w siebie tonę kremu z filtrem. Powinna unikać słońca, by w światłach sceny jej karnacja nie wydawała się zbyt ciemna. Zdaniem matki jasna wyglądała lepiej. Ale nie myślała o tym dryfując z Tomem na tratwie. Przez długą chwilę leżeli w milczeniu, po prostu trzymając się za ręce. To było takie niewinne i miłe. Czuli się wspaniale w jego towarzystwie, tak jak i w obozie, kiedy spędzali razem czas.

- Ten koncert będzie naprawdę odlotowy - obiecała, gdy zaczęli o tym rozmawiać. Opowiedziała Tomowi o efektach specjalnych i o piosenkach, które chciała zaśpiewać. Znał je wszystkie i już sobie wyobrażał, jak siostra będzie szaleć z radości. Nie powiedział jej jeszcze, na czyj koncert się wybierają, ani że odwiedzą Melanie za kulisami.

Kiedy znudziło im się leżenie na słońcu, weszli do domu i przygotowali sobie lunch. Janet siedziała w kuchni; paląc papierosa, gadała przez telefon i jednocześnie przeglądała jakieś plotkarskie pismo, rozczarowana, że nie ma w nim ani słowa o Melanie. By jej nie przeszkadzać, zabrali kanapki na dwór i usiedli pod parasolem przy basenie. Potem, gdy położyli się razem w hamaku, Melanie zwierzyła się Tomowi - mówiła szeptem - że się zastanawiała, jak mogłaby zająć się wolontariatem i robić coś takiego jak w Presidio. Chciała w swoim życiu czegoś więcej niż tylko prób, sesji nagraniowych i koncertów.

- I wymyśliłaś coś? - Też zniżył głos, prawie do szeptu.

- Nic, na co pozwoliłaby mi mama. - Czuli się jak konspiratorzy, gdy tak rozmawiali. Tom znów ją pocałował.

Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej ją kochał. Wciąż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie dlatego, że poznał osobiście sławną Melanie Free, ale dlatego, że spotkał taką słodką, bezpretensjonalną dziewczynę i że tak świetnie się czuł w jej towarzystwie. - Siostra Maggie powiedziała mi o pewnym księdzu, który prowadzi katolicką misję. Co roku na kilka miesięcy wyjeżdża do Meksyku. Strasznie chciałabym się z nim skontaktować, ale pewnie nie będę mogła. Mam trasę koncertową, a mój agent planuje mi już koncerty do końca roku. W przyszłym też wcześniej zaczynamy sezon. - W jej głosie wyczuł smutek. Coraz bardziej męczyły ją niekończące się podróże, no i chciała mieć czas dla Toma.

- Czyli prawie cię nie będzie w domu? - Jego też to martwiło. Chciał jak najwięcej czasu spędzać z Melanie. A wiedział, że kiedy znajdzie pracę, sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Oboje będą zajęci.

- Zwykle nie ma mnie przez jakieś cztery miesiące w roku. Czasami pięć. Ale poza tym tylko latam na miejsce i z powrotem, tak jak na bal charytatywny w San Francisco. Kiedy mam pojedynczy koncert, wyjeżdżam najwyżej na dwie noce.

- Pomyślałem sobie, że może mógłbym polecieć na twój koncert do Vegas, i może w parę miejsc na twojej trasie. Gdzie będziesz śpiewać? - Próbował wykombinować coś, by mogli się widywać. Nie chciał czekać aż do początku września, do jej powrotu. Im obojgu ten termin wydawał się odległy o lata świetlne. Tak bardzo się do siebie zbliżyli, a ich uczucie tak pięknie rozkwitało, że coraz trudniej przychodziło im godzić się na rozstanie. Melanie miało nie być w mieście przez dziesięć tygodni - tyle trwała standardowa trasa - ale im obojgu wydawało się to wiecznością. A w przyszłym roku agent planował koncerty w Japonii, gdzie jej płyty



sprzedawały się jak świeże bułki. Japończycy wprost uwielbiali jej wygląd i jej muzykę.

Roześmiała się, gdy zapytał, gdzie będzie śpiewała, i zaczęła wymieniać miasta. Trasa wiodła przez całe Stany. Ale przynajmniej mieli podróżować wycarterowanym samolotem. Kiedy jeździli autokarem, czasami byli w drodze całą noc. A raczej prawie zawsze. Koszmar. Teraz na szczęście to się zmieni. Znajac daty, Tom powiedział, że może uda mu się ją odwiedzić raz czy dwa razy. Zależy, jak szybko znajdzie pracę. Ale i tak pomysł ogromnie jej się spodobał.

Znów dali nura do basenu i pływali, aż zmęczyli się tak bardzo, że musieli sobie zrobić przerwę. Tom był w świetnej formie i doskonale pływał. W Berkeley należał do drużyny pływackiej, a grał też w piłkę nożną dopóki nie nabawił się kontuzji kolana. Pokazał Melanie niewielką bliznę po operacji. Opowiedział jej o swoich latach w college'u, o swoim dzieciństwie i o planach zawodowych. Zamierzał w przyszłości zapisać się na studia doktoranckie, ale najpierw chciał popracować kilka lat. Wszystko miał zaplanowane, i to o wiele dokładniej, niż większość ludzi w jego wieku. Tom wiedział, dokąd zmierza.

Odkryli, że oboje lubią narciarstwo, tenis, sporty wodne i przeróżne gry sportowe, na które ona po prostu nie miała czasu. Wyjaśniła mu, że musi dbać o formę, ale uprawianie jakiejś dyscypliny w ogóle nie wchodzi w rachubę. Była zbyt zajęta, no i matka zabroniła - Melanie może ulec jakiemuś wypadkowi, który uniemożliwiłby wyjazd w trasę. A na trasach zbija fortunę - ale o tym nie wspomniała Tomowi. Nie musiała. Przez ostatnie lata zarabiała nieprawdopodobne pieniądze, choć Tom mógł się tylko domyślać, jak wielkie. Sama Melanie była zbyt dyskretna, by o tym mówić, w przeciwieństwie do matki, za którą się wstydziła. Janet rozpowiadała naokoło o krociowych zyskach za występy.

Wstydziła się za matkę, która lubiła chwalić się tym na prawo i lewo. W końcu nawet agent Melanie nakazał jej dyskrecję, by nie narażała córki na dodatkowe ryzyko. I tak mieli wystarczająco dużo kłopotu z zapewnieniem jej ochrony przed fanami. W tych czasach każda hollywoodzka gwiazda musiała dobrze strzec swojej prywatności. Rozmawiając o tym z córką Janet zawsze bagatelizowała niebezpieczeństwo, by jej nie straszyć, ale często sama korzystała z opieki ochroniarza. Doskonale wiedziała, że fani potrafią być niebezpieczni - tylko często zapominała, że to fani Melanie, nie jej.

- Dostajesz jakieś listy z pogrózkami? - zapytał Tom, gdy się suszyli leżąc przy basenie. Przedtem nigdy się nie zastanawiał, jak wygląda ochrona tak znanej osoby. W Presidio życie Melanie było o wiele prostsze, ale to dało tylko chwilowe wytchnienie. A poza tym Tom nie miał pojęcia, że część jej ekipy stanowili podróżujący z nią ochroniarze.

- Czasami - odparła wymijająco. - Ci, którzy mnie straszą, to zwykłe świry. Nie sądzę, żeby chcieli kiedykolwiek naprawdę zadziałać. Kilku przysyłało mi listy przez parę lat.

- I grozili ci? - Tom spojrzał na nią z niepokojem.

- Tak. - Roześmiała się. To było normalne w jej branży i zdążyła się już przyzwyczaić. Dostawała nawet przerażające, namiętne listy od mężczyzn z więzień o zaostrzonym rygorze. Nigdy nie odpisywała, by ich nie zachęcać - po wyjściu z więzienia mogliby ją prześladować. Nie chodziła bez ochrony w miejsca publiczne, a jej stróże dobrze się nią opiekowali. Ale kiedy załatwiała jakieś prywatne sprawy czy odwiedzała przyjaciół, wolała nie zabierać ich ze sobą. I lubiła sama prowadzić samochód.

- Czy to wszystko cię nie przeraża? Nie boisz się? - Był poruszony tym, co usłyszał. Chciał ją chronić, ale nie bardzo wiedział, jak.

- Raczej nie, chociaż parę razy miałam stracha, kiedy policja powiedziała mi coś więcej o takim nachalnym wielbicielu, ale wszyscy w Hollywood to znają. Kiedyś przerażało mnie to, ale przyzwyczaiałam się. Teraz boję się już tylko dziennikarzy. Potrafią pożreć człowieka żywcem. Sam się przekonasz - ostrzegła, ale Tom nie bardzo rozumiał, w jaki sposób miałoby to dotyczyć jego. Wciąż był naiwny w swoich wyobrażeniach na temat jej życia i wszystkiego, co się z nim wiązało. Oczywiście dostrzegał ciemne strony, ale kiedy leżał z nią na słońcu i rozmawiał jak z każdą inną dziewczyną, wszystko wydawało się takie proste.

Późnym popołudniem wybrali się na przejażdżkę. On zaprosił ją na lody, a ona pokazała mu, gdzie chodziła do szkoły, zanim zrezygnowała. Powiedziała, że wciąż marzy o college'u, ale to marzenie nie może się spełnić. Zbyt często wyjeżdżała, miała zbyt dużo pracy. By nadrobić zaległości czytała wszystko, co jej w ręce wpadło. Gdy zajrzeli do księgarni, przekonali się, że mają podobne upodobania i że zachwycają się tymi samymi książkami.

Wieczorem Tom zabrał Melanie na kolację do małej, meksykańskiej knajpki, która bardzo jej się spodobała. Potem wrócili do niej i obejrzeli film w sali w suterenie, na gigantycznym plazmowym ekranie. Prawie jak w kinie. Kiedy Janet wróciła do domu, nie kryła zaskoczenia, że gość córki jeszcze jest. Tom poczuł się trochę nieswojo, wyczuwając jej niezadowolenie. Wyszedł o jedenastej. Melanie odprowadziła go do samochodu i nim odjechał, pożegnali się długim, czułym pocałunkiem. Oboje spędzili cudowny dzień. Była to bardzo przyzwoita i bardzo udana pierwsza randka. Tom obiecał zadzwonić jutro i oczywiście zrobił to, ledwie wyjechał za bramę. Telefon Melanie zadzwonił w jej kieszeni gdy szła do domu, myśląc o Tomie.

- Już za tobą tęsknię - powiedział.

- Ja też. - Melanie zachichotała. - Świetnie się dziś bawiłam. Mam nadzieję, że cię nie znudziło siedzenie tutaj przez cały dzień. - Wychodzenie z domu miało wiele minusów. Wszędzie ją rozpoznawano. Na lodach dało się jeszcze wytrzymać, ale już w księgarni gapiono się na nią, i poszeptywano, a trzy osoby poprosiły o autograf, kiedy płaciła za książki. Nie cierpiała tego, szczególnie kiedy była na randce. Nachalność ludzi zawsze przeszkadzała jej chłopakom. Toma raczej ubawiła.

- Wcale się nie nudziłem - zapewnił ją. - Zadzwoń jutro. Może uda nam się wymyślić coś na weekend.

- Strasznie chciałabym pójść do Disneylandu - wyznała Melanie. - Kiedy tam jestem, czuję się jak dzieciak. Ale o tej porze roku są za duże tłumy. Lepiej chodzić tam w zimie.

- Przecież jesteś dzieciakiem. Naprawdę fantastycznym dzieciakiem. Dobranoc, Melanie.

- Dobranoc, Tom. - Uśmiechnęła się, rozmarzona.

Gdy weszła do domu, zobaczyła matkę, wychodzącą ze swojego pokoju.

- Co to niby miało znaczyć? - ofuknęła ją Janet. - Siedział tu cały dzień. Nie pakuj się w taki związek, Melanie. On nie żyje w twoim świecie. - I właśnie to się Melanie podobało najbardziej. - Wykorzystuje cię tylko, bo jesteś sławna i bogata.

- Nieprawda, mam. To przyzwoity, normalny facet. Nie obchodzi go, kim jestem.

- Tak ci się tylko wydaje. - Janet nie bawiła się w sentymenty. - Poza tym, jeśli zaczniesz z nim chodzić, już nigdy nie trafisz do gazet, a to nie będzie dobre dla twojej kariery.

- Mam dość słuchania o mojej karierze - odparła Melanie ze znużeniem. Matka potrafiła mówić tylko o tym. Czasem

śniła się jej, wymachująca batem. - Życie nie polega tylko na robieniu kariery.

- Owszem, jeśli chcesz zostać gwiazdą.

- Ja jestem gwiazdą mamó. Ale potrzebuję mieć jakieś życie. Tom to naprawdę miły facet. O wiele miłszy, niż te hollywoodzkie typki, z którymi się umawiałam.

- Po prostu nie spotkałaś odpowiedniego - skwitowała krótko Janet.

- A są tacy? - odgryzła się Melanie. - Jakoś żaden nie był odpowiedni dla mnie.

- A ten jest? Ledwie go znasz. To po prostu jeden z tysięcy chłopaków mieszkających w obrzydliwym obozie w San Francisco. - Janet wciąż miewała koszmarne sny o Presidio. Nigdy w życiu nie cieszyła się tak bardzo, że znów może spać we własnym łóżku.

Melanie nie oświeciła matki, że dla niej ten obóz wcale nie był obrzydliwy. Jedyną obrzydliwą rzecz, która ją tam spotkała, to nakrycie swojego chłopaka w łóżku ze swoją rzekomą przyjaciółką. Teraz oboje przeminęli z wiatrem i Melanie nie żałowała tego ani przez chwilę. Żałowała tylko matka. Rozmawiała z Ashley przynajmniej raz dziennie i wciąż obiecywała jej załagodzić sprawę; Melanie nie miała pojęcia, że utrzymują stały kontakt. Ona usunęła na zawsze ze swego życia tych dwoje.

Pojawienie się Toma w jej świecie uznała za nagrodę za utratę osób bliskich kiedyś jej sercu. Powiedziała matce dobranoc i powoli poszła korytarzem do pokoju, myśląc o Tomie. To była naprawdę idealna pierwsza randka.

## Rozdział 14

Tom często odwiedzał Melanie. Chodzili na kolacje, do kina, odpoczywali przy basenie, mimo jawnej dezaprobaty matki. Janet ledwie się do niego odzywała, choć on zawsze był dla niej uprzedzająco grzeczny. Któregoś dnia przyprowadził swoją siostrę, Nancy, by przedstawić ją Melanie. We trójkę urządzili sobie grilla przy basenie i świetnie się bawili. Siostra Toma, zachwycona zaproszeniem na czerwcowy koncert w Hollywood Bowl nie mogła wyjść z podziwu, jaka zwyczajna, otwarta i szczerą jest Melanie. Naprawdę zachowywała się jak dziewczyna z sąsiedztwa.

Tom i Melanie nie sypiali ze sobą. Oboje uznali, że nie będą się spieszyć, poczekają, aż poznają się lepiej. Ona wciąż czuła się trochę obolała po historii z Jake'em, a on nie chciał jej ponaglać. Wciąż powtarzał, że mają czas. Ale i bez tego nie nudzili się ze sobą. Tom przynosił swoje ulubione filmy i płyty, a krótko po tym, jak poznała jego siostrę, zabrał Melanie do Pasadeny na kolację. Jego rodzice wydali się Melanie po prostu uroczy. Szczerzy, mili, przyjaźni ludzie. Prowadzili inteligentne rozmowy, byli wykształceni i traktowali ją z wielkim szacunkiem, starając się nie robić zamieszania wokół jej osoby, choć wiedzieli, że ich gościem jest sławna Melanie Free. Traktowali ją tak samo, jak traktowali wszystkich znajomych swoich dzieci - w przeciwieństwie do Janet, która wciąż zachowywała się, jakby Tom był intruzem, i okazywała demonstracyjnie swoją niechęć. Ale Tom nie miał jej tego za złe; znał przyczyny tego braku akceptacji: nie był chłopakiem, który mógłby dodać blasku karierze jej córki, i podsycać zainteresowanie mediów. Melanie wciąż go przepraszała za zachowanie matki, aż końcu stało się tak, że zaczęła spędzać coraz więcej czasu w Pasadenie, jeśli tylko mogła się wyrwać.

Tom dwa razy poszedł z nią na próbę i to, co zobaczył, zrobiło na nim wrażenie, przede wszystkim jej profesjonalizm. Kariera Melanie nie była tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu. Dziewczyna świetnie się znała na wszystkich technicznych szczegółach, robiła własne aranżacje, pisała teksty swoich piosenek i pracowała nieprawdopodobnie ciężko. Próby przed koncertem w Hollywood Bowl trwały do drugiej w nocy, dopóki Melanie nie uznała, że wszystko wyszło jak należy. Technicy, z którymi rozmawiał płacząc się po studiu, mówili, że zawsze tak jest. Czasami pracowała do czwartej czy piątej nad ranem, a potem kazała im wracać o dziewiątej. Nie folgowała im, ale jeszcze mniej sobie. Tom uważał, że ma głos anioła.

W dzień koncertu powiedziała Tomowi, że mogą z siostrą przyjść wcześniej i posiedzieć z nią w garderobie. Skwapliwie skorzystali z zaproszenia. Oczywiście była tam Janet - zarządzała wszystkim i wydawała polecenia. Popijała szampana, siedząc przed lustrem, gdy wizażystka robiła jej makijaż, bo czasem reporterzy i na nią kierowali obiektywy. Ignorowała Toma i Nancy tak długo, jak się dało, a w końcu wypadła z garderoby, by poszukać fryzjerki, która stała na zewnątrz z muzykami paląc papierosa. Oni pamiętali Toma z obozu i uważali go za miłego gościa.

Oboje z siostrą wyszli pół godziny przed rozpoczęciem koncertu. Melanie musiała dokończyć makijaż i przebrać się w kostium. Tom uważał, że jest zdumiewająco spokojna, biorąc pod uwagę, że za chwilę ma wystąpić przed osiemdziesięcioma tysiącami ludzi. Ale przecież w tym była najlepsza; nie miała się czego obawiać. Chciała dziś zaśpiewać cztery nowe piosenki, by przećwiczyć je przed trasą. Wyjeżdżała już niedługo. Tom obiecał, że będzie ją odwiedzał, kiedy tylko mu się uda, choć od pierwszego lipca zaczynał pracę. Był bardzo podekscytowany - dostał posadę w

znanej firmie inżynierskiej; obiecano mu nawet wyjazdy za granicę. Cieszył się, że będzie miał co robić, kiedy Melanie wyjedzie, a poza tym była to o wiele lepsza praca niż ta, którą nagrał sobie w San Francisco przed trzęsieniem ziemi. Ta posada niemal sama wpadła mu w ręce dzięki jakimś znajomościom ojca. I dawała mu wielkie możliwości rozwoju kariery. Gdyby się sprawdził, byli nawet skłonni opłacić mu szkołę biznesu.

- Powodzenia, Mel - szepnął, wychodząc z garderoby. - Będziesz fantastyczna.

- Zaśpiewam piosenkę dla ciebie - odszepnęła. - Poznasz, która to. Właśnie ją napisałam. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Tom pocałował ją.

- Kocham cię - powiedział, a ona spojrzała na niego oczami wielkimi jak spodki. Powiedział jej to po raz pierwszy, a przecież nawet się jeszcze nie kochali. Sądziła, że wciąż są na etapie poznawania się i po prostu, świetnie się razem bawią.

- Ja też cię kocham - usłyszał. Tom wymknął się z garderoby w chwili, gdy Janet wpadła jak burza, przypominając, że Melanie zostało ledwie dwadzieścia minut i ma przestać się wygłupiać, tylko brać się do ubierania.

Melanie włożyła obcisłą jak druga skóra sukienkę z czerwonej satyny i srebrne sandały na gigantycznych platformach, skontrolowała makijaż i fryzurę. Podziękowała matce, która pomogła jej zapiąć sukienkę. Miała przebierać się sześć razy i tylko raz mogła liczyć na chwilę odpoczynku w czasie antraktu. Czekala ją ciężka praca.

Pam wpuściła fotografów. Do dwóch zdjęć pozowały obie: artystka i jej matka. Melanie wyglądała przy niej jak krasnoludek; Janet była dużą kobietą, a jej przytłaczająca osobowość jeszcze potęgowała to wrażenie.



Kiedy powiedziano Melanie, że zaraz wchodzi, pobiegła za kulisy zręcznie przeskakując przez kable i w pośpiechu przywitała się z zespołem. Stała poza zasięgiem reflektorów i zamknęła oczy. Wzięła trzy długie, spokojne oddechy. Słyszając swój sygnał, powoli, w chmurze dymu wyszła na scenę. Gdy dym się rozwiął, ukazała się widzom. Spojrzała na publiczność z najbardziej seksownym uśmiechem, jaki Tom widział w życiu, i wymruczała: „Witajcie!” To nie wyglądało jak próba, a ona w niczym nie przypominała dziewczyny, którą Tom przywiózł na kolację do rodziców. Gdy rozkręcała publikę i wyśpiewywała serce głosem, od którego trząsał się strop, była w każdym calu gwiazdą.

Choć Tom i Nancy siedzieli w pierwszym rzędzie, światła zbyt ją oślepiały, by mogła ich widzieć. Ale w głębi serca czuła, że Tom jest blisko, i tego wieczoru śpiewała dla niego.

- Rany. - Nancy dotknęła ramienia brata. - Tom, ona jest niesamowita.

- A jest - odparł nie bez dumy. Przez cały czas nie mógł oderwać od niej oczu; w czasie przerwy popędził do garderoby, by powiedzieć swojej cudownej dziewczynie, jaka jest wspaniała. Był zachwycony, że może ją oglądać, był zachwycony jej występem. Nie potrafił znaleźć słów, by wypowiedzieć, co czuje. A Melanie w całej pełni zrozumiała, jak bardzo on się różni od jej poprzednich chłopaków z branży. Nie zazdrościł jej sławy.

Pocałowali się szybko i Tom wrócił na widownię. Melanie znów musiała się przebrać, a tym razem kostium był kłopotliwy. Pam i Janet pomogły jej wbić się w sukienkę jeszcze bardziej obcisłą niż poprzednie; wyglądała bajecznie, gdy wyszła na scenę, rozpoczynając drugą część koncertu.

Tego wieczoru zagrali siedem bisów. Zawsze bisowała, żeby sprawić przyjemność fanom. A ich zachwyciła nowa piosenka - ta napisana dla Toma. Nosila tytuł „Kiedy cię

odnalazłam" i opowiadała o dniach, które spędzili razem w San Francisco. Melanie śpiewała o moście, o plaży, o trzęsieniu ziemi w jej sercu. Tom słuchał oniemiały, chłonąc każde słowo, a Nancy zwyczajnie się poryczała.

- To o tobie? - spytała szeptem. Kiedy przytaknął, pokręciła z niedowierzaniem głową. Cokolwiek miało wyniknąć w przyszłości z tego związku, z pewnością wystartował jak rakieta i jak na razie nie miał zamiaru zwalniać.

Po koncercie poszli do garderoby Melanie. Przyjmowała gratulacje, byli tam jej fotografowie, asystentka, matka, przyjaciele, fani, którzy jakimś cudem dostali się za kulisy. Tom i Nancy długo nie mogli się przebić przez tłum, ale potem razem z Melanie, jej matką i jeszcze kilkoma osobami pojechali na kolację do Spago. Posiłek dla nich przygotował sam Wolfgang Puck.

Po wieczorze pełnym wrażeń Tom i Nancy wracali do Pasadeny. Pocałował Melanie na dobranoc, obiecując, że przyjdzie rano. W końcu wszyscy się rozeszli. Na artystkę czekała przed restauracją długa na kilometr biała limuzyna. Nie nazwałby jej dyskretną, ale przecież dziś Melanie była osobą publiczną, gwiazdą, której Tom nie widział nigdy przedtem. Kochał tę prywatną, zwykłą Melanie, ale musiał przyznać, że ta też mu się spodobała.

Zadzwoił do niej, gdy tylko dotarła do domu, i powiedział jej jeszcze raz, że śpiewa fantastycznie. Stał się jej najwierniejszym fanem, szczególnie po tej piosence, którą napisała o nich. Miał przeczucie, że ten kawałek zdobędzie kolejną Grammy.

- Zjawię się z samego rana - powtórzył. Przed ich wyjazdem starali się spędzać razem jak najwięcej czasu.

- Kiedy przyjdiesz, poczytasz ze mną recenzje. Nie cierpię tego. Zawsze znajdą coś, do czego można się przyczepić.

- Tym razem chyba im się nie uda.

- Oj, znajdą, znajdą. - Profesjonalistka wiedziała, o czym mówi. - Zazdrość ich zżera. - Często złe recenzje miały deprecjonować jej błyskotliwą karierę, a ludzi zawistnych nie brakowało. Mimo że zdawała sobie z tego sprawę, iż wcale nie chodzi o występ, krytyka i tak była bolesna. Czasami Pam i Janet chowały przed nią recenzje, te wyjątkowo wredne.

Kiedy Tom przyjechał do niej następnego dnia, cały stół kuchenny pokrywały gazety.

- Na razie całkiem nieźle - szepnęła Melanie do Toma, odbierając po kolei gazety od matki. Janet wyglądała na zadowoloną.

- Spodobały im się nowe kawałki - stwierdziła, zerkając na Toma z łaskawym uśmiechem. Nawet ona musiała przyznać, że piosenka napisana dla niego była dobra.

Co tu dużo mówić - recenzje były świetne. Występ okazał się ogromnym sukcesem, który dobrze wróżył trasie koncertowej.

- To co będziecie dzisiaj porabiać, dzieciaki? - Janet spoglądała na nich z zadowoloną miną, jakby to ona sama śpiewała wczoraj na scenie. Po raz pierwszy z własnej woli zaakceptowała Toma. Nastąpił jakiś przełom, choć Melanie nie miała pojęcia, dlaczego. Może Janet była po prostu w dobrym humorze, a może wreszcie się przekonała, że Tom nie chce przeszkadzać Melanie w karierze. Z radością kibicował wszystkiemu, co robiła, i wspierał ją jak mógł.

- Ja chcę po prostu odpocząć - powiedziała Melanie. Następnego dnia znów miała być w studiu nagraniowym, a dzień później zaczynała próby przed występem w Vegas. - A ty co planujesz, mamó?

- Zakupy na Rodeo Drive - odparła rozpromieniona Janet. Nic jej tak nie uszczęśliwiało jak wielki, udany koncert i dobre recenzje.

Zostawiła ich samych, wychodząc bez rzucania ponurych spojrzeń i trzaskania drzwiami, ku wielkiemu zaskoczeniu Toma.

- Zdaje się, że inicjację masz nareszcie za sobą. - Melanie westchnęła. - Przynajmniej na razie. Widocznie uznała, że nie jesteś zagrożeniem.

- Bo nie jestem, Mel. Uwielbiam wszystko, co robisz. Wciąż jestem pod wrażeniem wczorajszego koncertu. Nie mogłem uwierzyć, że tam siedzę, a kiedy zaśpiewałaś tę piosenkę, o mało nie umarłem.

- Cieszę się, że ci się spodobała. - Pochyliła się nad stołem i pocałowała go. Czuła się zmęczona, ale zadowolona. Tomowi wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek. Właśnie skończyła dwadzieścia lat. - Szkoda tylko, że właściwie nie mam kiedy odpocząć. Z czasem to się robi nużące - mówiła mu, zresztą nie po raz pierwszy. Dni, które spędziła pracując w szpitalu w Presidio były dla niej upragnionym wytchnieniem.

- Może kiedyś się uda - spróbował ją pocieszyć, ale pokręciła głową.

- Mama i mój agent nigdy mi na to nie pozwolą. Za bardzo kochają zapach sukcesu i prędzej zajeżdżą mnie na śmierć, niż pozwolą odpocząć. - Zabrzmiało to smutno, a wyraz jej oczu rozdzierał mu serce. Tom objął Melanie i pocałował. Była wyjątkową kobietą i on uważał się za szczęściarza. Los sprawił mu wspaniały prezent. Trzęsienie ziemi w San Francisco okazało się najszczęśliwszym dniem jego życia - bo dzięki niemu poznał ją/

Gdy w Los Angeles Janet czytała recenzje po koncercie Melanie, Sara i Seth Sloane'owie też mieli co poczytać.

Sprawa w końcu trafiła do prasy, choć żadne z nich nie wiedziało, dlaczego dopiero teraz. Seth został aresztowany już kilka tygodni wcześniej i jakoś nikt tego nie wywęszył. W końcu jednak temat wybuchł niczym fajerwerk, newsa podchwyciła nawet Associated Press. Sara czuła, że reporterzy piszący o wcześniejszym aresztowaniu i nieuchronnym procesie Sully'ego dali znać pismakom z San Francisco, że ich „temat” miał współnika na Zachodzie. Do tej pory historia Setha jakoś umykała uwadze dziennikarzy, ale teraz znalazła się na pierwszych stronach. W „Chronice” opisano ją ze wszystkimi brudnymi szczegółami i okraszono zdjęciem Setha i Sary z Balu Małych Aniołków. Podali pełną treść aktu oskarżenia. Autor artykułu wspomniał także, że ich dom jest wystawiony na sprzedaż, podobnie jak dom w Tahoe, a nawet o tym, że mieli samolot. I przedstawił wszystko w taki sposób, by dać do zrozumienia, iż cały ten majątek zdobyli nieuczciwie. Seth wyszedł na największego oszusta i naciągacza w mieście. Odczuli to upokorzenie boleśnie. Sara nie miała wątpliwości, że jej rodzice na Bermudach też o tym przeczytają, gdy tylko Associated Press roześle newsa po kraju. Zdała sobie sprawę, że musi zadzwonić do nich teraz. Przy odrobinie szczęścia ciągle jeszcze miała szansę wyjaśnić im to osobiście. Seth nie musiał się martwić przynajmniej o to. Jego rodzice byli o wiele starsi, kiedy się urodził i od dawna nie żyli. Sara wyobrażała sobie, jakim szokiem ta nowina będzie dla rodziców, tym bardziej, że od samego początku uwielbiali zięcia.

- Nie wygląda to ładnie, co? - powiedział Seth, zerkając na nią. Oboje ostatnio bardzo schudli. Seth wyglądał mizernie, a Sarę zmartwienia wręcz wyniszczyły.

- Nie bardzo mieli jak to upiększyć - odparła szczerze.

Były to ostatnie dni ich wspólnego mieszkania. Umówili się, że ze względu na dzieci zostaną w domu na Divisadero,

dopóki nie zostanie sprzedany, ale wyprowadzka do wynajętych mieszkań czekała ich nieuchronnie. W tygodniu spodziewali się kilku ofert. Sara wiedziała, że będzie jej smutno opuszczać to miejsce. Dom w Tahoe był wystawiony na sprzedaż ze wszystkim, co się w nim znajdowało - nawet z wyposażeniem kuchni, telewizorem i bielizną pościelową. Mieli nadzieję, że w ten sposób łatwiej będzie go sprzedać komuś, kto szuka dachy na narciarskie wypady, a nie chce się bawić w urządzenie jej od zera. Dom w mieście sprzedawali pusty. Antyki i sztukę nowoczesną wstawili do domu aukcyjnego Christie's. Biżuteria Sary zaczynała się powoli sprzedawać w Los' Angeles.

Sara wciąż szukała pracy. Zatrzymała Parmani, bo wiedziała, że kiedy znajdzie posadę, będzie potrzebować kogoś do opieki nad dziećmi. Nie chciała nawet myśleć o żłobku. Tak naprawdę pragnęła, by nic się nie zmieniało - by mogła nadal siedzieć z dzieckiem w domu. Ale dobre czasy się skończyły. Było oczywiste, że wszystkie pieniądze pójdą na honoraria dla obrońców i na grzywny. Musiała pracować nie tylko po to, żeby dorzucić się do tych wydatków, ale z czasem pewnie i po to, by utrzymać siebie i dzieci. Bo niby kto miałby im pomóc, kiedy cały majątek pożrą wyroki, pozwy, prawnicy, a Seth trafi do więzienia? Musiała polegać na sobie.

Po zdumiewającej, potwornej zdradzie męża nie ufała nikomu oprócz siebie. I wiedziała, że już nigdy mu nie zaufa. Seth nie miał pojęcia, jak to naprawić, i czy w ogóle zdoła. Wątpił, biorąc pod uwagę to, co mówiła. I chyba nawet nie miał jej tego za złe. Przytłaczało go ogromne poczucie winy.

Przez weekend Sloane'owie znów ledwie się do siebie odzywali. Sara nie obrażała go, nie ciskała gromów. Po prostu nie mówiła nic. Była zbyt obolała.

- Nie patrz tak na mnie, Saro - powiedział w końcu znad niedzielnego wydania „New York Timesa”, w którym znajdował się jeszcze ohydniejszy artykuł o Sullym, nieoszczędzający przy okazji również i jego. On i Sara stali się ważną częścią miejscowej społeczności, a ich hańba była teraz proporcjonalna do szacunku, jakim się przedtem cieszyli. Choć ona sama nie zrobiła nic złego i przed trzęsieniem ziemi nawet nie wiedziała o jego machinacjach, czuła się umazana tym samym błotem. Telefon urywał się od paru dni, ale nie odbierała. Nie chciała się nikomu tłumaczyć ani nic słyszeć. Litość przebiłaby ją jak nóż; nie chciała też słuchać rechotu zazdrośników, zamaskowanego cienkim woalem współczucia. Wiedziała, że i takich telefonów by nie brakowało. Przez te dni rozmawiała tylko z rodzicami. Byli zdruzgotani i oburzeni, nie mogli zrozumieć, co się stało z Sethem - tak jak i ona tego nie rozumiała. Ale ostatecznie wszystko sprowadzało się do braku zwykłego poczucia przyzwoitości i do nieopanowanej chęć zysku.

- Nie mogłabyś chociaż spróbować zrobić dobrej miny do złej gry? - zapytał z wyrzutem Seth. - Naprawdę potrafisz jeszcze bardziej zepsuć człowiekowi humor. Nie pogarszaj sprawy.

- Myślę, że sam zadbałeś o to wystarczająco skutecznie.

Gdy pozbierała ze stołu naczynia po śniadaniu, znalazł ją zapłakaną przy zlewie.

- Saro, nie... - W jego oczach odbijała się złość i panika.

- Czego ty ode mnie chcesz? - Odwróciła się, a w jej spojrzeniu była rozpacz. - Seth, ja się boję... co z nami będzie? Kocham cię. Nie chcę, żebyś poszedł do więzienia. W ogóle nie chcę, żeby to się działo... Chcę, żebyś cofnął czas i naprawił to... ale nie możesz... Mam gdzieś pieniądze. Nie chcę cię stracić... kocham cię... a ty wyrzuciłeś całe nasze życie na śmietnik. I co ja mam teraz zrobić?

Nie mógł znieść cierpienia Sary, więc zamiast wziąć ją w ramiona - a tylko tego teraz pragnęła - odwrócił się i wyszedł. Był obolały i przerażony, nie miał żonie nic do zaoferowania. On też kochał Sarę, ale za bardzo bał się o siebie, by w jakikolwiek sposób pomóc jej i dzieciom. Czuł się, jakby tonął sam. A Sara czuła to samo.

Do tej pory w jej życiu nie wydarzyło się nic równie strasznego, z wyjątkiem epizodu z Molly, którą lekarze uratowali. Seta nikt nie mógł uratować. To, czego się dopuścił, było zbyt poważne i budziło odrazę. Nawet agentów FBI, zwłaszcza kiedy zobaczyli dzieci. Sara nigdy nie straciła nikogo w dramatycznych okolicznościach. Jej dziadkowie pomarli albo przed jej urodzeniem, albo ze starości, nie w wyniku ciężkiej choroby. Ludzie, których kochała, wiernie trwali przy niej. Miała szczęśliwe dzieciństwo, uczciwych, przyzwoitych rodziców. Żaden jej przyjaciel nigdy nie zginął w wypadku, nie umarł na raka. To było najgorsze, co ją spotkało. Całe trzydzieści pięć lat swojego życia przeżyła nietknięta, bez jednej blizny, a teraz nagle spadła na nią bomba atomowa. I zrzucił ją człowiek, którego kochała, jej mąż. Przybita tym faktem nie wiedziała, od czego ma zacząć łatanie swojego życia, i on nie wiedział, jak mógłby cokolwiek naprawić. Prawdę mówiąc nie mógł. Wszystko było w rękach jego adwokatów, a nie dał im łatwego zadania. I prędzej czy później musiał wypić piwo, którego nawarzył. A Sara musiała pić je razem z nim. To właśnie było „na dobre i na złe”. Razem z nim szła na dno.

W niedzielę wieczorem zadzwoniła do Maggie; rozmawiały kilka minut. Siostra czytała artykuły o nich, gazety leżały w świetlicy obozu Presidio. Myślała z bólem o Sarze i dzieciach - i o jej mężu. Oboje płacili wysoką cenę za jego grzechy. Powiedziała Sarze, by się modliła, i sama obiecała robić to samo.



- Może potraktują go łagodnie - powiedziała z nadzieją.  
- Adwokat twierdzi, że nawet wtedy grozi mu dwa do pięciu lat. Pewne jest, że trafi za kraty.  
- Jeszcze o tym nie myśl. Miej wiarę i staraj się utrzymać na powierzchni. Czasami to najlepsze, co można zrobić. - Sara rozłączyła się, minęła cicho drzwi gabinetu męża i poszła na górę, by wykąpać dzieci. Seth bawił się z nimi, ale wyszedł, kiedy się zjawiała. Ostatnio wszystko robili na zmianę i rzadko przebywali jednocześnie w tym samym pomieszczeniu. Nawet bycie blisko siebie stało się bolesne. Sara się zastanawiała, czy po wyprowadzce poczuje się lepiej czy gorzej. Może i tak, i tak.

Tego wieczoru Everett zadzwonił do Maggie, by porozmawiać z nią o tym, co przeczytał o procesie Seta w miejscowych gazetach. Nowina rozeszła się już po całym kraju. Everett był zdumiony; Sara i Seth wyglądali na idealną parę. To wszystko znów przypomniało mu starą prawdę, że nigdy nie da się dostrzec, jakie zło czai się w ludzkich sercach. Jak wszyscy, którzy o tym czytali, ogromnie współczuł Sarze i dzieciom, ale Seta nie żałował. Facet miał dostać to, na co zasłużył, jeśli oskarżenia były prawdziwe, a wszystko wskazywało, że są.

- Sara znalazła się w okropnej sytuacji. To taka miła kobieta, chociaż właściwie jej nie znam. Na balu zamieniłem z nią kilka słów. Ale przecież i on wydawał się w porządku. Kto by pomyślał. - Przypomniawszy sobie, że gdy spotkał Sarę w szpitalu, wydała mu się przygnębiona. Teraz już wiedział, dlaczego. - Jeśli się z nią zobaczysz, przekaż jej, że bardzo mi przykro - powiedział ze szczerym żalem. Maggie nie zdradziła mu, że na pewno jeszcze będzie się z nią widzieć. Nie zamierzała rozgłaszać treści ich wspólnych rozmów, ani nawet tego, że Sara przychodzi do niej po rady.

Everett mówił, że u niego wszystko w porządku; Maggie też miewała się dobrze. Cieszyła się, że zadzwonił, ale jak zawsze czuła niepokój po rozmowie z nim. Już samo słuchanie jego głosu wprowadzało zamęt w sercu. Gdy się rozłączył, pomodliła się chwilę o spokój ducha, a wieczorem poszła na długi spacer po plaży. Zastanawiała się, czy nie powinna przestać odbierać jego telefonów. Powiedziała sobie jednak, że ma dość siły, by sobie z tym poradzić. Ona była poślubiona Bogu. Któryż człowiek mógł z nim rywalizować?

## Rozdział 15

W Las Vegas Melanie dała wspaniały koncert. Tom przyleciał specjalnie, by ją zobaczyć, a ona znów zaśpiewała dla niego ich piosenkę. Show miał więcej efektów specjalnych i robił większe wrażenie, choć i widownia, i wpływy do kasy były znacznie mniejsze niż w Los Angeles. Ale tłum oszalał dla Melanie. Przy bisach siedziała na brzegu sceny, tak blisko, że Tom mógłby sięgnąć ręką i dotknąć jej ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie. Fani tłoczyli się wokół niej, ledwie powstrzymywani przez ochronę. Śpiewając finałową piosenkę, w eksplozji świateł, na specjalnej platformie uniosła się wysoko nad scenę. Był to najbardziej widowiskowy koncert, jaki Tom oglądał w życiu, ale bardzo się zaniepokoił, gdy powiedziała mu, że zeskakując z platformy skręciła kostkę. A przecież następnego dnia miała jeszcze dwa występy.

I oczywiście wystąpiła - w srebrnych sandałach na obcasie i z kostką wielkości melona. Po drugim koncercie Tom zawiózł ją do szpitala. Wyszli, nie mówiąc słowa matce. Na izbie przyjęć dostała zastrzyk z kortyzonu, by móc wystąpić nazajutrz.

W weekend spędzili razem sporo miłych chwil, choć większość czasu Melanie zajmowały próby i koncerty. Pierwszego wieczoru udało im się nawet wyrwać do kasyna. Apartament Melanie wyglądał bajecznie. Tom nocował w drugiej sypialni i przez pierwsze dwie noce byli bardzo grzeczni. Ale ostatniej nocy poddali się naturze i uczuciu, które ich połączyło. Czekali już wystarczająco długo i uznali, że moment jest odpowiedni. Teraz, gdy Tom wyjeżdżał, Melanie czuła, że kocha go jeszcze bardziej.

- Uważaj na siebie, Mel. Za ciężko pracujesz - powiedział z troską. Późniejsze koncerty w Vegas, bardziej kameralne niż pierwszy, nie wymagały takiego wysiłku, ale mimo wszystko

Melanie od paru dni chodziła o kulach. - Załatwisz sobie tę kostkę na dobre, jeśli nie zwolnisz.

- Jutro pójde na następny zastrzyk. - Kontuzje na scenie już jej się zdarzały, ale nigdy sobie nie odpuściła występu, cokolwiek się z nią działo. Była profesjonalistką.

- Mellie, chcę, żebyś na siebie uważała. - Tom niepokoił się o jej zdrowie. - Nie można w nieskończoność brać kortyzonu. Nie jesteś futbolistą. - Widział, że kostka wciąż jest obolała i spuchnięta, mimo wczorajszego zastrzyku. Lek tylko na jakiś czas uśmierzał ból. - Odpocznij porządnie przynajmniej dziś w nocy. - Rano jechała do Phoenix, na kolejny koncert.

- Dzięki - odparła z uśmiechem. - Nikt się nigdy o mnie nie martwił tak jak ty. Ich wszystkich obchodzi tylko to, żebym wyszła na scenę i zaśpiewała, żywa czy martwa. Ta platforma wydawała mi się jakaś zwichrowana, gdy na nią weszłam. Lina pękła, kiedy schodziłam. Dlatego się potknęłam. - Oboje wiedzieli, że gdyby lina pękła wcześniej, Melanie spadłaby z bardzo wysoka i mogłaby się nawet zabić. - Cóż, właśnie poznałeś ciemną stronę showbusinessu.

Stała obok Toma, czekając, aż wywołają jego lot. Odwiozła go na lotnisko długą białą limuzyną, którą hotel udostępnił jej na czas pobytu. W Vegas potrafili zadbać o gwiazdę. Ale w trasie nie będzie już tak wygodnie. Melanie miała przed sobą dziesięć tygodni męczących podróży i występów; do Los Angeles wracała dopiero na początku września. Tom obiecał, że postara się przylecieć na kilka weekendów. Oboje bardzo się cieszyli na te spotkania.

- Ale przed wyjazdem koniecznie idź do lekarza. - W tej chwili wezwano pasażerów jego lotu, musiał więc iść. Wziął ją w ramiona i pocałował, uważając na kule, którymi się podpierała. Kiedy ją puścił, brakowało jej tchu. - Kocham cię, Mellie - powiedział cicho. - Nie zapomnij o tym po drodze.

- Nie zapomnę. Ja też cię kocham. - Chodzili ze sobą trochę ponad miesiąc. To nie było długo, ale tak wiele przeszli razem w San Francisco, że ich związek od samego początku rozwijał się błyskawicznie. - Do zobaczenia wkrótce.

- Jasne! - Pocałował ją jeszcze raz i do samolotu wsiadł ostatni. Melanie pokuśtykała przez halę odlotów i z trudem wsiadła do limuzyny czekającej przy krawężniku. Kostka bolała ją straszliwie, o wiele bardziej, niż przyznała się Tomowi.

Po powrocie do apartamentu w hotelu Paris przyłożyła sobie zimny okład, który wcale nie pomógł, i łyknęła ibuprofen, by choć trochę zmniejszyć stan zapalny. O północy matka znalazła ją leżącą bezsennie na kanapie w salonie. Melanie powiedziała, że noga boli ją naprawdę mocno.

- Jutro musisz wystąpić w Phoenix - powiedziała z naciskiem Janet. - Oni też już wyprzedali bilety. Rano zawieziemy cię na zastrzyk. Nie możesz tego odwołać, Mel.

- Mogłabym śpiewać na siedząco. - Melanie dotknęła kostki i skrzywiła się z bólu.

- Twoja sukienka będzie wyglądać jak worek - stwierdziła matka. Melanie nigdy nie opuściła ani jednego występu i Janet nie chciała, żeby teraz nagle zaczęła „wagarować”. Plotki o takich sprawach rozchodziły się jak pożar i mogły zniszczyć karierę każdej gwiazdki. Ale Janet widziała, że córka naprawdę cierpi. Nigdy nie robiła problemu z kontuzji i nigdy nie narzekała, ale tym razem sprawa wyglądała poważniej.

Tom zadzwonił, nim Melanie położyła się spać; okłamała go, mówiąc, że z kostką jest lepiej. Nie chciała, żeby się martwił. Już za nim tęskniła. Zasypiając patrzyła na jego zdjęcie, stojące przy łóżku.

Rano kostka spuchła jeszcze bardziej, więc Pam zabrała Melanie na ostry dyżur. Lekarz rozpoznał ją natychmiast i odprowadził za parawan. Powiedział, że nie podoba mu się

wygląd nogi i zlecił kolejne zdjęcie rentgenowskie. Doktor, który oglądał pierwsze zdjęcie, stwierdził, że to mocne skręcenie. Ten miał wątpliwości. I słusznie. Kiedy obejrzał zdjęcie, pokazał Melanie cienkie jak włos pęknięcie kości. Powiedział, że trzeba założyć gips na cztery tygodnie, i w miarę możliwości oszczędzać nogę.

- Jasne. Chyba w snach. - Melanie roześmiała się i jęknęła. Noga bolała przy najmniejszym ruchu. Wieczorny występ, jeśli w ogóle zdoła wystąpić, zapowiadał się na prawdziwą torturę. - O ósmej wieczorem w Phoenix śpiewam dla pełnej sali - wyjaśniła. - A muszę tam jeszcze dojechać. Ci ludzie nie zapłacili za oglądanie, jak kuśtykam po scenie z nogą w gipsie. - Omal się nie rozplakała, próbując nią poruszyć.

- To może but usztywniający? - zaproponował lekarz. Leczył już wielu artystów, nawet z poważniejszymi kontuzjami. - Może go pani zdjąć na czas występu. Ale proszę nawet nie myśleć o platformach czy wysokich obcasach. - Dobrze znał ten rodzaj ludzi; ledwie to powiedział, Melanie zrobiła zawstydzoną minę.

- Moje kostiumy stracą efekt, jeśli założę wojskowe buty.

- Będzie pani wyglądać jeszcze gorzej na wózku inwalidzkim, jeżeli opuchlizna się powiększy. But powinien załatwić sprawę. Trzeba zrezygnować z obcasów. I poza sceną powinna pani używać kul. - Nie musiał tego mówić. Kostka bolała jak diabli przy najmniejszym obciążeniu.

- Okej, wypróbuję but - zgodziła się.

Usztywniający but sięgał jej do kolana, zrobiony był z błyszczącego plastiku i zapinał się na rzepy. Gdy tylko w nim stanęła, przekonała się, że przynosi znaczną ulgę. Wykuśtykała z izby przyjęć w bucie i o kulach, gdy Pam płaciła rachunek.

- Coś pięknego - rzuciła jadownicie Janet, pomagając córce wsiąść do limuzyny. Miały tylko tyle czasu, by wziąć z hotelu bagaże, spotkać się z resztą ekipy i pojechać na lotnisko. Melanie wiedziała, że od tej pory będzie żyła na wariackich papierach. Trasa się zaczęła i przez dziesięć miesięcy mieli się szlajać po całych Stanach.

W samolocie oparła nogę na poduszce. Chłopaki z zespołu grali w kości i w pokera. Janet przyłączyła się do nich. Kilka razy zerknęła na córkę, pytając, czy czegoś nie potrzebuje. W końcu Melanie wzięła dwie tabletki przeciwbólowe i poszła spać. Pam obudziła ją gdy dolecieli do Phoenix, a jeden z muzyków zniósł ją po schodach. Była zaspana i trochę blada.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Janet, kiedy zapakowali ją do limuzyny, oczywiście znów białej. W każdym mieście, do którego mieli zajechać, czekały na nich limuzyny i apartamenty hotelowe.

- Wszystko w porządku, mamó - zapewniła ją Melanie. Kiedy rozgościli się już w pokojach, Pam zamówiła lunch dla wszystkich, a Melanie zadzwoniła do Toma.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała wesoło, próbując ukryć złe samopoczucie. Wciąż była trochę otumaniona po tabletkach przeciwbólowych, ale but bardzo pomógł przy chodzeniu. Mimo to nie mogła się poruszać bez kul.

- Jak tam twoja kostka? - zapytał Tom z troską.

- Jeszcze ją mam. W Vegas przed wyjazdem założyli mi coś w rodzaju zdejmowanego gipsu. Wyglądam jak skrzyżowanie Dartha Vadera i Frankensteina. Ale to naprawdę pomaga. Na czas występu mogę go zdejmować.

- Czy to mądrze? - Tom był wcieleniem rozsądku.

- Nic mi nie będzie. - Nie miała wyjścia. Zrobiła, jak poradził jej doktor i tego wieczoru włożyła płaskie buty. Ze scenariusza koncertu usunięto podnoszoną platformę, bo Melanie bała się, że znów spadnie. Zawsze czuła się na niej

jak cyrkówka na trapezie i mówiła, że powinna mieć siatkę asekuracyjną. Spadała z tego ustrojstwa już wcześniej, dwa razy, ale po raz pierwszy naprawdę zrobiła sobie krzywdę. I zdawała sobie sprawę, że mogło być gorzej.

Tego wieczoru wkuśtykała na scenę o kulach, ale odłożyła je, by jej nie przeszkadzały. Miała wysokie krzesło barowe do siedzenia i zażartowała, że odniosła kontuzję, uprawiając seks. Publiczność śmiała się z jej dowcipów, ale wszyscy zapomnieli o jej niedyspozycji, gdy tylko zaczęła śpiewać. Przez większość występu siedziała na brzegu sceny, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało. Miała na sobie obcisłe spodenki, kabaretki i stanik z czerwonymi cekinami; nawet w płaskich butach wyglądała seksownie jak diabli. Bisy skróciła do minimum. Nie mogła się doczekać powrotu do pokoju, by zażyć kolejną tabletkę. Gdy tylko to zrobiła, natychmiast położyła się spać. Nie zadzwoniła nawet do Toma, by powiedzieć, jak jej poszło. Mówił jej poprzedniego dnia, że wybiera się do Los Angeles na kolację z siostrą, więc i on nie zadzwonił tego wieczoru. Ale poza tym bez przerwy wisieli na komórkach.

Melanie i jej ekipa spędzili dwa dni w Phoenix, po czym polecili do Dallas i Fort Worth. W każdym z tych miast dali po jednym koncercie, potem jeden w Austin, i jeszcze jeden, w hali Astrodome w Houston. Melanie cały czas nosiła usztywniacz poza sceną, i z nogą było trochę lepiej. W końcu wylądowali w Oklahoma City na całe dwa cudowne dni.

Latali po całym kraju, a Melanie pracowała bardzo ciężko. Kontuzję traktowała po prostu jako wyzwanie, któremu musiała sprostać. Jeden z techników złamał sobie rękę, a dźwiękowcowi wypadł dysk od dźwigania ciężkiego sprzętu. Cokolwiek się jednak działo, wszyscy wiedzieli, że przedstawienie musi trwać. Godziny występów były zabójcze, koncerty ciężkie, a pokoje hotelowe przeważnie marne. Gdzie



tylko się dało wynajmowali apartamenty. Na każdym lotnisku czekała limuzyna, lecz zwykle nie mieli gdzie nią pojechać - co najwyżej z hotelu do sali koncertowej i z powrotem. W wielu miastach grali na stadionach. Tak wyglądało ich życie między przelotami z miasta do miasta. Po jakimś czasie wszystkie miejsca, w których grali, zaczynały wyglądać tak samo, aż zapominali, gdzie w ogóle są.

- Boże, chętnie zrobiłabym sobie przerwę - powiedziała Melanie matce pewnego wyjątkowo upalnego wieczoru w Kansas City. Koncert się udał, ale uraziła sobie chorą kostkę zeskakując ze sceny i teraz noga bolała ją bardziej niż przedtem. - Jestem zmęczona, mam - pożałowała się. Janet zerknęła na nią nerwowo.

- Jeśli zależy ci na platynowych płytach, musisz jeździć w trasy - stwierdziła rzeczowo. Doskonale się znała na tej branży i Melanie wiedziała, że matka ma rację.

- Wiem, mam. - Nawet nie próbowała dyskutować, ale wróciła do hotelu kompletnie wykończona, marząc o gorącej kąpieli i łóżku. Mówiła poważnie. Oddałaby wszystko za chwilę odpoczynku. Po przyjeździe do Chicago mieli sobie zrobić wolny weekend, i Tom miał przyjechać. Nie mogła się już doczekać.

- Wyglądasz na zmęczoną - odezwała się Pam. - Występy z taką kontuzją to żadna frajda. - W każdym mieście stawiano jej na scenie wysoki stołek barowy, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że Melanie bardzo cierpi. Mimo że nosiła usztywniacz, poprawa nie następowała. Na szczęście mieli samolot do dyspozycji, bo pewnie byłoby jeszcze gorzej. A tak przynajmniej Melanie mogła leżeć w czasie lotu. Korzystanie z komercyjnych linii przy takim mnóstwie gratów byłoby raczej niemożliwe; odprawianie bagażu i sprzętu wymagałoby spędzania na lotnisku wielu godzin. Mając

wyczarterowany samolot po prostu pakowali manatki i startowali.

W sobotę Tom przyleciał wcześniej do Chicago, zameldował się w apartamencie Melanie i czekał na nią w hotelu. Kiedy pół godziny później przyjechała z lotniska, porwał ją na ręce mimo ciężkiego buta i zakręcił wkoło, po czym ostrożnie posadził dziewczynę w fotelu, przyglądając się jej uważnie. Zaniepokoił się, że jest taka blada i mizerna - wyglądała na wykończoną. A kiedy zobaczył spuchniętą kostkę wyobraził sobie, jaki musi sprawiać ból. Był przerażony.

Hotel był przyzwoity, apartament gigantyczny, ale Melanie miała wyżej uszu roomservis, autografów i codziennych występów - i pewnie miałyby dość nawet ze zdrową nogą. Cieszyła się, że może odpocząć choć przez dwa dni. Następny koncert grali we wtorek. Tom wracał do Los Angeles w poniedziałek rano, podjął bowiem pracę. Zaczął pracować po wyjeździe Melanie i cieszył się, że dobrze trafił. Podróże, które mu obiecano, zapowiadały się wspaniale. Pracował jako asystent planisty i choć firma zajmowała się głównie komercyjnymi zleceniami, prowadziła też projekty non profit w krajach rozwijających się, co odpowiadało Tomowi. Melanie była z niego dumna, podziwiała go za społecznikowskie zacięcie i też się cieszyła, że znalazł pracę, którą polubił. Nie przeszkadzały mu nawet dojazdy z Pasadeny do Los Angeles. Po trzęsieniu ziemi w San Francisco był szczęśliwy, że znów jest w domu, a ta posada dawała mu wspaniałe możliwości rozwoju.

Tego wieczoru Tom zabrał Melanie na kolację - zjadła ogromnego, tłustego hamburgera ze smażoną cebulą. A potem wrócili do hotelu i długo rozmawiali. Opowiadała mu o wszystkich miastach, które odwiedzili, i o przeróżnych incydentach w drodze. Czasami będąc w trasie czuli się jak

dzieciaki jadące na kolonie, albo młodzi żołnierze wysłani na placówkę.

Żyli w atmosferze ciągłej tymczasowości, wiecznie na walizkach - rozbijali obóz, a potem ruszali dalej. Czasem bywało bardzo zabawnie, ale tak naprawdę wszyscy się czuli zmęczeni. By przerwać monotonię podróży muzycy i technicy urządzali sobie bitwy na balony z wodą, a kiedyś nawet zaczęli je rzucać z okien hotelu. Zawiadomiona przez personel hotelowy menedżerka pędziła do ich pokojów i besztła za głupie pomysły. W wolnym czasie chłopaki często pakowali się w kłopoty, łażąc po barach topless i podejrzanych knajpach. Tom lubił z nimi rozmawiać i uważał, że są bardzo rozrywkowi, ale oczywiście najwięcej czasu chciał spędzać tylko z Melanie. Kiedy była daleko, tęsknił za nią coraz mocniej. A Melanie wyznała Pam w tajemnicy, że jest w nim zakochana po uszy. Był najmilszym chłopakiem, z jakim chodziła, i czuła się prawdziwą szczęściarą, że się pojawił w jej życiu. Pam zauważyła, że Melanie jest jedną z najbardziej uwielbianych gwiazd na świecie, więc Tom też jest szczęściarzem. Była gwiazdą, ale przede wszystkim miłą dziewczyną. Pam ją poznała, kiedy Melanie miała szesnaście lat, i uważała ją za jedną z najmilszych osób, jakie w życiu spotkała, w przeciwieństwie do jej matki, która potrafiła być naprawdę męcząca. Pam uważała też, że Tom i Melanie świetnie do siebie pasują. Mieli podobne usposobienie, byli bezpretensjonalni i przyjacielscy, oboje inteligentni, a do tego Tom nie zazdrościł jej sławy, co się zdarzało niezmiernie rzadko. Pam wiedziała, że tacy ludzie jak ta dwójka należą do wyjątków i bardzo lubiła swoją pracę właśnie ze względu na Mel.

Tom i Melanie świetnie się bawili w Chicago. Chodzili do kina, do muzeów i restauracji, robili zakupy i mnóstwo czasu spędzali w łóżku. Wychodząc z hotelu ona musiała zabierać

kule i używać nieporęcznego buta usztywniającego; Tom bardzo tego pilnował. Spędzili cudowny weekend i Melanie była wdzięczna Tomowi, że znajdował czas na tak częste odwiedziny. Wykorzystywał wszystkie swoje darmowe vouchery lotnicze. Oczekiwanie na jego przyjazdy i odkrywanie razem z nim miast, które odwiedzali, sprawiało, że trasa stawała się dla niej bardziej znośna. Po Chicago mieli odwiedzić Wschodnie Wybrzeże, aż po Vermont i Maine. Grali koncerty w Providence i Martha's Vineyard. Tom zapowiedział, że postara się wpaść, gdy będą w Miami i w Nowym Jorku.

But i przerwa w pracy pomogły; gdy Tom wyjeżdżał w poniedziałek, noga już mniej bolała Melanie. W nocy stawiała but koło łóżka, czując się, jakby odpinała protezę. Tom żartował sobie z niej, i raz nawet rzuciła w niego butem.

- Hej, mała, spokojnie! Zachowuj się! - zbeształ ją żartobliwie, i schował but pod łóżko. Czasami zachowywali się jak dzieci i zawsze znakomicie się bawili. Wzbogacali nawzajem swoje życie i zakochiwali się w sobie coraz mocniej. Dla obojga to lato stało się czasem odkryć i radości.

Melanie była załamana, gdy w poniedziałek rano Tom musiał wyjechać. Cudowny weekend zleciał im jak z bicza strzelił.

Seth i Sara przyjęli pierwszą ofertę kupna domu. Zainteresowane nabyciem go małżeństwo przeprowadzało się do San Francisco z Nowego Jorku i jak najszybciej potrzebowało dachu nad głową. Zapłacili trochę ponad cenę wywoławczą i zależało im na szybkim podpisaniu umowy. Sara bardzo przeżywała, że traci dom, w którym była taka szczęśliwa, ale też oboje z Sethem poczuli ogromną ulgę, że mają to już z głowy. Pieniądze natychmiast trafiły do depozytu, a rzeczy, które chcieli sprzedać, w tym dzieła sztuki, Sara przesłała do domu aukcyjnego. Meble z głównej

sypialni, kilka drobiazgów z salonu, część mebli dzieci wraz z ich rzeczami wyeksponowała do swojego nowego mieszkania na Clay Street. Oliver i Molly mieli teraz zajmować wspólny pokój, więc mebli mogło być mniej. Wszystkie segregatory i dokumenty z gabinetu Setha pojechały do hotelu Złamanych Serc na Broadwayu. Kuchennym wyposażeniem podzielili się po równo. Kanapę i dwa klubowe fotele Sara kazała zawieźć do Setha. Reszta mebli poszła do przechowalni. Na ostatnią noc Parmani zabrała dzieci do siebie, by Sara mogła spokojnie przygotować wszystko na Clay Street.

Sara patrzyła ze smutkiem, jak szybko rozpada się ich dom - zupełnie jak ich życie. W ciągu kilku dni zostały puste ściany, ogołoczone, niekochane pokoje. Osobliwe teatralne tło dla ich rozpadającego się małżeństwa. Zdumiewało ją, jak niewiele było potrzeba, żeby je rozbić. Ta myśl przygnębiała ją jeszcze bardziej, gdy przechadzała się po domu po raz ostatni.

Zajrzała do pokoiów dzieci, by się upewnić, że wszystko zapakowano na ciężarówkę, i zaczęła sprawdzać pozostałe pomieszczenia. Seth siedział w gabinecie równie przybity jak ona.

- To okropne, że musimy stąd odejść - powiedziała. Kiwnął głową i z żalem spojrzał jej w oczy.

- Przepraszam, Saro... Nigdy nie sądziłem, że nas to spotka. - Zauważyła, że choć raz powiedział „nas”, nie tylko „mnie”.

- Może wszystko się jakoś ułoży. - Nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć. On też nie wiedział. Podeszła i objęła go. Seth długą chwilę stał sztywno, z rękami u boków, ale w końcu i on ją objął. - Przyjeżdżaj do dzieci, kiedy zechcesz. - Mimo wszystko stać ją było na wielkoduszność. Nie rozmawiała jeszcze z żadnym prawnikiem o rozwodzie. Wiedziała, że na to zawsze będzie czas, a póki co i tak musiała

stać u boku męża w trakcie procesu. Henry Jacobs powiedział, że jej obecność będzie milczącym, ale kluczowym czynnikiem działającym na jego korzyść. Seth wynajął jeszcze dwóch adwokatów, którzy mieli współpracować z Henrym. Potrzebował wszelkiej możliwej pomocy. Jego sprawy nie wyglądały dobrze.

- Poradzisz sobie? - zapytał z głęboką troską. Po raz pierwszy od długiego czasu w jego narcyzmie pojawiła się szczelina, przez którą dostrzegł kogoś oprócz siebie. Sara wzięła to za dobry znak; jego troska wiele dla niej znaczyła.

- Poradzę sobie - odparła, gdy tak obejmowali się po raz ostatni w swoim wielkim domu.

- Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń o każdej porze dnia i nocy. - Głos mu się łamał. W końcu oboje wyszli na dwór. To był koniec ich bajkowego życia. Seth rozbił je jednym ruchem, jak choinkową bombkę. Gdy Sara po raz ostatni obejrzała się na ten ceglany dom, który tak kochała, stanęła nagle i rozplakała się. Ale nie płakała nad domem; płakała nad ich małżeństwem i straconymi marzeniami. Seth czuł się bezsilny wobec jej rozpacz.

- Wpadnę jutro i zabiorę dzieciaki - powiedział ochryłym głosem. Sara kiwnęła głową, odwróciła się, wsiadła do samochodu i pojechała w stronę Clay Street. Zaczynała nowe życie. We wstecznym lusterku zobaczyła, jak Seth wsiada do swojego nowiutkiego srebrnego porsche, za które nawet nie zapłacił, i odjeżdża. Serce jej się ścisnęło. Czowała się tak, jakby mężczyzna, którego kochała, za którego wyszła i z którym miała dwoje dzieci, właśnie umarł.

## Rozdział 16

Mieszkanie Sary na Clay Street znajdowało się w niewielkim wiktoriańskim bliźniaku, niedawno wyremontowanym i odmalowanym. Dom nie był ani elegancki, ani ładny, ale Sara wiedziała, że wewnątrz będzie wyglądać lepiej, gdy rozpakuje rzeczy. Najpierw urządziła pokój dzieci. Chciała, by następnego dnia, kiedy tu przyjadą, poczuły się jak w domu. Z miłością, bez pośpiechu powykładała ich ulubione zabawki i skarby; bała się trochę, że coś mogło się połamać w pudłach, ale na szczęście nic złego się nie stało. Przez wiele godzin wypakowywała książki, a potem układała bieliznę domową i ścieliła łóżka. Pozbyli się z Sethem tylu rzeczy, że teraz ich dobytek wydawał się bardzo skromny. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Artykuły, które się ukazywały w lokalnej prasie, były wprost niewiarygodnie upokarzające. Ale godność godnością - teraz Sara najbardziej potrzebowała pracy. Zadzwoiła do kilku znajomych osób, ale wiedziała, że w ciągu paru następnych dni będzie musiała naprawdę się zmobilizować.

Nagle, gdy porządkowała dokumenty dotyczące balu charytatywnego, wpadła na pewien pomysł. Byłoby to poniżej jej kwalifikacji, ale musiała jak najszybciej podjąć jakąkolwiek pracę. W środę po południu zadzwoniła więc do ordynatora oddziału położniczego; gdy dzieci drzemały, miała chwilę czasu dla siebie. Godziny pracy Parmani okroiła tak bardzo, jak się tylko dało, ale po znalezieniu posady zamierzała znów zatrudnić nianię na pełny etat. Dobroduszna Nepalka okazywała dużo serca i wyrozumiałości. Lubiła Sarę, kochała dzieci i na miarę swoich możliwości chciała pomóc. Teraz i ona wiedziała już z gazet, co się stało.

Ordynator podał Sarze nazwisko, o które pytała, i obiecał szepnąć dobre słowo na jej temat. By dać mu na to czas poczekała do następnego ranka, dopóki nie zawiadomił jej, że

zadzwoił, gdzie trzeba. Osoba, do której chciała się zwrócić Sara, nazywała się Karen Johnson. Nadzorowała dział rozwoju szpitala i zajmowała się pozyskiwaniem sponsorów na dużą skalę, zarządzała też wszelkimi inwestycjami szpitala. Co prawda to nie Wall Street, ale Sara uznała, że praca mogłaby być interesująca, gdyby tylko w dziale znalazło się dla niej miejsce. Karen umówiła się z nią telefonicznie na spotkanie w piątek po południu. Była bardzo ciepła i przyjazna, podziękowała też Sarze za hojną darowiznę dla oddziału położniczego, zebraną dzięki balowi Małych Aniołków. W tym roku znów udało się przekroczyć założony pułap i zebrać ponad dwa miliony dolarów. Oddział otrzymał potężny zastrzyk gotówki.

W piątek po południu Parmani zabrała dzieci do parku, a Sara wybrała się do szpitala na spotkanie. Denerwowała się. Po raz pierwszy od dziesięciu lat szła na rozmowę w sprawie pracy. Przeredagowała swoje CV, uwzględniając w nim zbiórki pieniędzy na rzecz szpitala. Wiedziała jednak, że nie będzie jej łatwo zdobyć tę posadę, skoro nie pracowała od ukończenia szkoły biznesu. Potem zajmowała się już tylko dziećmi i zwyczajnie wypadła z obiegu.

Karen Johnson była wysoką, szczupłą, przystojną kobietą z akcentem z Luizjany. Rozmawiała przyjaźnie i okazywała zainteresowanie. Sara szczerze mówiła o swoich kłopotach, o zarzutach przeciwko Sethowi, o tym, że teraz są w separacji i że z oczywistych powodów potrzebuje pracy. Podkreśliła, że na pewno sprostą stawianym wymogom.

Miała więcej niż wystarczające kwalifikacje do obsługi szpitalnego portfela inwestycji - ale w pewnej chwili spanikowała; przyszło jej do głowy, że Karen może uważać ją za równie nieuczciwą, jak jej mąż. Karen dostrzegła zmieszanie Sary i trafnie odgadła powód. Pospiesznie



zapewniła, że nie kwestionuje jej uczciwości i wyraziła współczucie z powodu przykrew sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Ciężko to przeżyłam - przyznała szczerze Sara. - To był dla mnie szok... Nie miałam pojęcia, co się dzieje, dopóki sprawa się nie wydała po trzęsieniu ziemi. - Nie chciała wdawać się w szczegóły, ale przecież i tak o sprawie pisały gazety. Wszyscy w kraju wiedzieli, co Seth zrobił, że będzie sądzony za oszustwo i że wyszedł z aresztu za kaucją.

Karen wyjaśniła jej, że jedna z asystentek pracujących w dziale rozwoju przeprowadziła się niedawno do Los Angeles, więc rzeczywiście jest wolny etat. Dodała jednak szybko, że szpitala nie stać na wysokie pensje. Gdy wymieniła kwotę, Sara się ucieszyła. Pensja była skromna, ale pewna, i zupełnie wystarczająca na utrzymanie. Pracowałyby od dziewiątej do trzeciej, więc wracałyby do domu, nim dzieci się obudzą z drzemki i miałyby dla nich całe wieczory i oczywiście weekendy.

Na prośbę Karen zostawiła trzy kopie CV; dyrektorka obiecała dopilnować, by dział kadr skontaktował się z nią w przyszłym tygodniu, i podziękowała za zainteresowanie posadą w ich szpitalu.

Sara wyszła z budynku bardzo podekscytowana. Spodobała jej się i Karen, i zakres ewentualnych obowiązków, zwłaszcza perspektywa poszukiwania sponsorów. Ten szpital wiele dla niej znaczył, a portfel inwestycyjny, który opisała dyrektorka, doskonale odpowiadał jej kwalifikacjom. Teraz mogła tylko mieć nadzieję, że dostanie tę pracę. Nawet lokalizacja bardzo jej odpowiadała - ze swojego nowego domu mogłyby chodzić do szpitala pieszo.

W drodze do domu Sara wpadła na świetny pomysł. Pojechała do Presidio i odszukała siostrę Maggie w polowym szpitalu. Opowiedziała jej o swojej rozmowie w sprawie pracy. Maggie ogromnie się ucieszyła.

- To fantastycznie, Saro! - Podziwiała jej odwagę i siłę woli w tej jakże trudnej dla niej sytuacji. Sara powiedziała jej, że właśnie sprzedali dom, że ona i Seth są w separacji i że wyprowadziła się z dziećmi do mieszkania na Clay Street. Przez tych kilka dni od ich ostatniej rozmowy mnóstwo się wydarzyło.

- Mam nadzieję, że dostanę tę pracę. Potrzebujemy pieniędzy. - Jeszcze dwa miesiące temu nie przyszłoby jej nawet do głowy, że dziś powie coś takiego. - Kocham ten szpital. Tam uratowano życie Molly i dlatego zbierałam dla nich pieniądze. - Maggie przypomniała sobie przemówienie Sary przed rozpoczęciem aukcji.

- A jak sprawy między tobą i Sethem? - zaczęła delikatnie, gdy przeszły do mesy, żeby napić się herbaty. W Presidio nie było już takiego ruchu. Wielu mieszkańców z dzielnic, gdzie naprawiono linie energetyczne i wodociągi, mogło nareszcie wrócić do domów.

- Nienajlepiej - przyznała szczerze Sara. - Przed wyprowadzką prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. On wynajął sobie mieszkanie na Broadwayu. Od kiedy się wyprowadziliśmy, Molly ciągle mnie pyta, gdzie jest tatuś.

- I co jej mówisz? - zapytała łagodnie Maggie. Lubiła rozmawiać z Sarą. Jej nowa przyjaciółka była dobrą, dzielną kobietą, i Maggie czerpała z tej znajomości wiele satysfakcji, choć znały się przecież tak krótko. Ale Sara z bezgraniczną ufnością obnażyła przed nią duszę.

- Prawdę, na ile to możliwe. Mówię jej, że tatuś na razie z nami nie mieszka. Póki co to ją zadowala. W ten weekend Seth ma zabrać dzieciaki do siebie. Oliver jest jeszcze za mały, ale Molly zanocuje u niego. - Westchnęła ciężko. - Obiecałam Sethowi, że będę z nim w sądzie.

- Kiedy zaczyna się proces?

- W marcu. - Wciąż było do niego bardzo daleko. Dziewięć miesięcy. Wystarczyłoby czasu, by urodzić trzecie dziecko, które Sara tak bardzo chciała mieć z Sethem, i którego teraz nie będzie już miała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogliby jeszcze być razem. W każdym razie nie teraz.

- Musi być bardzo ciężko wam obojgu. - Maggie szczerze im współczuła. - A tak przy okazji - co z wybaczeniem? Wiem, że to nie jest proste.

- Tak - odparła cicho Sara. - Szczerze mówiąc jeszcze mi do tego daleko. Czasem jestem wściekła na niego, czuję się głęboko zraniona. Kocham go, ale zwyczajnie nie pojmuję, jak mógł zrobić coś takiego. Nie ma w sobie krzty przyzwoitości.

- Widocznie w jego życiu coś poszło nie tak. Zawalił na całej linii i popełnił straszliwy błąd, nie przeczę. Ale zapłaci wysoką cenę. Może to będzie wystarczająca kara. Utrata ciebie i dzieci to dla niego potężny cios. - Sara skinęła głową. Problem w tym, że i ona płaciła straszną cenę. Straciła męża, a jej dzieci straciły ojca. Ale, co najgorsze, straciła cały szacunek dla niego i wątpiła, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła mu zaufać. Seth wiedział o tym i nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Nie chcę być dla niego zbyt surowa. Ale zniszczył sobie i nam życie. - Maggie pokiwała głową, rozmyślając nad tym wszystkim. Bardzo trudno było zrozumieć, co tak naprawdę nim kierowało. Może chciwość, może potrzeba wybicia się za wszelką cenę. Patrzyła na Sarę nie bez podziwu, wyglądała lepiej, niż można się było spodziewać. Tak świetnie radziła sobie w trudnej sytuacji. Nagle Maggie sama zapragnęła zwierzyć się jej z własnych problemów, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Sara patrząc na nią, dostrzegła w jej wielkich, błękitnych oczach smutek.

- U ciebie wszystko w porządku? - zapytała. Maggie kiwnęła głową.

- Mniej więcej. Ja też mam czasem zagwozдки. - Uśmiechnęła się. - Nawet zakonnice miewają zwariowane myśli i robią zwariowane rzeczy. Czasem zapominam, że jesteśmy takimi samymi słabymi istotami, jak inni ludzie. I kiedy już wydaje mi się, że wszystko sobie poukładałam i że mam gorącą linię z Bogiem, On nagle wyłącza dźwięk, a ja się orientuję, że nie wiem co robię i na czym stoję. Przypomina mi to o mojej własnej słabości i uczy mnie pokory. - Mówiąc tak zagadkowo, w pewnym momencie roześmiała się. - Przepraszam. Sama nie wiem, o czym mówię. - Ostatnio czuła się tak zagubiona, tak udręczona... Ale nie chciała obarczać przyjaciółki swoimi problemami. Sara sama miała ich dość, a poza tym, jak mogłaby pomóc? Maggie wiedziała, że musi sama znaleźć sposób na swoje zgryzoty, albo po prostu przestać o nich myśleć. Obiecała to Bogu i sobie.

Kiedy wróciły do szpitala polowego, Sara pożegnała się z Maggie i obiecała wkrótce do niej wpaść.

- Daj znać, czy dostałaś pracę! - zawołała za nią Maggie, gdy wsiadała już do samochodu. Sara sama była tego ciekawa. Ostatnio niezbyt dopisywało jej szczęście, ale miała nadzieję, że tym razem dopisze. Potrzebowała tej pracy. Nikt nie odpowiedział na oferty, które rozesłała.

Wróciła do domu na Clay Street; gdy weszła do mieszkania, ucieszyła się, widząc, że Parmani wróciła już z dziećmi z parku. Molly pisnęła radośnie i podbiegła do niej, a Oliver, śmiejąc się, porączkował do mamy. Sara podrzuciła go do góry i usiadła z nim na kanapie, drugą ręką przytulając Molly. Zrozumiała, że cokolwiek się wydarzy, ta dwójka jest największym błogosławieństwem w jej życiu.

Gdy zajęła się przygotowaniem kolacji, wróciła myślami do Maggie. Lubiła z nią rozmawiać, przyjemne było dzisiejsze

popołudnie. Zastanawiała się, co nurtowało siostrę, mówiła tak niejasno. Miała nadzieję, że to nic poważnego. Była tak dobrą, tak wyjątkową osobą, że Sara nie potrafiła sobie wyobrazić problemu, którego Maggie nie potrafiłaby rozwiązać. Jej wiele pomogła. Czasami wystarczało uważne ucho i dobre serce, ale siostra Maggie miała do zaoferowania o wiele więcej - mądrość, miłość i pogodę ducha.

Kiedy na początku września Melanie wróciła do Los Angeles, kostka wciąż jej dokuczała. Bolała przez całą dwumiesięczną trasę. W Nowym Orleanie Melanie poszła do lekarza, a potem jeszcze raz, z Tomem, gdy odwiedził ją w Nowym Jorku. Obydwaj ortopedzi powiedzieli jej, że wyleczenie takiej kontuzji po prostu wymaga czasu. W jej wieku pęknięcia kości zwykle łatwo się zrastają, ale skakanie po scenach, szlajanie się po kraju przez dwa miesiące i koncerty niemal co wieczór z pewnością nie pomagały. W końcu, w Los Angeles, Melanie poszła do swojego lekarza, który stwierdził, że pęknięcie nie zrasta się tak dobrze, jak powinno. Dla Melanie to nie była żadna nowość. Gdy opisała, jak wyglądała jej trasa i co robiła przez te dwa miesiące, doktor był przerażony. Wciąż nosiła czarny but usztywniający, bo przynosił jej ulgę i w jakiś sposób zabezpieczał nogę przed urazem. Kostka nie bolała jej tylko wtedy, gdy nosiła usztywniacz. Na scenie, nawet w zwykłych butach na płaskim obcasie, czuła silny ból.

Tom był bardzo zaniepokojony, kiedy zadzwoniła do niego w drodze do domu.

- Co powiedział lekarz?

- Że muszę zrobić sobie wakacje, albo nawet przejść na emeryturę - zażartowała. Była zachwycona, że Tom tak się o nią troszczy. Jake nie dorastał mu do pięt. Tom chciał wiedzieć wszystko i wypytywał o każdy szczegół diagnozy. - Ale tak na poważnie, powiedział, że na zdjęciu ciągle widać

pęknięcie i jeśli nie zwolnię, może się skończyć na operacji i klamrach w kości. No więc, chyba wolę „zwolnić”. W tej chwili i tak nie mam wiele do roboty.

Tom roześmiał się.

- Od kiedy to nie masz wiele do roboty? - Melanie nigdy nie brakowało zajęć. Doskonale o tym wiedział i martwił się o nią.

Kiedy wróciła do domu, Janet zadała jej te same pytania. Melanie wyjaśniła, że to nic poważnego, pod warunkiem, że nie wyruszy w kolejną trasę koncertową, bo wtedy może być naprawdę źle.

- Jak dla mnie i tak jest źle - rzuciła Janet kwaśno. - Noga ciągle jest spuchnięta. To nie wygląda ładnie. Pytałaś doktora, czy możesz już nosić wysokie obcasy?

Melanie udała zawstydzoną. Nawet jej do głowy nie przyszło o to pytać; oczywiście, że o obcasach nie ma mowy. Ale dla Janet to było najważniejsze.

- Zapomniałam.

- I tak wygląda ta twoja dorosłość w wieku dwudziestu lat - stwierdziła Janet.

Nikt nie wymagał od Melanie dorosłości. Po trosze wciąż przypominała słodką dziewczynkę - to była część jej image'u. Poza tym miała wokół siebie mnóstwo osób, które się o nią troszczyły. Ale pod wieloma względami wykazywała większą dojrzałość niż jej rówieśnice; tak ukształtowały Melanie lata ciężkiej pracy i dyscypliny. Była jednocześnie światową kobietą i czarującą dziewczynką. Oczywiście matka, chcąc zachować pełnię władzy, wmawiała jej, że jest jeszcze dzieckiem. Ale mimo wysiłków córka dorastała i stawała się kobietą, która wolała sama decydować o własnym życiu.

Melanie próbowała zadbać o kostkę. Chodziła na fizykoterapię, wykonywała zalecane ćwiczenia, a wieczorami moczyła nogę. Czuła się lepiej, nadal nie nosiła butów na

obcasach, jednak gdy zbyt długo stała na próbie, noga znów zaczynała boleć. Wciąż przypominała, że ciężka praca i kariera mają swoją cenę, i że to wszystko nie jest tak proste, jak wygląda z zewnątrz. Pieniądze i sława w tej branży nie brały się z powietrza. Przez całe lato występowała z paskudną kontuzją, co wieczór wychodziła z nią na scenę i musiała udawać, że wszystko jest cudownie, a przynajmniej w miarę dobrze, choć wcale nie było.

Pewnej nocy, gdy leżała nie mogąc zasnąć z bólu, długo myślała o tym wszystkim. Rano wykonała telefon. Nazwisko i numer nosiła przy sobie w portfelu od wyjazdu z Presidio. Umówiła się na spotkanie po południu następnego dnia i poszła na nie sama, nie mówiąc o tym nikomu.

Mężczyzna, z którym się spotkała - niski, pełnej tuszy i z łysą głową, miał dobre oczy, które przypominały jej oczy Maggie. Rozmawiali bardzo długo. Jadąc z powrotem do domu w Hollywood Melanie płakała. Były to łzy miłości, radości i ulgi. Potrzebowała odpowiedzi właśnie teraz, w tym momencie swojego życia, i wszystkie rady tego człowieka okazały się trafne. A pytania, które jej zadał, skłoniły ją do jeszcze głębszych przemyśleń. Tego dnia podjęła tylko jedną decyzję. Nie wiedziała, czy w ogóle jej się to uda, ale obiecała i jemu, i sobie, że spróbuje.

- Coś się stało, Mel? - zapytał Tom, kiedy tego wieczoru poszli na kolację do japońskiej restauracji. Oboje uwielbiali to miejsce; ładny, wschodni wystrój wnętrza wpływał na nich kojąco, i podawano tu doskonałe sushi. Melanie spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Tak, i to coś dobrego, jak sędzę. - Opowiedziała mu o swoim spotkaniu z ojcem Callaghanem. Gdy zwierzyła się Maggie ze swoich marzeń o wolontariacie, siostra ją skierowała do niego. Prowadził dwa sierocińce w Los Angeles, ale spędzał tu tylko część roku, bo opiekował się

także misją w Meksyku. Miała szczęście, że go zastała; już jutro wyjeżdżał z miasta.

W Meksyku ojciec Callaghan pracował głównie z porzuconymi dziećmi, z dziewczętami uratowanymi z burdeli, z chłopcami, którzy sprzedawali narkotyki odkąd skończyli siedem, osiem lat. Dawał im dach nad głową, karmił, otaczał miłością i zawracał na dobrą drogę. Założył schronisko dla maltretowanych kobiet, a teraz pomagał budować hospicjum dla chorych na AIDS. W Los Angeles zajmował się podobnymi sprawami, ale jego prawdziwą miłością była meksykańska misja. Zajmował się nią od ponad trzydziestu lat. Melanie zapytała go, w jaki sposób mogłaby pomóc. Miała na myśli wolontariat w Los Angeles i ewentualne wsparcie finansowe dla jego meksykańskich przedsięwzięć. Ale on uśmiechnął się tylko i zaprosił ją do Meksyku, mówiąc, że jej samej mogłoby to dobrze zrobić. Być może tam znalazłaby odpowiedzi na wiele nurtujących ją pytań. Powiedziała mu, że ma wszystko, co tylko można sobie wymarzyć - karierę, sławę, pieniądze, przyjaciół, wielbicieli i fanów, oddaną matkę i cudownego chłopaka, naprawdę wspaniałego człowieka, którego kocha.

- Więc dlaczego jestem taka nieszczęśliwa? - zapytała księdza. Po jej policzkach płynęły strugi łez. - Czasami nienawidzę tego, co robię. Czuję się tak, jakbym była własnością wszystkich z wyjątkiem mnie samej, i że muszę robić to, czego ode mnie chcą... dla nich, i jeszcze ta głupia kostka wykańczała mnie przez trzy miesiące. Całe lato pracowałam ze złamaniem i teraz nie mogę go wyleczyć. Mama jest na mnie zła, bo nie mogę nosić na scenie wysokich obcasów, a według niej to wygląda do niczego. - Miała w głowie taki mętlik, że wylewając żale, mówiła bez ładu i składu. Mózg pracował na najwyższych obrotach, myśli wirowały i prawie, prawie mogła je uchwycić, ale nie potrafiła



poskładać w sensowną całość. Ojciec Callaghan podał jej kilka chusteczek. Wydmuchwała nos.

- A czego ty chcesz, Melanie? - przemawiał łagodnie. - Zapomnij o tym, czego chcą wszyscy inni. Twoja mama, twój agent, twój chłopak. Czego chce Melanie?

Słowa wypadły z jej ust, zanim zdążyła je powstrzymać.

- Kiedy dorosnę, chcę być pielęgniarką.

- Ja chciałem być strażakiem, a w końcu zostałem księdzem. Czasami wybieramy inną drogę niż ta, której wyboru wszyscy się po nas spodziewają. - Powiedział jej, że zanim przyjął święcenia, studiował architekturę, co teraz bardzo przydało mu się przy pracach budowlanych w Meksyku. Ale nie pochwalił się, że ma też doktorat z psychologii klinicznej, który przydawał mu się jeszcze bardziej, nawet w tej chwili, w rozmowie z nią. Przez jakiś czas bawił się myślą o wstąpieniu do jezuitów. Fascynował go intelektualny aspekt pracy braci jezuitów i z radością prowadził z nimi gorące dysputy, ilekroć nadarzała się okazja. - Masz wspaniałą karierę, Melanie. Bóg pobłogosławił ci ogromnym talentem i odnoszę wrażenie, że twoja praca sprawia ci radość, przynajmniej czasami, kiedy nie występujesz ze złamaną kostką i kiedy nikt cię nie wykorzystuje. - W pewnym sensie niczym nie różniła się od dziewczyn, które wyciągnął z meksykańskich burdeli. Sprzedawała się zbyt wielu ludziom, tyle tylko, że jej lepiej za to płacili, i kostiumy były droższe. Wyczuwał, że wszyscy, łącznie z jej matką, bezlitośnie czerpali z niej pełnymi garściami, jakby była studnią bez dna. Ale studnia zaczęła wysychać podczas tej ostatniej trasy koncertowej, i teraz dziewczyna chciała już tylko uciec i schować się. Pragnęła pomagać ludziom i znów doświadczyć tego, co czuła w Presidio po trzęsieniu ziemi. To był dla niej czas objawienia i

transformacji - ale potem musiała wrócić do prawdziwego życia.

- A gdybyś mogła robić jedno i drugie? Wykonywać pracę, którą kochasz. Może nawet na własnych warunkach. Może potrzebujesz przejąć część kontroli, którą mają nad tobą inni. Przemyśl to spokojnie. A część życia poświęcać na pomoc ludziom, wielu naprawdę jej potrzebuje, tak jak poszkodowani w trzęsieniu ziemi. Widziałaś niejedno, pracując z siostrą Maggie. Masz mnóstwo do zaoferowania innym, Melanie. I byłabyś zdumiona, ile potrafią dać w zamian. - Jej nikt niczego nie dawał, może z wyjątkiem Toma. Wszyscy inni wysysali z niej krew.

- Czy ojciec ma na myśli, że moglibyśmy pracować razem tu, w Los Angeles, albo na misji w Meksyku? - Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak miałyby znaleźć na to czas. Matka wiecznie coś dla niej planowała - wywiady, próby, sesje nagraniowe, koncerty, imprezy charytatywne, specjalne występy. Nie miała kontroli nad swoim życiem i czasem.

- Być może. Jeśli to jest to, czego chcesz. Nie deklaruje współpracy, żeby zrobić mi przyjemność. I tak uszczęśliwiasz mnóstwo ludzi swoją muzyką. Ale teraz twój ruch, Melanie. Wystarczy ustawić się w kolejce, podejść do budki i kupić bilet. On na ciebie czeka. Nikt nie może ci tego odebrać. I nie musisz się bawić tak, jak chcą tego inni. Kup swój bilet, pomyśl, na co masz ochotę i sama trochę się zabaw dla odmiany. W życiu jest całe mnóstwo przyjemności, ale ty sobie na nie nie pozwalasz. I nikt nie powinien ci odebrać tego biletu. Oni już mieli swoją kolejkę, Melanie. Teraz pora na ciebie. - Uśmiechnął się do niej, a ona, patrząc mu w oczy, już wiedziała.

- Chcę jechać z ojcem do Meksyku - szepnęła. Przez następne trzy tygodnie nie miała żadnych ważnych zobowiązań. Raptem kilka wywiadów, sesja zdjęciowa dla

pisma o modzie. Pod koniec września i w październiku były w planie sesje nagraniowe, a potem jakiś występ na imprezie charytatywnej. Ale wszystko to da się przełożyć albo odwołać. Melanie pojęła nagle, że musi się na trochę wyrwać, i że może jej kostce dobrze zrobi taka chwila przerwy zamiast kuśtykania na wysokich obcasach dla satysfakcji matki. Nagle to wszystko ją przerosło. A ten zakonnik pokazywał jej drogę ucieczki. Chciała wykorzystać to prawo, o którym jej mówił. Nigdy, przez całe życie, nie robiła tego, co chciała. Robiła to, co kazała matka, i czego spodziewali się po niej inni. Idealna córeczka nagle poczuła, że ma tego wyżej uszu. Miała dwadzieścia lat. Raz, dla odmiany, chciała zrobić coś, co było ważne dla niej. Już wiedziała co.

- Czy mogłabym przez jakiś czas pomieszkać w jednej z misji? Ojciec Callaghan skinął głową.

- Możesz mieszkać w naszym domu dla nastoletnich dziewcząt. Większość z nich to były prostytutki i narkomanki. Nie poznałabyś tego po nich, teraz wyglądają jak aniołki. Ale twoja obecność może im dać wiele dobrego. I tobie też.

- Jak mam się z ojcem skontaktować, kiedy będzie ojciec w Meksyku? - wyrzuciła jednym tchem. Wiedziała, że matka ją zabije, jeśli to zrobi. Choć kto wie, może będzie próbowała zmienić to w medialną złotą żyłę. Jak zawsze.

- Będę pod komórką, i podam ci jeszcze kilka numerów - odparł, szybko zapisując cyfry. - Jeśli nie uda ci się przyjechać teraz, może łatwiej ci będzie za kilka miesięcy, na przykład na wiosnę. Przy twoim trybie życia to dość nagła decyzja. Wracam dopiero po świętach, więc przyjeźdź, kiedy chcesz, i zostań tak długo, jak będziesz miała ochotę. Kiedykolwiek się zjawisz, Melanie, będzie czekać na ciebie miejsce.

- Przyjeżdżam - powiedziała z determinacją. Zrozumiała, że musi coś zmienić. Nie mogła wiecznie tylko uszczęśliwiać Janet. Musiała zacząć decydować o sobie. Zmęczyło ją życie

marzeniami matki. Potrzebowała swoich własnych marzeń. I to był dobry moment, by zacząć ich szukać.

Gdy wychodziła, ojciec Callaghan uściskał ją i nakreślił na jej czole znak krzyża.

- Uważaj na siebie, Melanie. Mam nadzieję, że się zobaczymy w Meksyku. Jeśli nie, odezwę się do ciebie po powrocie. Bądź w kontakcie.

- Będę - obiecała. Myślała o tym przez całą drogę do domu. Wiedziała już, co chce zrobić, nie wiedziała tylko, jak ma wykonać swój plan, jak ma się wyrwać choćby na kilka dni. A przecież chciała jechać na dłużej. Może nawet na kilka miesięcy.

Powiedziała o tym Tomowi w restauracji. Był pod wrażeniem. Nagle jednak zrobił zaniepokojoną minę.

- Ale nie wybierasz się do klasztoru, co? - Zobaczyła panikę w jego oczach, która zmieniła się w ulgę, gdy pokręciła ze śmiechem głową.

- Nie, nie wybieram się. Nie jestem wystarczająco święta. A poza tym za bardzo bym za tobą tęskniła. - Sięgnęła przez stół i uściśnęła dłoń Toma. - Po prostu chcę tam pojechać na jakiś czas, pomóc ludziom, przewietrzyć głowę, wyrwać się spod presji tych wszystkich zobowiązań. Nie mam pojęcia, czy mi pozwolą, mama pewnie wpadnie w szal. Ale po prostu czuję, że muszę uciec na chwilę i zastanowić się, co jest dla mnie ważne poza pracą i tobą. Ojciec Callaghan mówi, że nie muszę rezygnować z kariery, żeby pomagać innym; że moja muzyka daje ludziom nadzieję i radość. Ale ja chcę przez chwilę robić coś bardziej konkretnego, tak jak w Presidio.

- Myślę, że to wspaniały pomysł - Tom był z nią całym sercem. Od powrotu z trasy koncertowej Melanie wyglądała na wypaloną, wiedział też, że kostka wciąż bardzo ją boli. I nic dziwnego, skoro eksploatowała ją przez trzy miesiące tańcząc na scenie, w nocy łykając pigułki przeciwbólowe i

biorąc zastrzyki z kortyzonu. Doskonale wiedział, pod jaką presją żyła i jak wielką cenę płaciła za sławę. Zbyt wielką. Pomyślał więc, że ten wyjazd do Meksyku może być tym, czego potrzeba i jej duszy, i ciała. A co na to powie matka - to już zupełnie inna historia. Dobrze poznał Janet i wiedział, do jakiego stopnia kontroluje życie Melanie. Tolerowała go i czasem nawet sprawiała wrażenie, że go lubi, ale córkę trzymała na bardzo krótkiej smyczy. Chciała, by Melanie była marionetką, za której sznurki pociąga tylko ona. Wszystko, co mogło w tym przeszkodzić, natychmiast było usuwane. Tom uważał więc, by nie rozzłościć Janet i nie podważyć jej absolutnej kontroli nad życiem córki. Wiedział, że to nie może trwać wiecznie. Ale wiedział też, że jeśli Melanie teraz zechce się urwać ze smyczy, matka wpadnie w szal. Nie miała najmniejszego zamiaru oddawać nikomu władzy, a już najmniej samej Melanie. I ona też to wiedziała.

- Myślę, że najpierw wszystko załatwię, a potem postawię ją przed faktem dokonanym. Żeby nie mogła mnie powstrzymać. Muszę sprawdzić, czy mój agent i menedżerka dadzą radę wyplatać mnie z paru zobowiązań, tak, żeby się nie dowiedziała. Ona chce, żebym robiła wszystko, co tylko zapewnia mi dobrą prasę, reklamę i okładki każdego możliwego szmatławca. Ma dobre intencje, nie rozumie tylko, że czasem jest tego po prostu za dużo. Muszę jednak przyznać, że to dzięki niej zrobiłam karierę. Miała w głowie plan od kiedy mnie urodziła. Tyle tylko, że ja nie pragnę tego wszystkiego tak bardzo, jak ona. Chcę wybierać to, co mi odpowiada, a nie ginąć pod ciężarem tych bzdurnych zajęć, do których mnie zmusza. A jest tego cała góra!

Tom wiedział, że Melanie mówi prawdę. Tych kilka miesięcy wystarczyło, żeby wiedzieć, jak ona żyje. Już samo nadażanie za jej terminarzem stało się dla niego męczące. A przecież był młodym, zdrowym facetem, i nie złamał sobie

nogi na koncercie w Vegas. Wszystko to odbijało się na niej. Przez ostatnie dni Melanie wyglądała na kompletnie wykończoną, a teraz, po spotkaniu z tym księdzem, nagle odżyła.

- Przyjedziesz mnie odwiedzić w Meksyku? - zapytała z nadzieją a on kiwnął głową.

- Jasne że tak. Jestem z ciebie taki dumny, Mellie. Myślę, że ci się tam spodoba, jeśli tylko zdołasz się wyrwać. - Oboje wiedzieli, że matka będzie straszliwym przeciwnikiem, gdy poczuje się zagrożona przejawem niezależności córki. Melanie czekała ciężka przeprawa. Pierwszy raz podjęła sama tak poważną decyzję, tym bardziej przerażającą dla Janet, że niemającą nic wspólnego z karierą. W jej pojęciu Melanie powinna cały czas mieć przed oczami cele zawodowe - a raczej cele swojej matki. Nie powinna mieć własnych marzeń. Teraz wszystko miało się zmienić, a taka zmiana musiała szokować matkę.

Rozmawiali o tym w drodze do domu. Kiedy dojechali na miejsce, Janet nie było, przemknęli się więc dyskretnie do sypialni Melanie i zamknęli drzwi na klucz. Kochali się, a potem, przytuleni, oglądali filmy w telewizji. Matka nie miała nic przeciwko temu, by Tom od czasu do czasu spędzał noc u Melanie, choć nie życzyła sobie, by ktokolwiek się wprowadzał na stałe czy to do córki, czy do niej. Dopóki kręcący się po domu mężczyzna nie robił się zbyt bezczelny ani nie zyskiwał zbyt dużego wpływu na Melanie, Janet tolerowała jego obecność. Tom miał dość rozumu, by zachowywać się dyskretnie i nigdy nie dążyć do konfrontacji.

W końcu zebrał się do domu około drugiej nad ranem, bo następnego dnia szedł wcześniej do pracy. Kiedy wychodził, Melanie już spała, ale nim zasnęła, uprzedził ją, że sobie pójdzie. Posłała mu zaspany uśmiech i pocałowała go. Następnego ranka wstała wcześniej i zaczęła dzień od

telefonów, które miały pomóc urzeczywistnić jej plan. Zobowiązała agenta i menedżerkę do zachowania wszystkiego w tajemnicy; obiecali zrobić, co w ich mocy. Oboje też ostrzegli ją, że Janet i tak niedługo dowie się o wszystkim. Melanie obiecała, że z nią porozmawia, ale dopiero po anulowaniu wszystkich umów, by nie mogła już nic zrobić. Agent nawet pochwalił pomysł wyjazdu do Meksyku, mówiąc, że to może być dla Melanie świetna okazja medialna, jeśli tylko zechce wykorzystać tę podróż dla reklamy.

- Nie! - odparła stanowczo Melanie. - Muszę się oderwać od tych wszystkich bzdur. Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić kim jestem i co chcę robić.

- Jezu, chyba nie myślisz o emeryturze, co? - dowcipkował agent. Janet zabiłaby ich wszystkich, gdyby do tego doszło. W gruncie rzeczy była przyzwoitą kobietą, pragnęła tylko, by jej córka stała się największą gwiazdą na świecie od narodzin Chrystusa. Kochała Melanie, ale żyła jej życiem. Agent uważał, że to dobrze, iż Melanie chciała przeciąć pępowinę. Musiało się tak stać prędzej czy później, i na pewno było zdrowe dla Melanie. Problem w tym, że Janet tak nie uważała i robi wszystko, by nadal rozporządzać życiem córki. - Na jak długo chcesz wyjechać?

- Może do świąt. Wiem, że w Nowy Rok mam koncert w Madison Square Garden. Nie chcę go odwoływać.

- Całe szczęście. - Odetchnął z ulgą. - Gdybyś to odwołała, pewnie musiałbym popełnić harakiri. Ale cała reszta to drobiazgi. Zajmę się tym - obiecał.

W ciągu dwóch następnych dni menedżerka i agent spełnili swoją obietnicę, przesuając, co się dało, resztę odwołując lub odkładając na bliżej nieokreślone terminy. Melanie była wolna aż do Bożego Narodzenia - straciła tylko parę okazji do pokazania się publicznie na bankietach i imprezach charytatywnych, na które została zaproszona. Janet

goniła ją na wszystkie i Melanie nigdy nie protestowała. Aż do dziś.

Jak można się było spodziewać, w piątek, dwa dni po odwołaniu wszystkich zobowiązań, Janet przyszła do jej pokoju. Wciąż o niczym nie wiedziała; Melanie zamierzała porozmawiać z nią tego wieczoru. Planowała wyjazd na przyszły poniedziałek; miała już nawet zarezerwowany bilet.

- Dziwne - mruknęła Janet, zerkając na plik kartek, który trzymała w dłoni. - Właśnie dostałam faks z informacją, że twój wywiad dla „Teen Vogue” został odwołany. Jakim cudem to zawalili? - Pokręciła głową i spojrzała z irytacją na córkę. - A rano napisali do mnie maila z tej fundacji od raka okrężnicy, iż mają nadzieję, że zaśpiewasz na ich balu w przyszłym roku. Przecież impreza jest już za dwa tygodnie. Wygląda na to, że znaleźli sobie kogoś innego. Może uznali, że jesteś za młoda. Tak czy inaczej lepiej bierz się do roboty i pokręć kuperkiem, dziewczyno. Wiesz, co to wszystko oznacza? Że zaczęli o tobie zapominać, a przecież nie było cię w mieście ledwie trzy miesiące. Pora pokazać im buźkę i zrobić wokół siebie trochę szumu. - Uśmiechnęła się do Melanie, która leżała na łóżku i oglądała telewizję, rozmyślając, co ma spakować na podróż. Obok niej piętrzył się stos książek o Meksyku, które jakimś cudem umknęły uwadze Janet. Spojrzała na matkę, zastanawiając się, czy już teraz powinna o wszystkim powiedzieć. Wiedziała, że nie będzie łatwo.

- Ehm... mam - odezwała się, kiedy Janet zamierzała już wyjść z pokoju - właściwie to ja odwołałam te dwa terminy... i jeszcze kilka innych... Bo wiesz, jestem trochę zmęczona... i pomyślałam sobie, że wyjadę na parę tygodni. - Nie wiedziała jeszcze, czy powie matce od razu, na jak długo wyjeżdża, czy będzie ją uświadamiać w miarę upływu czasu. Ale coś musiała jej powiedzieć; przecież wylatywała za dwa dni. Janet stanęła



jak wryta, odwróciła się i zmierzyła córkę groźnym spojrzeniem.

- Co to ma znaczyć, Melanie? Wyjeżdżasz na parę tygodni? - Patrzyła na nią, jakby nagle wyrosły jej rogi.

- No wiesz... ta moja kostka... naprawdę mi dokucza, więc pomyślałam. .. no wiesz... może dobrze mi zrobi, jeśli zrobię sobie przerwę.

- Odwołałaś wszystko nie pytając mnie o zdanie? Melanie widziała, że wybuch się zbliża.

- Zamierzałam z tobą o tym porozmawiać, ale nie chciałam cię martwić. Lekarz powiedział, że mam oszczędzać nogę.

- Czy to pomysł Toma? - Matka piorunowała ją wzrokiem, próbując) zrozumieć, czyj zły wpływ skłonił Melanie do odwołania wywiadu i występu bez porozumienia z nią. Wyczuwała, że ktoś maczał w tym palce.

- Nie mamo, to nie jest pomysł Toma. Ja sama tego chcę. Jestem zmęczona po trasie. Wcale nie miałam ochoty śpiewać na tym balu, a wywiad dla „Teen Vogue” mogę załatwić kiedy zechcę. Bez przerwy nas o to proszą.

- Nie w tym rzecz, Melanie. - Janet wbiła w nią wzrok. - Ty nie odwołujesz niczego. Rozmawiasz ze mną i ja załatwiam takie rzeczy. A poza tym nie możesz zniknąć wszystkim z oczu tylko dlatego, że jesteś zmęczona. Musisz się pokazywać, bo zapomną, jak wyglądasz.

- Moje zdjęcie jest na milionach okładek płyt, mamo. Nikt mnie nie zapomni, jeśli się nie pokażę przez parę tygodni albo nie zaśpiewam na imprezie fundacji od raka okrężnicy. Po prostu potrzebuję trochę czasu dla siebie.

- Co to wszystko ma znaczyć? To na pewno sprawa Toma. Widzę, jak cię osacza. Pewnie chce cię mieć tylko dla siebie. Jest zazdrosny. Ale nie rozumie, tak jak i ty nie rozumiesz, ile wysiłku trzeba, żeby zrobić taką karierę i

utrzymać cię na szczycie. Nie możesz się wylegiwać, myśląc o pierdołach i oglądając telewizję, albo siedzieć z nosem w jakichś głupich książkach. Musisz się pokazywać, Mel. Nie wiem, gdzie się wybierałaś, ale masz natychmiast odwołać wyjazd. Kiedy uznam, że potrzebujesz odpoczynku, powiem ci. Teraz nic ci nie jest, więc rusz tyłek i przestań się ceregielić z tą swoją kostką. To tylko drobne pęknięcie, na litość boską.

I leczysz się już prawie cztery miesiące. Rusz się, Mel. Ja zadzwonię do „Teen Vogue” i ustawię ci ten wywiad. Z balem dam ci spokój, bo może rzeczywiście jesteś za młoda na raka okrężnicy. Ale nie waż się nigdy więcej nic odwoływać! Słyszysz?! - Janet trzęsa się z wściekłości, a Melanie ze strachu. Czują mdłości, słuchając matki. Miała wszystko jak na dłoni. Janet uważała ją za swoją własność. Niezależnie od jej intencji, dobrych czy złych, Melanie wiedziała, że nieustanna kontrola matki zrujnuje jej życie, jeśli w dalszym ciągu będzie na to pozwalać.

- Słyszę cię, mamó - odparła cicho - i przykro mi, że tak to widzisz. Ale muszę zrobić coś dla siebie. - Nagle się zdecydowała. Skoczyła na głęboką wodę. - Jadę do Meksyku i wracam dwa tygodnie po Święcie Dziękczynienia. Wyjeżdżam w poniedziałek. - Miała ochotę się skulić, schować pod łóżko, ale powstrzymała się. To była najgorsza awantura jaką pamiętała, choć miewały już poważne spięcia, ilekroć Melanie próbowała wywalczyć sobie trochę niezależności.

- Słucham? Czyś ty zwariowała? Masz w tym czasie mnóstwo zajęć. Nigdzie nie jedziesz, chyba że ci każę. Nie waż się opowiadać takich bzdur. Nie zapominaj, kto cię wywindował na szczyt. - Wywindował ją talent i ciężka praca. Owszem, z pomocą matki, ale to były okrutne słowa i Melanie poczuła się, jakby dostała w twarz. Po raz pierwszy

sprzeciwiła się matce w tak ważnej sprawie i nie spodziewała się tak obrzydliwej sceny. Miała ochotę wczołgać się pod kołdrę i rozplakać, ale nie zrobiła tego. Dotrzymała Janet pola. Nie miała wyjścia. A poza tym nie robiła niczego złego. Nie mogła pozwolić, by matka wpędziła ją w poczucie winy z powodu kilku tygodni wakacji.

- Odwołałam wszystko, mamó - powiedziała szczerze.

- Kto to zrobił?

- Mówię ci, że ja. - Nie chciała wpędzić w kłopoty agenta i menedżerki. Poza tym zrobili to na jej polecenie, więc właściwie nie skłamała. - Potrzebuję trochę wolnego, mamó. Przykro mi, że tak się zdenerwowałam, ale dla mnie to bardzo ważne.

- Kto z tobą jedzie? - Wciąż szukała winnego, osoby, która ukradła jej władzę. Ale tak naprawdę ukradł ją czas. Melanie nareszcie dorosła i chciała mieć choć trochę kontroli nad własnym życiem. Zanosilo się na to już od dawna. I być może miłość Toma pomogła jej podjąć decyzję.

- Nikt. Jadę sama. Będę pracować w katolickiej misji, która opiekuje się dziećmi. Ja sama tego chcę, nikt mi nie kazał. I obiecuję, że kiedy wrócę, będę pracować do upadłego. Po prostu pozwól mi na to bez takich wariackich awantur.

- Nie ja jestem wariatką. To ty zwariowałaś! - wrzasnęła Janet. Melanie, przez szacunek dla matki, ani razu nie podniosła głosu. - Jeśli chcesz wyjechać na parę dni, możemy to wykorzystać dla reklamy - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Ale nie możesz uciec do Meksyku na trzy miesiące. Na litość boską, Mel, kto ci to wbił do głowy? - Nagle coś ją tknęło. - Ta mała zakonnica z San Francisco maczała w tym palce? Wyglądała mi na przebiegłą zmijkę. Uważaj na takie pijawki, Melanie. Ani się obejrzyysz, jak zamknie cię w klasztorze. Ale powiedz jej, że jeśli planuje coś takiego, to po moim trupie!

Melanie uśmiechnęła się na myśl, że ktoś może tak myśleć o Maggie.

- Nie, poszłam do jednego księdza, tutaj, na miejscu. - Nie powiedziała Janet, że zamiary podała jej Maggie. - On prowadzi misję w Meksyku. Po prostu chcę tam pojechać, żeby mieć chwilę spokoju. A potem wrócę i będę pracować tak ciężko, jak będziesz chciała. Obiecuję.

- To brzmi tak, jakbym się nad tobą znęcała. - Janet przysiadła na łóżku, wybuchając płaczem. Melanie objęła ją.

- Kocham cię, mamó. Doceniam wszystko, co zrobiłaś dla mojej kariery. Ale teraz chcę czegoś więcej w życiu.

- To przez to trzęsienie ziemi - szlochala roztrzęsiona Janet. - Cierpisz na syndrom stresu pourazowego. Boże, ależ to by był wspaniały temat dla „People”, nie sądzisz? - Melanie roześmiała się. Jej matka była karykaturą samej siebie. Serce miała dobre, ale myślała tylko o reklamie dla Melanie, o tym, jak zrobić z niej jeszcze większą gwiazdę, co zresztą było raczej niemożliwe. Osiągnęła już wszystko, co chciała osiągnąć, ale matka wciąż nie potrafiła sobie odpuścić, zacząć żyć własnym życiem. Właśnie w tym było sedno problemu. Chciała żyć życiem Melanie, sądząc, że własne dawno już zmarnowała.

- Ty też powinnaś gdzieś wyjechać, mamó. Do jakiegoś spa, na przykład. Albo do Londynu czy Paryża z przyjaciółmi. Nie możesz bez przerwy myśleć o mnie. To nie jest zdrowe. Dla żadnej z nas.

- Ale ja cię kocham - zawodziła Janet. - Nie masz pojęcia, z czego zrezygnowałam dla ciebie... Ja też mogłam robić karierę, ale oddałam ją tobie... Robiłam tylko to, co uważałam za najlepsze dla ciebie. - Rozpoczęła się dwugodzinna przemowa, której Melanie wysłuchiwała zbyt często, i tym razem nie miała ochoty. Spróbowała przejść od razu do konkluzji.

- Wiem, mamó. Ja też cię kocham. Tylko pozwól mi to zrobić. Potem będę już grzeczna, przyrzekam. Ale musisz mi pozwolić, żebym sama myślała o sobie i sama podejmowała decyzje. Nie jestem już dzieckiem. Mam dwadzieścia lat.

- Jesteś kompletnym dzieciakiem - rzuciła gniewnie Janet. Czowała się śmiertelnie zagrożona.

- Jestem dorosła - odparowała stanowczo Melanie.

Przez następnych kilka dni Janet na przemian płakała, narzekała i rzucała oskarżenia. Miotła się między rozpaczą i wściekłością. Czowała, że władza zaczyna wymykać jej się z rąk i wpadła w panikę. Próbowwała nawet namówić Toma, żeby odwiódł Melanie od takiego zamiaru, ale on odparł dyplomatycznie, iż uważa, że wyjazd może dobrze jej zrobić i że to bardzo szlachetny pomysł - co oczywiście jeszcze bardziej rozwścieczyło Janet. Atmosfera w domu iskrzyła i Melanie nie mogła się doczekać poniedziałku. Ostatni wieczór przed wyjazdem spędziła u Toma, nie mogąc wytrzymać z matką, i wróciła do siebie dopiero o trzeciej nad ranem, by się przespać przed podróżą. Na lotnisko wyjechała o dziesiątej. Tom wziął sobie wolne przedpołudnie, by ją odwieźć. Melanie nie chciała jechać białą limuzyną i ściągać na siebie uwagi, przy czym zapewne upierałaby się Janet, gdyby miała coś do powiedzenia. Pewnie obdzwoniłaby też paru dziennikarzy i dała im znać, że jest temat do reportażu. Prawdę mówiąc, ciągle jeszcze mogła to zrobić.

Pożegnanie z matką wyglądało jak scenka z opery mydlanej. Zapłakana Janet czepiała się córki, nie chcąc jej puścić i powtarzała, że pewnie umrze do jej przyjazdu, bo ma bóle w piersi, odkąd się dowiedziała o planach Melanie. Ta zapewniła ją, że będzie dobrze, obiecała często dzwonić, zostawiła numery telefonów, pod którymi można ją złapać i pobiegła do samochodu Toma z plecakiem i workiem

marynarskim. Tylko tyle ze sobą zabierała. Wyglądało to, jakby uciekała z więzienia.

- Jedź! - krzyknęła do Toma. - Jedź! Jedź! Zanim ona wybiegnie z domu i rzuci się na maskę samochodu. - Tom ruszył z piskiem; na pierwszym skrzyżowaniu oboje śmiali się już na całe gardło. Czuli się jak dwójka złodziei uciekających przed policją po napadzie na bank. Melanie była jak na haju.

Pocałowali się, gdy zostawiał ją na lotnisku; obiecała zadzwonić do niego zaraz po przyjeździe na miejsce. Tom planował wpaść do niej na chwilę za jakieś dwa, trzy tygodnie. Ale póki co Melanie czekała cała masa nowych przygód. Ten trzymiesięczny urlop w Meksyku był dokładnie tym, czego potrzebowała.

Gdy siedziała już w samolocie, zanim zamknięto drzwi, postanowiła zadzwonić do matki. Postawiła na swoim i wiedziała, że dla Janet nie było to łatwe. Utrata władzy nad córką przerażała ją i Melanie zrobiło się jej żal.

Janet odebrała w domu, mocno przygnębiona, ale wyraźnie poweselała, słysząc głos córki.

- Zmieniłaś zdanie? - zapytała z nadzieją. Melanie uśmiechnęła się.

- Nie, jestem w samolocie. Chciałam ci tylko posłać buziaka. Zadzwonię z Meksyku, kiedy tylko będę mogła. - Personel poprosił o wyłączenie komórek, powiedziała więc matce, że musi kończyć.

- Ciągłe nie rozumiem, dlaczego to robisz - mówiła Janet płaczliwym tonem. Odbierała to jako karę i odrzucenie. Ale Melanie chodziło o zupełnie coś innego. Dla niej to była szansa zrobienia czegoś dobrego dla świata.

- Po prostu tego potrzebuję, mamó. Niedługo wrócę. Trzymaj się. Kocham cię, mamó. - W tej samej chwili stewardessa poprosiła ją jeszcze raz o wyłączenie telefonu. - Muszę kończyć.

- Kocham cię, Mel - usłyszała w słuchawce, nim wyłączała komórkę. Cieszyła się, że zadzwoniła. Zdecydowała się na wyjazd nie dlatego, by zranić matkę. Robiła to wyłącznie dla siebie. Potrzebowała dowiedzieć się, kim jest, i czy potrafi egzystować samodzielnie.

## Rozdział 17

Maggie ucieszyła się ogromnie, gdy Melanie zadzwoniła do niej z Meksyku. Dziewczyna była zachwycona; mówiła, że misja jest piękna, dzieci cudowne, a ojciec Callaghan po prostu fantastyczny. Nigdy w życiu nie czuła się szczęśliwsza i podziękowała Maggie za skontaktowanie jej z księdzem.

Sara też często rozmawiała z Maggie. Dostała pracę w szpitalu i miała mnóstwo zajęć. Wciąż nie było jej łatwo, musiała przystosować się do nowego życia, ale wyglądało na to, że dobrze sobie radzi. Maggie wiedziała, tak jak i Sara, że czekają ją ciężkie chwile, szczególnie kiedy rozpocznie się proces Seta. A potem miała do podjęcia kilka trudnych decyzji. Obiecała Sethowi i jego adwokatom, że będzie na sali sądowej, ale wciąż jeszcze nie zdecydowała, czy się z nim rozwiedzie. Nie wiedziała, czy zdoła mu wybaczyć. Teraz nie знаła jeszcze odpowiedzi na to pytanie i często rozmawiała o tym z Maggie. A siostra powtarzała jej, by się modliła, a wszystko samo się wyjaśni. Ale jak na razie nic się nie wyjaśniło. Sara mogła myśleć tylko o tym, że Seth złamał prawo i wyrządził krzywdę tylu ludziom. Popełnił niemal niewybaczalny grzech.

Sama Maggie wciąż pracowała w polowym szpitalu w Presidio. Obóz działał już od czterech miesięcy i Centrala Służb Ratunkowych planowała zamknąć go w październiku. W hangarach i ceglanych barakach wciąż mieszkali ludzie, ale nie zostało ich wielu. Większość zdążyła wrócić do domów albo urządzić się jakoś inaczej. A Maggie pod koniec września zamierzała wrócić do swojego mieszkania w Tenderloin. Bała się, że będzie tęsknić za towarzystwem osób, które poznała. Spędzony tutaj czas stanowił dla niej miłą odmianę, a perspektywa powrotu do pustej kawalerki w Tenderloin wydała jej się przygnębiająca. Mówiła sobie, że znajdzie



więcej czasu na modlitwę, ale mimo wszystko wiedziała, że będzie tęsknić za obozem. Poznała tu wspaniałych przyjaciół.

Everett zadzwonił pod koniec września, kilka dni przed jej powrotem do domu. Powiedział, że przyjeżdża do San Francisco żeby zrobić wywiad z Seanem Pennem i chciał zaprosić Maggie na kolację. Zawahała się i zaczęła rozpaczliwie szukać jakiejś wymówki, ale nie mogła wymyślić nic wiarygodnego, więc, choć czuła się strasznie głupio, przyjęła zaproszenie. Tego wieczoru modliła się długo, prosząc o jasność myśli, o to, by nie pragnąć niczego więcej prócz jego przyjaźni.

Ale gdy tylko zobaczyła Everetta, serce jej załomotało. Szedł ku niej chodnikiem przed szpitalem, gdzie na niego czekała, i w tych swoich kowbojkach wyglądał jak szeryf ze starego westernu. Rozpromienił się na jej widok, a ona, wbrew samej sobie, uśmiechnęła się szeroko. Tak bardzo się cieszyli z tego spotkania. Everett porwał ją w niedźwiedzi uścisk, po czym odsunął się o krok, by napatrzeć się do woli.

- Wspaniale wyglądasz, Maggie - powiedział uszczęśliwiony. Przyjechał prosto z lotniska. Na wywiad umówił się dopiero następnego dnia. Dzisiejszy wieczór mieli tylko dla siebie.

Zabrał ją na kolację do małej francuskiej restauracji na Union Street. Miasto odżyło. Ulice zostały uporządkowane, rozpoczęto odbudowę. Prawie pięć miesięcy po trzęsieniu ziemi niemal wszystkie kwartały nadawały się do zamieszkania, z wyjątkiem tych najbardziej zrujnowanych, które trzeba było wyburzyć.

- W przyszłym tygodniu wracam do swojego mieszkania - mówiła Maggie ze smutkiem. - I naprawdę będzie mi brakować towarzystwa sióstr, z którymi dzieliłam kwaterę. Może jednak byłabym szczęśliwsza w klasztorze, niż mieszkając samodzielnie.

Podano kolację. Maggie zamówiła rybę, a Everett wciął ogromny stek, nie przerywając rozmowy, która, jak zawsze między nimi, płynęła jak rzeka, bystra i pełna życia. Rozmawiali na tysiące tematów, błahych i poważnych, aż w końcu Everett wspomniął o marcowym procesie Seta Sloane'a. Maggie posmutniała, jak zwykle kiedy słyszała lub czytała coś na ten temat. Było jej żal Sary i dobrego małżeństwa, i żal człowieka, który w tak głupi sposób zmarnował sobie życie.

- Myślisz, że będziesz relacjonował proces? - zapytała.

- Chciałbym. Przypuszczam, że „Scoop” tym się zainteresuje, bo to niezły temat. Widziałaś się z Sarą? Jak się miewa?

- Nieźle. - Maggie nie wdawała się w szczegóły. - Rozmawiamy od czasu do czasu. Pracuje teraz w szpitalu, w dziale rozwoju i pozyskiwania funduszy. Dla niej to też nie będzie łatwe. Seth pociągnął za sobą mnóstwo ludzi.

- Tacy jak on zdolni są do wszystkiego - stwierdził Everett sucho. Jemu było żal tylko Sary i dzieciaków, które w ogóle go nie poznają, jeśli spędzi dwadzieścia czy trzydzieści lat w więzieniu. Ta myśl znów przypomniła mu o synu. Z jakiegoś powodu zawsze myślał o Chadzie, kiedy był z Maggie, jakby tych dwoje wiązały jakieś niewidzialne nici. - Sara się z nim rozwiedzie?

- Nie wiem - odparła wymijająco. Sara też jeszcze tego nie wiedziała, ale Maggie nie uważała, że powinna o tym dyskutować z Everettem. Zajęli się innymi tematami.

Długo siedzieli przy stoliku; francuska knajpka była miła i przytulna. Nawet kelner dał im wreszcie spokój i przestał pytać, czy życzą sobie coś jeszcze.

- Słyszałem plotki, że Melanie jest w Meksyku - powiedział w pewnej chwili Everett. - Miałaś z tym coś

wspólnego? - zapytał, widząc jej tajemniczy uśmiech. Wyczuwał, że tak jest. Maggie roześmiała się.

- Pośrednio. Znam księdza, który prowadzi tam misję. Cudowny człowiek. Pomyślałam, że będą do siebie pasować. Zdaje się, że Melanie chce posiedzieć w Meksyku do świąt, ale oficjalnie nikt nie wie, dokąd wyjechała. Po prostu zapragnęła spędzić parę miesięcy jako zwyczajny człowiek. To naprawdę kochana dziewczyna.

- Założę się, że jej matka wpadła w szal. Praca misyjna w Meksyku nie jest raczej typowym zajęciem gwiazd, i na pewno nie uwzględniała tego w swoich planach wobec córki. Tylko mi nie mów, że ona też tam pojechała! - Roześmiał się, a Maggie zawtórowała mu, kręcąc głową.

- Nie, nie pojechała. I zdaje się, że właśnie o to chodziło. Melanie musi wypróbować własne skrzydła. Świetnie jej zrobi odpoczynek od matki. Zresztą, matce też. Takie więzy czasem bardzo trudno przeciąć, a niektórzy mają z tym większy problem, niż inni.

- No i są jeszcze tacy goście jak ja, którzy w ogóle nie tworzą więzów. - Everett poczuł na sobie uważne spojrzenie Maggie.

- No właśnie, a jak tam twoje poszukiwania syna? - Droczyła się z nim łagodnie, ale nie naciskała zbyt mocno. Zawsze uważała, że subtelne podejście jest bardziej skutecznie, a już szczególnie w tym wypadku.

- Nijak, ale kiedyś się tym zajmę. Wszystko w swoim czasie. Jeszcze nie jestem gotów.

Zapłacił rachunek i ruszyli pieszo Union Street. W tej dzielnicy usunięto już wszelkie ślady po trzęsieniu ziemi. Miasto wyglądało świeżo i pięknie. Był wyjątkowo pogodny i ciepły wrzesień, ale teraz w powietrzu czuło się już jesienny chłód. Maggie bez skrępowania wsunęła Everettowi dłoń pod ramię, gdy tak szli spacerkiem i rozmawiali o wszystkim i

niczym. Nie planowali wracać pieszo do Presidio, ale tak zrobili. Mogli spędzić trochę więcej czasu razem.

Everett odprowadził Maggie do jej kwatery. Było już po jedenastej - na tyle późno, że nikt nie stał przed budynkiem. Ale im jakoś nie spieszyło się do rozstania; czuli, że pasują do siebie jak dwie połówki jabłka, że jedno uzupełnia drugie w poglądach i opiniach.

- Dzięki za miły wieczór - odezwała się Maggie. Czuła się głupio na myśl, że chciała go unikać. Ich poprzednie spotkanie wywołało zamęt w jej głowie. Wtedy tak strasznie ją do niego ciągnęło, ale dziś przepęłniały Maggie ciepłe, przyjazne uczucia, a w oczach Everetta widziała tylko głęboki szacunek i podziw.

- Dobrze było cię zobaczyć, Maggie. Dzięki, że zjadłaś ze mną kolację. Zadzwoń jutro, przed wyjazdem. Postaram się jeszcze wpaść, ale obawiam się, że ten wywiad może potrwać, więc pewnie będę się spieszył na ostatni samolot. Jeśli nie, wpadnę na kawę. - Skinęła głową, patrząc na niego. Wszystko w tym mężczyźnie było doskonałe. Jego twarz. Jego oczy, i ten głęboki, wieloletni ból, który z nich wyzierał, ustępując powoli miejsca światłu nowego życia i odzyskanego zdrowia. Everett znalazł się w piekle, ale wrócił stamtąd, i to uczyniło go człowiekiem, którym był dziś. I gdy tak patrzyła na niego, zobaczyła, że powoli pochyła twarz ku niej. Chciała go cmoknąć w policzek, ale zanim zorientowała się, co się dzieje, poczuła jego wargi na swoich. Nie całowała się z żadnym mężczyzną od kiedy skończyła szkołę pielęgniarstwa, a i przedtem nie zdarzało się to często. Teraz nagle poczuła, jak jej serce i dusza wyrywają się ku niemu. To było jak połączenie dwóch istnień zlewających się w jedność przez ten jeden jedyny pocałunek. Kręciło jej się w głowie. Nie tylko pozwoliła się pocałować; ona całowała jego, i teraz wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem. Stało się to,

co nie miało prawa się stać. Tak się modliła, by do tego nie doszło.

- Boże święty... Everett!... Nie!... - Cofnęła się o krok, ale on przyciągnął ją i wziął w ramiona.

- Maggie, to nie... Ja nie chciałem tego zrobić... Nie wiem, co się stało... Popchnęła nas ku sobie jakaś niepokonana siła. Wiem, że to nie powinno było się stać, i chcę, żebyś wiedziała, że tego nie zamierzałem... Ale muszę być z tobą szczerzy. Właśnie to czuję, i czułem, od kiedy cię poznałem. Kocham cię, Maggie... Nie wiem, czy dla ciebie to ma jakiegokolwiek znaczenie... ale cię kocham... i zrobię dla ciebie wszystko. Nie chcę cię skrzywdzić. Za bardzo cię kocham. - Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich miłość, czystą i szczerą, której nie umiał ukryć. I wiedziała, że jej oczy wyrażają to samo.

- Nie możemy się więcej widywać - powiedziała zrozpaczona. - Nie wiem, co się stało. - Pomyślała, że jest mu winna taką samą szczerą. Miał do niej prawo. - Ja też cię kocham - szepnęła. - Nie mogę tego zrobić. .. Everett, nie dzwoń do mnie więcej. - Te słowa złamały jej serce, ale Everett skinął głową. Zrobiłby dla niej wszystko.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Odwróciła się od niego i w milczeniu weszła do budynku.

Everett patrzył, jak zamykają się za nią drzwi. Czuł, że jego serce również zamknęło się na głucho. Wbił ręce w kieszenie, odwrócił się i ruszył pieszo do swojego hotelu na Nob Hill.

Maggie leżała w swoim łóżku, w ciemności. Jej świat się skończył. Po raz pierwszy w życiu nie mogła się modlić - była zbyt zdruzgotana, oszołomiona. Mogła tylko leżeć i myśleć o ich pocałunku.

## Rozdział 18

Pobyty w Meksyku spełnił wszystkie nadzieje Melanie. Dzieci, z którymi miała do czynienia, okazywały jej wdzięczność za każdą najdrobniejszą rzecz, jaką dla nich robiła. Pracowała z dziewczętami w wieku od jedenastu do piętnastu lat; wszystkie były kiedyś prostytutkami, część z nich niedawno wyszła z uzależnienia od narkotyków, a trzy chorowały na AIDS.

Dla Melanie był to czas dojrzewania; praca w misji miała dla niej ogromne znaczenie. Tom odwiedził ją dwa razy i nie krył podziwu dla tego, co tu robiła. Powiedziała mu, że po powrocie z zapalem zabierze się do pracy, tęskniła za śpiewaniem i nawet za występami, ale kilka rzeczy postanowiła zmienić. Przede wszystkim chciała sama decydować o swojej karierze. Oboje uważali, że to najwyższy czas, choć wiedzieli, że matka łatwo się nie podda. Ale Melanie musiała mieć też jakieś życie prywatne.

O dziwo, Janet radziła sobie bez niej całkiem nieźle i nie narzekała na brak zajęcia. Pojechała do Nowego Jorku w odwiedziny do znajomych, wybrała się do Londynu, a Święto Dziękczynienia spędziła z przyjaciółmi w Los Angeles.

Melanie stwierdziła, że chce wrócić na misję w przyszłym roku. Wyjazd okazał się sukcesem pod każdym względem. Została w Meksyku parę dni dłużej, niż planowała, i na LAX wylądowała dopiero tydzień przed Bożym Narodzeniem - lotnisko i całe miasto były już udekorowane na święta. Odebrał ją Tom, roześmianą i opaloną. Te trzy miesiące zmieniły ją z podlotka w kobietę. Pobytem w Meksyku rozpoczęła dorosłe życie.

Janet nie przyjechała na lotnisko, ale czekała na nią w domu z przyjęciem - niespodzianką, wraz ze wszystkimi przyjaciółmi. Gdy wreszcie się zobaczyły, padły sobie w ramiona ze łzami radości. Matka wybaczyła jej tę „ucieczkę” i

jakimś cudem znalazła w sobie dość dobrej woli, by zrozumieć i zaakceptować to, co się stało - choć w trakcie przyjęcia oczywiście opowiedziała jej o wszystkich wywiadach i imprezach, które wpisała w terminarz. Melanie otworzyła usta, by zaprotestować, ale nagle roześmiały się obie. Starych nawyków trudno się pozbyć.

- No dobrze, mam. Tym razem ci odpuszczę. Ale tylko dziś. Następnym razem zapytaj mnie.

- Obiecuję - odparła Janet ze skruszoną miną. Przyszedł czas wielkich zmian. Melanie miała przejąć odpowiedzialność za własne życie, a matka musiała zrzec się władzy. I matkę, i córkę wiele to kosztowało, ale obie były pełne dobrej woli, a wyjazd Melanie okazał się niezbędnym katalizatorem.

Tom spędził z nimi pierwszy dzień świąt. Gdy zostali sami, dał Melanie pierścionek zaręczynowy - wąską obrączkę z brylancikami, którą pomogła mu wybrać siostra. Zachwycona, wsunęła pierścionek na serdeczny palec. Ona podarowała mu pod choinkę zegarek od Cartiera.

- Kocham cię, Mel - szepnął.

- A ja ciebie - odszepnęła. W tej samej chwili z kuchni wyszła Janet, w świątecznym fartuchu lśniącym od czerwonych i zielonych cekinów, z tacą ajerkoniaku. Była w doskonałym humorze. Przekonała się już, że Melanie dotrzymała słowa i po powrocie ostro wzięła się do pracy. Przez cały ostatni tydzień ćwiczyła przed wielkim noworocznym koncertem w Madison Square Garden. Kostka dobrze się zrosła po trzech miesiącach noszenia płaskich sandałów. Tom miał jechać z Melanie do Nowego Jorku dwa dni przed koncertem. Trzymiesięczna przerwa nie osłabiła ich związku - wręcz przeciwnie, czuli, że są sobie jeszcze bliżsi i przekonali się, jak trudno im żyć bez siebie. Dla nich obojga był to niesamowity, wspaniały rok - trzęsienie ziemi w San Francisco na zawsze odmieniło ich życie.

W pierwszy dzień świąt Sara zawiozła dzieci do Setha. Proponował co prawda, że on przyjedzie do niej, ale nie chciała. Czuła się nieswojo, spotykając się z nim. Wciąż jeszcze nie zdecydowała, co zrobi. Wiele razy' rozmawiała o tym z Maggie, która powtarzała jej, że przebaczenie jest błogosławieństwem, lecz Sara jakoś nie potrafiła się na nie zdobyć. Wciąż jeszcze wierzyła w „na dobre i na złe”, ale nie wiedziała już, co czuje do męża. Nie mogła pogodzić się z tym, co się stało. Była jak odrętwiała.

Poprzedniego wieczoru urządziła dzieciakom Wigilię, a rano przeszukali swoje pończochy i otworzyli prezenty od Mikołaja.

Celebrowanie świątecznych tradycji bez Setha było bolesne dla Sary, ale nie potrafiłaby udawać szczęśliwej rodziny nawet przez jeden wieczór. A on twierdził, że to rozumie. Chodził ostatnio do psychiatry i brał leki łagodzące stany lękowe. Sara i przez to miała wyrzuty sumienia. Czuła, że powinna być przy nim, wspierać go i pocieszać. Ale Seth stał się już dla niej obcym człowiekiem, mimo że go kochała. Było to przedziwne, bolesne uczucie.

Uśmiechnął się, widząc ją i dzieci w drzwiach, i zaprosił ją do środka, ale wymówiła się brakiem czasu. Zresztą naprawdę umówiła się z Maggie na herbatę w hotelu St. Francis.

- Jak się miewasz? - zapytał Seth. Oliver wbiegł do mieszkania; chodził już od jakiegoś czasu. Molly natychmiast zanurkowała pod choinkę.

Ojciec kupił jej różowy trójkołowy rowerek, lalkę niemal tak dużą jak ona sama i całą górę innych prezentów. Finansowo wcale nie powodziło mu się lepiej niż Sarze, ale zawsze wydawał więcej niż ona. Sara starała się rozsądnie gospodarować pensją i pieniędzmi, które Seth dawał na dzieci. Rodzice też jej pomagali i nawet zaprosili ją na święta na



Bermudy, ale nie chciała jechać. Wolała zostać tutaj i nie rozdzielać dzieci z ojcem. Przecież to mogły być jego ostatnie święta na wolności.

- Całkiem dobrze - odparła i uśmiechnęła się, by podtrzymać świąteczny nastrój, ale niezbyt jej się udało. To, co było między nimi, zostało zniszczone. Na szczęście powoli zaczynała odbudowywać swoje życie własnymi rękami. Miała nawet ostatnio dwie propozycje randek, ale obie odrzuciła. Wciąż uważała się za mężatkę, dopóki nie zdecydują się na rozwód. Nie spieszyła się z tą decyzją. Odkładała ją na czas po procesie, chyba że wcześniej doznałaby jakiegoś olśnienia. Wciąż nosiła obrączkę, tak jak Seth. Wciąż jeszcze, mimo osobnych mieszkań, byli mężem i żoną - przynajmniej na razie.

Nim sobie poszła, dał jej prezent gwiazdkowy. Ona też coś miała dla niego. Kupiła mu kaszmirową marynarkę i kilka swetrów, a on sprezentował jej śliczną kurtkę z norek, w pięknym kolorze ciepłego brązu, dokładnie taką, o jakiej marzyła. Natychmiast włożyła ją na siebie i pocałowała go.

- Dziękuję, Seth. Nie powinienes.

- Owszem, powinienem. - Posmutniał. - Zaslugujesz na wiele więcej. - Jeszcze rok temu podarowałby jej jakiś klejnot od Tiffany'ego czy Cartiera, ale te czasy minęły bezpowrotnie. Cała jej biżuteria przepadła - została sprzedana na aukcji przed miesiącem, co do sztuki, a pieniądze trafiły do depozytu razem z całą resztą ich majątku. Seth czuł się fatalnie z tego powodu.

W końcu zostawiła go z dziećmi; miały spędzić u niego noc. Seth kupił przenośne łóżeczko dla Olliego, a Molly miała spać z nim, jako że w jego małej kawalerce była tylko jedna sypialnia.

Sara pocałowała go na pożegnanie i odjechała. Ciężar, który dźwigali, przekraczał ich siły. Ale nie mieli wyboru.

W świąteczny poranek Everett poszedł na spotkanie AA. Zgłosił się na ochotnika, by podzielić się swoją historią. To był duży mityng, na który wyjątkowo lubił chodzić. Przyszło mnóstwo młodych ludzi, paru obszarpańców, garstka wpływowych szycy z Hollywoodu, a nawet kilku bezdomnych, którzy zaplatali się przypadkiem. Everett lubił tę zbieraninę, bo była taka prawdziwa. Niektóre mityngi w Hollywood i Beverly Hills uważał za zbyt eleganckie. Wolał bardziej życiową mieszankę i tu zawsze mógł na nią liczyć.

Gdy przyszła na niego pora, wszedł na mównicę. Przedstawił się i powiedział, że jest alkoholikiem; pięćdziesiąt osób zgromadzonych w sali odparło chórem: „Cześć, Everett!” Nawet po dwóch latach to powitanie dawało mu poczucie, że jest w domu. Nigdy nie ćwiczył swoich wystąpień. Mówił po prostu to, co przychodziło mu do głowy, albo co go akurat gryzło. Tym razem wspomniał o Maggie - powiedział, że ją kocha, i że ona jest zakonnicą. Powiedział też, że i ona go kocha, ale postanowiła nie łamać ślubów i zakazała mu telefonów i odwiedzin. Przez ostatnie trzy miesiące utrata Maggie paliła go żywym ogniem, ale uszanował jej życzenie. Gdy wychodził z mityngu i wsiadał do samochodu, wciąż rozmyślał o tym, o czym mówił. Że kochał ją tak, jak nie kochał jeszcze w życiu żadnej kobiety. Ta miłość musiała być przecież coś warta. Nagle zadał sobie pytanie, czy na pewno postąpił słusznie. Może jednak powinien o nią zawalczyć? Nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Nagle, już w drodze do domu, skręcił gwałtownie i skierował się na lotnisko. W pierwszy dzień świąt nie było wielkiego ruchu. Dochodziła jedenasta rano; Everett wiedział, że zdąży jeszcze na samolot o pierwszej, i o trzeciej będzie już w centrum. Nic nie mogło go powstrzymać.

Kupił bilet, wsiadł do samolotu i przez dwie godziny gapił się na chmury, domy i drogi w dole. Nie miał nikogo innego, z

kim mógłby spędzić święta, więc gdyby nawet nie zechciała się z nim zobaczyć, nie tracił wiele. Tylko trochę czasu i cenę biletu w dwie strony. Warto spróbować. Przez ostatnie trzy miesiące nieznośnie tęsknił za nią, za jej mądrością, przemyślanymi uwagami, za jej radami udzielanymi z taką delikatnością, za dźwiękiem jej głosu i świetlistym błękitem oczu. Teraz, kiedy wiedział już, że ją zobaczy, ledwie mógł wysiedzieć w fotelu. Była najlepszym prezentem gwiazdkowym, jaki mógł sobie wymarzyć - i jedynym, na jaki mógł liczyć. On sam też nie miał dla niej nic prócz swojej miłości.

Samolot wylądował dziesięć minut przed czasem, tuż przed drugą; taksówka dowiozła go do centrum za dwadzieścia trzecia. Jadąc do mieszkania Maggie w Tenderloin czuł się jak uczeń odwiedzający swoją szkolną sympatię. Zaczął się martwić, co będzie, jeśli go nie wpuści. Miała w klatce domofon i mogła mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale przecież musiał spróbować. Nie mógł pozwolić, by tak po prostu zniknęła z jego życia. Miłość była zbyt ważnym, zbyt rzadkim uczuciem, by wyrzucać je na śmietnik. A on nigdy nie kochał nikogo tak jak Maggie. Uważał ją za świętą. I nie on jeden.

Gdy dotarli na jej ulicę, zapłacił taksówkarzowi i nerwowo wbiegł na obłupane schodki kamienicy. Na ganku siedziało dwóch pijaczków, dzieląc się butelką. Po ulicy snuło się z pół tuzina dziwek, szukających okazji. Biznes to biznes, czy to w święta, czy w dzień powszedni.

Zadzwoił do jej mieszkania, ale nikt nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić na jej komórkę, ale nie chciał jej ostrzegać. Usiadł na górnym schodku. Miał na sobie dzinsy i gruby sweter; było chłodno, ale świeciło słońce. Zamierzał na nią poczekać, choćby miał tu siedzieć nie

wiadomo jak długo. Wiedział, że w końcu się zjawi. Pewnie wydawała świąteczny posiłek w jakiejś stołówce dla ubogich.

Dwóch pijaczków siedzących niżej wciąż podawało sobie butelkę, aż w końcu jeden z nich spojrzał w górę i zaoferował ją Everettowi. Był to bourbon, najtańszy gatunek, w najmniejszej butelce dostępnej w sklepie. Mężczyźni, brudni i śmierdzący, posłali mu bezżębny uśmiech.

- Chłapiasz sobie? - rzucił bełkotliwie jeden z nich. Drugi ledwie patrzył na oczy.

- Nie myśleliście, chłopaki, żeby się zgłosić do AA? - zaczął przyjaźnie Everett, odmawiając przyjęcia butelki. Przytomniejszy z mężczyzn spojrzał na niego z obrzydzeniem i odwrócił się. Szturchnął kolegę i wskazał kciukiem Everetta; obaj bez słowa przenieśli się na inne schodki, by dalej pić w spokoju.

- Pomyśleć, że mnie też niewiele do tego brakowało - szepnął Everett do siebie i twardo siedział dalej. Uznał, że to idealny sposób spędzania Bożego Narodzenia - czekanie na ukochaną kobietę.

Maggie i Sara bardzo miło spędziły czas, jedząc podwieczorek w hotelu St. Francis. Podawano tu prawdziwą angielską herbatę, babeczki, ciastka i całą masę najróżniejszych kanapek. Dobrze im się rozmawiało nad filiżanką Earl Greya. Maggie zauważyła, że Sara jest trochę smutna, ale nie wypytywała jej o powody. Sama też była przygnębiona. Brakowało jej rozmów z Everettem, żartów i poważnych dyskusji, ale po tym, co zaszło między nimi ostatnio, wiedziała, że nie mogą się widywać. Nie miała dość siły, by mu się oprzeć. Wypowiadała się z tamtego pocałunku i modlitwą umocniła swoje postanowienie. Ale i tak za nim tęskniła. Przez tych kilka miesięcy stał się jej najbliższym przyjacielem.

Sara mówiła o swoim spotkaniu z Sethem, o tym, jak bardzo jej go brakuje, wspominała dawne czasy. Przez myśl jej nie przeszło, że bajkowe życie może się kiedyś skończyć, i to w taki sposób.

Opowiadała o swojej pracy, którą bardzo polubiła, o ludziach, których spotykała. Ale wciąż nie udzielała się towarzysko; wstydziła się wyjść gdziekolwiek czy odwiedzić znajomych. Wiedziała, że miasto wciąż huczy od plotek, a kiedy w marcu zacznie się proces, będzie jeszcze gorzej. Seth długo dyskutował z adwokatami, czy lepiej będzie starać się przeciągać procedury, czy załatwić to jak najszybciej. Uznał jednak, że woli mieć to już za sobą. I z dnia na dzień był bardziej zestresowany. Sara poważnie się tym martwiła.

Rozmowa toczyła się przyjemnie, zahaczając o postępy w odbudowie miasta, o Dziadku do orzechów - Sara zabrała Molly do opery, o ekumeniczną pasterkę w katedrze, do której służyła Maggie. Zwykle, miłe spotkanie dwóch przyjaciółek. Bo teraz uważały się już za przyjaciółki, a swoją znajomość - za prawdziwy dar i błogosławieństwo, jakie niespodziewanie wynikło dla nich z majowego trzęsienia ziemi.

Wyszły z hotelu o piątej. Sara podrzuciła Maggie na róg jej ulicy i ruszyła w stronę centrum. Miała ochotę pójść do kina i nawet zapraszała Maggie, ale siostra powiedziała, że jest zmęczona i chce już wracać do domu, a poza tym film, na który wybierała się Sara, wydawał jej się zbyt przygnębiający. Pomachała przyjaciółce na pożegnanie i ruszyła ulicą. Uśmiechnęła się do dwóch dziwek, które mieszkały w tej samej kamienicy, co ona. Jedną z nich była ładna Meksykanka, a drugą transwestyta z Kansas, zawsze bardzo miły i pełen szacunku dla Maggie.

Gdy dochodziła do drzwi, uniosła wzrok i zobaczyła Everetta. Zatrzymała się, jak zamieniona w słup soli, a on uśmiechnął się do niej. Siedział tu od dwóch godzin i zaczynał

już marznąć, ale miał to gdzieś. Nie zamierzał się stąd ruszyć, dopóki ona nie wróci, choćby miał zamarznąć na śmierć. Ale w końcu przyszła.

Patrzyła na niego, nie wierząc własnym oczom. Everett zszedł powoli po schodkach.

- Cześć, Maggie - powiedział cicho. - Wesółych świąt.

- Co ty tu robisz? - Wciąż gapiała się na niego.

- Byłem dziś rano na mityngu... i mówiłem o tobie... i w końcu postanowiłem, że przylecę osobiście złożyć ci życzenia.

Maggie kiwnęła głową. Tak właśnie to sobie wyobrażała. To było w jego stylu. Nikt nigdy nie zrobił dla niej czegoś takiego. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć go, sprawdzić, czy jest realny, ale nie ośmieliła się.

- Dziękuję. - Serce waliło jej jak młotem. - Chcesz pójść gdzieś na kawę? U mnie jest straszny bałagan. - A poza tym uważała, że nie powinna go zapraszać. Głównym meblem w jej jednopokojowym mieszkanku było łóżko. Niezaścielone.

Roześmiał się, słysząc jej mizerną wymówkę.

- Z przyjemnością. Odmrażam sobie tyłek na tych schodkach od trzeciej. Otrzepał spodnie i poszli do bistro po drugiej stronie ulicy. Jak się

okazało, dość obskurne miejsce, ale dobrze oświetlone, i z przyzwoitą kuchnią. Maggie czasem wpadała tu na kolację w drodze do domu. Mieli całkiem niezły klops, i jajecznicę. I zawsze traktowali ją z wielką atencją, bo była zakonnica.

Żadne z nich nie powiedziało słowa, dopóki nie usiedli i nie zamówili kawy. Everett poprosił też o kanapkę z indykiem, ale Maggie najadła się wystarczająco na spotkaniu z Sarą w St. Francis.

Everett odezwał się pierwszy.

- No to mów. Jak się miewasz?

- Okej. - Po raz pierwszy w życiu czuła się skrępowana, ale po chwili rozluźniła się trochę. - To najmiłsza rzecz, jaką

kiedykolwiek ktoś zrobił dla mnie. Pomyśleć, że przyleciałeś specjalnie, by życzyć mi wesołych świąt. Dziękuję, Everett.

- Tęskniłem za tobą. Strasznie. Dlatego tu jestem. Jakoś nagle wydało mi się głupie, że nie możemy już ze sobą rozmawiać. Chyba powinienem przeprosić za swoje zachowanie ostatnim razem, tyle tylko, że ja wcale nie żałuję. Nic piękniejszego, jak dotąd, nie przeżyłem. - Zawsze był z nią szczery.

- Ja też. - Słowa same wyskoczyły z ust, bez pozwolenia, ale właśnie tak czuła. - Wciąż nie wiem, jak to się stało. - Wyglądała tak, jakby czuła się winna.

- Nie wiesz? A ja wiem. Kochamy się. A przynajmniej ja kocham ciebie. - Nie chciał, by cierpiała z powodu swoich uczuć do niego, ale mimo to miał nadzieję, że jego miłość jest odwzajemniona. - Nie wiem, co z tym zrobimy, i czy w ogóle cokolwiek. Ale chcę, żebyś wiedziała, co czuję.

- Ja też cię kocham - przyznała ze smutkiem. To był jedyny grzech, jaki popełniła kiedykolwiek przeciw Kościołowi, i największe wyzwanie dla jej ślubów, ale mówiła prawdę. I czuła, że Everett ma prawo to wiedzieć.

- To dopiero dobra nowina - powiedział i wgrzył się w kanapkę. Gdy przełknął, uśmiechnął się do Maggie.

- Nie, to nie jest dobra nowina. Nie mogę złamać ślubów. To jest moje życie. - Ale teraz, w pewnym sensie, i on był częścią jej życia. - Po prostu nie wiem, co robić.

- Więc może póki co cieszymy się tym, co mamy, i spokojnie to przemyślimy. Może jest jakiś sposób, żebyś odmieniła swoje życie nie sprzeniewierzając się sobie. Coś w rodzaju honorowego zwolnienia ze służby.

Uśmiechnęła się.

- Kiedy się odchodzi z klasztoru, nikt nie daje odznaczeń. Wiem, że niektórzy tak robią, nawet mój własny brat, ale ja bym nie potrafiła.

- Więc może tego nie zrobisz - odparł. - Może wszystko zostanie tak, jak jest. Ale teraz przynajmniej wiemy, że się kochamy. Nie przyjechałem tutaj prosić cię, żebyś ze mną uciekła, choć oczywiście byłbym zachwycony, gdybyś to zrobiła. Chcę tylko, żebyś to przemyślała bez torturowania siebie.

Maggie zachwycało i zdumiewało jego rozsądne podejście do sprawy.

- Boję się - przyznała szczerze.

- Ja też. - Ujął jej dłoń. - Bo to jest przerażająca sprawa. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w życiu kochałem kogoś. Przez trzydzieści lat byłem zbyt pijany, by w ogóle przejmować się kimkolwiek, w tym również sobą. I nagle obudziłem się i zobaczyłem ciebie.

Słuchała jak zaczarowana. Nikt nigdy nie mówił jej takich rzeczy.

- Nigdy nie byłem zakochana - odparła cicho. - Dopóki nie spotkałam ciebie. I nie sądziłam, że kiedykolwiek mi się to przydarzy.

- Może Bóg uznał, że już najwyższy czas.

- Albo testuje moje powołanie. Jeśli odejdę od Kościoła, będę się czuła jak sierota.

- Więc może powinienem cię adoptować. To jest jakaś myśl. Można adoptować zakonnice? - Roześmiała się na całe gardło. - Tak się cieszę, że cię widzę, Maggie.

W końcu rozluźniła się i zaczęli rozmawiać jak zawsze. Opowiedziała mu, co porabiała przez ten czas, on mówił jej o swoich reportażach. Mówili o zbliżającym się procesie Seta. Everett powiedział, że odbył długą rozmowę ze swoim naczelnym i że być może będzie robił o tym materiał dla „Scoop”. Jeżeli tak, to spędzi w San Francisco wiele tygodni, począwszy od marca. Maggie bardzo się ucieszyła, że będzie go miała pod ręką. I była zadowolona, że jej nie ponagla. Gdy



wychodzili z bistro, znów czuli się ze sobą swobodnie. Przeszli przez ulicę trzymając się za ręce. Dochodziła ósma i Everett musiał się spieszyć na powrotny samolot.

Maggie nie zaprosiła go na górę; stali kilka minut przed wejściem do kamienicy.

- To był najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki w życiu dostałam - powiedziała z uśmiechem.

- Ja też. - Everett delikatnie pocałował Maggie w czoło. Nie chciał jej wystraszyć, no i okoliczni mieszkańcy wiedzieli, że jest zakonnica, więc mógłby jej zepsuć reputację. Inna sprawa, że nie była na to gotowa. Musiała wszystko przemyśleć. - Zadzwoń do ciebie, zobaczymy, co przyniesie czas. - Nagle głos uwiązał mu w gardle; poczuł się jak speszony dzieciak. - Przemyślisz to, Maggie? Wiem, że dla ciebie to ogromnie poważna decyzja. Chyba trudno o poważniejszą. Ale kocham cię i będę czekał, i jeśli jesteś dość szalona, by to zrobić, będę zaszczycony, jeśli zechcesz zostać moją żoną. Mówię ci to teraz, żebyś wiedziała, że mam uczciwe zamiary.

- Nie spodziewałam się po tobie nic innego, Everett. - Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się promiennie. - Nikt mi się jeszcze nigdy nie oświadczył. - Poczowała, że lekko kręci jej się w głowie, gdy stawiała na palcach, by pocałować go w policzek.

- Czy zaleczony alkoholik i siostra zakonna będą ze sobą szczęśliwi? Zapraszamy na następny odcinek - powiedział ze śmiechem, i nagle, ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że jest jeszcze dość młody, by mieć dziecko, a może nawet całą gromadkę, jeśli wczesnie zabiorą się do dzieła. Spodobał mu się ten pomysł, ale nie wspomniał o nim Maggie. I tak miała twardy orzech do zgryzienia.

- Dziękuję, Everett. - Otworzyła drzwi. Everett gwizdnął na przejeżdżającą taksówkę. - Przemyślę to. Obiecuję.

- Masz tyle czasu, ile chcesz. Mnie się nie spieszy. Nie będę cię ponaglał.

- Zobaczymy, co Bóg powie na to wszystko - odparła z uśmiechem.

- Okej. Ty Go zapytaj, a ja zacznę palić świece. - Przypomniawszy sobie, że jako dzieciak uwielbiał zapalać świece w kościele.

Pomachała mu, wchodząc do domu, a on zbiegł po schodkach do taksówki. Odjeżdżając popatrzył na kamienicę i pomyślał, że to chyba najpiękniejszy dzień jego życia. Miał jej wzajemność, a co najlepsze, miał również nadzieję. I już prawie, prawie miał samą Maggie. Bo że ona miała jego, wiedział już od dawna.

## Rozdział 19

Drugiego dnia świąt, pełen energii po spotkaniu z Maggie, Everett usiadł do komputera, zalogował się do Internetu i zaczął zabawę. Wiedział, że istnieją odpowiednie strony, które służą do wyszukiwania pewnych informacji. Wpisał kilka danych i na ekranie ukazał się odpowiedni formularz. Starannie odpowiedział na wszystkie pytania, choć wiedział naprawdę niewiele. Nazwisko, data i miejsce urodzenia, nazwiska rodziców, ostatni znany adres. Tylko tyle miał na początek. Nie znał numeru ubezpieczenia ani żadnych bardziej szczegółowych danych. Ograniczył wyszukiwanie do Montany. Pomyślał, że jeśli tam nic nie wyskoczy, przeszuka inne stany. Wbił oczy w monitor, czekając na wynik. Po zaledwie kilku sekundach pojawiło się nazwisko i aktualny adres. Tak łatwo, tak szybko. Po dwudziestu siedmiu latach odnalazł go bez najmniejszego trudu. Charles Lewis Carson. Chad. Zamieszkały w Butte, stan Montana. Potrzebował dwudziestu siedmiu lat, by się do tego zebrać, ale teraz był gotów. Obok nazwiska widniał też numer telefonu i adres mailowy.

Everett pomyślał, że napisze maila, ale się rozmyślił. Zanotował dane na kartce, rozmyślał chwilę, chodząc niespokojnie po mieszkaniu, aż w końcu wziął głęboki oddech, zadzwonił do linii lotniczych i zarezerwował bilet. Miał samolot o czwartej po południu, jeszcze dziś. Do Chada mógł zadzwonić, kiedy będzie już na miejscu, albo po prostu przejechać się ulicą i zobaczyć, jak wygląda dom. Chad miał trzydzieści lat, a przez te wszystkie lata Everett nie widział nawet jego zdjęcia. Z byłą żoną stracił kontakt, gdy Chad skończył osiemnaście lat, a i przedtem jedyną formą łączności były wysyłane przez Everetta czeki i jej podpis na potwierdzeniu. Gdy Chad miał cztery lata przestali do siebie

pisywać listy i od tej pory Everett nie dostał żadnej fotografii syna - bo też i nie prosił.

Nie wiedział o synu nic. Czy był żonaty, samotny, czy studiował, z czego się utrzymywał. Tknięty ciekawością wpisał w formularz dane Susan, ale nie znalazł jej. Mogła przeprowadzić się do innego stanu albo wyjść powtórnie za mąż. Powodów mogły być setki. Ale tak naprawdę chciał zobaczyć tylko Chada. Nie wiedział, czy chce się z nim spotkać. Uznał, że zdecyduje o tym na miejscu. Nie była to łatwa decyzja; zdawał sobie sprawę, że poznanie Maggie i wyjście z alkoholizmu miały ogromny wpływ. Przedtem nie starczyłoby mu odwagi na taki krok. Musiał przecież spojrzeć w twarz własnej porażce, własnej niezdolności do stworzenia związku, własnemu strachowi przed byciem ojcem. Został ojcem mając osiemnaście lat - właściwie sam był jeszcze dzieckiem. Ostatni raz widział syna, gdy ten miał trzy lata. Potem wyjechał, by szlajać się po świecie i robić zdjęcia, jak najemny żołnierz. Ale choćby nie wiadomo jak to upiększać, dodawać romantyczne tło, tak naprawdę - szczególnie z perspektywy Chada - była to zwyczajna ucieczka i porzucenie. Everett wstydził się i zdawał sobie sprawę, że Chad może go za to nienawidzić. I wcale by się nie zdziwił. Ale teraz wreszcie odważył się stanąć z nim twarzą w twarz. Rozmowa z Maggie dała mu impuls, którego potrzebował.

W drodze na lotnisko dużo rozmyślał. Kupił kawę na wynos, zabrał ją ze sobą do samolotu, usiadł w swoim fotelu i zagapił się w okno. Ta podróż różniła się od wczorajszej, kiedy leciał do San Francisco zobaczyć się z Maggie. Nawet gdyby się okazało, że Maggie jest na niego zła czy nie chce go widzieć, nie mogła zaprzeczyć, że coś ich łączy. Między nim i Chadem nie było nic, z wyjątkiem totalnej porażki Everetta w roli ojca. Nie było żadnych fundamentów, na których można

by się oprzeć. Przez dwadzieścia siedem lat nie istnieli dla siebie. Pomijając DNA, nic ich nie łączyło.

Gdy samolot wylądował w Butte, Everett poprosił taksówkarza, by przewiózł go obok domu, którego adres znalazł w internecie. Zobaczył mały, tani domek na przedmieściu. Nie była to elegancka dzielnica, ale i nie slumsy. Dom wyglądał na zadbane i czysty. Nawet splechotek trawy przed drzwiami był starannie wystrzyżony.

Napatrzywszy się, Everett poprosił kierowcę, by zawiózł go do najbliższego motelu. W niczym niewyróżniającym się moteliku o nazwie Ramada Inn Everett wynajął najmniejszy, najtańszy pokój, kupił napój z automatu i poszedł do siebie. Długo siedział beczynnie, gapiąc się na telefon - chciał wybrać numer, ale zwyczajnie się bał. W końcu zebrał się na odwagę. Miał ogromną ochotę pójść na mityng, ale najpierw chciał zadzwonić do Chada. Na mityng mógł pójść później, i opowiedzieć o tym.

Odebrano po drugim dzwonku. Słuchawkę podniosła kobieta i Everett wystraszył się, że zadzwonił pod zły numer. Jeśli tak, sprawa mogła się skomplikować. Charles Carson to było dość popularne nazwisko i w książce telefonicznej mogło figurować wielu.

- Czy zastałem pana Carsona? - zapytał. Czuł, że głos mu drży.

- Przykro mi, wyszedł. Powinien wrócić za jakieś pół godziny. Czy mam coś przekazać?

- Ehm... nie... ja... zadzwonię później. - Rozłączył się, zanim zdążyła zadać jeszcze jakieś pytanie. Ciekawiło go, kim była ta dziewczyna. Żoną? Siostrą? Narzeczoną?

Położył się na łóżku, włączył telewizor i sam nie wiedział, kiedy się zdrzemnął. Obudził się o ósmej i znów gapił się na aparat telefoniczny. W końcu przeturlał się na łóżku i wybrał

numer. Tym razem w słuchawce odezwał się silny, męski głos.

- Pan Charles Carson? - Everett wstrzymał oddech. Czuł, że tym razem trafił, i trochę go zemdliło na tę myśl. To było o wiele trudniejsze, niż się spodziewał. No bo kiedy się już przedstawi - co dalej? Chad może nie zechcieć się z nim zobaczyć. Niby dlaczego miałby chcieć?

- Chad Carson, przy telefonie - poprawił go mężczyzna. - Kto mówi? - zapytał odrobinę podejrzliwie. Użycie jego pełnego imienia powiedziało mu, że dzwoni ktoś obcy.

- Ja... ehm... wiem, że to zabrzmiało dziwnie, i prawdę mówiąc nie wiem, jak zacząć. - W końcu jednak wyrzucił to z siebie. - Nazywam się Everett Carson. Jestem twoim ojcem. - W słuchawce zapadła głucha cisza, jakby człowiek po drugiej stronie próbował zrozumieć, co go trafiło. Everettowi przemykały przez głowę najróżniejsze reakcje Chada, z których krótkie „spadaj” było jeszcze stosunkowo najmiłsze. - Nie bardzo wiem, co powiedzieć, Chad. Chyba pierwsze powinno być przepraszam, chociaż to trochę za mało po dwudziestu siedmiu latach. Zresztą pewnie żadne słowa tu nie wystarczą. I jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, w porządku. Nie spodziewam się niczego, nawet chwili rozmowy.

Cisza trwała; Everett nie wiedział, czy ma mówić dalej, czy po prostu dyskretnie odłożyć słuchawkę. Postanowił poczekać jeszcze kilka sekund. Potrzebował dwudziestu siedmiu lat, by odezwać się do syna. Nic dziwnego, że syn nie wiedział, co się dzieje, i milczał.

- Gdzie jesteś? - zapytał w końcu Chad. Everett nie zdołał nic wywnioskować z jego tonu.

- W Butte - odparł, wymawiając tę nazwę jak miejscowy. Wciąż miał lekki akcent z Montany, choć właściwie całe życie przeżył gdzie indziej.

- Naprawdę? Co tu robisz?

- Mam tu syna - odparł Everett. - Dawno go nie widziałem. Tylko nie wiem, czy ty chcesz mnie widzieć, Chad. Jeśli nie, nie będę miał ci tego za złe. Od dawna się do tego zbierałem. Ale zrobię, co zechcesz. Przyjechałem cię zobaczyć, ale to zależy od ciebie. Zrozumiem. Nie jesteś mi nic winien. To ja jestem ci winien przeprosiny za te dwadzieścia siedem lat. - W słuchawce znów zapanowała cisza, gdy ten syn, którego nie znał, przetrawiał jego słowa. - Chcę zadośćuczynić za wyrządzone krzywdy.

- Jesteś w AA? - zapytał Chad ostrożnie, rozpoznając znajome słowa.

- Tak. Przyłączyłem się dwadzieścia miesięcy temu. I to było najlepsze, co zrobiłem w życiu. Dlatego tu jestem.

- Ja też - odparł Chad z lekkim wahaniem. I nagle wpadł na pomysł. - Chcesz pójść na mityng?

- Tak. Bardzo chcę. - Everett odetchnął głęboko.

- Pasuje ci o dziewiętej? Gdzie się zatrzymałeś?

- W Ramada Inn.

- Przyjadę po ciebie. Jeżdżę czarnym fordem pickupem. Zatrąbię dwa razy. Będę za dziesięć minut. - Mimo wszystko chciał zobaczyć ojca, tak jak ojciec chciał zobaczyć jego.

Everett ochlapał twarz zimną wodą, uczesał włosy i spojrzał w lustro. Zobaczył w nim czterdziestoosmioletniego mężczyznę, który całe życie tłukł się po dziurawych drogach świata. Nie skrzywdził w życiu wielu ludzi, ale jednym z tych, których skrzywdził najbardziej, był jego syn. W żaden sposób nie mógł mu tego wynagrodzić ani oddać mu lat dzieciństwa bez ojca, ale przynajmniej zjawił się tu, teraz.

Kiedy Chad podjechał pod motel, Everett stał przed bramą w dżinsach i grubej kurtce. Zobaczył wysokiego, przystojnego, potężnie zbudowanego mężczyznę o jasnych włosach i niebieskich oczach; Chad wysiadł z pickupa i podszedł do niego kołyszącym, kowbojskim krokiem.

Zmierzył go twardym spojrzeniem i wyciągnął rękę, by po raz pierwszy w życiu uścisnąć dłoń swego ojca. Spojrzeli sobie w oczy i Everett z trudem powstrzymał łzy. Nie chciał zawstydząć tego, całkiem mu obcego, mężczyzny, który wyglądał na dobrego człowieka, na syna, z którego każdy ojciec byłby dumny. Uścisnęli sobie dłonie; Chad skinął głową na powitanie. Nigdy nie był gadułą.

- Dzięki, że po mnie przyjechałeś - odezwał się Everett. Wsiadając do pickupa zobaczył zdjęcia dwóch chłopców i dziewczynki. - To twoje dzieci? - Spojrzał zaskoczony na Chada. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że jego syn może mieć już własne dzieci. Chad uśmiechnął się i pokiwał głową.

- A czwarte w drodze. Całkiem miłe dzieciaki.

- Ile mają lat?

- Jimmy siedem, Billy pięć, a Amanda trzy. Myślałem, że już wyczerpaliśmy przydział, a tu sześć miesięcy temu znów niespodzianka. Kolejna dziewczynka.

- Liczna rodzinka - powiedział Everett z uśmiechem, i nagle roześmiał się na całe gardło. - Jasna cholera, pięć minut temu odzyskałem syna i nagle okazało się, że jestem dziadkiem, i to poczwórnym. Ale cóż, należało mi się. Wcześniej zacząłeś - stwierdził, i tym razem to Chad się uśmiechnął.

- Ty też.

- Trochę wcześniej, niż planowałem. - Zawahał się chwilę, bojąc się zapytać, ale w końcu się zdecydował. - A jak tam twoja mama?

- Całkiem dobrze. Wyszła za mąż, ale nie miała więcej dzieci. Ciągle tu mieszka.

Everett kiwnął głową. Spotkanie z nią niezbyt mu się uśmiechało. Ich krótkie, niedojrzałe małżeństwo zostawiło posmak goryczy, i pewnie ona czuła to samo. Przeżyli razem trzy fatalne lata, które w końcu skłoniły go do odejścia. Byli



chyba najgorzej dobraną parą, jaką można sobie wyobrazić - nie układało się od początku. Raz nawet groziła, że zastrzeli go z karabinu ojca. Miesiąc później Everett wyjechał. Pewnie gdyby tego nie zrobił, zabiłby ją albo siebie. Kłócili się bez przerwy. To wtedy zaczął pić na całego, i nie przestał przez dwadzieścia sześć lat.

- Czym się zajmujesz? - zapytał z ciekawością. Pomyślał, że Chad jest bardzo przystojny, o wiele przystojniejszy niż on w wieku trzydziestu lat. Miał rzeźbioną twarz i wyglądał na prawdziwego twardziela. Był wyższy niż Everett i potężniej zbudowany, jakby pracował fizycznie.

- Jestem zastępcą brygadzysty na ranczu TBar7. To trzydzieści kilometrów za miastem. Konie i bydło. - Faktycznie, wyglądał jak modelowy kowboj.

- Chodziłeś do college'u?

- Do dwuletniej szkoły pomaturalnej. Wieczorowo. Mama chciała, żebym studiował prawo. - Uśmiechnął się. - To mnie nie interesowało. W college'u było okej, ale jestem o wiele szczęśliwszy na końskim grzbiecie niż za biurkiem, chociaż teraz i tak muszę odwalać sporo papierkowej roboty. Debbie, moja żona, uczy w szkole, w czwartej klasie. Też się nieźle trzyma na koniu. Latem bierze nawet udział w rodeo. - Byli kowbojską parką jak z obrazka, i Everett, choć sam nie wiedział, na jakiej podstawie, czuł, że są dobrym małżeństwem. Chad po prostu wyglądał na dobrego męża i ojca. - A ty? Ożeniłeś się drugi raz? - Zerknął na niego z ciekawością.

- Nie, wyleczyłem się z tego. - Obaj się roześmiali. - Przez te wszystkie lata krążyłem po świecie, aż wreszcie zahamowałem dwadzieścia miesięcy temu, poszedłem na odwyk i wytrzeźwiałem. Uznałem, że przyszła pora. A przez ten czas byłem zbyt zajęty i zbyt pijany, żeby mnie zechciała

jakaś porządna kobieta. Jestem dziennikarzem - dodał. Chad kiwnął głową z uśmiechem.

- Wiem. Mama pokazuje mi czasem twoje zdjęcia. Pstrykasz naprawdę niezłe fotki, szczególnie te wojenne. Musiałeś bywać w ciekawych miejscach.

- A i owszem. - Everett zdał sobie sprawę, że rozmawiając z synem sam zaczyna mówić jak chłopak z Montany. Krótkie zdania, mniej słów. Wszystko tutaj było skąpe, tak jak twarda gleba. Wydało mu się ciekawym zrządzeniem losu, że jego syn trzymał się tej pięknej, surowej ziemi, w przeciwieństwie do ojca, który uciekł od swoich korzeni tak daleko, jak się dało. Nie miał tu już żadnej rodziny, od kiedy jego rodzice pomarli. I wrócił dopiero teraz, by odnaleźć syna.

Dojechali do niewielkiego kościółka, w którym odbywał się mityng. Schodząc za synem do sali w suterenie Everett zdał sobie sprawę, jakie miał szczęście, że go odnalazł, i że Chad w ogóle zechciał się z nim spotkać. Przecież mogło być zupełnie inaczej. Wchodząc do sali podziękował w duchu Maggie. Tylko dzięki jej łagodnej, upartej perswazji zdecydował się na ten krok. I teraz mógł się cieszyć. Przecież pytała go o syna już pierwszej nocy, kiedy się poznali.

Był zaskoczony, widząc w sali około trzydziestu osób - głównie mężczyzn, ale zauważył też kilka kobiet. Usiadł obok Chada na składanym krześle. Mityng właśnie się zaczął i wszystko szło według ustalonego schematu. Kiedy poproszono nowoprzybyłych, by się przedstawili, Everett wstał, podał swoje imię, powiedział, że jest alkoholikiem i nie pije od dwudziestu miesięcy. Cała sala odpowiedziała chórem „Cześć, Everett!”, i spotkanie toczyło się dalej.

I on, i Chad mówili tego wieczoru. Everett zgłosił się pierwszy i opowiedział o początkach swojego picia, o swoim nieszczęśliwym, przymusowym małżeństwie, o tym, jak

wyjechał z Montany, porzucając syna. Powiedział, że żałuje tego najbardziej ze wszystkich swoich postępów, że przyjechał tu, by zadośćuczynić krzywdzie i naprawić to, co zniszczył w przeszłości, jeśli to jeszcze możliwe. I że jest szczęśliwy, że w końcu tu przyjechał. Chad słuchał go, wbijając wzrok w swoje buty. Nosił ciemnobrązowe kowbojki, zdarte i ochlapane błotem, bardzo podobne do tych, z którymi nie rozstawał się jego ojciec. Dziś też miał je na nogach.

Potem wstał Chad. Powiedział, że nie pije od ośmiu lat, czyli od dnia swojego ślubu, co było ważną informacją dla jego ojca. Zwierzył się, że dziś znów pokłócił się z brygadzystą i że przez niego chętnie rzuciłby robotę, ale nie może sobie na to pozwolić, a dziecko, które urodzi się na wiosnę, będzie dla niego jeszcze większym obciążeniem i tym bardziej przykuje go do posady. Szybko dodał jednak, że kocha dzieciaki i żonę, i że na pewno wszystko się jakoś ułoży. W końcu spojrział na Everetta i przyznał, że poczuł się dziwnie, kiedy doszło do spotkania z ojcem - nie znał go, ale cieszy się z jego powrotu, nawet tak spóźnionego.

Po wspólnej modlitwie, którą wszyscy odmówili chórem trzymając się za ręce, oficjalna część spotkania dobiegła końca. Bywalcy zaczęli gawędzić z Chadem i przywitali Everetta, jedyne go obcego w sali. Kobiety przyniosły kawę i ciastka; Everettowi podobały się wystąpienia i ogólnie uważał, że był to bardzo udany mityng. Chad przedstawił go swojemu sponsorowi, siwemu, brodatemu kowbojowi o roześmianych oczach, i swoim dwóm podopiecznym, chłopakom mniej więcej w jego wieku. Pochwalił się, że jest sponsorem już od prawie siedmiu lat.

- Masz całkiem długi staż - stwierdził Everett, kiedy wyszli. - Dzięki, że zabrałeś mnie tu ze sobą. Potrzebowałam tego.

- Jak często chodzisz na mityngi? - zapytał Chad. Podobało mu się wyznanie ojca. Mówił otwarcie, uczciwie, i chyba szczerze.

- Kiedy jestem w Los Angeles, nawet dwa razy dziennie. Raz, kiedy jestem w drodze. A ty?

- Trzy razy w tygodniu.

- Faktycznie nie jest ci lekko z czwórką dzieciaków. - Miał dla Chada ogromny szacunek. Przez tych dwadzieścia siedem lat podświadomie zakładał, że jego syn trwa jakby w stanie zawieszenia, że na zawsze pozostał dzieckiem, a przyjechawszy tutaj znalazł dorosłego człowieka, żonatego i z czwórką dzieci. W pewnym sensie jego życie było bardziej prawdziwe niż egzystencja jego ojca. - Co jest z tym brygadziwą?

- To palant - rzucił Chad, zirytowany. - Wiecznie się mnie czepia. Jest strasznie staroświecki i prowadzi ranczo tak samo, jak czterdzieści lat temu. Ale w przyszłym roku idzie na emeryturę.

- Myślisz, że dostaniesz po nim posadę? - zainteresował się Everett z ojcowską troską. Chad roześmiał się i spojrzał na niego zza kierownicy; właśnie podjechali pod motel. - Zjawiłeś się godzinę temu i nagle martwisz się o moją robotę? Dzięki, tato. Ale fakt, lepiej żebyś dostał tę posadę, albo strasznie się wkurzę. Pracuję tam od dziesięciu lat i to jest dobra robota.

Everett rozpromienił się, słysząc „tato”. Na taki zaszczyt chyba nie zasługiwał.

- Jak długo tu będziesz?

- To zależy od ciebie - odparł szczerze Everett. - A co ty myślisz?

- Może wpadniesz jutro na kolację? Nic wymyślnego. Sam gotuję, bo Debbie się fatalnie czuje. Zawsze ma straszne mdłości, kiedy jest w ciąży, aż do ostatniego dnia.

- Dzielna kobieta, że tyle razy się na to zdecydowała. Zresztą ty też jesteś nieułomek. Pewnie niełatwo utrzymać taką gromadkę dzieciaków.

- Są tego warte. Poczekaj, aż je poznasz. Prawdę mówiąc - Chad przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek - Billy jest podobny do ciebie. - Chad zupełnie nie był podobny do Everetta, przypominał raczej matkę i jej braci; rosłych, jasnowłosych Szwedów, których rodzina przyjechała do Montany z Europy dwa pokolenia wcześniej. - Wpadnę po ciebie jutro o wpół do szóstej, wracając z roboty. Poznasz dzieci, kiedy ja będę gotował. Ale będziesz musiał wybaczyć Debbie. Naprawdę kiepsko się czuje. - Everett kiwnął głową i podziękował mu za zaproszenie. Uważał, że nie zasługuje na tak ciepłe przyjęcie, ale był wdzięczny, że po tylu latach Chad tak chętnie zaakceptował go w swoim życiu. Ten wspaniały chłopak stanowczo zbyt długo musiał obywać się bez ojca.

Pomachali do siebie na pożegnanie; gdy Chad odjechał, Everett ruszył truchtem do pokoju. Zmarzł na dworze cholernie, ziemia była skuta lodem. Gdy trochę się rozgrzał, śmiejąc się sam do siebie usiadł na łóżku i zadzwonił do Maggie. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Już się stęskniłeś? - zapytała ciepło. - Miałeś mnie nie poganiać.

- Ja nie w tej sprawie. Muszę ci coś powiedzieć. I to może dla ciebie być niemała niespodzianka. - Nim zdążyła się wystraszyć, że znów będzie ją naciskał, powiedział: - Zostałem dziadkiem.

- Co takiego? - Roześmiała się. Myślała, że to żart. - Od wczoraj? Szybki jesteś.

- Nie za bardzo. Mają siedem, pięć i trzy lata. Dwóch chłopców i dziewczynka. I jeszcze jedna w drodze. - Nagle spodobało mu się, że ma rodzinę, choć jako dziadek czuł się jeszcze bardziej staro. Ale co tam.

- Zaraz. Nic nie rozumiem. Czyżbym coś przegapiła?  
Gdzie ty w ogóle jesteś?

- W Butte - powiedział dumnie. I to wszystko jej zawdzięczał. Kolejny dar, jeden z wielu, jakie od niej otrzymał.

- W Montanie?

- A i owszem, pszepani. Przyleciałem dzisiaj. To wspaniały dzieciak. Nie, nie dzieciak, mężczyzna. Jest zastępcą brygadzysty na ranczu, ma trójkę dzieci i niebawem przybędzie czwarte. Jeszcze ich nie poznałem, ale jutro idę do syna na kolację. On nawet umie gotować.

- Och, Everett! - Cieszyła się razem z nim. - Wspaniale. I jak ci się rozmawiało z Chadem? Nie ma pretensji o... do ciebie...

- To szlachetny człowiek. Nie wiem, jak wyglądało jego dzieciństwo, ani co myśli o tym wszystkim. Ale chyba się ucieszył. Może po prostu obaj byliśmy na to gotowi. On też jest w AA, już od ośmiu lat. Dzisiaj poszliśmy razem na mityng. To naprawdę porządny facet. Jest o wiele bardziej dojrzały, niż ja w jego wieku, a może nawet i teraz.

- Całkiem nieźle sobie radzisz. Strasznie się cieszę, że to zrobiłeś. Nie traciłam nadziei, że w końcu się zdecydujesz.

- Nigdy bym się nie zdecydował, gdyby nie ty. Dziękuję ci, Maggie. - Swoimi łagodnymi, wytrwałymi namowami oddała mu syna razem z całą nową rodziną.

- Ależ zdecydowałbyś się. Dzięki, że mi powiedziałeś. Jak długo tam zostaniesz?

- Parę dni. Świetnie się tu czuję, ale nie mogę siedzieć zbyt długo. Muszę jechać do Nowego Jorku, robię relację z noworocznego koncertu Melanie. Żałuję, że nie możesz jechać ze mną. Na pewno by ci się spodobało. Melanie jest niesamowita na scenie.

- Może kiedyś się wybiorę na jej koncert. Bardzo bym chciała.

- W maju będzie śpiewać w Los Angeles. Czuj się zaproszona. - Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia Maggie do tej pory przemyśli już sprawę wystąpienia z zakonu. Niczego nie pragnął bardziej, ale nie wspomniał o tym teraz. To była poważna decyzja i wiedział, że Maggie potrzebuje czasu. Obiecał, że nie będzie jej naciskał, i dotrzymał słowa. Zadzwoił tylko, by pochwalić się spotkaniem z Chadem i podziękować, że go do tego namówiła.

- Więc baw się dobrze, Everett. I zadzwoń jutro.

- Obiecuję. Dobranoc, Maggie... i dziękuję...

- Nie dziękuj mnie, Everett. - Uśmiechnęła się. - Podziękuj Bogu. I podziękował, nim zasnął tego wieczoru z lekkim sercem.

Następnego dnia Everett wybrał się do sklepu z zabawkami, by nie przyjść do wnuków z pustymi rękami. Kupił też butelkę perfum dla Debbie i wielki tort czekoladowy. Gdy Chad przyjechał po niego, pomógł mu zapakować pełne torby do pickupa i zapowiedział, że na kolację będą grillowane skrzydełka z kurczaka i zapiekanka makaronowa. Od kiedy Debbie źle się czuła, układanie menu należało do niego i dzieci.

Po radosnym powitaniu Chad zawiózł go do tego małego, schludnego domku, który Everett obejrzał sobie już wcześniej. W ciepłym i przytulnym wnętrzu panował hałas, wszędzie wałały się zabawki, dzieciaki biegały po domu, a ładna, jasnowłosa dziewczyna, trochę blada, odpoczywała na kanapie. Była w widocznej ciąży.

- Pewnie mam przyjemność z Debbie - odezwał się pierwszy, kiedy wstała, by się przywitać.

- Zgadza się. Chad był naprawdę szczęśliwy, że spotkał się wczoraj z panem. Dużo o panu rozmawialiśmy przez

ostanie lata. - Zabrzmiało to tak, jakby mówili o nim same dobre rzeczy, ale Everett zdawał sobie sprawę, że to raczej niemożliwe. Chad miał prawo do gniewu i żalu.

Everett odwrócił się, by spojrzeć na dzieci. Były słodkie i tak samo ładne jak ich rodzice. Wnuczka wyglądała jak aniołek, a dwaj chłopcy, dość wyrośnięci jak na swój wiek, zapowiadali się na krzepkich młodych kowbojów. Wszyscy razem wyglądali jak rodzinka z plakatu reklamowego stanu Montana.

Gdy Chad gotował kolację a Debbie znów położyła się na kanapie, Everett bawił się z dziećmi. Z zachwytem oglądały zabawki, które im podarował. Potem posadził sobie Amandę na kolanach i pokazywał chłopcom sztuczki karciane, a gdy kolacja była gotowa, pomógł Chadowi rozłożyć nakrycia. Debbie nie mogła siedzieć przy stole, bo na widok i zapach jedzenia dostawała mdłości, ale brała udział w rozmowie. Everett bawił się doskonale i z żalem od nich wychodził. Gdy Chad odwoził go do motelu, podziękował mu wylewnie za wspaniałą wieczór.

Kiedy zatrzymali się przed motelem, Chad odwrócił się do niego, by zadać mu pytanie.

- Nie wiem, co o tym myślisz, ale... chcesz się zobaczyć z mamą? Nic nie szkodzi, jeśli nie chcesz. Po prostu pomyślałem, że zapytam.

- A ona wie, że tu jestem?

- Powiedziałem jej dziś rano.

- I chce się spotkać? - Everettowi nie mieściło się w głowie, że mogłaby chcieć tego po tylu latach. Mogła mieć jeszcze gorsze wspomnienia niż on.

- Nie była pewna. Myślę, że jest ciekawa. Może to by dobrze zrobiło wam obojgu, dało jakieś sensowne zakończenie. Zawsze mówiła, że cię jeszcze kiedyś zobaczy, że wrócisz. Kiedyś miała za złe, że tak długo się nie zjawiałeś.



Ale przeszło jej już dawno temu. Ostatnio raczej nie myślała o tobie. Powiedziała, że mogłaby się z tobą spotkać jutro rano. Przyjeżdża do dentysty; mieszka pięćdziesiąt kilometrów za miastem.

- Może to i dobry pomysł. - Everett zamyślił się. - Może uda się pogrzebać duchy przeszłości. - On też długo o niej nie myślał, ale teraz, kiedy poznał Chada, spotkanie z nią już go tak nie przerażało. Rzeczywiście mogliby porozmawiać parę minut, czy ile tam będą w stanie znosić się nawzajem. - Zapytaj ją, co ona na to. Cały dzień będę siedział w motelu. Niewiele mam tu do roboty. - Na wieczór zaprosił całą rodzinę na kolację; Chad powiedział, że wszyscy lubią chińszczyznę, a w mieście była całkiem przyzwoita chińska restauracja. Wyjeżdżał dopiero pojutrze, by spędzić noc w Los Angeles, a potem lecieć na koncert Melanie do Nowego Jorku.

- Przekażę jej, żeby tu zajrzała, jeśli zechce.

- Jak jej pasuje. - Everett udawał wyluzowanego, ale wciąż był trochę spięty na myśl o spotkaniu z Susan. Po jej wyjściu mógł pójść na mityng, tak jak zrobił to dzisiaj po południu, zanim odwiedził Chada i dzieci.

Chad obiecał, że przekaze wiadomość i że podjedzie po ojca jutro wieczorem. Gdy Everett został sam, natychmiast zdał relację Maggie. Powiedział jej, jak miło spędził czas, jakie śliczne są dzieci, i jakie grzeczne.

Maggie słuchała z przyjemnością i podzielała jego radość. Ale z jakiegoś powodu przemilczał, że być może spotka się nazajutrz z byłą żoną.

Susan zjawiała się w motelu o dziesiątej następnego ranka, gdy Everett kończył właśnie ciastko i kawę. Zapukała do drzwi jego pokoju, a gdy otworzył, długą chwilę stali w progu, przyglądając się sobie nawzajem. W końcu zaprosił ją do środka; na szczęście w pokoju znajdowały się dwa fotele. Sara niewiele się zmieniła, przytyła tylko i postarzała się.

Badawczo spojrzała mu w oczy i zlustrowała od stóp do głów. Everett miał wrażenie, że ogląda na filmie kawałek swojej historii - pamiętał miejsce i osobę, ale nic już do niej nie czuł. Nie pamiętał, jak to było, gdy ją kochał, i zastanawiał się, czy w ogóle kochał. Młodych, zagubionych nastolatków przerosła sytuacja, w której się znaleźli.

Usiedli w fotelach naprzeciw siebie, z trudem szukając słów. Everett czuł to samo, co przed laty: że nie ma z tą kobietą absolutnie nic wspólnego - wtedy przegapił ten fakt, zaślepiony młodzieńczym pożądaniem i entuzjazmem, kiedy zaczęli ze sobą chodzić. A potem zaszła w ciążę. Przypomniawsobnie, jaki czuł się osaczony, jaki zdesperowany, jak czarna wydawała mu się przyszłość, kiedy ojciec Susan uparł się przy małżeństwie, a on zgodził się na nie, jakby godził się na dożywocie. Czekające go lata jawiły mu się wtedy jako długa, samotna droga, przepelniając go rozpaczą. Teraz, na samo wspomnienie, czuł, że znów brakuje mu tchu i doskonale przypominał sobie, dlaczego uciekł, a wcześniej zaczął pić. Całe życie z nią równało się samobójstwu. Uważał, że była dobrą kobietą, ale po prostu zupełnie nieodpowiednią dla niego. Przez ułamek sekundy poczuł, że ma ochotę się napić, ale z trudem wrócił myślami do terażniejszości i przypomniał sobie, gdzie jest - i że jest wolny. Nie mogła go już uwięzić. Zresztą, zawiniły bardziej okoliczności niż ona. Oboje padli ofiarą swojego przeznaczenia, ale on nigdy nie potrafił pogodzić się z myślą, że ma spędzić z nią całe życie - choćby dla dobra syna.

- Chad to wspaniały chłopak - zaczął od komplementu, a Susan skinęła głową z chłodnym uśmiechem. Nie wyglądała na szczęśliwą, ani na nieszczęśliwą. Była kompletnie nijaka. - I ma wspaniałe dzieci. Pewnie jesteś z niego dumna. Świetnie go wychowałaś, Susan. Ja nie mam w tym żadnej zasługi. Przepraszam za te wszystkie lata. - Nadarzyła się okazja, by i

ją przeprosić za krzywdy, za to nieszczęśliwe małżeństwo. Teraz zdawał sobie doskonale sprawę, jakim wtedy marnym mężem i ojcem się okazał. Przecież sam był jeszcze dzieckiem.

- Daj spokój - odparła cicho. Wyglądała na starszą, niż wskazywałby jej wiek. Nie miała lekkiego życia w Montanie, tak jak i on w swojej wiecznej podróży. Ale on wiódł o wiele ciekawsze życie. Tak bardzo różniła się od pełnej werwy Maggie. W Susan było coś, co sprawiało, że czuł się martwy w środku, nawet teraz. Nie bardzo potrafił sobie nawet wyobrazić, jak wyglądała, kiedy się poznali. - To dobry chłopak. Uważałam, że powinien się uczyć, ale on zawsze wolał uganiać się na koniu niż siedzieć w książkach. - Wzruszyła ramionami. - Ale chyba jest szczęśliwy. - Everett, patrząc na nią, dostrzegł w jej oczach miłość. Kochała ich syna. I za to czuł wdzięczność.

- Na to, wygląda. - Ta rodzicielska rozmowa przebiegała dziwnie w ich wykonaniu. Pierwsza, i pewnie ostatnia. Everett miał nadzieję, że jest szczęśliwa, choć na taką nie wyglądała. Poważna twarz tej kobiety nie wyrażała żadnych emocji. Ale przecież i dla niej to spotkanie nie było łatwe. Everett dostrzegał w jej oczach zadowolenie, jakby ta rozmowa i jej pozwoliła pogrzebać jakieś stare żale. Tak bardzo się od siebie różnili, że byliby nieszczęśliwi, gdyby zostali razem. Teraz oboje wiedzieli już, że wszystko potoczyło się tak, jak miało się potoczyć.

Susan nie siedziała długo; spieszyła się do dentysty. Gdy wyszła, Everett wybrał się na spacer, a potem na mityng. Opowiedział o spotkaniu z byłą żoną i o swoich odczuciach. Teraz wreszcie zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Potrzebował tego spotkania, by przypomnieć sobie, dlaczego odszedł. Życie z nią zabiłoby go, ale był wdzięczny, że ma Chada i wnuki. Więc jednak połączyło ich coś dobrego.

Wszystko to działo się nie bez powodu i teraz poznał wreszcie ten powód. Nie mógł wiedzieć, że po trzydziestu latach jego młodzięcza wpadka nabierze sensu, i że Chad i jego dzieci będą jego jedyną rodziną. Sara dała mu jednak coś dobrego i za to też powinien być wdzięczny.

Kolacja w chińskiej restauracji okazała się niezmiernie wesołym wydarzeniem. Everett i Chad nie mogli się dość nagadać, a dzieciaki szczebiotały, chichotały i paprały jedzeniem po całym stole. Debbie też przyszła i starała się dzielnie znosić intensywne zapachy. Tylko raz musiała wyjść na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza. A kiedy po kolacji Chad podrzucił ojca do motelu, uściskał go mocno, a potem uściskały go wszystkie dzieciaki i Debbie. W końcu Chad powiedział:

- Dzięki, że spotkałeś się z mamą. Myślę, że dla niej to wiele znaczyło. Czuję, że wtedy nie pożegnała się z tobą jak należy. Zawsze myślała, że kiedyś wrócisz. - Everett wiedział już teraz, dlaczego tego nie zrobił, ale nie powiedział synowi. W końcu Susan była jego matką, i to ona troszczyła się o niego i kochała go. Everettowi mogła się wydawać nudna, ale wspaniale się spisała, wychowując ich syna, i szanował ją za to.

- Myślę, że nam obojgu dobrze zrobiło to spotkanie - przyznał szczerze. Przecież i jemu przypomniało dawną rzeczywistość, od której uciekł.

- Powiedziała, że miło się wam rozmawiało.

Może ona tak uważała, Everett na pewno nie. Ale rozmowa spełniła swoje zadanie, a poza tym widział, jak bardzo zależało na ich spotkaniu synowi. Już samo to sprawiało, że warto było przecierpieć te parę chwil.

Everett obiecał, że jeszcze ich odwiedzi i że będzie w kontakcie. Zostawił im numer swojej komórki, tłumacząc, że praca zmusza go do częstych podróży.

Wszyscy machali mu, odjeżdżając. Cała ta wizyta, choć tak się jej obawiał, okazała się wielkim sukcesem. Tego wieczoru znów zadzwonił do Maggie i opowiedział jej o wszystkim. Zrobiło mu się smutno, że nazajutrz musi wyjechać z Butte. Ale misja została wypełniona. Odnalazł swojego syna - wspaniałego człowieka z uroczą rodziną. I nawet jego była żona nie okazała się potworem; po prostu z tą kobietą nie mógłby żyć. Podróż do Montany okazała się prawdziwym rogiem obfitości wspaniałych darów. A wszystko to zawdzięczał Maggie. Ona stała się źródłem wszystkich dobrych zmian w jego życiu.

Gdy samolot wystartował następnego ranka, Everett patrzył, jak Montana przepływa powoli w dole. Zataczając krąg przed obraniem kursu na zachód samolot przeleciał nad ranczem, na którym pracował Chad. Everett popatrzył w dół z uśmiechem, wiedząc, że ma syna i wnuki, i że nigdy już ich nie straci. Teraz, kiedy stawił czoło demonom i własnym porażkom, mógł wracać do Chada i jego rodziny bez przeszkód. Cieszył się na to z góry. Pomyślał, że może nawet zabierze ze sobą Maggie. I chciał zobaczyć nową wnuczkę na wiosnę. Tak długo bał się tej wizyty, a pozwoliła mu ona odzyskać kawałek duszy, którego brakowało mu od wielu lat, może przez całe życie. A teraz go odnalazł. Chad i Maggie - to były dwa najwspanialsze dary losu.

## Rozdział 20

Everett z przyjemnością pojechał zrobić reportaż z noworocznego koncertu Melanie. Madison Square Garden okupowali fani, a sama Melanie prezentowała świetną formę. Wyleczyła kostkę, odzyskała spokój ducha i widać było, że jest szczęśliwa i pełna sił. Everett postąpił kilka minut za kulisami z Tomem i zrobił mu zdjęcie z Melanie. Janet też oczywiście była na miejscu i rozstawiała wszystkich po kątach, ale wydała mu się trochę bardziej stonowana i nie tak okropna, jak ją zapamiętał. Wyglądało na to, że dobrze się dzieje w państwie duńskim.

Zadzwoił do Maggie w Nowy Rok, kiedy u niej była północ; koncert się skończył, ale specjalnie się nie kładł, by doczekać odpowiedniej pory. Siedziała w domu przy telewizorze. Powiedziała, że myślała o nim; miała zatroskany głos.

- Wszystko w porządku? - spytał zaniepokojony. Wciąż się bał, że ona może zamknąć przed nim drzwi, jeśli uzna, że tak będzie dla niej najlepiej. Wiedział, jak ceni sobie lojalność i czym są dla niej złożone śluby, a jego osoba stanowiła ogromne wyzwanie, może nawet zagrożenie dla niej samej i dla wszystkiego, w co wierzyła.

- Mam sporo na głowie - przyznała. Musiała podjąć ważne decyzje, przewartościować całe swoje życie, zdecydować o przyszłości swojej i Everetta. - Ostatnio wciąż się modłę, prosząc o odpowiedź.

- Nie módl się za dużo. Może jeśli odpuścisz sobie na chwilę, odpowiedzi przyjdą same.

- Oby. - Westchnęła ciężko. - Szczęśliwego Nowego Roku, Everett. Mam nadzieję, że będzie dla ciebie wspaniały.

- Kocham cię, Maggie - powiedział. Nagle poczuł się samotny. Tęsknił za nią i nie miał pojęcia, jak się ich sprawy

potoczają. Powtarzał sobie, że wszystko samo się rozwiąże, krok po kroku, i to samo mówił jej.

- Ja też cię kocham, Everett. Dzięki, że zadzwoniłeś. Pozdrów ode mnie Melanie, jeśli ją jeszcze zobaczysz. Powiedz jej, że za nią tęsknię.

- Powiem. Dobranoc, Maggie. Szczęśliwego Nowego Roku... mam nadzieję, że będzie wspaniałą dla nas obojga, jeśli to możliwe.

- Wszystko jest w boskich rękach. - Zostawiała tę sprawę jemu. Tylko tyle mogła zrobić; polecić się Bogu i słuchać odpowiedzi, która przyjdzie do niej przez modlitwę, jakakolwiek by była.

Gasząc światło w pokoju hotelowym Everett miał głowę i serce pełne Maggie. Obiecał jej, że nie będzie jej naciskał, nawet jeśli chwilami bał się jak diabli. I on przed snem zmówił modlitwę o spokój. Teraz mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, dla nich obojga. Zasypiając spoglądał w przyszłość, ciekaw, co przyniesie.

Nie widział się z Maggie przez następne dwa i pół miesiąca, choć często rozmawiali przez telefon. Mówiła, że potrzebuje czasu i przestrzeni, że musi wszystko spokojnie przemyśleć. Ale w połowie marca przyjechał do San Francisco, oddelegowany przez „Scoop” na proces Seta. Maggie wiedziała, że przyjeżdża, i że będzie zajęty. Dzień przed pierwszą rozprawą poszła z nim na kolację. Zobaczył ją wtedy po raz pierwszy od niemal trzech miesięcy. Wyglądała świetnie. Powiedział jej, że Debbie, żona Chada, poprzedniej nocy urodziła córeczkę, której dali na imię Jade. Maggie ogromnie się ucieszyła, że przybyła mu kolejna wnuczka.

Zjedli miłą kolację, a potem Everett odwiózł Maggie do domu. Nim zostawił ją na ganku, chwilę rozmawiali o Sarze i jej mężu. Maggie martwiła się o nią. Wszyscy się spodziewali, że Seth w ostatniej chwili poprosi prokuratora o ugodę i

spróbuje uniknąć procesu, ale tego nie zrobił. Czekala go seria rozpraw z ławą przysięgłych i wydawało się oczywiste, że raczej nie ucieszy się z werdyktu. Maggie cały czas modliła się o łagodny wyrok.

Żadne z nich nie wspomniało o sytuacji między nimi, ani o decyzji, którą miała podjąć Maggie. Everett zakładał, że kiedy dojdzie do jakichś wniosków, sama mu powie. A najwyraźniej jeszcze nie doszła.

Sara była tego wieczoru w swoim mieszkaniu na Clay Street. Nim położyła się spać, zadzwoniła do Setha.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że cię kocham i pragnę, żeby to wszystko dobrze się skończyło. Nie chcę, żebyś myślał, że jestem zła na ciebie. Nie jestem. Po prostu się boję, co z nami będzie.

- Ja też - przyznał. Lekarz przepisał mu środki uspokajające i betablokery na czas procesu. Seth nie wyobrażał sobie, jak to wszystko przetrwa, ale zwyczajnie nie miał wyjścia. Jej telefon trochę go podniósł na duchu. - Dzięki, Saro.

- Do zobaczenia rano. Dobranoc, Seth.

- Kocham cię, Saro - powiedział smutno.

- Wiem - odparła równie smutnym tonem i rozłączyła się. Jeszcze nie znalazła w sobie siły, by mu przebaczyć. Ale żałowała go. W tej chwili stać ją było tylko na współczucie. Na przebaczenie jeszcze nie.

Everett wstał następnego dnia i spakował aparat do torby. Nie mógł go wyciągać na sali sądowej, ale zamierzał fotografować wszystko, co będzie się działo na zewnątrz. Zrobił zdjęcie Sary, z powagą towarzyszącej mężowi. Nie zauważyła Everetta. Miała na sobie skromną, ciemnopopielatą garsonkę. Wyglądała blado, ale Seth jeszcze gorzej. Kilkanaście minut później zjawila się Maggie. Zajęła miejsce z tyłu sali, by dyskretnie przyglądać się rozprawie. Przyszła tu



dla Sary, w nadziei, że jej obecność choć trochę doda jej otuchy.

Po rozprawie wyszła na zewnątrz i porozmawiała chwilę z Everettem. Ciągłe pracował, a ona miała spotkać się z pracownicą opieki społecznej, by załatwić bezdomnemu miejsce w schronisku. Wieczorem, kiedy Everett był już wolny, znów zjedli razem kolację. Proces nie wyszedł jeszcze poza etap wyboru ławy przysięgłych i zapowiadało się, że nie skończy się szybko. Sędzia ostrzegł przysięgłych, że sprawa może potrwać nawet miesiąc, biorąc pod uwagę skomplikowane analizy dokumentów finansowych. Seth przez cały czas siedział z ponurą miną. Sloane'owie prawie się do siebie nie odzywali, lecz Sara stała dzielnie przy mężu.

Wybór przysięgłych potrwał dwa tygodnie. Sara i Seth nie mogli się doczekać końca, ale wreszcie udało się skompletować ławę dwunastu sędziów przysięgłych i wybrać dwóch zmienników. Osiem kobiet i sześciu mężczyzn. W końcu zaczął się właściwy proces. Prokurator i obrońca wygłosili mowy początkowe. Sara krzywiła się, słuchając oskarżenia, gdy prokurator wyliczał wszystkie niemoralne i niezgodne z prawem postęпки podsądnego. Seth miał swoje pigułki uspokajające. Ona nie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób obrońcy byliby w stanie obalić te argumenty, gdy dzień po dniu oskarżyciel przedstawiał dowody, świadków, ekspertów, coraz bardziej pogrążając Seta.

W trzecim tygodniu procesu Seth był wykończony, a Sara niemal czołgała się na czworakach ze zmęczenia, kiedy wracała do domu, do dzieci. Wzięła wolne, by móc brać udział w rozprawach; Karen Johnson powiedziała jej, że ma się nie przejmować pracą. Było jej ogromnie żal Sary. Maggie dzwoniła co wieczór, by spytać, jak się czuje, ale Sara trzymała się jakoś mimo tego niewyobrażalnego stresu.

Everett często umawiał się z Maggie na kolacje podczas tych trudnych tygodni, ale dopiero w kwietniu odważył się poruszyć sprawę ich przyszłości. Maggie powiedziała, że nie chce o tym rozmawiać i że wciąż się modli. Rozmawiali więc o procesie. Trudno było im myśleć o czymś innym. Spotykając się mówili tylko o tym. Oskarżenie z dnia na dzień pograżało Seta coraz bardziej; Everett stwierdził, że zdecydowanie się na proces w tej sytuacji to samobójcze posunięcie. obrońcy robili, co w ich mocy, ale dowody przedstawiane przez prokuraturę okazały się tak mocne, że niewiele mogli zdziałać. Maggie widziała, że z każdym dniem tygodnia Sara jest coraz chudsza i coraz bledsza. Sloane'owie nie mieli innego wyjścia, jak brnąć dalej, ale oboje zostali poddani okrutnej próbie. Wiarygodność i reputacja Seta zostały zrównane z ziemią. Było to ogromnie przykre dla tych wszystkich, którzy troszczyli się o nich, a w szczególności o Sarę. Stawało się coraz bardziej jasne, że Seth powinien był pójść na ugodę i przyznać się do winy, bo wtedy być może uzyskałby niższy wyrok. Na uniewinnienie nie mógł liczyć.

Rodzice Sary przyjechali na pierwszy tydzień procesu, ale ojciec miał chore serce; matka nie chciała namawiać go na wielki stres, wrócili więc do domu jeszcze zanim wybrano ławę przysięgłych.

Obrońcy robili co mogli. Henry Jacobs, ogromnie utalentowany adwokat i mistrz sądowych rozgrywek też miał ograniczone pole manewru. Problem w tym, że Seth dał mu do reki bardzo słabe karty i wszystkie argumenty na jego korzyść były w zasadzie czystym blefem.

Everett codziennie wysyłał do „Scoop” relacje z procesu. Maggie zajmowała się swoją zwykłą pracą, ale każdą wolną chwilę spędzała na sali sądowej. Śledziła sprawę na bieżąco, mogła zamienić parę słów z Everettem podczas przerw i dodawać otuchy Sarze.

- Co będzie z Sarą, jeśli Seth pójdzie siedzieć? - zapytał Everett. Jedli z Maggie kolację w bistro naprzeciw jej mieszkania, gdzie ostatnio często się spotykali wieczorami. On też martwił się o Sarę. Wyglądała na coraz bardziej złamaną, coraz słabszą, ale nie opuściła ani jednego dnia procesu. Dzielnie zachowywała pozory godności i spokoju, próbując natchnąć męża pewnością i wiarą, których, jak doskonale wiedziała Maggie, wcale nie czuła. Czasami, późnym wieczorem, rozmawiały przez telefon. I najczęściej wyglądało to tak, że Sara po prostu szlochała w słuchawkę, kompletnie złamana. - Bo chyba słaba nadzieja, że on się z tego wykręci. - Everett nie miał wątpliwości po tym, co usłyszał w ciągu ostatnich tygodni, i nie wyobrażał sobie, by przysięgli widzieli to inaczej.

- Nie wiem. Będzie musiała jakoś sobie poradzić. Nie ma wyboru. Rodzice ją wspierają, ale mieszkają daleko. Niewiele mogą jej pomóc. W zasadzie jest zdana sama na siebie. Nie wiem, czy Sloane'owie mieli wielu bliskich przyjaciół, ale teraz pewnie większość się od nich odwróciła. A poza tym Sara jest chyba zbyt dumna i zbyt upokorzona tym wszystkim, by wyciągnąć rękę po pomoc. Jest bardzo silna, ale jeśli Seth pójdzie do więzienia, zostanie sama. Nie wiem, czy ich małżeństwo to przetrwa. Prędzej czy później będzie musiała podjąć i tę decyzję.

- Muszę przyznać, że jest bardzo dzielna, skoro tak długo wytrzymała. Ja pewnie rzuciłbym tego gnojka w dniu, kiedy został oskarżony. Zasłużył sobie na to. Zrujnował jej życie. Nikt nie ma prawa robić czegoś takiego drugiemu człowiekowi, i to przez najzwyczajszą chciwość i nieuczciwość. Dla mnie ten gość jest nikim.

- Ona go kocha. I stara się postąpić fair.

- Postąpiła już bardziej niż fair. Ten facet poświęcił przyszłość jej i dzieci dla własnego zysku, a mimo to ona

siedzi przy nim, wspiera go. On na to nie zasługuje. Myślisz, Maggie, że zostanie z nim, jeśli go skażą? - Everett nigdy jeszcze nie widział takiej lojalności i wiedział, że sam nie byłby do niej zdolny. Ogromnie podziwiał Sarę i było mu jej potwornie żal. Zapewne wszyscy na sali sądowej czuli to samo.

- Nie wiem - przyznała szczerze Maggie. - I myślę, że ona też nie wie. Chce postąpić jak należy. Ale ma trzydzieści sześć lat, ma prawo do lepszego życia, kiedy on pójdzie siedzieć. Jeśli się rozwiodą, będzie mogła zacząć wszystko od nowa. Jeśli nie, spędzi wiele lat odwiedzając go w więzieniu, czekając na niego i patrząc, jak jej życie przecieka przez palce. Nie chcę jej doradzać, nie mogę. Ale sama mam mieszane uczucia w tej sprawie. Cokolwiek się stanie, musi mu wybaczyć, ale to nie oznacza, że ma poświęcić całe swoje życie, bo on popełnił błąd.

- Ma sporo do wybaczenia - stwierdził ponuro Everett. Maggie skinęła głową.

- Zgadza się. Nie wiem, czy ja bym potrafiła. Pewnie nie. Chciałabym myśleć, że mam w sobie wystarczająco dużo szlachetności, ale wcale nie jestem tego pewna. Tylko Sara może zdecydować, czego chce, i chyba jeszcze tego nie wie. Nie ma zbyt wielu opcji. Może zostać z nim, nie wybaczywszy, albo wybaczyć i odejść. Łaska czasami objawia się w niespodziewany sposób. Mam nadzieję, że dziewczyna znajdzie właściwą odpowiedź.

- Ja tam wiem, jaka byłaby moja - powiedział Everett. - Zabiłbym tego drania. Ale to pewnie też niewiele by jej pomogło. Nie zazdroszczę jej tego siedzenia dzień po dniu na sali sądowej i wysłuchiwania, jaki z niego kłamliwy sukinsyn. A mimo to ona codziennie wychodzi z sądu razem z nim i całuje go na pożegnanie.

Gdy czekali na deser, Everett zdecydował się poruszyć o wiele delikatniejszy temat. W Boże Narodzenie Maggie obiecała mu, że przemyśli ich sytuację. Minęły już prawie cztery miesiące, a ona, tak jak Sara, nie podjęła żadnej decyzji i unikała wszelkich dyskusji na ten temat. Już nie mógł wytrzymać niepewności, ten stan dobijał go. Wiedział, że Maggie go kocha, ale wiedział też, że nie chce porzucać stanu duchownego. Musiała podjąć piekielnie trudną decyzję. I tak jak Sara, Maggie czekała na boże błogosławieństwo w postaci właściwej odpowiedzi. W wypadku Sary wszystkie rozwiązania były złe, i w pewnym sensie z Maggie też. Miała do wyboru albo odejść z zakonu dla Everetta, by móc dzielić z nim życie, albo porzucić nadzieję na ziemską miłość i dotrzymać ślubów do końca życia. W obu wypadkach traciła coś, co kochała i czego pragnęła, i w obu wypadkach zyskiwała coś w zamian. Tak czy inaczej, nie mogła mieć jednego i drugiego. Everett spojrzał badawczo w jej oczy, delikatnie próbując poruszyć ten temat. Obiecał, że nie będzie jej ponaglał i że da jej tyle czasu, ile potrzebowała, ale bywały chwile, kiedy chciał po prostu wyciągnąć ręce, porwać ją w objęcia i błagać, by z nim uciekła na koniec świata. Wiedział, że nie mogłaby tego zrobić. Zdawał sobie sprawę, że jeśli zdecyduje się żyć z nim, będzie to starannie przemyślana, mądra, a przede wszystkim uczciwa i czysta decyzja.

- A tak z innej beczki, myślałaś ostatnio o nas? - zagadnął. Maggie wbiła wzrok w filiżankę kawy, ale w końcu spojrzała na niego. Dostrzegł w jej oczach niezmierny ból i nagle przeraził się, że podjęła decyzję, i że nie wybrała jego.

- Jeszcze nic nie wymyśliłam, Everett. - Westchnęła ciężko. - Kocham cię. Tyle wiem. Nie wiem tylko, jaka ścieżka jest mi przeznaczona, w którym kierunku mam iść. Chcę być pewna, że wybrałam tę właściwą, dla dobra nas obojga. - Poświęcała temu każdą myśl i całą swoją uwagę już

od czterech miesięcy, a właściwie nawet dłużej, od dnia ich pierwszego pocałunku.

- Wiesz, jak ja na to patrzę - powiedział z nerwowym uśmiechem. - Bóg będzie cię kochał niezależnie od tego, co zrobisz. Tak jak i ja. Ale naprawdę chciałbym przeżyć z tobą życie, Maggie. Może powinnaś porozmawiać ze swoim bratem. On przez to przeszedł. Czuł to samo.

- On nie miał tak silnej wiary. Ledwie poznał swoją żonę, było po wszystkim. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek przeżywał rozterki. Stwierdził, że skoro Bóg postawił tę kobietę na jego drodze, widocznie tak ma być. Żałuję, że mnie brakuje takiej pewności. Może to tylko jakaś ekstremalna forma pokusy, żeby mnie wypróbować, a może rzeczywiście przeznaczenie puka do moich drzwi.

Everett widział, jak bardzo jest udręczona; przemknęło mu przez głowę, że Maggie może nigdy nie podjąć tej decyzji, że w pewnej chwili po prostu się podda.

- Będziesz mogła dalej pracować z biednymi na ulicach, tak jak to robisz teraz. Możesz być pielęgniarką środowiskową, pracownikiem socjalnym albo jednym i drugim. Możesz robić cokolwiek zechcesz, Maggie. Nie musisz z tego rezygnować. - Mówił jej to wszystko już wcześniej. Ale dla niej problemem nie była jej praca, tylko śluby zakonne. Oboje zdawali sobie sprawę, że właśnie o nie tu chodzi. Ale Everett nie wiedział, że już od trzech miesięcy prowadziła rozmowy z ojcem prowincjałem swojego zgromadzenia, z matką przełożoną, spowiednikiem i psychologiem specjalizującym się w specyficznych problemach środowisk duchownych. Robiła wszystko, co w jej mocy, by podjąć tę decyzję mądrze, by nie borykać się z tym samotnie. Everett pewnie by się ucieszył, wiedząc to wszystko, ale nie chciała mu dawać fałszywej nadziei, gdyby wynik jednak nie okazał się korzystny dla niego.

- Możesz dać mi jeszcze trochę czasu? - Sama sobie wyznaczyła termin do czerwca, ale i tego mu nie powiedziała, z tych samych powodów.

- Oczywiście, że mogę.

W końcu odprowadził ją pod jej kamienicę. W ciągu tych ostatnich tygodni miał wreszcie okazję zobaczyć jej mieszkanie i był przerażony na widok ciasnego, pustego, przygnębiającego wnętrza. Maggie upierała się, że jej to nie przeszkadza, a mieszkanie i tak jest bardziej przytulne i większe niż cela w pierwszym lepszym klasztorze. Ślub ubóstwa traktowała równie poważnie jak wszystkie pozostałe. Everett nie powiedział jej tego, ale nie wytrzymałby w tym mieszkaniu nawet dnia. Jediną dekoracją był prosty krucyfiks na ścianie. Poza tym nie było tu nic prócz łóżka, komody i jednego rozklekotanego krzesła, które znalazła na ulicy.

Kiedy się z nią rozstał, poszedł na mityng, a potem wrócił do hotelu, by napisać codzienną relację z procesu. Naczelnemu bardzo się podobały materiały, które przysyłał; artykuły dobrze napisane i świetne zdjęcia sprzed gmachu sądu.

Obrona potrzebowała prawie całego dnia, by podsumować swoją argumentację. Seth siedział ze zmarszczonymi brwiami, niespokojny. Sara kilka razy zamykała oczy, słuchając w absolutnym skupieniu, a Maggie modliła się. Henry Jacobs i jego ekipa wysuwali zręczne argumenty i bronili Seta, jak się dało. Biorąc pod uwagę okoliczności, odwalili dobrą robotę. Ale okoliczności nie sprzyjały.

Następnego dnia sędzia pouczył przysięgłych, podziękował świadkom za zeznania, prawnikom za wspólną reprezentację podsądnego oraz rządu, i wreszcie ława przysięgłych udała się na naradę. Ogłoszono przerwę, dopóki sędziowie nie podejmą decyzji. Sara, Seth i ich pełnomocnicy

mogli już tylko czekać. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że obrady ławy mogą potrwać nawet parę dni.

Maggie podeszła do Sary, by zamienić z nią parę słów; Sara twierdziła stanowczo, że dobrze się czuje, ale wyglądała fatalnie. W końcu Maggie wyszła z Everettem na ulicę. Porozmawiała z nim kilka minut, ale spieszyła się na spotkanie. Szła na kolejną rozmowę z prowincjałem, lecz nie wspomniała o tym Everettowi. Po prostu cmoknęła go w policzek i poszła, a on wrócił do sądu, by z innymi czekać na werdykt.

Sara usiadła obok Seta w ostatnim rzędzie krzeseł na sali sądowej. Wyszli na chwilę, by się przewietrzyć, ale niewiele im to pomogło. Sara czuła się tak, jakby czekała, aż trafi w nich kolejna bomba. Oboje wiedzieli, że to nieuniknione. Nie znali tylko siły rażenia i skali zniszczeń.

- Przepraszam, Saro - odezwał się cicho Seth. - Bardzo przepraszam, że cię na to naraziłem. Nie myślałem, że coś takiego może nas spotkać.

Wielka szkoda, pomyślała Sara, ale nie powiedziała tego na głos. - Czy ty mnie nienawidzisz? - Spojrzał badawczo w jej oczy, a ona pokręciła głową. Łzy płynęły jej po policzkach, jak niemal bez przerwy przez ostatnie dni. Wszystkie emocje dawało się wyczytać z jej twarzy. Czuła, że opada już z sił. Zużyła wszystkie, by wytrwać przy nim.

- Nie nienawidzę cię. Kocham cię. Po prostu wolałabym, żeby nie było tego wszystkiego.

- Ja też. Szkoda, że nie poszedłem na ugodę, zamiast narażać cię na ten koszmar. Ale myślałem, że może uda się wygrać. - Sara tego się właśnie obawiała. Uroił sobie wygraną tak jak uroił sobie własną bezkarność, gdy popełniał przestępstwo z Sullym. Obaj byli tak pewni własnych racji, że oskarżali się nawzajem, a informacje, jakie podawali na swój temat, posłużyły tylko prokuratorom do tym pewniejszego



udowodnienia im winy, zamiast zmniejszyć ich wyroki. Żaden z nich nie poszedł na ugode, żaden nie przyznał się do winy, choć im obu dano taką możliwość. Henry Jacobs ostrzegał Seta, że dążenie do procesu prawdopodobnie będzie go kosztować wyższy wyrok, ale Seth, w głębi duszy zatwardziały hazardzista, postanowił zaryzykować, i teraz bał się rezultatu. Pozostało tylko czekać na decyzję przysięgłych. Sędzia miał wydać wyrok miesiąc po ogłoszeniu werdyktu.

- Musimy poczekać i przekonać się, co orzekną - powiedziała cicho Sara. Ich los pozostawał w rękach tych dwunastu obcych osób.

- A ty jaki wydasz wyrok? - zapytał niespokojnie Seth. Nie chciał, by go teraz porzuciła. Potrzebował jej jak nigdy w życiu, niezależnie od ceny, jaką miałyby za to zapłacić. - Zdecydowałaś już, co będzie z nami?

Sara bez słowa pokręciła głową. Mieli i tak wystarczająco dużo kłopotów, by dokładać do tego jeszcze rozwód. Chciała poczekać na decyzję przysięgłych, a Seth jej nie naciskał. Za bardzo się bał odpowiedzi. Widział, że Sara już od jakiegoś czasu jest na skraju załamania. Proces fatalnie odbił się na jej psychice, ale wytrwała lojalnie do końca, tak jak obiecała. Zawsze dotrzymywała danego słowa, czego nie dało się powiedzieć o jej mężu. Everett w rozmowach z Maggie nazywał go szumowiną. A inni wypowiadali się o nim jeszcze gorzej, choć nigdy w obecności Sary. To ona był bohaterką i ofiarą tej całej historii, a w oczach Everetta niemal świętą.

Czekali sześć dni na zakończenie obrad ławy przysięgłych. Materiał dowodowy był skomplikowany, a tygodniowe oczekiwanie stało się koszmarem dla Sary i Seta. Dzień po dniu wracali wieczorem do swoich mieszkań. Któregoś wieczoru Seth zapytał nawet Sarę, czy nie pojechałaby do niego - przerażony, nie chciał siedzieć w samotności - ale po pierwsze Molly zachorowała, a po drugie

Sara nie miała najmniejszej ochoty spędzać nocy u niego. Próbowwała choć trochę się chronić, więc z przykrością, ale musiała odmówić jego prośbie. Wiedziała, jak bardzo cierpiał, lecz ona też cierpiała. Seth w końcu wrócił sam i z braku towarzystwa zwyczajnie się upił. Zadzwoił do niej o drugiej nad ranem, kompletnie nieprzytomny, bełkocząc, że ją kocha. A następnego dnia miał potężnego kaca. Tego dnia, późnym popołudniem, przysięgli wrócili wreszcie na salę sądową. Zrobiło się zamieszanie, gdy wszyscy pospiesznie zajmowali swoje miejsca.

Sędzia z uroczystą miną zapytał przysięgłych, czy ustalili werdykt w sprawie „Stany Zjednoczone przeciwko Sethowi Sloane'owi”. Przewodniczący ławy wstał, równie uroczysty i poważny. Był właścicielem pizzerii, katolikiem z szóstką dzieci, przez rok chodził do college'u. Traktował swoje obowiązki z ogromną powagą i codziennie ubierał się do sądu w garnitur i krawat.

- Tak, Wysoki Sądzie - powiedział. Sethowi postawiono pięć zarzutów. Sędzia odczytał wszystkie po kolei, a po każdym z nich przewodniczący podawał ustalony werdykt. Cała sala wstrzymała oddech. Ława przysięgłych uznała Seta winnym wszystkich pięciu przestępstw.

Na sali przez krótką chwilę panowała cisza, jakby do obecnych nie od razu dotarło to, co usłyszeli, i nagle wybuchł nieopisany zgiełk. Sędzia gniewnie zastukał młotkiem, przywołując wszystkich do porządku. Gdy wrzawa przycichła, podziękował przysięgłym i zwolnił ich z obowiązków. Proces trwał pięć tygodni, a ich narada przedłużyła go jeszcze o tydzień.

Gdy Sara zrozumiała, co się stało, odwróciła się, by spojrzeć na męża. Seth siedział na swoim krześle i płakał. Popatrzył na nią, zrozpaczony. Jediną szansą na apelację, jak twierdził Henry Jacobs, byłoby pojawienie się nowych

dowodów w sprawie lub udowodnienie jakichś nieprawidłowości podczas czynności procesowych. Henry wyjaśnił mu już, że jeśli nie pojawią się jakieś nieprzewidziane okoliczności, nie ma podstaw do apelacji. A więc skończyło się. Seth został uznany winnym. Sędzia miał ogłosić wyrok dopiero za miesiąc, ale kara więzienia stała się oczywista. Sara, też zdruzgotana, mogła tylko mężowi współczuć. Wiedziała, że ten moment kiedyś nastąpi, zrobiła wszystko, by się nań przygotować, i werdykt jej nie zaskoczył. Po prostu żałowała Seta, siebie samej i dzieci, które miały dorastać odwiedzając ojca w więzieniu.

- Przykro mi - szepnęła do niego. Po chwili adwokaci pomogli im wydostać się z sali.

W tej chwili Everett ruszył do akcji, by zrobić zdjęcia zleczone przez redakcję „Scoop”. Czuł się niezręcznie, że musi naruszyć prywatność Sary w tak trudnej chwili, ale nie miał innego wyjścia jak napaść na nich oboje przed salą sądową, razem z całym tłumem fotografów i operatorów kamer. Na tym polegała jego praca. Seth niemal warczał, przepychając się przez tę ciżbę, a Sara, idąca za nim, wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Przed budynkiem czekała na nich taksówka. Kiedy odjechali, tłum zaczął powoli rzednąć.

Everett dostrzegł Maggie na schodach gmachu sądu. Nie zdołała dopchać się do Sary, by cokolwiek jej powiedzieć. Gdy do niej pomachał, wstała ze stopnia i ruszyła w dół, w jego stronę. Była poważna i zatroskana, choć werdykt nikogo nie zaskoczył. A przecież trzeba jeszcze poczekać na wyrok. Nie dało się przewidzieć, na ile lat sędzia skaze Seta, ale zanosilo się na bardzo długą odsiadkę. Tym bardziej, że Seth nie przyznał się do winy i uparł się przy procesie - zmarnował pieniądze podatników w nadziei, że wykręci się od odpowiedzialności z pomocą wysoko opłacanych prawników i ich sztuczek. Nie udało mu się, osiągnął jedynie to, że nie

mógł już liczyć na pobłażliwość. Przeciągnął strunę do samego końca i wydawało się bardzo prawdopodobne, że w zamian sędzia mocno przykręci mu śrubę. W tego typu sprawie miał dosyć duże pole manewru przy ustalaniu wysokości kary. Maggie obawiała się najgorszego, i dla Seta, i dla Sary.

- Tak strasznie mi jej żal - mówiła do Everetta, gdy szli na podziemny parking, gdzie zostawił samochód wynajęty na koszt redakcji. Jego praca w San Francisco dobiegła końca. Miał przylecieć jeszcze na ogłoszenie wyroku i być może pstryknąć kilka zdjęć Seta odprowadzanego do więzienia. Dziś jeszcze odszedł wolny, ale za trzydzieści dni dla Seta kończyło się wszystko. Dziesięciomilionowa kaucja, zwrócona przez poręczyciela, miała pójść prosto na fundusz zabezpieczający roszczenia inwestorów, którzy czekali tylko na dzisiejszy werdykt, by zacząć wnosić cywilne pozwy o odszkodowania. Dla Sary i dzieci nie miało zostać nic, i ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę, podobnie jak Everett i Maggie. Została w oszukańczy sposób pozbawiona pieniędzy, tak samo jak klienci Seta. Ale oni mogli go pozwać i uzyskać zadośćuczynienie, a Sara mogła tylko pozbierać strzępy swojego życia i starać się egzystować dalej. Maggie wydawało się to ogromnie niesprawiedliwe, ale tak to już bywało w życiu. Nie cierpiała, kiedy takie historie przydarzały się dobrym ludziom. Wsiadając do samochodu Everetta czuła się tak zdołowana jak chyba nigdy w życiu.

- Wiem, Maggie - powiedział Everett łagodnie. - Mnie też się to nie podoba. Ale on nie miał szans, żeby się z tego wykręcić. - Stali się świadkami paskudnej historii ze smutnym zakończeniem. Nie był to happy end, jaki Sara wymarzyła dla siebie i Seta, i jakiego życzyłby jej każdy, kto ją znał.

- Jestem po prostu wściekła, że tak się to dla niej skończyło.

- Ja też. - Everett zapalił silnik. Do Tenderloin mieli tylko kawałek drogi, więc po kilku minutach zatrzymał auto przed kamienicą Maggie.

- Lecisz dzisiaj do domu? - zapytała smutno.

- Pewnie tak. Jutro rano spodziewają się mnie w redakcji. Muszę sprawdzić, jak wyszły zdjęcia i poskładać artykuł. Pójdziemy coś przekąsić, zanim wyjadę? - Bardzo nie chciał jej zostawiać, ale siedział w San Francisco już ponad miesiąc i czekali na niego w redakcji.

- Chyba nie mogłabym nic przełknąć. - Spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem. - Będę za tobą tęsknić, Everett. - Tak bardzo przywykła do jego obecności, do codziennych spotkań w sądzie i po rozprawach. Niemal co wieczór jedli razem kolację. Wiedziała, że gdy on wyjedzie, pozostawi straszliwą pustkę w jej życiu. Ale zdawała sobie też sprawę, że dzięki temu rozstaniu będzie miała szansę przekonać się, co tak naprawdę do niego czuje, jeszcze raz spokojnie wszystko przemyśleć.

- Ja też będę tęsknił, Maggie. - Uśmiechnął się ciepło. - Zobaczymy się, kiedy przyjadę na ogłoszenie wyroku, albo jeszcze przedtem wpadnę na dzień, jeśli tylko zechcesz. Wystarczy jeden telefon.

- Dziękuję - odparła cicho. Gdy spojrzała mu w oczy, pochylił się i pocałował ją. Poczowała, że jej serce wyrywa się do niego. Przyłgnęła do niego kurczowo na krótką chwilę, zastanawiając się, jakim cudem miałyby z tego zrezygnować. Może będzie musiała. Wysiadła z samochodu, nie mówiąc więcej ani słowa. Wiedziała, że kocha go równie mocno, jak on kochał ją. Ale w tej chwili nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

## Rozdział 21

Sara weszła z Sethem do jego mieszkania na Broadwayu, by się upewnić, czy nic mu nie będzie. Seth był na przemian to oszołomiony, to wściekły, to znów miał taką minę, jakby zaraz miał się rozplakać. Nie chciał jechać do niej i widzieć się z dziećmi. Wyczułyby jego rozpacz i panikę, choć nie miały pojęcia o procesie. Molly już się zorientowała, że z rodzicami stało się coś strasznego i bez przerwy pytała o tatusia. Sarze pękało serce, gdy odpowiadała na jej pytania, wiedząc, że niedługo będzie musiała wytłumaczyć córeczce, dlaczego nie może widywać ojca, kiedy chce. Jego uwięzienie to tylko kwestia czasu.

Natychmiast po wejściu do mieszkania Seth łyknął dwie pigułki na uspokojenie i nalał sobie szklanekę szkockiej. Pociągnął długi łyk i spojrzał na Sarę. Nie mógł znieść cierpienia.

- Przykro mi, kotku - powiedział między łykami. Nie objął jej, nie próbował pocieszyć. Myślał tylko o sobie. Jak zawsze.

- Mnie też, Seth. Przetrawasz jakoś tę noc? Chcesz, żebym została? - Nie miała na to ochoty, ale zostałyaby, dla niego, szczególnie że widziała, jak popija środki uspokajające alkoholem. Mógł się zabić nawet się nie starając. Ktoś powinien być z nim, dopóki szok po werdykcie nie minie, i jeśli już musiała być ona, zdecydowała się to dla niego zrobić.

- Nic mi nie będzie. Mam zamiar upić się w trupa. I może nie będę trzeźwieć przez cały miesiąc, dopóki ten palant nie pośle mnie za kraty na sto lat. - To nie sędzia zawinił, tylko Seth. Ale on najwyraźniej pojmował to inaczej. - Wracaj do siebie, Saro. Ja sobie jakoś poradzę. - Nie brzmiało to przekonująco, martwiła się jego stanem. I znów wszystko kręciło się wokół niego, jak zawsze. Ale poniekąd miał rację; to on szedł do więzienia i miał prawo panikować, nawet jeśli

sam sprowadził to na swoją głowę. Ona mogła pójść, gdzie ją oczy poniosą. On nie mógł. Mógł tylko siedzieć i czekać na to, co stało się nieuniknione.

Tego wieczoru nie zapytał jej o decyzję w sprawie rozwodu. Nie zniósłby, gdyby powiedziała mu, że odchodzi, a i ona nie mogłaby mu odpowiedzieć właśnie teraz. Zresztą sama wciąż jeszcze nie wiedziała, co robi.

Temat wypłynął wreszcie tydzień później, kiedy Seth podrzucił dzieci po wizycie. Zabrał je do siebie tylko na parę godzin. Czuł się fatalnie i wyglądał koszmarnie; podobnie zresztą, jak Sara. Schudła tak bardzo, że Karen Johnson zaczęła ją namawiać na badania. Ale Sara wiedziała, że nie toczy jej żadna tajemnicza choroba. Jej życie rozpadło się w proch, mąż szedł do więzienia. Straciła wszystko, w nikim nie miała wsparcia. Znała przyczynę.

Kiedy Seth przywiózł dzieci, spojrzał na nią pytająco.

- Może powinniśmy wreszcie porozmawiać, co zrobimy w sprawie naszego małżeństwa. Chciałbym to wiedzieć, zanim zacznę odsiadkę. Bo jeśli mamy pozostać razem, może powinniśmy spędzić te ostatnie tygodnie jak mąż i żona. Może minąć wiele czasu, zanim znów będziemy mogli pomieszkać pod jednym dachem.

Sara mówiła mu kiedyś, że chce mieć trzecie dziecko, ale teraz o tym nie mogła myśleć. Owszem, chciała jeszcze kiedyś urodzić dziecko, ale nie teraz, i nie jemu. To wiele jej powiedziało na temat własnych uczuć. A to, co jej proponował - wspólne zamieszkanie na te ostatnie trzy tygodnie - było absolutnie nie do przyjęcia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby znów z nim zamieszkać, kochać się z nim, przywiązać się jeszcze bardziej, a potem patrzeć, jak zamykają go w więzieniu. I może nawet miał rację, że lepiej stawić temu czoło teraz niż odwlekać tę rozmowę w nieskończoność.

- Nie dam rady, Seth - powiedziała głosem pełnym bólu, gdy Parmani zabrała dzieci do kąpieli. Nie chciała, by słyszały tę rozmowę. Nie chciała, by zapamiętały ten jeden dzień. Kiedy będą już dość duże, dowiedzą się, co się stało, ale na pewno nie teraz. - Ja po prostu nie mogę... Nie mogę wrócić do ciebie. Chciałabym tego najbardziej na świecie. Chciałabym, abyśmy mogli cofnąć czas, ale to przecież niemożliwe. Wciąż cię kocham i pewnie nigdy nie przestanę, ale nie sądzę, bym jeszcze kiedykolwiek potrafiła ci zaufać. - To było bolesne i brutalne wyznanie, ale szczere. Seth stał jak przyrośnięty do podłogi, patrząc na nią. Nie to chciał usłyszeć. Potrzebował jej, szczególnie teraz, gdy czekało go więzienie.

- Rozumiem. - Skinął głową, ale nagle coś przyszło mu do głowy. - Czy byłoby inaczej, gdybym został uniewinniony?

Sara zaprzeczyła. Nie potrafiłaby wrócić do niego. Podejrzewała to od miesięcy, i nareszcie przyznała się do tego sama przed sobą w ostatnich dniach procesu, jeszcze przed werdyktem. Po prostu nie miała serca mu o tym powiedzieć. Ale teraz to musiało zostać wyjaśnione, by oboje wiedzieli, na czym stoją.

- Cóż, skoro tak się sprawy mają, to naprawdę okazałaś wielkoduszność, że towarzyszyłaś mi na sali sądowej. - Poprosił ją o to jego prawnik, dla zachowania pozorów, ale zrobiłaby to i tak, z miłości. - W takim razie zadzwonię do Henry'ego i zacznę postępowanie rozwodowe - powiedział, patrząc na nią udręczonym wzrokiem. Sara czuła, że łzy cisną jej się pod powieki. Była to jedna z najgorszych chwil w jej życiu, a ostatnio tych złych chwil nie brakowało.

- Przykro mi, Seth. - Kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z mieszkania.

Kilka dni później Sara zadzwoniła do Maggie, by jej o tym powiedzieć. Maggie serce krajało się z żalu.



- Wiem, że musiałaś podjąć trudną decyzję - powiedziała ze współczuciem. - Wybaczyłaś mu, Saro?

Zapadła długa chwila ciszy, gdy Sara szukała odpowiedzi w swoim sercu.

- Nie, nie wybaczyłam - wyznała uczciwie.

- Mam nadzieję, że kiedyś wybaczysz. Co nie znaczy, że będziesz musiała przyjąć go z powrotem.

- Wiem. - Teraz już to rozumiała.

- To wyzwoli was oboje. Przecież nie chcesz nosić takiego brzemienia w sercu do końca życia.

- I tak będę - odparła smutno Sara.

Seth zrezygnował ze swojego mieszkania i kilka ostatnich nocy spędził w Ritzu - Carltonie. Spróbował wyjaśnić Molly, co się dzieje, i uprzedził ją o swojej nieobecności przez jakiś czas. Molly rozplakała się, ale gdy zapewnił ją, że będzie mogła go odwiedzać, trochę się uspokoiła. Miała ledwie cztery lata i tak naprawdę nic nie rozumiała. Jak mogłaby to pojąć? Całą tę historię z trudem pojmowali nawet dorośli.

Załatwił wszelkie formalności w sprawie zwrotu kaucji do banku, gdzie pieniądze miały leżeć w depozycie jako zabezpieczenie przyszłych roszczeń inwestorów. Niewielka część przeznaczona została dla Sary i dla dzieci, ale ta odrobina nie mogła wystarczyć na długo. Sara wiedziała, że w końcu będzie musiała liczyć tylko na własne zarobki i na wsparcie rodziców, choć oni, jako emeryci, niewiele mogli jej pomóc. Ale miała przynajmniej pewność, że jeśli gotówka się wyczerpie, a pensja nie wystarczy, będzie mogła u nich pomieszkać. Seth cierpiał, że nie stać go na więcej. Sprzedał swoje nowiutkie porsche i zdobywając się na wielkopański gest dał jej pieniądze. Liczył się każdy grosz.

Swoje rzeczy umieścił w przechowalni, mówiąc, że później się zastanowi, co z nimi począć. Sara obiecała, że zrobi dla niego wszystko, co nie leżało w zakresie

obowiązków prawników. A w tygodniu poprzedzającym ogłoszenie wyroku wniósł sprawę rozwodową. Miała się zakończyć za sześć miesięcy. Sara rozplakała się, kiedy dostała zawiadomienie, ale teraz nie wyobrażała sobie już, że mogłaby pozostać jego żoną. Zwyczajnie nie miała wyboru.

Po długim procesie i zamieszaniu wokół werdyktu przysięgłych, ogłoszenie wyroku stało się formalnością. Sędzia przeanalizował sytuację finansową Seta i ustalił grzywnę w wysokości dwóch milionów dolarów, która miała do zera wydrenować jego kieszenie, nawet po sprzedaży wszystkiego, co mu jeszcze pozostało. I skazał go na piętnaście lat więzienia, po trzy lata za każdy z udowodnionych zarzutów. Wyrok zapadł wysoki, ale nie było to trzydzieści lat. Seth wysłuchał go z zaciśniętymi szczękami, lecz tym razem przygotował się na złe nowiny. Poprzednim razem, gdy czekał na werdykt, miał jeszcze nadzieję na cudowne uniewinnienie. Teraz nie spodziewał się już cudu. A słuchając wyroku zrozumiał, że Sara miała rację, prosząc go o rozwód. Wiedział, że jeśli odsiedzi pełny wyrok, wyjdzie z więzienia w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Ona będzie miała pięćdziesiąt jeden. Przy odrobinie szczęścia mógł wyjść po dwunastu, ale to i tak było bardzo długo - przeżyłaby wiele długich lat, nie mając przy sobie męża. Pomyślał, że kiedy wyjdzie, Molly będzie miała dziewiętnaście lat, a Oliver siedemnaście. To wreszcie uświadomiło mu, na co skazał siebie i swoją rodzinę.

Gdy wyprowadzono go w kajdankach z sali sądowej, Sara wybuchnęła płaczem. W ciągu paru dni miał zostać przeniesiony z aresztu do więzienia federalnego. Jego obrońcy wnioskowali o umieszczenie go w zakładzie o złagodzonej rygorze i ich prośba miała zostać rozpatrzona. Sara obiecała, że rozwód rozwodem, ale odwiedzi go, kiedy tylko będzie to

możliwe. Nie miała zamiaru odcinać się od niego; po prostu nie mogła już być jego żoną.

Wychodząc spojrzał na nią ostatni raz. Zanim zakuto go w kajdanki, rzucił jej obrączkę ślubną. Zapomniał zdjąć ją dziś rano i schować razem ze złotym zegarkiem i osobistymi rzeczami do walizki, którą kazał dostarczyć do domu Sary. Poprosił ją, by pozbyła się ubrań, a zegarek zachowała dla Olliego. Cały ten dzień był dla niej koszmarem. Stała w sali, ściskając jego obrączkę i szlochając, aż Everett i Maggie wyprowadzili ją z sądu, zawieźli do domu i położyli do łóżka.

## Rozdział 22

Po ogłoszeniu wyroku w sprawie Seta, w weekend przed Dniem Pamięci (Memorial Day - święto państwowe obchodzone w Stanach Zjednoczonych w ostatni poniedziałek maja, upamiętniające poległych żołnierzy, począwszy od wojny secesyjnej po współczesne akcje militarne (przyp. tłum.)), Maggie poleciała do Los Angeles na świąteczny koncert Melanie. Próbowwała namówić Sarę, by jechała z nią, ale nie udało się. Sara planowała zabrać dzieci w odwiedziny do Seta w jego nowym „domu”. Po raz pierwszy miały go zobaczyć w więzieniu; dobrze rozumiała, że i dla nich, i dla niej będzie to niemały szok. W zasadzie radziła sobie całkiem dobrze. Chodziła do pracy, opiekowała się dziećmi, ale miewała stany depresyjne. Potrzebowała czasu, być może nawet bardzo długiego, by dojść do siebie po tym, co ją spotkało. W jej życiu i małżeństwie wydarzyła się Hiroshima. Sprawa o rozwód już została wniesiona.

Everett odebrał Maggie z lotniska i podwiózł do skromnego hotelu, w którym się zatrzymała. Po południu planowała spotkanie z ojcem Callaghanem; nie widziała się z nim całe wieki. Koncert miał się odbyć dopiero następnego dnia. Everett dziś pracował intensywnie - musiał dokończyć artykuł. Jego relacja z procesu zrobiła wrażenie, dostał ofertę pracy w „Time”, i nawet Associated Press chciała przyjąć go z powrotem z otwartymi ramionami. Był na odwyku już dwa lata i czuł się silny jak nigdy. Swoją znaczkę dwóch lat w trzeźwości podarował Maggie, by trzymała go razem z pierwszym, na szczęście. A ona bardzo ceniła sobie ten podwójny talizman i zawsze miała go przy sobie.

Tego wieczoru zostali zaproszeni do Melanie na kolację w kameralnym gronie. Melanie i Tom niedawno obchodzili swoją pierwszą rocznicę, a Janet była o wiele milsza, niż Maggie się spodziewała. Poznała ostatnio pewnego pana i

świetnie się z nim bawiła. On też pracował w branży muzycznej, mieli ze sobą wiele wspólnego. A poza tym chyba pogodziła się już z faktem, że Melanie sama decyduje o własnym życiu, choć Everett nie sądził, że to kiedykolwiek będzie możliwe. Melanie kończyła w tym roku dwadzieścia jeden lat i już kilka miesięcy temu przejęła zarządzanie własną karierą.

Latem wybierała się w krótką trasę - tylko cztery tygodnie koncertów zamiast dziesięciu, i wyłącznie w największych miastach. Tom wziął dwutygodniowy urlop, by pojechać z nią. A na wrzesień już umówiła się z ojcem Callaghanem - czekała na kolejny wyjazd do Meksyku, choć tym razem zamierzała tam posiedzieć tylko miesiąc. Nie chciała na zbyt długo rozstawać się z Tomem. Oboje promienieli szczęściem; Everett pstryknął przy kolacji parę fotek, w tym Melanie z matką, i Melanie z Maggie. Dziewczyna przypisywała Maggie całą zasługę za wszystkie pozytywne zmiany w swoim życiu; podziękowała jej, że pomogła jej dorosnąć i odnaleźć własną drogę w życiu, choć oczywiście powiedziała to poza zasięgiem uszu Janet.

W połowie maja obchodzili rocznicę trzęsienia ziemi. To wydarzenie wszyscy wspominali ze zgrozą i rozczuleniem. W ostatecznym rozrachunku kataklizm im wszystkim przyniósł coś dobrego, ale szok i strach, który wtedy przeżyli, też nie dawał o sobie zapomnieć. Maggie powiedziała, że w tym roku odbył się kolejny bal Małych Aniołków, ale nie prowadziła go Sara, ani nawet nie uczestniczyła w nim, zbyt zajęta sprawą rozwodową i własnymi kłopotami. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że to wielka szkoda, bo bal pod jej zarządem był naprawdę wspaniałą imprezą, dopóki ziemia się nie zatrzęsła.

Everett i Maggie posiedzieli u Melanie do późnego wieczora. Rozmawiali swobodnie, w miłej atmosferze, po kolacji Everett i Tom rozegrali partyjkę bilarda. Tom przyznał

się Everettowi, że myślą z Melanie o wspólnym zamieszkaniu. Sytuacja stała się trochę krępująca, dopóki Melanie mieszkała z matką, i choć Janet ostatnio trochę złagodniała, z pewnością nie zmieniła się w anioła. Tego wieczoru wypła o wiele za dużo i choć miała teraz faceta, Everett czuł, że zaczęłaby się do niego przystawiać, gdyby nie obecność Maggie. Doskonale rozumiał, dlaczego Tom i Melanie chcieli zamieszkać na swoim. Już najwyższy czas, by i Janet wreszcie dorosła i sama stawiała czoło światu, bez chowania się za karierą Melanie. To był czas dojrzewania dla nich wszystkich.

Everett i Maggie rozmawiali w drodze do hotelu. Zrobiło się późno i zanim dotarli na miejsce, Maggie ziewała już na całego. Everett pocałował ją delikatnie i obejmując ramieniem, odprowadził pod drzwi.

- A właśnie, jak tam twoje spotkanie z ojcem Callaghanem? - Zapomniał spytać ją wcześniej. - Mam nadzieję, że ty nie wybierasz się do Meksyku - zażartował. Maggie pokręciła głową i ziewnęła jeszcze raz.

- Nie. Będę pracować z nim tutaj - odparła zaspanym głosem, tuląc się do Everetta.

- Tutaj? W Los Angeles? - Nic nie rozumiał. - Czy chodzi ci o San Francisco?

- Nie. Tutaj znaczy tutaj. Potrzebuje kogoś do prowadzenia misji, kiedy będzie siedział w Meksyku. To tylko kilka miesięcy, ale przez ten czas wymyślę, co będę robić później, a może się okazać, że mnie zatrzyma na dłużej, jeśli się sprawdzę.

- Zaraz, zaraz. - Everett gapił się na nią. - Wytłumacz, o co tu chodzi. Bierzesz posadę w Los Angeles na kilka miesięcy? A co na to twoja diecezja? Rozmawiałaś już z nimi? - Wiedział, że jej przełożeni mieli dość liberalne podejście do poczynań Maggie, ale żeby aż tak?

- Ehm... rozmawiałam... - powiedziała, obejmując go w pasie. Everett wciąż nie wiedział w czym rzecz.

- I pozwolili ci pracować tutaj? - Nie ukrywał zachwyty tym pomysłem i widział, że ona też się z tego cieszy. - To niesamowite. Nie sądziłem, że są aż tacy fajni, żeby pozwolić ci przenieść się do innego miasta.

- Nie mają już nic do powiedzenia w tej sprawie. - Spojrzała mu w oczy.

- Co ty mówisz, Maggie?

Wzięła głęboki oddech i objęła go mocniej. Musiała podjąć najtrudniejszą decyzję w swoim życiu. Nie rozmawiała o tym z nikim spoza Kościoła, nawet z nim. Postanowiła sama dokonać tego wyboru.

- Dwa dni temu zostałam zwolniona ze ślubów zakonnych. Nie chciałam ci mówić przez telefon, wolałam przyjechać i powiedzieć ci osobiście.

- Maggie!... Maggie?... Nie jesteś już zakonnica? - Gapił się na nią nie wierząc własnym uszom. Pokręciła głową z trudem powstrzymując łzy.

- Nie. Nie jestem. Teraz już nie wiem, kim jestem. Przechodzę kryzys tożsamości. Zadzwoiłam do ojca Callaghana w sprawie tej pracy, żeby móc się tu zaczepić, jeśli mnie zechcesz. Bo jeśli nie, to nie wiem, co ze sobą zrobię. - Roześmiała się przez łzy. - I jestem najstarszą dziewczyną na planecie.

- Och, Maggie, kocham cię... Mój Boże, jesteś wolna! - Pocałował ją żarliwie. Teraz już nie musieli się czuć winni. Mogli swobodnie odkrywać to wszystko, co do siebie czuli. Mogli się pobrać i mieć dzieci. Mogli decydować o wszystkim sami. - Dziękuję ci, Maggie - Everett nie ukrywał wzruszenia. - Dziękuję ci z całego serca. Nie sądziłem, że jednak się na to zdecydujesz. Nie chciałem cię naciskać, ale od miesięcy byłem chory ze zmartwienia.

- Wiem. Ja też. Pragnęłam to zrobić jak należy. A to nie takie proste.

- Wiem - odparł i znów ją pocałował. Wciąż jeszcze nie chciał jej ponaglać. Wiedział, że ogromnie trudno będzie jej się przyzwyczaić do świeckiego życia. Spędziła w zakonie dwadzieścia jeden lat, niemal pół życia. Ale nie potrafił nie myśleć o przyszłości. A najlepsza część tej przyszłości zaczynała się teraz. - Kiedy możesz się tu przenieść?

- Kiedy chcesz. Za kawalerkę płacę z miesiąca na miesiąc.

- Jutro - rzucił rozradowany. Nie mógł się doczekać, by wrócić do domu i zadzwonić do swojego opiekuna, który sugerował mu zgłoszenie się do programu dla osób współuzależnionych. Sądził, że Everett jest uzależniony od niedostępności Maggie. Bo czy można sobie wyobrazić coś bardziej niedostępnego niż zakonnica? A teraz ta zakonnica należała do niego! - W przyszłym tygodniu pomogę ci przewieźć manatki, jeśli chcesz.

Maggie roześmiała się.

- Pewnie nie nazbiera się tego nawet na dwie walizki, a poza tym gdzie miałabym mieszkać? - Cała ta sprawa była tak świeża, że nie zdążyła jeszcze niczego załatwić. Przestała być siostrą zakonną ledwie dwa dni temu, a dziś po południu znalazła pracę. Nie miała jeszcze czasu pomyśleć o mieszkaniu.

- A byłabyś skłonna zamieszkać ze mną? - zapytał ją ostrożnie. Ta noc powoli stawała się nocą jego życia. Ale Maggie pokręciła głową. Na pewne rzeczy nie mogła się zgodzić.

- Nie, chyba że się pobierzemy - powiedziała cicho. Nie chciała go do niczego zmuszać, ale też nie chciała żyć z mężczyzną na kocią łapę. To kłóciło się ze wszystkimi jej przekonaniem. Ledwie od dwóch dni funkcjonowała w



zwyczajnym świecie i absolutnie nie zgodziłaby się żyć z nim w grzechu, choćby była nie wiadomo jak szczęśliwa.

- To się da zrobić - zapewnił, śmiejąc się. - Czekałem tylko, aż będziesz wolna. Rany, Maggie, wyjdiesz za mnie? - Chciał to załatwić bardziej elegancko, ale zwyczajnie nie mógł się już doczekać. I tak już czekali zbyt długo.

Maggie, rozpromieniona, kiwnęła głową i wypowiedziała słowo, które Everett pragnął usłyszeć.

- Tak. - Porwał ją w ramiona, zakręcił nią młynka, pocałował i postawił z powrotem na ziemi. Rozmawiali jeszcze chwilę, aż w końcu Maggie, roześmiana, weszła do swojego pokoju, a on zostawił ją, obiecując zadzwonić z samego rana, a może nawet jeszcze dziś w nocy. Zaczynało się dla nich całkiem nowe życie. W głębi duszy Everett nie sądził, że Maggie się zdecyduje na taki krok. To było nawet bardziej zdumiewające niż fakt, że połączyło ich trzęsienie ziemi. Nie przypuszczał, że jest aż taką dzielną kobietą. Wiedział, że już zawsze będzie za nią wdzięczny Bogu.

Następnego dnia odbył się koncert. Melanie dała fantastyczny popis swego talentu, wręcz szalała na scenie. Maggie nigdy przedtem nie widziała dużego koncertu, a Melanie słyszała na żywo tylko na balu, w bardziej kameralnych warunkach. Everett opowiadał jej o koncertach, miała też wszystkie płyty Melanie, ale oglądanie jej i słuchanie na żywo na tak wielkiej scenie - to dopiero robiło wrażenie. Maggie nie mogła wyjść z podziwu. Siedziała z Tomem w pierwszym rzędzie, a Everett pstrykał zdjęcia dla „Scoop”. Postanowił przyjąć pracę w „Time”, ale obowiązywało go wypowiedzenie. W jego życiu nagle wszystko zaczęło się odmieniać, i to - o dziwo - na lepsze.

Po koncercie Maggie i Everett poszli na kolację z Tomem i Melanie. Everett namówił Maggie, by pochwaliła się nowiną. Ona zawstydzona, powiedziała im w końcu, że się pobierają.

Nie ustalili jeszcze daty, ale przez całe popołudnie planowali, jak będzie wyglądać ślub. Maggie nie wyobrażała sobie wielkiego wesela - prawdę mówiąc nawet małego. Zaproponowała, żeby ojciec Callaghan udzielił im cichego ślubu zaraz po jej przeprowadzce do Los Angeles. Nie chciała robić wokół tego zamieszania. Mówiła, że jest za stara na wielką białą suknię, a poza tym dzień złożenia ślubów zakonnych był dla niej jak pierwsze małżeństwo. Teraz liczyło się tylko to, że wreszcie się pobierają, a jak i kiedy - to już nie miało dla niej większego znaczenia. Ślub uświęcał jej związek z Everettem, i, jak mówiła, potrzebowała do niego tylko męża, Boga, któremu służyła całe życie, i księdza.

Toma i Melanie zachwyciła nowina, choć, trzeba przyznać, opadły im szczęki.

- Nie jesteś już siostrą zakonną? - Melanie zrobiła wielkie oczy. Przez chwilę myślała nawet, że to żart. - Rany! Jak to się stało? - Do tej pory nawet nie podejrzewała, że coś jest między nimi, ale teraz dostrzegła to wyraźnie. Widziała też, jacy są szczęśliwi, jaki dumny jest Everett. A Maggie, podejmując tę trudną decyzję, osiągnęła wreszcie to, o czym tyle mówiła - spokój ducha, boże błogosławieństwo i pewność, że to, co robią, jest słuszne. Zaczynał się nowy rozdział w jej życiu, stary powoli zniknął za zamkniętymi drzwiami. Spojrzała na Everetta, który uśmiechnął się do niej. Ten jego uśmiech rozświetlał jej świat.

Tom nalał wszystkim szampana.

- Wypijmy za trzęsienie ziemi w San Francisco! - powiedział, unosząc kieliszek. Trzęsienie ziemi przyniosło mu miłość, i najwyraźniej nie tylko jemu. Niektórym dało szczęście, innym rozpacz. Niektórzy stracili w nim życie. Ale ci wszyscy, którzy przeżyli, wiedzieli, już, że na zawsze odmieniło ich losy, na złe czy na dobre.

## Rozdział 23

Maggie potrzebowała dwóch tygodni, by uporządkować swoje sprawy w San Francisco. Tymczasem Everett złożył wypowiedzenie w „Scoop” i pod koniec czerwca miał zacząć pracę w redakcji „Time” w Los Angeles. Zaplanował sobie dwa tygodnie wolnego między posadami, by spędzić ten czas z Maggie. Ojciec Callaghan zgodził się udzielić im ślubu dzień po jej przyjeździe. Maggie zawiadomiła o wszystkim rodzinę. Szczególnie ucieszył się brat, kiedyś ksiądz, i życzył jej wszystkiego najlepszego.

Kupiła sobie na tę okazję prostą sukienkę z białego jedwabiu i satynowe pantofle na obcasie. Strój, który w niczym nie przypominał jej starego habitu, zapoczątkował symbolicznie nowe życie.

Everett planował zabrać ją w podróż poślubną do La Jolla, do małego hoteliku, który dobrze znał; oboje cieszyli się już na długie nadmorskie spacerki. Maggie zaczynała pracę dla ojca Callaghana od pierwszego lipca i miała sześć tygodni na wdrożenie się w obowiązki przed jego wyjazdem do Meksyku, planowanym na piętnastego sierpnia. W tym roku wyjeżdżał wcześniej niż zwykle, wiedząc, że zostawia misję w Los Angeles w dobrych rękach. Maggie nie mogła się już doczekać nowych zajęć. Teraz jej życie obfitowało w ekscytujące wydarzenia. Ślub, przeprowadzka, nowa praca. Zdała sobie sprawę, że będzie teraz musiała używać własnego imienia. Mary Magdalen przyjęła wstępując do zakonu; na chrzcie otrzymała Mary Margaret. Everett stwierdził, że i tak będzie ją nazywał Maggie. Tak o niej myślał, pod tym imieniem ją poznał, i już na zawsze pozostała dla niego Maggie. Ale przecież zmieniała też nazwisko. Miała teraz być panią Carson. Obracała je na języku, pakując swoje rzeczy, i po raz ostatni rozejrzała się po mieszkaniu. Mała kawalerka dobrze jej służyła przez lata w Tenderloin. Ale ten czas

dobiegł końca. Zapakowała krucyfiks do swojej jedynej walizki. To, co się nie zmieściło, po prostu rozdała.

Oddała klucze właścicielowi, życzyła mu wszystkiego najlepszego i pożegnała się ze znajomymi, sterczącymi w korytarzach. Transwestyta, którego tak polubiła, uściskał ją, gdy wsiadała do taksówki, a dwie prostytutki pomachały, gdy przejeżdżała obok nich. Nie powiedziała nikomu, że wyjeżdża, ale miała wrażenie, że oni i tak wiedzą, że odchodzi na zawsze. Zmówiła modlitwę za nich wszystkich.

Jej samolot wylądował planowo; Everett odebrał ją z lotniska. Czekał na nią z duszą na ramieniu. A jeśli zmieniła zdanie? Ale nagle zjawiała się - jego Maggie, maleńka, rudowłosa kobietka w dżinsach, różowych trampkach i białej koszulce z napisem „Kocham Jezusa” - i ruszyła ku niemu z uśmiechem, któremu nie potrafił się oprzeć. Na tę kobietę czekał całe życie. I czuł się prawdziwym szczęściarzem, że ją znalazł. A ona wyglądała na równie szczęśliwą, kiedy przytulała się do niego. Wziął jej walizkę i wyszli z lotniska. Jutro mieli wziąć ślub.

Seth trafił do zakładu o złagodzonej rygorze w południowej Kalifornii; panowały tam całkiem przyzwoite warunki. Zakład współpracował z pobliskim nadleśnictwem i dobrze sprawujący się więźniowie pracowali jako strażnicy leśni, pilnując wyznaczonego terenu i w razie potrzeby gasząc pożary. Seth miał nadzieję, że wkrótce trafi do leśnego obozu.

A tymczasem, gdy jego adwokat pociągnął za parę sznurków, dostał pojedynczą celę. Było mu wygodnie, nie czuł się zagrożony ze strony współwięźniów. W zakładzie siedzieli ludzie skazani za podobne przestępstwa gospodarcze, tyle że na mniejszą skalę. Prawdę mówiąc uważali go wręcz za bohatera. Żonatym więźniom pozwalano na małżeńskie wizyty, mogli dostawać paczki, a większość osadzonych namiętnie czytywała „Wall Street Journal”. Więzienie to

nazywano nawet najlepszym klubem wypoczynkowym wśród zakładów karnych, ale mimo wszystko to jednak więzienie. Seth tęsknił za wolnością, za żoną i dziećmi. Nie żałował tego, co zrobił, ale nie mógł sobie darować, że dał się złapać.

Gdy Sara odwiedziła go w pierwszym zakładzie, w którym przebywał tymczasowo, ponurym i niebezpiecznym, doznała szoku i żałowała, że przywiozła dzieci. Teraz przypominało to bardziej odwiedziny w szpitalu czy w podrzędnym, leśnym hotelu. Przy zakładzie znajdowało się małe miasteczko, w którym było się gdzie zatrzymać. Mogła wystąpić o wizyty małżeńskie, jako że ich rozwód nie został jeszcze sfinalizowany, ale jak dla niej, ich małżeństwo już dawno nie istniało. Seth żałował tego, i żałował, że tyle przysporzył jej bólu. Widział go wyraźnie w jej oczach, gdy po raz pierwszy odwiedziła go z dziećmi dwa miesiące wcześniej. Nie mogła przyjeżdżać częściej - z powodu chociażby kłopotliwego dojazdu do zakładu, a poza tym cała trójka spędziła trochę czasu u rodziców Sary na Bermudach.

Cały w nerwach czekał na nich w gorący sierpniowy poranek. Odprasował spodnie i koszulę khaki, wypucował regulaminowe, brązowe trzewiki. Tu nie mógł już nosić swoich robionych na miarę, angielskich półbutów.

Gdy nadeszła pora wizyty, poszedł na trawiastą łączkę we frontowej części obozu, na której bawiły się dzieci więźniów, gdy mężowie i żony rozmawiali, całowali się i trzymali za ręce. Przez chwilę obserwował drogę, aż w końcu zobaczył, jak podjeżdżają. Sara zaparkowała samochód i wyjęła z bagażnika kosz piknikowy, bo odwiedzający mogli przywozić jedzenie. Obok niej szedł Oliver, trzymając się maminej spódnicy i rozglądał niepewnie, a z drugiej strony pędziła w podskokach Molly z lalką pod pachą. Seth poczuł, że łyzy pieką go pod powiekami.

Sara dostrzegła go wreszcie. Pomachała, przeszła przez punkt kontrolny, gdzie przeszukano jej koszyk, i w końcu całą trójkę wpuszczono do środka. Ruszyła ku niemu z uśmiechem. Widział, że trochę przytyła i nie wyglądała już na tak wychudzoną jak zaraz po procesie. Molly rzuciła się biegiem w jego ramiona; Oliver ociągał się, ale w końcu i on podszedł do ojca. Seth spojrzął Sarze w oczy. Pocałowała go w policzek i postawiła koszyk.

- Dobrze wyglądasz, Saro.

- Ty też, Seth - odparła, trochę skrzepowana. Minęło sporo czasu, tyle się zmieniło. Seth od czasu do czasu pisał do niej maile, a ona odpisywała, opowiadając o dzieciach. Chciałby powiedzieć jej coś więcej, ale teraz już nie śmiał. Wyznaczyła granice, które musiał uszanować. Nie powiedział jej, że za nią tęskni, choć tęsknił bardzo. A ona nie powiedziała mu, jak ciężko jest jej bez niego. Nie było już miejsca na dawne uczucia. Sara nie czuła gniewu - pozostał tylko smutek, ale powoli przychodził też spokój, w miarę, jak układała sobie życie. Już nie było o co mieć pretensji, nie było czego żałować. Co się stało, to się stało. Jedyne, co pozostało między nimi, to dzieci, decyzje co do ich życia, i wspomnienia dawnych czasów.

Sara nakryła jeden z piknikowych stołów i podała lunch. Seth przyniósł krzesła. Dzieciaki na zmianę siadały mu na kolanach. Sara przywiozła pyszne kanapki z miejscowych delikatesów, owoce i sernik - ulubione ciasto Seta. Nie zapomniała nawet o ulubionych czekoladkach i cygarze.

- Dziękuję, Saro. Przywiozłaś pyszności. - Gdy dzieciaki poszły pobiegać po trawie, rozsiadł się wygodniej na krześle i zapalił cygaro. Sara widziała, że nie jest mu tu źle, że przystosował się już do miejsca, w które rzucił go los. Wydawało się, że pogodził się z faktami, szczególnie po tym, kiedy Henry Jacobs potwierdził, że nie ma podstaw do

apelacji. Proces został poprowadzony prawidłowo, czynnościom śledczym nie dało się nic zarzucić. Ale Seth nie czuł już goryczy. Sara też nie. - Dzięki, że przywiozłaś dzieci.

- Molly za dwa tygodnie zaczyna szkołę. A ja muszę wracać do pracy.

Chciał jej powiedzieć, jak mu przykro, że przez niego straciła dom, biżuterię, że wszystko, co zbudowali, rozpadło się w proch, ale nie potrafił znaleźć słów. Siedzieli po prostu razem, patrząc na dzieci. Sara wypełniała niezręczne chwile ciszy nowinami o swojej rodzinie, a on opowiadał o codziennych zajęciach w obozie. Pewnych rzeczy nie mogli już sobie powiedzieć. Seth wiedział, że Sara go kocha, świadczył o tym lunch, który przygotowała z taką miłością, ten piękny piknikowy kosz, to, że przywiozła dzieci. A ona wiedziała, że on kocha ją. Któregoś dnia i to miało się zmienić. Ta miłość stanowiła ostatnią warstwę kleju, która trzymała ich razem, ale z czasem i ona miała się wykruszyć, gdy znajdzie się ktoś inny, gdy wspomnienia zblakną, gdy czas rozłąki będzie zbyt długi. Ale to on był człowiekiem, którego pokochała i którego poślubiła. Ojcem jej dzieci. To nigdy nie miało się zmienić.

Została z dziećmi aż do końca pory wizyt. Dźwięk gwizdka ostrzegł ich, że zbliża się czas pożegnania. Musieli spakować rzeczy, wyrzucić resztki. Sara schowała pozostałe jedzenie i serwetki w czerwone kropki do kosza. Przywiozła je z domu, by ten wspólny posiłek wyglądał uroczyście.

Zawołała dzieci i powiedziała im, że pora jechać. Oliver zrobił smutną minę, kiedy kazała mu pożegnać się z tatusiem, a Molly objęła ojca w pasie.

- Ja nie chcę zostawiać tatusia. - Miała żalną minę. - Ja chcę zostać! - Seth poczuł ukłucie w sercu; sam skazał na to swoje dzieci, ale z czasem i to miało się zmienić. W końcu przyzwyczajają się, że widują go tutaj i nigdzie indziej.

- Niedługo znów przyjedziemy z wizytą - powiedziała Sara, czekając, aż Molly puści ojca. Mała w końcu dała za wygraną. Seth odprowadził ich w stronę punktu kontrolnego tak daleko, jak mógł.

- Dzięki jeszcze raz, Saro. Dbaj o siebie.

- Ty też. - Otworzyła usta, by powiedzieć mu jeszcze coś, ale zawahała się. - Kocham cię, Seth. Mam nadzieję, że to wiesz. Już nie czuję złości. Jest mi tylko strasznie smutno przez to, co spotkało ciebie, nas wszystkich. Ale już jest lepiej. - Chciała, żeby to wiedział, żeby się nie martwił o nią i nie czuł się winny. Mógł żałować swoich postępów, ale Sara tego lata zrozumiała, że wszystko będzie dobrze. Dostała od losu takie a nie inne karty i zamierzała nimi grać najlepiej jak się dało, nie oglądając się za siebie, nie nienawidząc go, i nawet nie żałując, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Po prostu nie mogło się ułożyć inaczej. Nawet jeśli ona nie wiedziała, co się dzieje, to i tak się działo, i prędzej czy później musiało się tak skończyć - to tylko kwestia czasu. Teraz rozumiała to w całej pełni. Seth po prostu nigdy nie był człowiekiem, za którego go uważała.

- Dziękuję, Saro... że mnie nie znienawidziłaś za to, co zrobiłem. - Nie chciał jej tego tłumaczyć. Kiedyś już próbował i wiedział, że ona nigdy tego nie zrozumie. Wszelkie wyjaśnienia nie mieściły się w jej systemie wartości.

- Nie myśl o tym, Seth. Stało się. Całe szczęście, że mamy dzieciaki. - Wciąż żałowała, że nie było jej dane mieć jeszcze jednego dziecka, ale w życiu mogło się jeszcze wiele zdarzyć. Jej los leżał w rękach kogoś innego. Tak powiedziała Maggie, gdy zadzwoniła, by pochwalić się, że wyszła za męża. Sara pomyślała o niej i uśmiechnęła się do Seta. Wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale w końcu mu wybaczyła, nawet się nie starając. Poczwała się tak, jakby ktoś zdjął jej z



ramion i serca ogromne brzemie. Ciężar zniknął, choć nawet nie próbowała go zrzucić.

Seth patrzył za nimi, jak przechodzą przez bramę i idą na parking. Dzieciaki machały na pożegnanie, a Sara odwróciła się z uśmiechem i spojrzała mu w oczy. Pomachał im, gdy odjeżdżali, i powoli wrócił do celi, myśląc o nich. Poświęcił rodzinę dla zaspokojenia swojego widzimisię.

Gdy Sara minęła zakręt i więzienie zniknęło jej z oczu, popatrzyła na dzieci, uśmiechnęła się do siebie i nagle zrozumiała, że to się dokonało. Nie wiedziała, jak i kiedy, ale w końcu przyszło. To, o czym Maggie mówiła tak często, i czego ona sama usilnie szukała. W końcu to znalazła, czy raczej to znalazło ją, i gdy pojęła, co się stało, doznała wrażenia dziwnej lekkości - mogłaby fruwać. Wybaczyła Sethowi i poczuła, jak dotyka jej ten cud, którego jeszcze tak niedawno nie potrafiła sobie nawet wyobrazić - prawdziwy dar losu.